



MAŁGORZATA  
WARDA

5 SEKUND DO

iO

REBELIANTKA

Media Rodzina

Małgorzata Warda

5 sekund do IO. Rebeliantka

## Podziękowania

Dziękuję moim Czytelnikom, bo to przede wszystkim dzięki Wam mogłam ponownie wejść do świata *Work a Dream* i poprowadzić moich bohaterów w dalszą drogę.

Fantastycznym redaktorom: pani Hannie Koźmińskiej, pani Ewelinie Angielczyk oraz panu Bronisławowi Kledzikowi, którzy od razu dostrzegli w tej książce to, czym jest – historię nie tylko o miłości i nie tylko o grze komputerowej.

Ilustratorce Ewie Beniak-Haremskiej dziękuję za piękne okładki do serii *5 sekund do Io*.

Elizie Wandtke oraz całemu zespołowi wydawniczemu za wkład pracy i świetne pomysły.

Przemkowi Rudziowi, autorowi książek popularnonaukowych, za to, że zainspirował mnie opowieścią o mroźnym księżycu Tytanie.

Agentce i pisarce Manuli Kalickiej dziękuję, ponieważ kiedyś zapytała: „Nie chciałabyś napisać czegoś dla młodzieży?”.

Wyrazy wdzięczności niech przyjmą też moje przyjaciółki, zawsze mnie wspierające i dodające mi otuchy: Dorota Keller, Ilona Poćwierz-Marciniak, Agnieszka Gil, Hania Cygler, Ania Łacina, Lucyna Olejniczak, Mariola Zaczyńska, Magda Zimniak, Ania Fryczkowska, Agnieszka Sikorska-Celejewska, Ania Rajkowska.

Dziękuję również Magdalenie Zaporowskiej – Magdalena wie za co.

Również moim najbliższym: rodzicom, siostrze. Tak, Wasze modlitwy wreszcie zostały wysłuchane! Teściom dziękuję za pomoc, bez której zabrakłoby mi czasu do napisania tej książki.

I wreszcie Maćkowi – mojemu mężowi, najlepszemu przyjacielowi, pierwszemu czytelnikowi. Dziękuję Ci.

*Powieść tę dedykuję dziewczynce, która z wypiekami na policzkach dopytuje się o ciąg dalszy*

– mojej Sylwii

– Uważaj, o co się modlisz – odparł Callahan. – Ponieważ twoje życzenie może się spełnić.

Stephen King MROczNA WIEŻA V: WILKI Z CALLA  
(TŁUM. ZBIGNIEW A. KRÓLICKI, ALBATROS 2015)

„W stolicy odbył się marsz milczenia” – informuje spiker w wiadomościach, które oglądam na laptopie. – „Wzięło w nim udział dziesięć tysięcy osób, z których część to uczniowie szkół ponadpodstawowych oraz studenci. Minęły dokładnie trzy miesiące, od kiedy Sebastian P. wniósł do szkoły broń i zabił oraz ranił wiele osób. Upamiętniając ten dzień, młodzi ludzie zbierają się na placu Zbawiciela i wyruszają w milczącym marszu, ze zdjęciami ofiar w rękach. Mimo mijającego czasu, policji wciąż nie udało się ustalić, czy mężczyzna, który strzelał, działał sam i skąd wziął broń”.

Na ekranie pojawia się wojskowy, trzymając w rękach karabin, którego Sebastian użył w szkole. Nie byłam na to przygotowana, więc nieruchomieję wpatrzona w broń, a wspomnienie, które od tygodni próbuję wyrzucić z pamięci, wraca. Mrugam, spycham je w niepamięć, ale migocze w kąciku oka, pojawia się między rzęsami, więc mrugam znowu i w końcu udaje mi się go pozbyć.

„Taka broń nie miała prawa dostać się w ręce młodego człowieka” – opowiada wojskowy w programie. – „Mówimy o MSBS, czyli o najnowszej broni, stworzonej w najnowocześniejszej technologii, do której dostęp w Polsce mają tylko elitarne jednostki wojskowe!”.

Przemykam powieki i jednak zaglądam w przeszłość. Przypominam sobie niewyspane oczy Sebastiana, karabin, który oparł na kolanie, pamiętam tamten moment, gdy znalazł mnie, ukrytą pod ławką w szkolnej bibliotece.

Jak z oddali dociera do mnie głos dziennikarza:

„...karabin MSBC to owoc wysiłków specjalistów od wzornictwa przemysłowego. To pierwszy taki model w historii polskiej broni palnej, więc tym bardziej szokuje fakt, że młody człowiek, nie powiązany z wojskiem, wszedł w jej posiadanie!”.

Pierwszy raz od tamtego czasu pozwalam sobie zajrzeć głębiej we wspomnienia, zastanowić się, jak to możliwe, że Sebastian kupił karabin, i to tak wyjątkowy, w kraju, gdzie posiadanie broni jest mocno reglamentowane. Skąd miał pieniądze? Przecież taka broń, sprzedawana na czarnym rynku, musiała kosztować fortunę. No i jak poznał ludzi, którzy mu ją sprzedali? Dlaczego akurat jemu? Jak to możliwe? Przecież służby by ich namierzyły! Nie ma takiego miejsca w sieci, gdzie istniałaby wolność absolutna i gdzie policja albo kontrwywiad wojskowy nie miałby wstępu. Każda strona internetowa, każda rozmowa jest kontrolowana. Policja od trzech miesięcy prowadzi śledztwo w sprawie strzelaniny w szkole i ma niemal zerowe rezultaty!

– Nie żartuj, że chcesz iść tak? – Głos Janka wyrywa mnie z zamyślenia.

Pospiesznie zamykam klapę laptopa. Uważam, że ostatnie, czego Janek potrzebuje, to słuchać informacji o tamtej masakrze. Oboje zostaliśmy okaleczeni przez działanie Sebastiana. Ja nieustannie w snach wracam do szkoły, przemierzam jej korytarze i znajduję zwłoki w miejscach, gdzie powinni być ludzie, a Janek każdego dnia budzi się z poczuciem winy.

– Była mowa o Marcusie Feniksie i co? – Zmuszam głos do wesołego brzmienia.

– Gdzie twoje przebranie?

– Będę udawać Opiekuna z *Bitwy o Io*, Iana. Znasz takiego?

– Chyba kojarzę gościa! – śmieję się.

Dwa tygodnie – tyle czasu minęło, od kiedy przyjechałam tutaj i usłyszałam od Janka prawdę. Staramy się zachowywać tak, jakby nic się nie stało. Prawie nie rozmawiamy o mojej szkole, o grze, która przyczyniła się do tragedii, o Sebastianie, o kontrakcie, który otrzymałam od firmy We Fly High – na mocy którego miałabym grać dla nich za pieniądze. Dzisiaj, w Noc Postaci z Gier Komputerowych, spadł śnieg. W starym, nieremontowanym domu Janka mróz od rana rysuje wzory na szybie i jest tak zimno, że palimy w kominku, ale to nie wystarcza, więc włączamy jeszcze ogień na kuchence. Teraz pospiesznie gaszę płomienie, wkładam rękawiczki, futrzaną czapkę, kurtkę i biegnę za Jankiem po schodach. Mamy jeszcze godzinę, żeby wmieszać się w fetujący na ulicach tłum.

– Gdybym miała się za kogoś przebrać, wybrałabym Madison Paige ze starego *Heavi Rain* – przyznaję zdyszana, doganiając Janka na półpiętrze. – W tamtych latach tworzono wyrazistych bohaterów, nie to, co potem...

Obraca się z błyskiem w oczach.

– Jezu, Mika, zastanawiałem się, czy jeszcze kiedykolwiek usłyszę to od ciebie!

– Niby co?

– Że coś, co powstało przed *Work a Dream*, też było dobre. Nie do wiary, że tak powiedziałaś!

Znowu się śmieję i przebiega mi przez myśl, że zostanie tutaj mogłoby być takie proste: ja i Janek, bez reszty świata. Chodzimy przecież po ulicach, gdzie nikt nas nie zna. Nikt nie wie, że to ja byłam w warszawskiej szkole, kiedy Sebastian wniósł tam broń. Nikt nie ma pojęcia, że to Janek był powodem jego furii. Patrę na niego, na mojego Iana z *Bitwy o Io* i aż boję się uwierzyć, że to może być takie proste.

Puszcza mnie przodem w drzwiach prowadzących na płaski dach. Nigdy wcześniej mnie tu nie zabierał. To jak inny świat. Śnieżycą prawie ustała, przestrzeń wydaje się biała, w tej chwili nie ma ani początku, ani końca. Srebrzą się sople lodu, a chmury powoli się rozchodzą, odsłaniając usiane gwiazdami niebo i księżyc, który w ostatnich dniach dążył do pełni i właśnie ją osiągnął.

– Najjaśniejsza dzisiaj to Antares. – Janek odkręca pokrywkę termosu, rozlewa nam do kubków gorącą herbatę z jakimś delikatnym, „procentowym” dodatkiem. – Jest w gwiazdozbiorze Skorpiona.

– A która to Wenus? – Zadzieram głowę.

– Jezu! – Janek się śmieje, zdmuchując swoje długie pasma włosów, które wysunęły się spod czapki.

– Co? Co cię bawi?

– Takie podstawy powinnaś znać! Tam ją masz, dzisiaj jest przy Saturnie.

Moje oczy przyzwyczyły się do ciemności na tyle, że niebo zaczyna przypominać gęsty materiał, nakropiony miliardem cekinów. Otaczam palcami kubek, a gorąca para ogrzewa mi usta. I wtedy to przychodzi. Przychodzi, a ja po prostu wypowiadam słowa na głos:

– Nie wiem, czy mogę tak do ciebie mówić, ale jesteś dla mnie ważny.

To potężny krok, lecz Janek reaguje zupełnie nie tak, jak powinien – gwałtownie pochyla głowę i zapada się w sobie, a jego uśmiech bezpowrotnie gaśnie. Nie wiem, co zrobiłam źle, zdenerwowana pospiesznie szukam słów, które zatuszują mój nietakt.

– Przepraszam, ja... – zaczynam, ale Janek potrząsa głową.

– To nie ty. To ja, bo... bo przecież kiedyś przeglądałem międzynarodowy kodeks rozmów na dachu i nie znalazłem informacji, że nie możemy tak ze sobą rozmawiać.

Sięga po moją dłoń i wtedy czuję coś, co przypomina lot samolotem – ten moment, gdy samolot odrywa koła od pasa startowego, a człowiek jest przerażony i jednocześnie pełen nadziei, kłóćą się w nim niepewność i euforia.

– Ty też jesteś dla mnie ważna. Bardzo. Bardzo... – szepcze.

Czuję jego serce bijące pod ubraniem, blisko mojego serca. Czuję ciepło oddechu Janka na moich ustach. Unoszę głowę i całujemy się. To nie jest zwyczajny pocałunek, tylko taki, od jakiego przebiegają mnie dreszcze. Biegna od dołu kręgosłupa w górę, obejmując oczy, które zamykam. Czuję drzenie nawet w koniuszkach palców, w dłoniach, które wsuwam pod rozpiętą kurtkę Janka. Przytula mnie do siebie, jakbym była teraz wszystkim, co jest dla niego ważne.

\*

– Oczywiście, że to Domenic Santiago, tylko ma dużo mniej mięśni! – kłóćę się z nim tej samej nocy, w centrum miasta, kiedy grupa chłopaków, cosplayerów przebranych za postaci z gier, rozpoczyna paradę z głównego placu, trzymając płonące pochodnie w dłoniach. Zafascynowana obserwuję dziewczynę w ognistej peruce, która udaje Nariko ze starej gry *Heavenly Sword*. – Rozebrała się na takim mrozie! Nie mogę uwierzyć!

– Patrz tam! – Janek wskazuje nastolatkę przebraną za postać z *Podwodnego świata*. Fotografuje ją i wysyła MMS do Kaśki, która grała tę postać w grze komputerowej: „Xerują cię w moim rodzinnym mieście”. „Marna kopia, ale thx za fotkę!” – odpisuje Kasia po chwili.

Drużyny z gier, które są wspomnieniem starszych ode mnie czasów, takich jak *Resident Evil*, *Silent Hill* czy *Tekken*, rzucają się biegiem w tłumek ludzi, udając atak, więc ze śmiechem cofamy się w wąską ulicę, prowadzącą do morza. Tam Janek chwytając mnie za rękę i prowadzi do plaży.

Tuż przy ostatniej kamienicy drogę zagradza nam postawny mężczyzna, ubrany zwyczajnie w kurtkę, dzinsy, w ciepłych butach, ale z twarzą ukrytą pod gumową, realistyczną maską włoskiego mafioso z gry *Assassin's Creed*. Próbujemy go minąć, ale uparcie nas blokuje.

– Przyłapałem was! – oznajmia. Coś w jego tonie nie pasuje do wesołego nastroju panującego wokół.

Zanim zdążę się połapać, skąd znam ten głos, mężczyzna uderza Janka twardą pięścią w twarz, dokładnie w kość policzkową. Nagłym poderwaniem głowy Janek uderza mężczyznę w brodę. Wpadają na siatkę ogradzającą odrestaurowywaną kamienicę. Brzęczy metal ogrodzenia, osuwają się po nim, upadają w śnieg. Krzyczę, żeby przestali, i widzę, że Janek zwalnia uścisk, a mężczyzna go odpycha. Obaj głęboko



dyszą.

– Pojebało cię, człowieku?! – woła Janek, przyciskając ręce do krwawiącego nosa.

Ledwie się podnieśli, mężczyzna łapie Janka za gardło i popycha go na ścianę. Mój chłopak chwyta jego ręce, ale udaje mu się odsunąć je tylko o tyle, żeby nabrać głębszego oddechu. Zdumiewa mnie łatwość, z jaką obcy człowiek go obezwładnia – robi to z taką wprawą, jakby...

Rozpoznaję go i wtedy robi mi się gorąco. Stoję jak ogłuszona, rozdygotana, niezdolna by zareagować, by w ogóle cokolwiek zrobić. Bezradnie patrzę, jak mężczyzna puszcza Janka, a ten uderza tyłem głowy o fasadę kamienicy. Moment, gdy Janek przyciska ręce do bolącego miejsca, mężczyzna wykorzystuje, by spojrzeć mi w oczy. Zsuwa maskę i czytam z ruchu jego warg słowa: „Za godzinę przy molo!”. Bez trudu znika w tłumie innych postaci.

Wiem, co się wydarzy dalej. W mojej szkole zginęło przecież tyle osób! Tak wielu ludzi zostało rannych! Jeśli powiem policji prawdę, jeśli połączą Janka z osobą Sebastiana i wezwą go na przesłuchanie w sprawie strzelaniny, a jego zeznania zostaną podane do publicznej wiadomości, ci ludzie, którzy przeżyli albo stracili w szkole kogoś bliskiego, będą przychodzić tutaj, by wyrzaskiwać Jankowi w twarz, że to się stało przez niego. Będą wybijać mu szyby w oknach, wrzucać do domu kamienie. Rozpocznie się ponowny dyskurs o szkodliwości gier komputerowych stworzonych w technologii *Work a Dream* – konkurencja *We Fly High* wykorzysta swój czas, przeciwnicy gier dostaną do ręki łatwe narzędzie do walki, a dla Janka wszystko się skończy.

O tym myślę, gdy godzinę później specjalnie gubię go w zamieszaniu i kieruję się do wejścia na plażę, przyciskając się w ciasnym korowodzie ludzi. Z trudem pokonuję zasypany śniegu, które dzielą mnie od Czaplńskiego, czekającego przy molo.

– Mógłbym go aresztować nawet teraz! Jesteś nieletnia. Nieletnia! – Ostatnie słowo wujek powtarza z takim naciskiem, że boję się cokolwiek odpowiedzieć.

Patrzę na jego spuchnięty podbródek w miejscu, gdzie Janek go uderzył. Śnieg osiada mi na rzęsach i sprawia, że cały świat wygląda jak w szklanej kuli, którą ktoś właśnie wstrząsnął.

– Tak spędzasz tutaj czas?! – Czaplński niemal płonie z gniewu. – Całowanie się z tym chłopakiem i prowadzenie się z nim za rękę są twoim sposobem na pozyskanie informacji? Nie mogę uwierzyć, że okazałaś się tak nieprofesjonalną gówniarą! – kończy policjant.

Nie mam nic na swoją obronę. Chcę naprawić zło, które wyrządził Sebastian. Dlaczego to takie trudne? Dlaczego aby pomóc ludziom, którzy stracili w strzelaninie bliskich, muszę zniszczyć Janka? Dlaczego aby zrobić coś dobrego, muszę najpierw zrobić coś okropnego? Czy to jedyne wyjście?

– Daj mi coś!

Wiem, że Czaplński nie żartuje. Muszę mu dać konkretne informacje, inaczej odejdzie i wszystko będzie skończone.

– *We Fly High* wyprodukowało nową grę – odzywam się cichym, niepewnym głosem. – Na pewno wiesz, że dzisiaj w nocy odbędzie się premiera. Przystali mi kontrakt, ale nabierze mocy dopiero po moich osiemnastych urodzinach. Jeśli miałabym grać dla

was, pogotowie opiekuńcze musiałyby wyrazić zgodę na podpisanie kontraktu już teraz. Wiem, że nawaliłam, ale to się nie powtórzy. Pomogę tylko...

– Tylko? – Czaplński parska krótkim śmiechem i rusza w stronę brzegu morza.  
– Stawiasz warunki? Niech zgadnę: tylko w zamian mamy zostawić w spokoju twojego chłopaka?

Idę za nim z przekonaniem, że nie dam sobie rady, że Janek nie da sobie rady, jeśli scenariusz zdarzeń potoczy się tak, jak założyłam. Jak mam wytłumaczyć Czaplńskiemu, że mojego chłopaka dzieli niewielki krok od przepaści, że wystarczy tylko wzmóc Janka poczucie winy i stanie się coś okropnego?

Docieramy do miejsca, gdzie kończy się ląd. Tu znajdują się tunele i bunkry, po których w weekend chodziłam z Jankiem. To chyba właśnie wtedy, kiedy zgubiłam się w ciemności, a on mnie tam znalazł, uświadomiłam sobie, że nie chcę, aby cierpiał, że nie mogę opowiedzieć o nim Czaplńskiemu.

Teraz rozpaczliwie wyrzucam z siebie półprawdy w nadziei, że zaspokoją policjanta. Skupiam się na samej grze, a nie na związku Sebastiana z Jankiem. Ukrywałam to przed Czaplńskim wcześniej w obawie, że odbierze mi konsolę do gry, ale dzisiaj odsłaniam reguły, mówię o rzeczywistości, która nie pozostaje zamknięta w wirtualnym świecie, tylko wychodzi do realnego świata, zagrażając. Wspominam, że jeśli ktoś został zabity w grze, w prawdziwym życiu jego mózg odbierał komunikat o śmierci i zaczynał wyłączać funkcje życiowe.

– Mnie też to spotkało – przyznaję.

Zbyt późno odłączyłam się od konsoli: w wirtualnym świecie zginęłam, w realnym świecie utraciłam przytomność, przez wiele dni nie potrafiłam wrócić do zdrowia, kołysałam się w malignie, gdzie rzeczywistość mieszała się ze wspomnieniami. Każde słowo, każda myśl wydawała się wówczas niedokończona i niekompatybilna z pozostałymi. Czułam, jakbym tkwiła w pustce. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie doznałam tak okropnego uczucia.

– Posłuchaj, mogę znowu grać, poradzę sobie, nie będzie jak wtedy – przekonuję desperacko. – Teraz zdobędę więcej informacji, a Janek... – Głos więźnie mi w gardle nie tylko dlatego, że Czaplński nagle odchodzi, zostawiając mnie samą, ale też dlatego, że prosząc, by policja zostawiła Janka w spokoju, tak naprawdę blokuję śledztwo, a nie mam takiego prawa. – Poczekaj! – wołam bezradnie, ale Czaplński nie przystaje. – Proszę! Chcę pomóc!...

Obraca się i patrzy na mnie z takim rozczarowaniem, że odruchowo kulę się w sobie.

„Dzisiaj w nocy odbędzie się premiera nowej gry *We Fly High Tytan*, która już bije rekordy popularności!” – opowiada spiker w wiadomościach w radio, kiedy wracamy z Jankiem samochodem do domu. – „Liczba sprzedanych egzemplarzy przekroczyła szacowane wyniki. W wielu krajach toczy się dyskurs o szkodliwości gier, a tymczasem *We Fly High* obiecują ogromne emocje, zachwalają scenariusz *Tytana*, nowoczesną grafikę i mówią, że tym razem stworzyli rzeczywistość tak rozszerzoną, *Augmented Reality*, że z czymś takim gracie jeszcze nigdy się nie zetknęli!”

– A to co znowu? – martwi się Janek, kiedy policjant kierujący ruchem każe mu

zjechać na pobocze.

– Pan jest właścicielem tego pojazdu? – pyta funkcjonariusz, pochylając się do okna, które Janek otworzył.

– Tak. Coś się stało?

Oczywiście Janek nie wygląda na właściciela jeepa, którym się porusza. Nie wiem, ile najnowszych wranglerów jeździ w Polsce, ale na pewno niezbyt dużo. Policjant zerka na jego podniszczoną kurtkę parkę, wełnianą czapkę i rękawiczki. Pewnie uzna go za złodzieja albo za handlarza narkotykami. Tak też się chyba dzieje, skoro włącza latarkę i obiega światłem tylną kanapę w jeepie.

– A pan gdzie pracuje? – pyta z zaciekawieniem.

Spoglądam na samochody, które nas mijają, i nie rozumiem, dlaczego policja zatrzymała tylko nas. Czy to jest efekt mojej nieudanej rozmowy z Czaplińskim? Czy to w ogóle możliwe, żeby tak szybko zadziałali?

– Mam bogatych rodziców. – Janek pochyla głowę, starając się ustawić ją tak, by policjant nie widział śladów po pobiciu. Snop światła z latarki w tym czasie biegnie po mnie.

– Niech pan wysiądzie – nakazuje policjant ostrzej.

Janek nie odpina pasa i nie cofa dłoni z kierownicy. Zacisnął na niej rękę tak mocno, aż pobielą mu skóra.

– Dlaczego? Jaki jest powód tej kontroli?

– Ma pan rozbity policzek i wygląda pan, jakby potrzebował pomocy lekarskiej. Sprawdzę pana alkomatem i narkotestem. – Funkcjonariusz przez chwilę nie spuszcza ze mnie oczu. – Muszę wiedzieć, czy jest pan w stanie prowadzić.

Janek opieszale sięga do klamki w drzwiach. Na dworze jest tak zimno, że nad jego ustami unosi się para.

– Aresztuje mnie pan? – Wydaje się coraz bardziej zdezorientowany. – Dlaczego? O co chodzi? Miałem włączone światła, nie przekroczyłem prędkości...

– Dlaczego miałbym pana aresztować? To rutyna. Zatrzymuję co któryś samochód, teraz padło na pana. Proszę dmuchać... I jeszcze badanie narkotestem.

– To bez sensu – protestuje Janek, ale wykonuje polecenia.

Pochylam głowę i wpatruję się w swoje dłonie. Głośno wali mi serce. Nagle czas, który mieliśmy dla siebie z Jankiem, zaczyna się kurczyć. Uświadamiam sobie, jak bardzo, jak nieprzytomnie pragnę jeszcze dzisiaj wrócić do jego domu, być z nim jutro, pojutrze.

– Wynik jest pozytywny – dobiega mnie głos policjanta, więc prędko wysiadam, teraz tak zdenerwowana, że drżą mi dłonie.

– To jakaś bzdura! – oponuje Janek. – Niczego nie brałem! Nie zażywam narkotyków... Powtórzmy badanie. Mam chyba takie prawo?

– Powtórzmy badanie na komisariacie – informuje policjant, wskazując drogę do radiowozu.

Janek wciąż stoi w miejscu, chyba porażony myślą, że na komisariacie policjant łatwo sprawdzi jego pracodawcę, a co za tym idzie, przekieruje Janka na warszawski komisariat, na rozmowę z detektywami badającymi sprawę strzelaniny w szkole. A reszta

potoczy się jak w moim czarnym scenariuszu zdarzeń.

– Dlaczego nie możemy powtórzyć testu tutaj? – protestuje.

– A czemu panu tak zależy, żeby nie znaleźć się na komisariacie? Tak się składa, że nie mamy tutaj więcej...

Zanim zdążę Janka powstrzymać, wkłada rękę do kieszeni kurtki, a reszta dzieje się w ułamkach chwil.

– Ręce do góry! – Ścina mi się krew, kiedy patrzę na broń w rękach policjanta.

Mam wrażenie, jakby nastąpił wyłom w czasoprzestrzeni. Już nie jestem tutaj, teraz znowu kryję się pod biurkiem w mojej warszawskiej szkole, widząc karabin w rękach Sebastiana...

– Eeej, spokojnie, to tylko portfel! Chcę jej dać pieniądze na taksówkę! – tłumaczy Janek. – Niech pan do mnie nie celuje! Chryste!

Znowu czuję duszący smród dymu unoszącego się z okien szkoły. Słyszę huk strzałów. Przypominam sobie oddział antyterrorystyczny biegnący po placu przed budynkiem. A potem sięgam do najgorszego wspomnienia – do bibliotekarki umierającej na moich oczach. Sebastian strzelił do niej z tak bliska, że strzał niemal urwał jej głowę.

– Mika, weź pieniądze... – Janek wkłada mi banknoty do ręki, a ponieważ nie reaguję, zaciska moje palce. Przytula mnie do siebie na kilka sekund. – Nie patrz tak – szepcze. – Wszystko jest dobrze. Spotkamy się w domu.

Jestem tak wystraszona, że dopiero po jego odjeździe dociera do mnie, że nie mam telefonu, żeby wezwać taksówkę.

Maszeruję prawie godzinę, ale jest tak mroźno, że wcale nie czuję się rozgrzana. W domu pies, jakby wyczuwając mój niepokój, kładzie się ze mną na sofie. Głaszcząc go, przemykam powieki i myślę o Janku. O jego nocnych koszmarach. Chociaż nigdy o tym nie rozmawialiśmy, wiele razy słyszałam, jak obudzony ze snu krążył po mieszkaniu i zabijał nocne godziny czytaniem, oglądaniem filmów, palił światło, żeby nie tkwić w ciemności. Nie musiał mi się zwierzać, żebym wiedziała, co mu się śniło – tamci ludzie w szkole, o których śmierć się obwinia. Pozbawiając Sebastiana możliwości podpisania kontraktu z We Fly High, doprowadził go do furii, w której Sebastian kupił karabin, wszedł do szkoły i szukał Janka między uczniami, strzelając do każdego, kogo spotkał na swojej drodze.

Żeby zająć czymś ręce i skupić się na czymkolwiek innym niż rozpamiętywanie przeszłości, sięgam po magazyny leżące pod stolikiem. Niektóre pokrywa kurz, tak dawno nikt ich nie otwierał. Na okładce jednego zauważam reklamę gry *Bitwa o Io*, więc strzepuję kurz i kładę sobie gazetę na kolanach. „Pierwsza gra w technologii *Work a Dream* bije rekordy popularności i nie schodzi z czołówki Top 5 najczęściej kupowanych gier na świecie!” – czytam nagłówek.

Bezwolnie uśmiecham się do wspomnień. Od *Bitwy o Io* wszystko się zaczęło, to tam spotkałam Janka. Gdyby nie zdjęcie wirtualnego księżycy, pewnie nie wzięłabym magazynu do ręki. Tymczasem rozchyłam strony, a ze środka wysuwa się mała fiszka. Zaskoczona schylam się po nią. Rozpoznaję pismo Janka. Napisał tylko jedno słowo. Parę liter układa się w symbol.

– MS... – czytam. – MSBS.

I świat wywraca się do góry nogami.

Chociaż siedzę na sofie, ogarnia mnie pewność, że załamała się podłoga, pękają ściany. Jak ogluszona wpatruję się w te kilka liter, składających się na symbol broni, z której strzelał Sebastian.

– Nie śpisz? – dziwi się Janek, kiedy wraca kilka godzin później i zauważa mnie, czekającą na niego na schodach, otuloną kocem. W półmroku nie widzi moich przerażonych oczu, nie ma pojęcia, co czuję.

Przez cały pobyt tutaj nie widziałam, żeby palił papierosy, ale teraz sięga po paczkę do szuflady w przedpokoju. Z niezapalonym papierosem kieruje się do kuchni, więc podnoszę się ze schodów. Mam wrażenie, jakbym właśnie stanęła na cienkiej linii, i idę za nim.

– Drugi test nic nie wykazał. – Janek pochyla się nad kuchenką, zapalając papierosa od palnika. – Niepotrzebnie mnie tam trzymali. Oczywiście sprawdzili, gdzie pracuję i... Szkoda, że ich nie widziałas. Patrzyli na mnie jak na muzealny okaz. Jakby nie mogli się nadziwić, że ktoś z Polski gra dla We Fly High! Od razu zadzwonili do Warszawy. Nie miną pewnie dwa dni, jak dostanę wezwanie na przesłuchanie... – Zmęczony pociera oczy i nie udaje mu się ukryć niepokoju. Wie, co zdarzy się dalej.

Bum-bum-bum – wali moje serce, bo jeśli Janek zrobił to, co myślę, to będzie to jedna z najgorszych rzeczy, jakie usłyszałam w życiu.

– Janek?

– Co, Mika? – Obraca się i marszczy brwi, zauważając moją bladą, wystraszoną twarz. – Coś jeszcze się stało?

Kładę fiszkę na blacie.

– Ty to napisałeś? – Głos mi się trzęsie, gdy zadaję to najokropniejsze ze wszystkich pytań. – Kiedy? Było w magazynie sprzed kilku miesięcy, akurat wtedy Sebastian starał się o kontrakt z We Fly High i już... już się znaliście, prawda?

„I planował kupić broń” – dodaję w myślach.

Wydaje mi się, jakby wokół zrobiło się ciemniej, ciszej. Patrzymy na siebie z Jankiem, może po raz pierwszy widzimy się naprawdę.

Czekam, żeby się obronił, niech zaprzeczy, niech wkurzy się na mnie, że w ogóle coś takiego przyszło mi do głowy. Albo niech coś skłamie, nawet ja potrafiłabym wymyślić kłamstwo, na przykład, że zapisał ten symbol, gdy informacje o strzelaninie podano do publicznej wiadomości, a potem przypadkiem wsunął kartkę do starego magazynu.

– Nie milcz tak – proszę. – Skłam, powiedz mi cokolwiek! Uwierzę!

Ale on milczy. A kiedy tak milczy, dopowiadam w myślach resztę tej historii.

Sweter, dzinsy, szczotka do zębów – trzęsą mi się ręce, gdy wszystko pakuję do torby. Nie mogę uwierzyć, że taka jest naga, ohydna prawda o wydarzeniach w mojej szkole.

– Szlag! – wrywa mi się, gdy suwak w torbie nie chce się odblokować. Szarpie tak mocno, że zacynam się w palec aż do krwi.

Straciłam w przeszłości rodzinę, utraciłam wiele ważnych dla mnie osób, kilka razy zmieniałam miejsca zamieszkania, przenoszono mnie z domów zastępczych do

pogotowia opiekuńczego, więc kolejna strata nie powinna być bolesna. Ale jest. Boli jak diabli.

Poza tym nie mam dokąd wracać. Czapliński dał mi jasno odczuć, że moja współpraca z policją dobiegła końca. To oznacza, że mieszkanie w Gdyni, wynajęte dla mnie przez policyjną grupę operacyjno-dochodzeniową, zajmującą się rozwiązaniem śledztwa w sprawie strzelaniny w szkole, zostało zamknięte, a Barbara, z którą tam mieszkałam, pewnie właśnie wraca do swojego domu. Gdy teraz wyjdę od Janka, trafię więc prosto do pogotowia opiekuńczego w stolicy i jeśli będę miała dość szczęścia, weźmie mnie do siebie jakaś rodzina zastępcza.

– Daj... – Nie usłyszałam kroków Janka i dopiero, kiedy wyjmuję mi torbę z rąk, uświadamiam sobie jego obecność. Bez trudu rozpina zamek, na próżno jednak próbuje pochwycić mój wzrok. – Mika, posłuchaj...

Cofam się przed jego dotykiem. Słyszę swój głos, pełen wściekłości i rozpacz:

– Byłam tam! Widziałam ludzi, którzy ginęli od jego kul! Umierali na moich oczach! Do bibliotekarki strzelił przy mnie! Ludzie leżeli w kałużach krwi!

Janek zaprzecza ruchem głowy. Mam wrażenie, że gdyby mógł, zamknąłby mi dłonią usta.

– Jak mogłeś mu pomagać?! – Jestem tak wściekła, że uderzam go w pierś, a on mi na to pozwala. – Nie wiem, jak mogłam ci zaufać, jak mogłeś w tym uczestniczyć?! Przecież wiedziałeś, że on świruje! Mówiłeś, że nikt z was nie chciał z nim pracować! A teraz się okazuje, że to ty wybrałeś broń, z której potem on zabił ludzi!

– Mika, nie było tak! Nie brałem udziału w transakcji...

– Zapisaleś symbol!

– Tak, bo chciał nabyć tę broń i prosił, żebym ją sprawdził... Boże, nie wiedziałem...

– Nie wiedziałeś, że użyje broni?! To po co ją kupowałeś?! Masz mnie za idiotkę?!

Janek pochyla głowę i słyszę jego głośny oddech. Milczy, chyba rozumiejąc, że cokolwiek powie, dla mnie wszystko będzie jednym wielkim kłamstwem. Zbyt wiele razy mnie oszukał, a to, co stało się teraz, to już za dużo dla mnie. Dlatego nie oponuje, gdy dzwonię po taksówkę i zbieram resztę rzeczy. Dopiero, kiedy mijam go w drodze do drzwi, zaczyna mówić:

– Poznaliśmy kogoś, kto chwalił się, że ma dostęp do broni, że może ją sprzedać! Nie obchodziło mnie to, ale byłem wtedy z Sebastianem i on się zainteresował, pytał o cenę, chciał obejrzeć ten karabin, chciał... – Widzę, że trzęsą mu się ręce, którymi zaczął skręcać sznurówki bluzy. – Nie było mnie przy transakcji. Nie wiedziałem, że ponownie się spotkali. Uwierz mi! Po prostu rozmawialiśmy o karabinie. Miałem go obejrzeć w realnym świecie i zorientować się, czy jest wart swojej ceny. Wtedy właśnie zapisałem symbol broni! Powinienem dopowiedzieć to wcześniej, ale byłaś tak zdenerwowana wszystkim innym, co usłyszałaś, że nie mogłem... Dlaczego, do cholery, mi nie wierzysz?!

Mijam go i zbiegam po schodach. Wierzę mu, ale to bez znaczenia. Mnie też trzęsą się ręce, kiedy wkładam buty i kurtkę, wiążę szalik. Janek nie ma pojęcia, że zmienił wszystko tą jedną cholerną fiszką papieru. O ile wcześniej miałam jeszcze możliwość

opowiedzieć o nim policji i oczyścić swoje sumienie, a co za tym idzie, dalej pracować dla nich, teraz zupełnie pozbawiłam się takiej szansy. Opowiadając o Janku, pogrążyłabym go całkowicie! Kto mu uwierzy, że nie brał udziału w transakcji, skoro rozmawiał z handlarzem o broni, z której potem zginęli ludzie? Wiedział, że ktoś nielegalnie chce sprzedać ten karabin, a nie zgłosił tego policji! Mógł powstrzymać machinę zdarzeń – gdyby to zrobił, nic złego by się nie stało! Ludzie potrzebują sprawiedliwości! Jeśli dostaną Janka, stanie się on dla nich symbolem zła i nieważne, co powie i co zrobi, znienawidzą go i zniszczą!

– Mika. – Janek staje na schodach, kiedy naciskam klamkę w drzwiach.

Czuję jakiś głuchy ból w karku. Nienawidzę siebie za to, że będę musiała Janka chronić i kłamać policji. W tej chwili czuję też złość na niego, bo nieświadomie postawił mnie w takim położeniu. Nienawidzę siebie jeszcze bardziej, bo Janek ciągle jest dla mnie ważniejszy niż policyjne śledztwo.

– Co ty narobiłeś? – pytam szeptem i wychodzę.

Moja nowa rodzina zastępcza: Dorota – wykwalifikowana pielęgniarka oraz jej mąż Tobiasz – doktor psychologii. Wiele o nich słyszałam, wiem, że pod ich opiekę trafiają najtrudniejsze przypadki: nastolatki, które były molestowane albo bite, często uzależnione od narkotyków albo innych używek, dzieci po bardzo trudnych przejściach. Najwyraźniej ja też jestem trudnym przypadkiem, skoro przydzielono mnie do nich.

Nowa opiekunka okazuje się ruchliwą, drobną blondynką o ładnej twarzy, a kiedy przyjeżdża po mnie do pogotowia opiekuńczego, sprawia wrażenie pewnej siebie i jednocześnie niepewnej mnie.

– Umówiłam cię z psychologiem, Miko, od jutra rozpoczniesz terapię – informuje w samochodzie, gdy przypinam się pasem.

Być może wyglądam tak samo źle, jak się czuję, albo coś we mnie alarmuje tę kobietę. Dziewczyny w moim wieku raczej się malują, modnie ścinają włosy i noszą atrakcyjniejsze stroje niż stare džinsy, znoszone kozaki i wyświechtana kurtka. Trochę na to za późno, ale próbuję nadać kształt fryzurze, wygładzam też kurtkę i żałuję, że nie przyłożyłam się trochę bardziej do wyglądu.

– To niepotrzebne – wyjaśniam najłżejszym tonem, na jaki mnie stać. – Pewnie martwi się pani z powodu tego, co przeżyłam podczas strzelaniny w szkole, ale to już przeszłość i nie ma powodu do niepokoju...

Oczy Doroty mają odcień czystego błękitu, który przywodzi mi na myśl sprany markowy džins. Kiedy tak na mnie patrzy, nie potrafię niczego wyczytać z jej wzroku.

– Miko, wiem o twoim uzależnieniu od gier komputerowych. – Za łagodnością jej głosu słyszę stal, która z kolei mnie alarmuje. – Od tej pory twoje zainteresowanie komputerami będzie polegało na nauce grafiki i podstawach programowania. Jeśli tym się tak interesujesz, to skanalizujemy twoje uzależnienie w coś pożytecznego i kreatywnego, ale w ograniczonym zakresie. Będziesz miała na to ściśle określony czas. Koniec z maratonami gier i wirtualnym światem!

Nie mam nic do dodania wobec takich argumentów.

Podjeżdżamy pod mój nowy dom – to wysoka willa, gdzie przebywa tęga nastolatka z domu dziecka, która obrzuca mnie zaciekawionym spojrzeniem, oraz dwoje rodzonych dzieci Tobiasza i Doroty. Zaglądam do pokoju, który będzie mój przez najbliższe tygodnie. Zauważam ściany ozdobione grafikami samochodów i plakatami drużyn piłkarskich – najwyraźniej wcześniej mieszkał tu chłopak.

– Miko, zejdź na obiad! – woła Dorota.

– Już idę! – odkrzykuję posłusznie.

Przesuwam rękoma po blacie biurka, na którym zostały wyryte czyjeś inicjały. Kiedy spoglądam przez okno, siatka ogradzająca dom wydaje mi się podejrzanie wysoka. Może to paranoja, ale zaczynam się czuć klaustrofobicznie, a dwa i pół miesiąca, które mi zostały do pełnoletności, zaczynają mi się wydawać bardzo odległe.

Robię wszystko tak, żeby tylko dali mi spokój. Kiedy Dorota prosi, żebym wyszła na spacer, ponieważ podobno wyglądam, jakbym mało przebywała na świeżym



powietrzu, wkładam buty i wychodzę bez protestów. Nigdy nie miałam talentu rysunkowego, ale staram się, gdyż Tobiasz powtarza, że sztuki plastyczne same w sobie stanowią terapię. Jem zdrową żywność przygotowywaną przez Dorotę. Nadrabiam szkolne zaległości, regularnie dzwonię do mojej siostry i spędzam czas z moją nową rodziną zastępczą, chociaż nie mam już siły na angażowanie się w relacje z ludźmi, których przecież i tak zostawię, gdy skończę osiemnaście lat.

Codziennie wieczorem, przed snem, przeglądam potajemnie wiadomości w sieci i sprawdzam informacje dotyczące We Fly High. Na razie jednak nie znajduję ani słowa o zeznaniach Janka, co może oznaczać, że jeszcze nie został wezwany na komisariat. Gdyby tak się stało, Internet przecież by oszalał! Dlaczego jednak policja tak długo zwleka?

Skreślałam w kalendarzu każdy miniony dzień. Zastanawiam się, co zrobię, gdy będę już pełnoletnia? Czy podpiszę kontrakt z We Fly High? A może odbiorę niewielką sumę pieniędzy, które czekają na mnie w banku od czasu śmierci taty, i spróbuję się usamodzielnić: wynajmę pokój, podejmę zaoczne studia i jednocześnie pójdę pracować gdzieś... na przykład jako opiekunka do dzieci albo kelnerka w jakimś barze? Te plany wydają mi się nierealne, im dłużej o nich myślę. Jedyne, co naprawdę potrafię robić, to grać. Trudno mi sobie wyobrazić, że miałabym przestać.

Kiedy nikogo nie ma w pobliżu, z szuflady wyciągam umowę, którą przysłał mi największy na świecie producent gier komputerowych. Za taką umowę Sebastian pozabijał ludzi w szkole. O takim kontrakcie marzy chyba każdy, kto lubi i potrafi grać, więc gdybym komukolwiek wspomniała, że nie jestem pewna, czy przyjmę propozycję We Fly High, patrzyliby na mnie jak na wariatkę.

Ale umowa z producentem to nie tylko dobre pieniądze i kontrakt marzeń. W podpunktach aż roi się od obostrzeń i kar grożących za ujawnienie warunków kontraktu albo podanie do publicznej wiadomości jakiegokolwiek podpunktu umowy.

Wysuwam papiery z koperty i przebiegam spojrzeniem znajomy druk. Czuję, jakbym dotykała czegoś ciemnego i lepkiego, kiedy kolejny raz czytam, że od chwili, gdy zwiążę się kontraktem, bez zgody firmy nie wolno mi zmieniać miejsca pobytu, dokonywać zmian w swoim wizerunku, nie mogę utyć ani schudnąć, tatuować się ani barwić włosów, mam się stawiać we wskazanym miejscu na każde żądanie firmy. Będę też musiała zrezygnować z rodzinnego lekarza i przychodni, z której do tej pory korzystałam, a wraz z umową przyjmę pakiet opieki medycznej prywatnego koncernu, współdziałającego z producentem gier.

„Kto odrzuciłby takie pieniądze?” – myślę, zerkając na kwotę, którą firma mi zaproponowała. Jest niebotycznie wysoka. Dla mnie ogromna. Nigdy w życiu nie dysponowałam taką gotówką! Rozwiązałyby większość moich problemów, a na pewno finansowe – za te pieniądze mogłabym wynająć ładne mieszkanie i od razu opłacić czynsz na rok. Mogłabym ułożyć sobie życie, nie musiałabym pracować, niezależniłabym się, a może nawet udałoby mi się przekonać sąd, żeby oddał mi pod opiekę siostrę...

Oddycham głęboko i spoglądam na inny punkt umowy. Kwota niemal dwa razy wyższa grozi mi w przypadku zerwania przeze mnie kontraktu albo złamania klauzuli poufności umowy. O tym, co się dzieje w grze, nie wolno mi rozmawiać z nikim, nawet

z innymi Mistrzami Gry.

Obrysowuję ten punkt palcem i zastanawiam się, czy to dlatego Janek tak niechętnie odpowiadał na moje pytania dotyczące We Fly High?

– Dlaczego tak wiele czasu poświęciłaś grze? – pyta psycholog w gabinecie podczas naszej pierwszej sesji.

Skrećam w palcach nitkę, którą wyprułam ze szwu w swetrze, i nie decyduję się odpowiedzieć. Siedzimy naprzeciwko siebie w niewielkim gabinecie o jasnych ścianach, który sprawia wrażenie przytulnego. Psycholog jest młoda, pewnie dopiero niedawno skończyła studia. Przychodzi mi do głowy, że być może jestem jedną z jej pierwszych pacjentek.

– Miko? – ponagla. – Porozmawiaj ze mną, opowiedz mi o tej grze.

Gdybym nawet chciała to zrobić, nie wiem, jak miałabym zacząć. Nikt, kto nie spotkał się ze światem *Work a Dream*, nie ma pojęcia, o jak bardzo zaawansowanej technologii rozmawiamy. Myślę o świecie, gdzie odczuwa się nie tylko temperaturę powietrza, zapachy i smaki, dotyk i ból, ale gdzie można też przeżyć własną śmierć. Przypominam sobie zapach powietrza na wirtualnym księżycu Io, pod powiekami widzę skrzący szron oraz cudowny, potężny Jowisz, wiszący na niebie. Przychodzi mi do głowy moje pierwsze spotkanie z człowiekiem w *Bitwie o Io* – z Jankiem. Piękno jego twarzy. Ciepło palców. Wspominam głębię oczu, które jak lustro odbijały tamtą rzeczywistość...

Powtarzam sobie, że nie jestem nic winna Jankowi, nie ma już przecież chłopaka, którego poznałam w *Bitwie o Io*. Jego miejsce zajmuje ktoś, kto pośrednio przyczynił się do śmierci wielu osób, bez względu na to, czy zrobił to świadomie, czy nie.

– O czym teraz myślisz, Miko? – Głos psycholog wyrywa mnie z zamyślenia, uświadamiając mi, że od dłuższego czasu wpatruję się w ulotki dotyczące zagrożeń płynących z Internetu. Czerwoną czcionką zostało wypisane słowo „Darknet”.

Wydaje mi się, jakbym znalazła się blisko czegoś, czego jednak jeszcze nie potrafię dostrzec.

– Mam wrażenie, że nie zdajesz sobie sprawy z powagi twoich problemów – odzywa się psycholog, a jej ton uświadamia mi, że naprawdę jestem w tarapatach. – Poddawałaś się wyczerpującym maratonom gry, podczas gdy w realnym świecie zaniedbywałaś niemal wszystkie obowiązki. Nie zawarłaś przyjaźni w szkole, natomiast powiedziano mi, że masz wielu znajomych w wirtualnej rzeczywistości. Potrafisz mi wyjaśnić, dlaczego tak postępowałaś?

Pociągam za nitkę tak mocno, że grozi to wypruciem całego szwu.

– Miko, rozmawiaj ze mną. Tracimy czas. Zacznij, od czego chcesz, opowiedz mi o ludziach, których poznałaś w grze. Kto był dla ciebie najważniejszy?

Nerwowo wiercę się na krześle. Łatwo byłoby opowiedzieć tej kobiecie o Janku, o Zoi, o Matti, Josephie – o moich przyjaciółach z wirtualnego świata. Nie mam jednak pojęcia, czy potrafiłabym przekonać psycholog, że gra nie była dla mnie tylko wirtualnym miejscem, ale osobnym domem, światem, w którym czułam się kimś innym, wyjątkowym. Że tamto miejsce zastępowało mi realne życie, i nie ma w tych słowach przesady.

Jeszcze raz patrzę na ulotki, a kiedy od myślenia o wszystkim, co chciałabym

z siebie wyrzucić, zaczyna mi się kręcić w głowie, podciągam kolana do piersi i opieram na nich brodę. I nagle przychodzi olśnienie! „Oczywiście, że istnieje wirtualne miejsce, gdzie panuje tak duża wolność, że można tam zakupić broń bez strachu o obserwację policji!” – myślę, porażona tą oczywistą prawdą.

Prostuję się na krześle i najchętniej zabrałabym jedną z ulotek. „Darknet” – czytam jeszcze raz graficznie wyróżnione słowo.

O Darknecie opowiadał mi Czapliński, wiem, że to sieć, która działa pod innymi przeglądarkami niż te używane do znanego mi Internetu, sieć prawdopodobnie osiemset razy większa od tej, którą znam. Czapliński wspominał, że każda strona, każda zamieszczona w Darknecie informacja ulega przeobrażeniom i staje się nie do wykrycia. Można więc tam robić wszystko: handlować narkotykami, ludźmi, sprzedawać pornografię, wymieniać się informacjami. To ciemny obszar, potężna, mroczna materia, gdzie policja i rząd nie mają władzy. Jeśli więc Sebastian tam omówił zakup karabinu, nie dziwię się wcale, że policja do dzisiaj nie zebrała na ten temat więcej informacji! Ale czy Janek też tam bywa? I czemu Czapliński nie powiedział mi prawdy?

Chciałabym już wrócić do domu, zaszyć się w pokoju i przemyśleć to wszystko. Czuję potrzebę wykonania telefonu do Czaplińskiego i podzielenia się z nim wątpliwościami, ale nie mogę tego zrobić. Janek nieświadomie związał mi ręce.

– Denerwujesz się? – Psycholog dostrzega pośpiech i irytację w moich ruchach.

– Źle się czuję – odpowiadam, starając się nie patrzeć w jej oczy.

– Na pewno chodzi tylko o to?

Przytakuję.

– Boli mnie brzuch. Czy mogę już wyjść?

– Niki! – Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo brakowało mi siostry, dopóki nie zamykam jej w ciasnym uścisku ramion. – Tęskniłam, okropnie za tobą tęskniłam, Nikola!

Moja siostra wydorosłała, nie widziałam jej ledwie kilka tygodni, a już dostrzegam zmiany. Pachnie perfumami jak nastolatka, przechyla głowę na bok zupełnie tak, jak robił to nasz tata, a kiedy układa dłoń na biodrze, w tym ruchu dostrzegam echo nadchodzącej dorosłości. To wszystko sprawia, że tym mocniej przytulam ją do siebie. Pytam, jak długo może ze mną dzisiaj zostać.

– Mama wróci po mnie za godzinę! – Te słowa pewnie się jej wymknęły.

Czuję się zmrożona.

„Ona nie jest twoją mamą” – chcę zaprotestować, ale wydaje mi się, że od razu zepsułabym nasze spotkanie. Ignoruję więc to i biorę siostrę za rękę, jakby była małą dziewczynką. Po kamiennych schodach prowadzę ją nad rzekę.

– Gdzie byłaś tyle czasu? – dopytuje się Nikola. – Nie dzwoniłaś do mnie.

– Mieszkałam u kolegi.

– U Bartka? Tego chłopaka z pogotowia opiekuńczego?

– Nie, Niki, u kogoś innego. – Kucam, żeby sięgnąć po płaskie kamienie, którymi potrafię puszczać kaczki na wodzie.

– Czemu nie mówisz wprost? Jak ma na imię?

Przysłaniam dłonią słońce i odpowiadam najbardziej obojętnym tonem, na jaki

mnie stać:

– Janek.

Kamieniem uderzam o wodę, a on odskakuje i nurkuje między falami. Czekam na pochwałę ze strony Nikoli, ale milczy. Zaskoczona obracam się.

– Czemu ciągle to robisz? – Siostra patrzy na mnie poważnym wzrokiem.

– Co robię? – zdumiewam się.

– Nie robisz nic, żeby moi rodzice cię polubili, żebyś mogła ze mną zamieszkać!

Baaaaach! Czuję, jakby uderzyła mnie pięścią w brzuch. Nerwowo wstaję, a Nikola patrzy na mnie uparcie, żądając odpowiedzi. Poruszam więc ustami, ale nie znajduję właściwych słów. Co mam odpowiedzieć? To, że nie mieszkamy razem, nie jest przecież tylko moją winą! Nie wiem, dlaczego w ogóle tak pomyślała. To przede wszystkim wina jej nowych rodziców, ale jeśli tak to ujmę, siostra uzna, że nastawiam ją przeciwko nim, że kręcacę.

W polskim prawie nie ma przepisu nakazującego rodzeństwu mieszkanie razem, a co za tym idzie, prawo nie nakazuje wspólnej adopcji spokrewnionych członków rodziny. Kiedy trafiłyśmy z Nikołą do pogotowia opiekuńczego po śmierci taty, wydawało mi się, że zawsze będziemy razem, ale rzeczywistość szybko to zweryfikowała. Znaleźli się ludzie chętni, żeby zabrać do siebie moją siostrę i dać jej prawdziwy dom. Czaplński oczywiście zabiegał u Rejterów, żeby zabrali mnie razem z nią, takie rozwiązanie sugerował też psycholog z pogotowia opiekuńczego, motywując to tym, że jesteśmy bardzo zżyte ze sobą i przez długi czas miałyśmy tylko siebie. Nowi rodzice Niki zaprosili mnie więc do swojego domu, gdzie przez prawie godzinę sondowali mnie, pytali o różne sprawy, o moje poglądy na świat, o wspomnienia, jakie zachowałam z rodzinnego domu. Zrobiłam, co mogłam, żeby im się spodobać, ale jakiś czas później opiekunka pogotowia opiekuńczego przekazała mi złe wieści, że Rejterowie nie będą rozważać możliwości adopcji mnie. Pytanie „dlaczego?” nie przeszło mi wtedy przez usta. Siedziałam w gabinecie ze ściśniętym gardłem i myślałam, podobnie jak Niki dzisiaj, że chodzi o mnie, że nie jestem dość dobra, dość miła i dość interesująca, aby ktoś miał stworzyć mi rodzinę. Opiekunka jednak szybko mnie uspokoiła, wyjaśniając, że głównym problemem jest mój wiek. Mam prawie osiemnaście lat, więc Rejterowie uznali, że jestem już w pełni ukształtowaną osobą, a im zależy na dziecku, które ich pokocha i bez oporów będzie nazywać mamą i tatą. Ze mną to by nie wyszło.

– Przepraszam! – Siostra obejmuje mnie za szyję, więc zmuszam się, żeby przykucnąć, abyśmy miały oczy na tej samej wysokości. Na policzku czuję jej miękkie, ciepłe usta. – Nie chciałam tego powiedzieć. Nie psujmy spotkania!

– Wiem, w porządku, Niki. – Odwzajemniam uścisk, ale chłód pozostaje. Znam moją siostrę lepiej niż ktokolwiek inny i głowę dałabym sobie uciąć, że powiedziała dokładnie to, co chciała, żebym usłyszała. W głębi serca obwinia mnie, że mieszkamy osobno, a siebie wini za to, że już jej nie zależy na mnie tak, jak kiedyś.

– Dwadzieścia cztery zabite osoby, prawie trzydzieści rannych – opowiada dyrektorka mojej szkoły w swoim gabinecie, wodząc palcem po liście poszkodowanych uczniów. – Wczoraj w szpitalu pogorszył się stan pani Moniki Kioskowskiej. Pewnie nie wiedziałaś, że twoja nauczycielka wciąż jest w śpiączce?

– Nie nadaję się na mówcę. – Staram się, żeby głos nie zdradził moich prawdziwych emocji. – Jest tyle innych, bardziej elokwentnych osób. Dlaczego to miałabym być ja?

– Chodzi tylko o proste, szczerze słowa, wypowiedziane na ceremonii odsłonięcia pomnika poświęconego ofiarom strzelaniny. – Dyrektorka uprzejmie pokazuje mi plany tego miejsca.

Pomnik stanie w szkolnym ogrodzie i kształtem będzie przypominał anioła ze złożonymi skrzydłami. Na stalowej tablicy, przymocowanej do jego sukni, znajdą się nazwiska zabitych oraz rannych. Bezwiednie zaczynam je odczytywać i nagle czuję się tak, jakby nie minęła nawet minuta, od kiedy kryłam się pod biurkiem w bibliotece.

To mój pierwszy dzień w starej szkole. Dorota, która odwiozła mnie samochodem aż pod bramę, zaskoczyła mnie pytaniem, czy ma ze mną wejść do środka, czy jej potrzebuję.

– Dziękuję, poradzę sobie – odpowiedziałam i naprawdę tak myślałam, przecież chodziłam do tego liceum jeszcze przez kilka dni po strzelaninie i nie było źle.

Jednak już w chwili, gdy wysiadłam z samochodu, zrozumiałam, że moja opiekunka miała rację. Coś się zmieniło, czułam to. Po strzelaninie nie mieliśmy jasnych informacji z mediów dotyczących sprawcy oraz samego zdarzenia. Uczniowie wiedzieli, że Sebastian pozwolił mi opuścić budynek wraz z młodszą dziewczyną, ale nikomu nie przyszło do głowy, że w jego działaniu mogło się kryć drugie dno. Kiedy wyjechałam do Gdyni, najwyraźniej ludzie próbowali zrozumieć, dlaczego Sebastian wypuścił akurat mnie. Idąc więc dzisiaj do szkoły, czułam, jakbym znalazła się na ziemi nieznaney. Każdy krok wydawał się ryzykowny. Dawni przyjaciele z klasy odwracali wzrok, miałam upiorne wrażenie, że wymieniali się porozumiewawczymi spojrzeciami za moimi plecami. Nikt się ze mną nie witał, ludzie nie pytali, co się ze mną działo w minionych tygodniach. Nikt nie zdecydował się usiąść ze mną w ławce.

Na lekcji, pod ich spojrzeciami, czułam, że płonie mi twarz. Poczucie winy podchodziło mi do gardła. Na przerwie poruszałam się korytarzami i widziałam to, czego już nie ma: krew na kaflach na podłodze, ciała zabitych, rozbitą szybę w drzwiach do biblioteki. Polonistka kazała nam wypożyczyć lekturę do przeczytania, ale dałam radę dojść tylko do drzwi biblioteki. Przerósł mnie widok sali, w której kryłam się przed Sebastianem. Przez szybę w drzwiach zobaczyłam nową kobietę, zatrudnioną po śmierci tamtej zabitej bibliotekarki. I to był koniec. Nie dałam rady zrobić ani kroku więcej. Zamiast wejść do biblioteki, uciekłam do toalety i zasyłam się w jednej z kabin, skąd zabrała mnie dopiero dyrektorka szkoły.

Teraz siedzimy w jej gabinecie i trudno mi uwierzyć, że mogła wpaść na tak makabryczny pomysł, żebym to ja podczas uroczystości odsłonięcia pomnika ofiar przemówiła, stojąc na podium przed całą szkolną społecznością!

– Wiemy, że znałaś chłopca, który strzelał – mówi łagodnie.

Momentalnie żołądek zawiązuje mi się w ciężki supeł.

– To nieprawda. Wcale go nie znałam. – Mój głos brzmi jak głos robota, co uświadamia mi, że nie jest ze mną dobrze. – Tylko raz wcześniej z nim rozmawiałam, policja o tym wie i... Nie miałam na niego wpływu. Nie wiedziałam, co Sebastian

zamierza...

– Nikt cię nie oskarża, Miko.

Nie? Więc dlaczego dyrektorka przestała na mnie patrzeć? Dlaczego gdy się do mnie zwraca, jej głos robi się bardziej oschły?

– Wiele osób uspokoiłoby się, słysząc twoją wersję zdarzeń – stwierdza, a ja czuję, jak całe zjedzone śniadanie zaczyna mi ciążyć w żołądku.

– Jaką moją wersję? – pytam tak cicho, że nie jestem pewna, czy te słowa wypowiedziałam, czy tylko pomyślałam. – Przecież moja wersja jest taka sama, jak każdego innego, kto był wtedy w szkole. Ukryłam się pod biurkiem, widziałam śmierć ludzi i...

Dyrektorka spogląda na mnie jakoś tak, że zaczynam rozumieć, co przede mną zataiła.

– Miko, ułatwisz sobie w ten sposób powrót do szkolnej społeczności! – stwierdza.

Powrót do szkolnej społeczności?! Chyba jeszcze nigdy nie odczuwałam tak silnego gniewu. Z torbą na ramieniu pospiesznie kieruję się do wyjścia ze szkoły, a kiedy jestem już na zewnątrz budynku, dobiega mnie głos:

– To ona... Patrz!

Obracam się, tknięta przecuciem, że mowa o mnie. I mam rację. O barierki, odgradzające budynek od ulicy, opierają się dwie dziewczyny z klasy równoległej do mojej. Znam je, wiem, że jedna z nich straciła w strzelaninie brata.

– Powinnaś wtedy ostrzec ludzi! – zwraca się do mnie jej koleżanka. – Przecież znałaś tego świra!

– Naprawdę nie mogłaś go powstrzymać?! – dołącza się ta, która poniosła stratę.

– Jak możesz tak po prostu tu wracać i myśleć, że wszystko jest OK?

Wydaje mi się, że to nie dzieje się naprawdę. To nie moje ręce popychają dziewczynę tak mocno, że uderza plecami o barierkę. Łądujemy na chodniku, gdzie dziewczyna rozpaczliwie się szarpie, próbując mnie odsunąć. Widzę swoją dłoń zaciśniętą w pięść. Widzę twarz dziewczyny, do której zbliża się moja ręka. W ostatniej chwili przytomnieję, zmuszam się, żeby zmienić kąt uderzenia i pięść łąduje na chodniku, skóra pęka i zalewa mnie fala bólu. Ale ten ból mnie otrzeźwia.

Zrywam się na nogi, naciągam torbę na ramię i uciekam. Biegnę tak długo, aż poczuję, że nie jestem w stanie zrobić ani jednego kroku więcej. Wówczas opieram się plecami o jakiś mur, ale to nie wystarcza, więc osuwam się w dół, siadam na chodniku i opieram czoło na kolanach.

Gdybym mogła wykręcić do kogoś numer, zadzwoniłabym do Janka. Tak bardzo go w tej chwili potrzebuję! Ale Janka, którego znałam, już nie ma i to jest jeszcze gorsze. To jest matnia.

– Wszystko w porządku? – pyta jakaś kobieta z troską, przystając nade mną.

Podnoszę głowę i zauważam radiowóz patrolujący ulicę. Pewnie się pogubiłam, sama już nie wiem, czy potrafię odróżnić dobro od zła. Może Czapliński ma rację, odbierając mi możliwość grania dla policji? Co ja właściwie robię? Zginęło tylu ludzi, a ja chronię Janka, zamiast dać policji konkretne informacje i pozwolić zamknąć śledztwo! Pozwalam, żeby rodzina Sebastiana tygodniami żyła w niewiedzy, nie

rozumiejąc, dlaczego ich syn zrobił coś tak potwornego! Kim się stałam? Gdzie leży prawda o mnie i co powinnam zrobić?

– Gdzie jest mój wujek?

– Jest zajęty. Musisz wrócić do poczekalni – odpowiada funkcjonariusz policji i zamyka drzwi gabinetu Czaplińskiego.

To ten sam komisariat, na którym pracował mój tata. Znam tutaj każdy kąt, pamiętam, jak przychodziliśmy z Nikołą do tego miejsca jako dzieci, a tata oprowadzał nas po salach, pokazywał lustro weneckie, za którym znajdował się pokój przesłuchań, zabrał nas też do bufetu, gdzie jadali mundurowi.

– Nie macie prawa! – wrzeszczy jakiś mężczyzna, więc spoglądam na funkcjonariuszy prowadzących kogoś skutego kajdankami. – Złożę na was skargę! Tak wam narobię koło dupy, że będziecie szukać roboty pięćset kilometrów stąd!

Siadam na krześle, przy kobiecie, która ściska w dłoniach zdjęcie młodego mężczyzny, opatrzone napisem „Zaginiony”.

– Miko? Szukałaś mnie? – Czapliński zatrzymuje się przy mnie jakiś czas później. Natychmiast podrywam się na nogi, czując, że serce zaczyna mi żywiej bić.

– Tak, chcę... chcę ci coś powiedzieć. Możemy porozmawiać? – pytam niemal błagalnie.

Zaprasza mnie do gabinetu, gdzie trochę nerwowo spoglądam na fotografię stojącą na biurku, a przedstawiającą mojego ojca z czasów, gdy był partnerem Czaplińskiego w policji. Trudno mi o tym pamiętać, że to właśnie policjant okazał mnie i Nikoli zainteresowanie, gdy zginął tata i trafiłyśmy do pogotowia opiekuńczego. „Jak mogłam zapomnieć i odwrócić się od niego?” – myślę, porażona własnymi błędami.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – Wujek siada na krześle za biurkiem i opiera łokcie o stół, sondując mnie spojrzeniem pochmurnych, zmęczonych oczu.

– Mogę...

– Możesz mówić głośniej?

– Mogę wam pomóc.

– W czym, Miko?

Staram się uspokoić nerwy, ale głos mi się łamie.

– Powiem ci wszystko, co wiem, całą prawdę...

– O, a do tej pory nie mówiłaś mi całej prawdy?

Opuszczam wzrok, walcząc z uczuciem zakłopotania. Wydaje mi się, że twarz mam czerwoną od uderzeń gorąca. Myślę, że już nic nie będę w stanie powiedzieć, więc Czapliński przerywa ciszę, pytając, o jaką prawdę mi chodzi.

– Ja... już wiem, że do transakcji doszło w Darknetcie – odpowiadam na jednym oddechu.

W gabinecie zapada cisza i trwa tak długo, że zdezorientowana podrywam wzrok na wujka. To dziwne, ale ma zmarszczone brwi, jakby nie rozumiał, o co mi chodzi.

– Bo tylko Darknet jest miejscem, nad którym nie macie kontroli... – dodaję, ale brzmi to jak pytanie.

– Naprawdę tak uważasz? – Czapliński wydaje się zaskoczony. – Optymistka z ciebie!

Otwieram usta i zaraz je zamykam. Czekam, aż wujek mi to wytłumaczy, ale w tej samej chwili zaczynam rozumieć, że błędę. Do transakcji doszło gdzieś indziej.

„Oczywiście, że nie chodziło o Darknet” – przychodzi mi do głowy. Jak mogłam tak uważać? Układanka, którą próbuję złożyć od trzech miesięcy, wreszcie zaczyna stanowić jedną całość!

Ostrożnie zaglądam do swoich wspomnień i znajduję wszystko, czego szukałam. Aż dziw, że wcześniej na to nie wpadłam! Oczywiście, że istnieje inne miejsce, dające równie potężną wolność jak Darknet! Ono nie działa pod przeglądarkami, to nie sieć, chociaż też zostało wykreowane w wirtualnej przestrzeni. Uderza mnie to, co umykało mi przez cały czas. Tyle razy zastanawiałam się, dlaczego policja poprosiła mnie o zagranie w *Bitwę o Io*. Myślałam, że chodziło o zaginionych nastolatków, a potem sądziłam, że powodem była sama gra i jej reguły, a przecież powód leżał przed moimi oczami, jasny i wyraźny od samego początku!

To *Bitwa o Io* była miejscem, gdzie każda przeżyta sekunda znika bez możliwości zapisania jej, gdzie nie można wnieść aparatu fotograficznego, kamery, dyktafonu, gdzie nie da się zebrać dowodów. Gra staje się więc doskonałym miejscem do nadużyć, do rozmów o sprawach, za które w realnym świecie ludzie ponieśliby karę. To w grze rozpoczęła się transakcja, której finałem była strzelanina w mojej szkole!

Wpatruję się w Czaplńskiego i próbuję zrozumieć, dlaczego wcześniej mi o tym nie opowiedział. Nie ufał mi? Uważał, że sobie nie poradzę? Jednocześnie prosił przecież, żebym grała brawurowo – zależało mu, abym ściągnęła na siebie uwagę Opiekunów, a nie zwyczajnych graczy. Policja widocznie od początku zakładała, że za karabin zapłacił ktoś z Mistrzów Gry. Słusznie kierowała się przypuszczeniem, że tylko ich byłoby stać na taką transakcję i czuliby się dość bezkarni, żeby ją przeprowadzić.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – pytam oszołomiona. – Przecież zrobiłabym o wiele więcej! Wiedziałabym, na co patrzeć, o czym rozmawiać z Opiekunami!

– Miko, mój przełożony prosił, żebym skontaktowałam się z tobą dzisiaj – odpowiada tak oficjalnym tonem, że zaczynam się czuć jeszcze bardziej zdezorientowana i niespokojna. – Chciałem zaraz do ciebie dzwonić, ale skoro przyszłaś, załatwmy to od razu.

Co mamy załatwić? Nie odrywam od niego wzroku, a mój umysł działa teraz na najwyższych obrotach, próbując zrozumieć, co się dzieje. Policja znowu chce, żebym dla nich grała? To niemożliwe! Co on wygaduje? Moja misja przepadła, zawiodłam zaufanie wszystkich, okazałam się koszmarnie nieudolna!

– Masz wszystkie atuty – mówi wolno, z namysłem, jakby jednak sam w to nie wierzył.

Czuję się zbyt zdezorientowana, żeby mu przerwać. Patrzę na jego palce, które wygina, wyjaśniając:

– Wdrożyłaś się w środowisko graczy, zyskałaś zaufanie Mistrzów Gry, umiesz poruszać się po świecie *Work a Dream*, rozumiesz, czym jest przeżycie śmierci tam i jak wiele czasu zajmuje pozbieranie się po niej w realnym życiu. Dostałaś kontrakt od We Fly High, a to więcej niż oczekiwaliśmy... Więc chociaż znalazłem już kogoś na twoje miejsce, uważamy, że nowej osobie zbyt wiele czasu zajmie rozpracowywanie układów



i zbliżanie się do ludzi, którzy tobie ufają. Nie dysponujemy aż tyloma dniami. Nowa gra już się toczy. Potrzebujemy kogoś, kto będzie w środku od zaraz!

Nie jest mi zimno, ale czuję, że drzę. Czyżby policja znalazła jakiś nowy sposób na to, żeby mnie przerobić, wyszkolić i wykorzystać do pracy? Czyżby uważali, że zmądrzałam? Że teraz ich nie zawiodę? Skąd ta zmiana?

– Z pewnością miliony pytań cisną ci się na usta – zauważa Czaplński z uśmiechem, nie doczekawszy się mojej reakcji.

Milczę nadal, więc on zadaje następne pytanie. Pyta, czy chciałabym wziąć udział w operacji dotyczącej gry, której premierę niedawno spektakularnie ogłosiło We Fly High.

Wszystko, co miałam mu do powiedzenia, nagle schodzi na dalszy plan. Nie przyszedłam tu po to, by otrzymać misję, tylko oczyścić swoje sumienie i zrobić krok w dobrym kierunku. Chciałam mówić o Janku, a teraz kompletnie nie wiem, co począć. Nie podważam słów Czaplńskiego, ale nachodzą mnie wątpliwości.

– Mówimy o *Tytanie*? – upewniam się, a policjant przytakuje. Ogarniają mnie jeszcze większe wątpliwości. – Przyszedłam tu, bo myślałam, że chcecie przesłuchać Janka Kaniewicza...

Czaplński wzrusza ramionami i nagle uświadamiam sobie, co to oznacza.

Nie przesłuchają go! To dlatego tyle zwlekali z wezwaniem go na komisariat! Najwyraźniej zrozumieli, że skoro do transakcji doszło w grze, tylko w grze znajdują się ludzie odpowiedzialni za handel bronią, a... A jeśli policja przesłucha Janka i zrobi się z tego medialna afera, osoby powiązane z tamtym dramatem zatrą po sobie ślady na zawsze, rozejdą się po innych grach...

– Na tym etapie go nie przesłuchamy – oświadcza Czaplński. – Chyba że wiesz coś o jego udziale w sprawie, co zmieni nasze zdanie. Czy jest coś takiego?

Nie mogę się ruszyć z krzesła. Nie jestem w stanie patrzeć na Czaplńskiego, więc wgapiam się w uschnięte liście doniczkowej rośliny stojącej na oknie. Trudno mi uwierzyć, że wszystko zależy ode mnie, od tego, co teraz odpowiem. Nie wiem, jak to się stało, jak to w ogóle możliwe, że los jednej osoby nagle znalazł się w moich rękach. Świadomość, że mogę Janka ochronić albo popchnąć w przepaść, jest dla mnie zdumiewająca. Kilka razy zamykam oczy i je otwieram, liczę do dziesięciu, zastanawiam się, czy Czaplński odsunie ode mnie tę odpowiedzialność, gdy je otworzę. Podnoszę powieki i patrzę na wujka, a on wciąż czeka na moją odpowiedź.

– Więc jak? – ponagla mnie. – Bądź ze mną szczerą, Miko. Żadnego kręactwa i brania chłopaka w obronę. Jeśli jest chociaż jeden powód, dla którego powinniśmy przesłuchać Kaniewicza już teraz, podaj mi go, zanim puszczę w ruch maszynę, którą trudno będzie zatrzymać!

Głośno przełykam.

– Miko?

Mam wrażenie, jakby pod moim krzesłem zapadała się ziemia, kiedy w końcu zaprzeczam ruchem głowy.

– Nie, nie ma powodu go przesłuchiwać – bąkam.

Według policji skontaktuje się ze mną Borys Iwanienko – chłopak, który figuruje na liście płac We Fly High i poza graniem dla nich na kontrakcie zajmuje się też werbowaniem Opiekunów. Pogotowie opiekuńcze w porozumieniu z policją podpisało mój kontrakt, dzisiaj poszłam więc na pocztę i wrzuciłam go do zębatej szczeliny w skrzynce na listy. Powędrował w świat!

Policja twierdzi, że za dwa, trzy dni Borys zaprosi mnie na ostatni test i w zależności od tego, jak go przejdę, zostanę przyjęta albo odrzucona z grona Mistrzów Gry.

– Co to za test? – pytam zdumiona. – Myślałam, że kontrakt już mam w kieszeni?

– Nie tak szybko, Miko. Przysłali ci umowę do wglądu, a dokument, na który czekasz, przyjdzie pocztą, opatrzony podpisem szefa We Fly High. Dopiero kiedy on go podpisze, umowa nabierze mocy.

Według policji Borys poprosi mnie o wykonanie zadania w grze. Muszę się postarać i przejść test najlepiej jak potrafię, gdyż tylko wtedy zostanę przyjęta do grona Opiekunów. W ten sposób dojdzie do precedensowego zdarzenia – będę pierwszą osobą powiązaną z policją, której udało się wnikać do struktury pracowników We Fly High, do grona Mistrzów Gry.

Wszystko odbywa się tak szybko. W mieszkaniu wynajętym przez policję, do którego zostałam dzisiaj zaproszona, stoję na wprost trzech mężczyzn – dwóch z nich nie znam – którzy przyglądają mi się tak, jakby wiedzieli o mnie wszystko.

– Informujesz nas o każdym posunięciu. – Ciemnowłosy funkcjonariusz opiera czubki palców o biurko i wysuwa miażdżący argument: – Jeśli będziemy mieć przesłanki, że robisz coś po swojemu, zabieramy cię i nie będzie mowy o dalszej współpracy. Grasz dla nas, nie dla siebie. Czy to jest jasne?

Wodzę spojrzeniem od twarzy do twarzy. Wszystko zaplanowali: szkołę poinformują, że mam problemy z uzależnieniem od gier i zostanę wysłana do kliniki zamkniętej, na oddział leczenia takich przypadków jak ja. Dorota i Tobiasz działają do pewnego stopnia w porozumieniu z policją i mają się mną zaopiekować do chwili, gdy otrzymam kontrakt i będę mogła wyjechać do Gdyni, do mieszkania, które trzyma dla mnie policja. Nikola już wie, że wyjeżdżam z nową rodziną zastępczą. Od kiedy ją o tym powiadomiłam, nie mogę się pozbyć wrażenia, że nie odczuła ani zazdrości, ani żalu, ani nawet irytacji, tylko ulgę.

Znowu otrzymuję dokumenty wystawione na nazwisko Agnieszki Domańskiej. W metryce urodzin dopisano drugie imię Mika ze względu na Janka, który je zna, ale na szczęście nie kojarzy mojego prawdziwego nazwiska. Nie znajdzie go też w sieci, gdyby przyszło mu do głowy go wyszukać. Policja już wcześniej zadbała, żeby nikt nie mógł mnie odnaleźć w Internecie.

Mika Landowska kolejny raz znikła z mojego życia, a ja zamykam się w ciele Agnieszki, dziewczyny z pogotowia opiekuńczego, którą kilka lat temu adoptowała Barbara Domańska. Według tych danych nigdy nie miałam rodzeństwa.

Policja zadbała o każdy szczegół. Jeśli komukolwiek przysłoby do głowy przeszukać internetową listę uczestników konkursu RPG Sensor, w którym brałam udział i gdzie poznałam Sebastiana, znajdą nazwisko Domańskiej, a nie moje. Domańska figuruje też na liście uczniów liceum, do którego Sebastian wniósł broń. Ta lista jednak nie znajduje się w sieci, więc wątpię, by ktokolwiek do niej zajrzał.

– Za dwa tygodnie w małym górskim miasteczku na południu Francji odbędzie się ogólnościatowy panel poświęcony mowie nienawiści i zagrożeniom płynącym z gier komputerowych – opowiada jeden z policjantów, podczas gdy ja siadam na sofie.

Według policyjnych danych, We Fly High oraz konkurencyjna dla nich firma – Technological Progress, producent nowej gry w technologii *Work a Dream*, która jeszcze nie trafiła na rynek – zaplanowały, że Opiekunowie obu firm wezmą udział w konferencji. Prawdopodobnie więc, jeśli pozytywnie przejdę test, zostaną poproszona o wyjazd w Alpy.

– To łączy się z pokazaniem mnie w mediach – uświadamiam sobie. – Ludzie mnie rozpoznają!

– Wątpię – odpowiada policjant. – W razie gdybyś miała wziąć udział w konferencji, przekonasz We Fly High, że w twoim kraju, po strzelaninie, panują wrogie nastroje wobec wszystkiego, co jest związane z *Work a Dream*, więc dla własnego bezpieczeństwa musisz używać peruki i mocnego makijażu. Uwierzą ci, bo taka jest prawda. Kupują cię za duże pieniądze, więc w ich interesie leży też twoje bezpieczeństwo.

– Poznaj szefa We Fly High! – Czaplinski podaje mi najnowszą gazetę codzienną.

Na pierwszej stronie znajduję artykuł zatytułowany: „Wizjoner już od wielu lat przepowiada, że pewnego dnia stworzy alternatywne życie!”.

Rozpoznaję na zdjęciu mężczyznę, który zaproponował mi kontrakt z We Fly High. Okazuje się o wiele starszy od człowieka, którego widziałam w rzeczywistości *Work a Dream*. Zaciekawiona zagłębiam się w tekst, czytam, że Saint Francis wychował się w amerykańskiej rodzinie jako jedyne dziecko swoich rodziców. Po latach w wywiadzie opowiada: „Nie miałem wielu przyjaciół, więc wyobraziłem sobie świat, który był o wiele ciekawszy od realnego życia. Już wtedy w mojej głowie powstał pomysł stworzenia gry, która da możliwość wejścia w ciało avatara, oddychanie z nim i wspólne przeżywanie przygód! To pierwszy krok na mojej długiej liście prowadzącej do stworzenia alternatywnego świata. Na razie wyprodukowaliśmy megahit *Bitwę o Io*, a dopiero co odbyła się premiera najnowszej gry *Tytan*, która już teraz bije rekordy popularności!”.

Składam gazetę i trudno mi uwierzyć, że być może niedługo ja, Mika Landowska, otrzymam kontrakt, podpisany nazwiskiem tego człowieka.

Jest dokładnie tak, jak policjanci przewidzieli. Mijają trzy dni i dzwoni mój telefon.

– Cześć! – Słyszę na linii głos mówiący z rosyjskim akcentem. – Nazywam się Borys Iwanienko i jestem z We Fly High.

– Świetnie, czekałam na wiadomość od ciebie! – Zamykam drzwi pokoju, żeby nikt z rodziny zastępczej nie usłyszał naszej rozmowy.

– *Tytan* to *maroznyj* księżyc, inny niż *Io*. *Was interesujet?*

– Tak, oczywiście! – Czuję, że moje serce szamocze się w piersiach jak uwięziony ptak.

– *Ja budu w Warszawie w piatnica...* Lecę z Londynu, zatrzymam się w stolicy na dwa dni.

– *Piatnica?* – Nie mogę skojarzyć, jaki to dzień tygodnia. Nerwowo spoglądam na kalendarz.

– Piątek – wzdycha Borys, jakbym zrobiła mu przykrość. – Zadzwoń. Zobacysz, jaki *krasiwyj Tytan! Budziesz rada. Zrobimy test.*

– Wchodzisz do gry w środku jej akcji – wyjaśnia Borys, kiedy w piątek zamykam za sobą drzwi hotelowego apartamentu, który wynajął.

Wysoki, tlenione blond włosy zebrane w kitę, skóra opalona na ciemny brąz – przypomina mi kalifornijskiego surfera, a nie chłopaka z Syberii. Czaplinski wspomniał, że Borys tam się urodził. O tym, że pracuje dla We Fly High, świadczą drobiazgi takie jak zegarek na jego nadgarstku: nie udający złoto czy pozłacany, tylko naprawdę złoty, z tarczą, na której migoczące drogie kamienie na pewno też niczego nie udają.

– Widziałem cię w *Bitwie o Io!* – Ściska moją rękę na powitanie. – Tragedia, tam wszystko *paszło jebać!* – Śmieje się, uderzając się dłonią w czoło. – *Takaja aszibka* już się nie powtórzy w *Tytanie*. Nie dajemy już tak wiele dowolności graczom. Wiesz, że od wczoraj w *Tytan* gra ponad trzydzieści tysięcy ludzi?

Moje dłonie są odrętwiałe, kiedy rozpinam płaszcz.

– Nie wiedziałam. Poważnie?

– Będziesz miała dowolnie dużo czasu na rozwiązanie testu, ale błagam, nie trzymaj mnie tutaj do nocy, bo chcę jeszcze wyjść na miasto wieczorem! – śmieje się Borys. – Skończ test pomyślnie, a zostaniesz dopisana do ekipy Mistrzów Gry. *Wsio w pariadkie?* Denerwujesz się?

Przytakuję, jednocześnie rozglądając się po eleganckim, białym apartamencie. Moje spojrzenie pada na konsolę do *Work a Dream* i czuję, jak żołądek zawiązuje mi się w ciężki supeł. Chyba aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo mi brakowało wirtualnego świata.

– Ile razy zginęłaś w *Bitwie o Io?* – Borys pyta o to, gdy kładę się na łóżku i wspólnie rozplątujemy kable od konsoli. Podnosi na mnie wzrok: jasne, niebieskie oczy, w których dostrzegam czujność.

– Raz.

– Kiedy?

– Miesiąc temu.

– Okej, niedawno. – Mam wrażenie, że się zaniepokoił. Słyszę napięcie w jego głosie, kiedy dodaje z uśmiechem, mającym pewnie to ukryć: – Postaraj się więc przeżyć tym razem. Gotowa? No to *paszła!*

Otwieram oczy pod silikonowymi, nieprzezroczystymi okularami. Znam ciemną salę, która zdaje się nie mieć ani początku, ani końca. Czuję lęk i radość jednocześnie.

Pojawia się napis, stworzony w technologii *Work a Dream* – lśniący, przestrzenny, delikatnie faluje: „Wybierz imię”.

Trącam go dłonią, a litery rozpierzchają się, jakby zostały stworzone z pyłu.

– Astrid! – odpowiadam.

Mija chwila i coś się porusza za moim ramieniem. Obracam się, dostrzegam zarysy, które tworzą ludzką postać. To dziewczyna. Idzie przez salę, nie opuszczając jednak mroku, więc wciąż jest dla mnie tylko zbieraniną kształtów.

Wysilam wzrok i zauważam błysk. To błyszcząca rama lustra, które pojawia się między mną a dziewczyną. Znam je, wiem, co się zaraz wydarzy, i od samej myśli o tym elektryzuje mi się skóra. Odruchowo wstrzymuję oddech, gdy zapala się światło i oświetla avatara.

Jest inaczej niż przy poprzedniej grze. Tym razem komputer nie odzwierciedlił mnie aż tak idealnie jak wtedy. Teraz posłużył się moimi rysami twarzy i kształtami ciała, ale – przyznaję – stworzył kogoś o wiele ode mnie piękniejszego. Połyskuje biała skóra mojego avatara, a jego oczy wydają się głębokie i odbijają wszystko jak lustro. Błyszczą światło na ustach dziewczyny. Obrzucam spojrzeniem jej strój: długi płaszcz z ciemnoczerwonej skóry, wysokie kozaki, opięty czarny kombinezon. Jasne włosy w ciemności wyglądają jak tlenione.

Poruszam dłonią i moje wirtualne odbicie bez najmniejszej latencji też się porusza. Ona przechyla na bok głowę, gdy i ja to robię. Czeka. A kiedy dalej nic się nie dzieje i nabieram przekonania, że komputer z jakichś powodów jednak nie zabierze mnie w nową podróż, jednocześnie ja i moje lustrzane odbicie odsuwamy się od siebie. Rozpędzamy się i biegniemy prosto na lustro. Słyszę nasze kroki w pustej sali, a potem brzęk pękającego szkła, na powierzchni lustra maluje się pajęczyna pęknięć i wszystko się rozpada!

Ostre kawałki wirują w powietrzu. Z bliska dostrzegam ich strukturę, wzory... To trwa tylko chwilę, lustro znika tak samo, jak zniknął mój avatar, a ja otwieram oczy na powierzchni największego księżycyca w Układzie Słonecznym – na Tytanie.

„Witaj na Tytanie, Astrid!” – informuje komputer.

Miejsce akcji: Tytan, księżyc Saturna.

Parametry: Jedyne księżyc w Układzie Słonecznym posiadający gęstą atmosferę. Doba na Tytanie trwa około szesnastu dni ziemskich, a pora roku około czterech lat. Zwany księżycem lodowym, ponieważ zbudowany jest w dużej mierze z lodu wodnego. Pod wpływem Saturna i Jowisza ulega on potężnym pływom.

Informacje naukowe: Odkryty 6 marca 1655 roku przez Christiaana Huygensa. Jego powierzchnia jest zdominowana przez równiny, jeziora i kratery uderzeniowe. Posiada kriowulkany, wyrzucające z siebie mieszaninę lodu wodnego i metanu.

Sytuacja historyczna: Z Ziemi zostały wysłane elitarne grupy ochotników, którzy mają za zadanie skolonizować Tytan. Zbudowano dla nich osiedle mieszkalne, zwane Spes – Nadzieja, i nauczono ich, jak przetrwać w nowym środowisku, ale to podróż w jedną stronę. Nie będzie powrotu. Wczoraj, w okolicach jeziora Kraken Mare zaobserwowano ruch. Dzisiaj zniknęło czterech uczestników wyprawy. Za zniknięciem prawdopodobnie stoją istoty pozaziemskie. Kiedyś tworzyły zaawansowaną cywilizację, dzisiaj mieszkają w górach. Działają szybko i niosą zagrożenie, a jest ich tak wiele, że zostały nazwane Legionem.

Sytuacja gracza: Jesteś uczestniczką wyprawy. Podjęłaś się jej, bo nie masz na Ziemi nikogo, dla kogo warto byłoby żyć. Teraz szukasz dla siebie miejsca w świecie i sensu w życiu.

Wytyczne: Na Tytanie wybuchła panika, ludzie podzielili się na tych, którzy chcą stawić czoło wrogowi, oraz na tych, którzy pragną spróbować opuścić Tytan. Być może są zakażeni bakteriami, które nie powinny wydostać się poza księżyc. Na Ziemi z ich powodu mogłaby wyginać cała cywilizacja. Ogniskiem walk stał się region, w którym znajduje się jedyny czynny statek kosmiczny, FFO – *Fast Flying Object*.

Zadanie pierwsze: Namów ludzi do sojuszu przeciwko wrogowi. Trzeba zbadać naturę istot pozaziemskich. Nie dopuść do tego, by ktokolwiek opuścił Tytan statkiem FFO.

START! — 22:17 CZASU TYTANA

Raz, dwa, zimno...

Jestem w... Mrugam. Skóra szczypie, jak w kontakcie z mrozem. Nabieram tchu i z ust avatara wypada oddech.

Noc. Inne światło: złociste, miękkie, które odbija się w lodzie skuwającym powierzchnię Tytana. Otwieram oczy w innym świecie. W mroku dostrzegam zarys potężnych gór i lodowców. Ze szczytów właśnie schodzi mgła. Oniemiała wpatruję się w pejzaż wokół mnie. Wszystko jest realne, piękne, przestrzenne! Oddycham, serce mojego avatara bije, z ust unoszą się obłoczki pary. Kiedy podnoszę głowę, nad sobą widzę zachwycające, gwiazdzone niebo, gdzie znajdują się nieznane mi konstelacje, a pomiędzy siwo-pomarańczową atmosferą wisi potężny Saturn.

Czuję inny zapach, jakby powietrze stanęło w miejscu, chociaż tak nie jest – słyszę i czuję wiatr. Zapomniałam już, jak doskonała jest technologia *Work a Dream*. Zafascynowana obserwuję namacalne chmury, podświetlone pomarańczowym światłem. Cisza i zimno. „Alternatywny świat” – myślę. „Rzeczywistość jeszcze bardziej rozszerzona”.

– Jak się nie ruszysz, Astrid, za kilka minut *wy budziet umieriet!* – Głos Borysa dociera do mnie, jakby rozbrzmiewał z głębi skorupy księżycy, przywracając mnie rzeczywistości. – *Imiejesz sześć minut biegiem do Spes.*

Dźwięki też są inne: zduszone, jakby powietrze nie potrafiło ich przenieść. Nie ma echa. Moje buty na lodzie brzmią, jakbym poruszała się po betonie.

Podrywam się do biegu i czuję grawitację, jak na Ziemi. Odczuwam ciężar stroju i broni. Dociera do mnie głos Borysa, który opowiada, że urodził się na Syberii, gdzie temperatury bywają koszmarnie niskie, podobnie jak na Tytanie. Któregoś razu jego bratu samochód zepsuł się na drodze przy minus sześćdziesięciu stopniach. Metalowy kubek, z którego chciał się napić spirytusu, momentalnie przymarzył mu do warg. Przeżył tylko dzięki temu, że kolega rozciął mu usta nożem i wlał spirytus do gardła... Tak samo może być ze mną, jeśli tu postoję. Tyle że ja jestem sama i nie mam spirytusu.

Sześć minut biegu w ciężkim płaszczu i w butach na grubej podeszwie, sprawiających wrażenie, jakbym do nóg przyczepiła sobie kilkukilogramowe ciężarki, to spory wyczyn. Realizm świata *Work a Dream*: pod cienką warstwą lodowej skorupy dostrzegam miękki materiał, jakby mokry piasek albo glinę. Wszystko jest piękne, plastyczne, świat wygląda jak wycinek najładniejszej pocztówki.

W trakcie biegu znajduję w kieszeni płaszcza broń – glock oraz dedykowany tłumik. Omijam brzeg pustego koryta rzeczno. I już je widzę – ogromne osiedle mieszkalne, położone w dolinie, składające się ze szklanych, strzelistych, owalnych apartamentowców. Niemal całe budynki pokryte są niebieskim szkłem, łączą się ze sobą długimi mostami wewnętrznych przejść. Światło Saturna odbija się w szybach, drży na metalicznych parapetach. Tylko w jednym oknie pali się światło i jak na dłoni dostrzegam nowoczesny, biały, ekskluzywny apartament położony na ostatnim piętrze.

Zgrabiętymi rękoma otwieram magazynek glocka i upewniam się, że są w nim naboje. Szron zlepia mi rzęsy, mróz szczypie w skórę. Co za ziąb! Gdybym mogła spojrzeć na swoje ciało tak, jakbym miała mikroskop w oczach, widziałabym gęstniejącą krew. Organizm spala teraz wszystko, żeby tylko się ogrzać, i wyłącza te części ciała, których nie potrzebuje do przeżycia: ręce i nogi. Już mam problem z poruszaniem palcami, a za chwilę nie będę w stanie utrzymać broni.

– Hipotermia to koszmar – odzywa się Borys, a w jego tonie jest coś autentycznego. – *Śmierć u was pod ręką...*

Brakuje mi czasu na szukanie wejścia do budynku, zdobywanie kodu do domofonu albo przeglądanie ubrania w nadziei, że kod posiadam, ukryty w którejś kieszeni. Glockiem, którym trzęsę z powodu przemarzniętych rąk, celuję w domofon. Tłumik wycisza dźwięki, błyskają iskry, a drzwi się rozsuwają, odsłaniając ciemną klatkę schodową.

Ciepło!

Opieram się o ścianę w środku i czekam, aż wzrok przyzwyczai się do mroku. Przed sobą widzę drzwi do windy, schody, na których układa się złocista poświata Saturna, i korytarz po lewej stronie, ginący w absolutnym mroku. Zdumiewa mnie elegancja tego miejsca – podłogę pokrywa biały, puszysty dywan, na którym stoję brudnymi butami. Błyszczą złociste ramy luster rozwieszonych w holu, a gdybym zapaliła światło, okazałoby się, że pod sufitem znajdują się kryształowe żyrandole.

Kiedy kładę dłoń na barierce schodów, coś się dzieje. Przeskok ciśnienia w uszach, ból w karku, a potem wrażenie czegoś niemożliwego...

Strzał.

Rzuca mnie na ścianę, a glock wypada mi z ręki.

Jeszcze nie zdążyłam się obrócić, gdy drugi strzał wbija się w podłogę przy moich stopach.

Ból z rany w brzuchu zabiera mi oddech. Nie mam gdzie się cofnąć, w ciemności nie widzę przeciwnika. Pospiesznie macam ręką, szukając glocka. Jest! Zaciskam na nim palce. W ułamku sekundy, w błysku kolejnych strzałów, zauważam wysoką postać stojącą w holu. To chłopak, ma na sobie płaszcz z kapturem, spod niego patrzą na mnie duże, ciemne oczy...

Wszystko dzieje się tak szybko. Chwytam za broń i słyszę za plecami skrzypienie drzwi. Ktoś właśnie wychodzi z apartamentu. Dociera do mnie dźwięk odbezpieczanego pistoletu. Nie mam chwili do stracenia. Obracam się, jednocześnie pociągając za spust. Z piersi inteligentnego avatara, który wyszedł na korytarz, bucha krew. Robię piruet w stronę zakapturzonej postaci, ale chłopak jest szybszy – jego pocisk znowu uderza mnie w brzuch i tym razem wiem, że strzał jest śmiertelny...

Osuwam się na kolana, ciężka i bezwładna. Czuję, że wypływa ze mnie krew, wiele krwi, na podłodze tworzy się ciemna kałuża. Zapomniałam, że śmierć w technologii *Work a Dream* jest taka realna! Sensory pracują na pełnych obrotach, nie mogę złapać oddechu, ból mnie ogłusza. Osuwam się jeszcze niżej, opieram się plecami o ścianę, a ręce mam śliskie i gorące od przytrzymywania rany. Poprzez otępienie, które mnie ogarnia, łapię odgłos kroków – zakapturzona postać zbliża się, z pistoletem w dłoni. Kiedy jest tak blisko, że mogłabym próbować uderzyć go nożem, czuję dotyk lufy na swojej skroni. Mocne, silne palce dotykają mojej brody, zmuszając mnie do uniesienia głowy.

Niewiele widzę, postać rozdzwaja się, teraz już stoi przede mną aż trzech chłopaków, a nie jeden. Zapamiętuję jego oczy – wcale nie są tak ciemne, jak myślałam, z bliska okazują się zielone, jasne. Widzę czarne łuki brwi chłopaka, spod kaptura płaszcz wysuwają się ciemne kosmyki jego włosów.

Chowa pistolet, jakby zrozumiał, że nie stanowią już zagrożenia. Kuca przy mnie, zafascynowany śmiercią, której jest świadkiem.

To mnie otrzeźwia. Dociera do mnie, że naprawdę umieram i że nie mogę do tego dopuścić. Zmuszam się więc, aby w realnym świecie chwycić kable łączące mnie z wirtualnym światem i oderwać je od skóry...

Zrywam się z sofy i zginam w pół. Mam dziwne wrażenie, jakby moje ciało się rozpadło. W ostatniej chwili popycham drzwi łazienki i ląduję na kolanach przed toaletą. Zawroty głowy nie mają końca, trwają dobrych parę minut. Opieram gorące, pulsujące



czoło o zimne kafle, czuję, że skórę mam moką od potu.

– Astrid? – Borys wydaje się zaniepokojony, kiedy wkracza do łazienki. – *Kak* ty się czujesz?

Wycieram usta rękawem bluzy, on podaje mi papierowy ręcznik.

– W porządku? Zginęłaś tam?

– Prawie. – Żołądek znowu się kurczy.

Nie mam pojęcia, ile to trwa. Borys zbiera mi włosy, żeby się nie ubrudziły wymiotami, i spuszcza wodę, kiedy myśli, że to koniec. Ale to nie jest koniec, wydaje mi się, że gorzej być nie może. To jakiś koszmar. Więc Borys podnosi mój T-shirt, odsłaniając skórę.

– *Pasmatri!* *Tu niet nicziewo.* – Jego spokojny głos przebija się przez chaos panujący w mojej głowie. – To tylko *Work a Dream...* Hej! Astrid!

Zmuszam się, żeby spojrzeć. Widzę gładką skórę, ale mój umysł potrzebuje więcej czasu na przyswojenie nowych informacji. Ciało wciąż zachowuje się tak, jakbym otrzymała postrzał. Przyciskam dłonie do miejsca, które powinno krwawić. Oczywiście nie krwawi. Mimo to czuję się fatalnie!

Nabieram głęboko tchu, kiedy żołądek w końcu się uspokaja. Odgarniam z twarzy wilgotne pasma włosów, zawstydzona, że Borys widział mnie w takim stanie.

– Przepraszam, Borys. Głupio mi, nie wiedziałam, że tam był inny gracz...

– Spokojnie. – Borys z lodówki przynosi mi colę. – Pij. Nie inny gracz, tylko nowy Opiekun naszej konkurencji, Technological Progress. Jest cholernie dobry, lepszy od ciebie, lepszy od większości z nas. W wolnych chwilach gra na Tytanie, więc możliwe, że go zwerbujemy.

Wciąż z trudem łapię oddech. Co chwila podnoszę T-shirt i upewniam się, że nic mi nie jest.

– Nie przeszłam testu – uświadamiam sobie, kiedy jestem już w stanie zebrać myśli.

– To *pozor*, Astrid.

– Co to jest „pozor”? – Naciągam T-shirt skrępowana.

– Obciach – odpowiada, siadając przy mnie na krawędzi wanny. Spogląda mi w oczy. – Przecież masz grać na kontrakcie dla największego producenta, a dałaś się zabić w siódmej minucie testu!

Czuję, jak na policzkach wykwitają mi rumieńce. Powinnam odpocząć, nawet kilka godzin, żeby mój umysł zupełnie oczyścił się z informacji otrzymanych w grze. Ale nie mam na to czasu.

Kiedy więc ból mija na tyle, że mogę wstać, wracam do pokoju. Borys idzie za mną, przygląda mi się, marszcząc brwi, kiedy jeszcze raz sięgam po konsolę.

– Jesteś pewna, Astrid, że chcesz tam wrócić?

Czujniki, okulary i...

Mam przy sobie tę samą broń, co ostatnio – nowoczesny glock to zdecydowanie za mało, żeby się obronić na Tytanie. „Muszę znaleźć nową broń” – myślę. „Muszę też być bardziej skoncentrowana i nie dać się zaskoczyć”.

Komputer stawia mnie w innym miejscu niż wcześniej. Rozchylam powieki i widzę, że to już nie wzgórze przy Spes, tylko niekończąca się pustynia lodu, otulona ciepłym blaskiem Saturna. W jego świetle dostrzegam zarysy ruin miasta – fragmenty murów zostały zbudowane z archaicznych kamieni, widzę powalone kolumny, które kiedyś stanowiły filary, domy wydają się niskie, proste, takie, jakie mogłaby stworzyć bardzo stara i niezaawansowana, pierwotna cywilizacja.

Pejzaż też się zmienił: skały wyrastają ze skorupy ostre i nieprzyjazne, płaszczyznę przecinają szerokie koryta rzeczne, a tłem są wysokie góry, zwieńczone lodowcami. Moje spojrzenie wychwytuje ruch między ruinami – po murach, w surrealistycznym, złocistym blasku Saturna przebiegają długie cienie.

Odbezpieczam broń i trzymając ją gotową do oddania strzału, rzucam się biegiem między ruiny. Tym razem nie mogę zostać ranna ani wyeliminowana z gry, prawdopodobnie utraciłabym wówczas kontrolę nad ciałem w realnym świecie i nie miałabym już szans na kontrakt.

Przekraczam potężną kolumnę powaloną na ziemię. Włoski elektryzują się na skórze, gdy mijam ciasne i niskie pomieszczenie, z prętami w kamiennym oknie. Uderza mnie woń rozkładu, wrażenie, że w środku stało się coś niedobrego. Przyspieszam kroku, biegnę teraz po ulicach zbudowanych z wyszlifowanych do połysku rzecznych otoczków, które jak klejnoty błyszczą w świetle gwiazdnych konstelacji.

Zwalniam kroku i uspokajam oddech, wpatrzona w plecy jakiegoś chłopaka, który kuca tyłem do mnie, nieświadomy mojej obecności. W rękach trzyma glocka, co może oznaczać, że podobnie jak ja, dopiero się zalogował w grze i jeszcze nie miał czasu zdobyć lepszej broni.

– Nie wykonuj gwałtownych ruchów. Odłóż pistolet... – szepczę, przyciskając lufę do jego pleców.

– Nie strzel! – odpowiada bez strachu w głosie. Unosi dłonie i powoli się obraca.

Uderza mnie piękno jego avatara, głębokie spojrzenie niebieskich oczu, metaliczny odcień rudych włosów. Z trudem przypominam sobie, że w tej grze wszyscy jesteśmy piękniejsi niż w realnym świecie, że na tym między innymi polega urok *Work a Dream*.

Chłopak uśmiecha się, jakbym była pierwszą osobą, której udało się go zaskoczyć.

– Sojusz? – pyta.

– Sojusze zawieram tylko z przyjaciółmi – odpowiadam i już chcę się cofnąć, gdy on wykonuje raptowny ruch. Po prostu nagle rzuca mnie na ziemię, a ściana w pobliżu eksploduje od ładunku wybuchowego.

– Chyba możemy się uważać za przyjaciół – stwierdza, zwalniając uścisk.

– Willem! – rzuca, odbezpieczając swoją broń.

– Astrid! – odpowiadam, podnosząc z ziemi glocka.

To się po prostu dzieje – fragmenty starych murów stają się naszym jedynym

schronieniem.

– Na dwa! – woła Willem, co mnie upewnia, że nie jest to jego pierwsza walka w świecie *Work a Dream*.

Raz, dwa...! Podrywamy się i jednocześnie naciskamy spusty. Słyszę krzyk, upada postać, która właśnie przeskoczyła mur, oddalony od nas o kilka metrów. Znowu się kryjemy.

– Na dwa – powtarza Willem, uzupełniając magazynek w glocku. – Pieprzona broń, trzeba zdobyć lepszą... Czemu na starcie dostaliśmy takie gówno?

Opada dym, nabieram tchu.

– Dwa...! – powtarzam.

Podrywamy się na nogi. Mój partner trafia wysokiego nastolatka niosącego karabin. Ledwie łapię oddech, znowu oparta plecami o gładkie kamienie, teraz tak blisko Willema, że ocieramy się o siebie ramionami. Nareszcie widzę przyczynę naszej walki. Za ruinami miasta wznosi się coś, co przypomina płaską budowlę. Wygląda jak potężny, metaliczny dysk. Błyszczą na nim światło. Zauważam niewielkie, owalne okna, przypominające te w kajutach na statkach. Uświadamiam sobie, że to FFO, tutejszy pojazd kosmiczny.

– Osłaniaj mnie... – Willem chowa broń za pas. – Chodzi o to, żebyś ściągnęła na siebie strzały!

– Wiem, co znaczy, że mam cię osłaniać! – odpowiadam z irytacją, ale już zdążył poderwać się do biegu.

Strzelam tak długo, jak długo on biegnie do leżącego na ziemi ciała gracza. Kurz i szron wzbijają się w niebo, przysłaniając mi widoczność. Kiedy Willem wraca, trzyma ręczny karabin maszynowy i dwa granaty. Uśmiecha się, jakby był małym chłopcem, który właśnie znalazł sklep z zabawkami.

– No i już! – Odbezpiecza granat, robi zamach w stronę, gdzie stoją łaziki gotowe do drogi.

Kryjemy głowy, zanim rozlegnie się huk i w niebo wystrzeli szron wraz z kawałkami skał i pojazdów.

Eksplozja jest ogłuszająca, jeszcze przez chwilę powietrze wibruje i wydaje się gorące. Na horyzoncie pod nocnym niebem zauważam jednak kilka nowych nadjeżdżających łazików.

– Jest ich przynajmniej ośmiu – liczy Willem i pociąga mnie za sobą w ciemność niskiego pomieszczenia, w którym wcześniej wyczuwałam smród rozkładu.

W mroku potykam się o coś, dotykam tego dłonią i czuję miękką, obślizgłą masę...

– Ciiii... – Willem zatyka mi dłonią usta i prowadzi pod ścianę, gdzie stajemy wpatrzni w niewielki prześwit w ciasnym, zakratowanym oknie. Willem sprawdza taśmę nabożową w karabinie. Wygląda na to, że starczy nam nabożów tylko na kilka chwil obrony.

– Musimy się przedostać jak najbliżej pojazdów, to zwiększy nasze szanse. – W ciemności błyszczą mu oczy. – Działamy razem?

– Tylko ten *quest* – odpowiadam.

– Więc jednak sojusz? – Uśmiecha się.

– Sojusz – odpowiadam też z uśmiechem.

Strzały kaleczą mur i odbijają się od prętów w oknie, zmuszając nas do cofnięcia się w stronę wyjścia. Nie mamy wiele czasu, jest oczywiste, że nie uda nam się zachować tej pozycji dłużej niż kilka minut.

– Zайдę ich od tyłu... – szepcze Willem i zrzuca karabin z ramienia. – Trzeba przekroczyć rzekę, mam nadzieję, że cholerny metan, który w niej płynie...

– Ja pójdę... – Rozumiem, że Borys czeka na brawurową akcję z mojej strony, która mu uświadomi, że We Fly High dobrze wybrali nową Opiekunkę. Strach mnie inspiruje, jeszcze chwilę wcześniej nie wiedziałam, co robić, a teraz w głowie mam jasny plan. – Osłaniaj mnie, Willem.

– Jesteś pewna, że chcesz zaraz zginąć?

– Nie zamierzam zginąć!

Wybiegam z ukrycia i pospiesznie poruszam się wąskimi, starymi uliczkami, uważając, by nie znaleźć się na otwartej przestrzeni. Cień wyprzedza moje nogi. Błyszczą złote światła na murach ruin, które kończą się tuż przy korycie rzecznym. Ludzie, którzy nas blokują, znajdują się właśnie tam, po drugiej stronie rzeki.

W chwili gdy zrzucam z siebie płaszcz, w pobliski mur uderza salwa z karabinu. Mam ochotę się roześmiać, krzyczeć ze szczęścia, bo wszystko wydaje mi się nierzeczywiste i jednocześnie aż za bardzo realne. Zadzieram głowę i przez sekundę, gdy rozpinam zamek w kombinezonie, patrzę na gwiazdy. Niebo jest ciężkie, bo jest ich tyle, rozszerza się przy każdym ruchu gałek ocznych...

Walczę ze sobą, żeby wsunąć się do lodowatego metanu, który wypełnia rzeczne koryto. „To tylko gra” – powtarzam sobie. „Wcale nie będzie mi zimno...”. Ale jest mi okropnie zimno, lodowaty płyn zabiera mi oddech. Czuję, jakby w moje ciało uderzyło tysiąc cienkich igieł. Mam wrażenie, że serce stanie po kilku chwilach w rzece, więc staram się płynąć jak najszybciej, jak najmocniej się rozgrzać. „Wszystko jest w mojej głowie” – powtarzam sobie. „Mam wpływ na to, co się tutaj dzieje!”. Ale, jak zawsze w świecie technologii *Work a Dream*, umysł daje się oszukać i traci racjonalne argumenty.

Miejsce, gdzie ukrywają się gracze, znajduje się tuż przy skałach, na drugim brzegu rzeki. Fale rzucają mnie w ich kierunku z taką siłą, że boję się, iż stracę życie. Kaleczę się w dłonie i kolana, ledwie stoję na stałym lądzie, owiewa mnie lodowaty wiatr. Prawdopodobnie nie mam wiele czasu, zanim wpadnę w hipotermię.

Hipotermia to koszmar – wiem o tym z książek i filmów, ale nie chciałam doświadczyć tego na własnej skórze. Trzęsą mi się ręce i nogi, coraz bardziej się wychładzam, kiedy zsuwam się ze skał, wpatrzona w dwie postaci kucające przy łożyku. Dzieli mnie od nich kilka metrów i ułamki sekund. Wstrzymuję oddech, staram się poruszać bezszelestnie. Już czuję zapachy avatarów – ludzką woń, mieszaninę perfum i potu. Czuję ciepło bijące z ich ciał. Jeśli teraz wyciągnęłamby rękę, mogłabym dotknąć ramienia gracza, który znajduje się najbliżej.

Dziwna chwila. Wysuwam dłoń w kierunku jego pasa, gdzie jest zatknięty prosty, samopowtarzalny vis. Spoglądam na profil chłopaka, na jego włosy zebrane w rozkudłany kok. Zaciskam na visie palce.

Chłopak odwraca się, widzę jego zdumione oczy i gniew, który je rozszerza. Zanim

krzyknie albo mnie odepchnie, wyszarpuję mu pistolet z kabury i strzelam, starając się celować w nogi.

Upada na ziemię, wijąc się z bólu. Pewnie ma przy sobie nóż, więc strzelam ponownie, tym razem w jego prawą dłoń. Jednocześnie widzę, że drugi gracz rzuca się biegiem do ucieczki i kryje za łazikiem, skąd zaraz mnie pewnie ostrzela z karabinu.

Wracam więc za skały. Czuję nadprodukcję adrenaliny w moim ciele, dłonie łaskoczą jak w kontakcie z prądem, gdy precyzyjnie staram się obrać cel. Wpatruję się w miejsce, gdzie za chwilę ukaże się gracz.

„Celuj w nogi!” – powtarzam sobie. „Ból da graczowi możliwość odłączenia się od konsoli i nie stanie mu się krzywda. Po prostu straci avatara. To nic takiego”.

Ale zza łazika wysuwa się głowa.

– Szlag! – szepczę, ponieważ nie jestem w stanie pociągnąć za spust.

Przyciskam dłonie do czoła i na moment zamykam oczy. Kiedy znowu rozchyłam powieki, seria strzałów z karabinu trafia w skały przede mną, rozrywając drobne kamienie. Kulę głowę przed odpryskami. Kieruję visa na łazik. Liczę na to, że może ma wyciek, przecież Willem tyle razy w niego trafił... Gdzie może znajdować się zbiornik paliwa?

Mrużę oczy, celuję w przód i...

Zdążam odbiec jakieś półtora metra dalej, gdy ciszę rozsadza wybuch. Pęd gorącego powietrza tym razem jest tak potężny, że rzuca mnie na kolana. Kaleczę się o ostrą skorupę Tytana. Chwilę leżę, próbując złapać oddech. Wszędzie unosi się dym i czuję ogień, opadają jakieś szczątki. Nabieram tchu. Parzą mnie dłonie, a dźwięki wydają się niewyraźne i zduszone. Łup-łup – rozbrzmiewa w mojej głowie, ale nie mam pojęcia, skąd pochodzi to brzmienie. Z trudem dźwigam głowę ze skorupy. Gracz, który wcześniej krył się za łazikiem, biegnie w moim kierunku. Łup-łup – dociera do mnie, gdy się zbliża.

Rozglądam się za bronią, ale nigdzie jej nie ma. Próbuję poderwać się na nogi, ale zawroty głowy nie pozwalają mi wstać. Jedyna broń, którą posiadam, to nóż zatknięty za cholewkę buta. Cholerna klinga, która jest tak wykręcona, że potrafi zadawać głębokie rany przy pchnięciu, bez potrzeby obracania nią. Nie muszę jej wyjmować, by wiedzieć, że w świecie technologii *Work a Dream* nie będę w stanie nią walczyć.

Mam tylko kilka sekund, a potem stanę się trupem. „On albo ja” – myślę. Ale to na nic. Nie uderzę gracza nożem nawet za cenę utraty kontraktu z We Fly High. Zauważam broń w rękach biegnącego do mnie chłopaka. Unosi karabin tak szybko, że nie mam z nim żadnych szans.

I w tym momencie rozlega się strzał. Chłopak, który do mnie celował, osuwa się na skorupę księżyca, wypuszczając broń z dłoni. Willem go trafił. Przez moment, w dymie, który wciąż przysłania widoczność przy płonącym łaziku, dostrzegam zarysy dziewczęcej postaci biegnącej w stronę ruin miasta.

Mogłabym ją zranić, już mam przy sobie broń – doczołgałam się do gracza i zabrałam jego karabin. Ale na lufie, którą kieruję na biegnącą postać, wyczuwam ciężar czyjejś ręki. Willem jest przy mnie. Podaje mi swój płaszcz.

– Opuść sobie! – mówi, cofając palce.

Został już tylko jeden przeciwnik, ale znajduje się zbyt daleko. Willem przygląda mi się w skupieniu, kiedy mrużę oczy, obierając cel.

– To ci się nie uda – stwierdza autorytarnie. – Odpuść!

Obliczam odległość, która dzieli mnie od biegnącej postaci. Willem pewnie ma rację, w życiu nie trafię z tego miejsca, musiałabym być snajperem na miarę Chrisa Kyle! W *Bitwie o Io* wcale mi dobrze nie szło, gdy strzelałam. Ale jeśli teraz się uda... Borys byłby zachwycony.

– Celuję w nogi. – Uśmiecham się nerwowo. Willem też się śmieje.

– To może jeszcze ustalmy, że w lewą? – kpi.

Pocisk opuszcza lufę karabinu. Krzywa balistyczna kuli i kąt celowania powinny teraz zawieść, odległość jest zbyt duża i wieje za silny wiatr. Jak zahipnotyzowana wpatruję się w sylwetkę, która daleko na horyzoncie upada na ziemię i zwija się z bólu.

– Nieźle, co? – Obracam się do Willema, który przygląda mi się z mieszaniną zdumienia i podziwu.

Borys nadal nie przerywa testu, więc idę za Willemem w góry, do lodowej jaskini, gdzie on skupia się na rozpaleniu ogniska za pomocą podstawowego wyposażenia, które znalazł w plecaku jednego z trupów. Jest tu gąbka, benzyna, worek kamieni przypominających węgiel i trzy zapalki.

– Trzy zapalki – powtarza z rozbawieniem. – Chłopaki się wyrabiają! Mają coraz więcej zabawy przy projektowaniu gry!

Otulam się płaszczem, który włożyłam na bieliznę. Musimy się ogrzać kilka minut, zanim wyruszymy w dalszą drogę. Willem też jest zmarznięty, ręce ma sine z zimna, gdy pociera zapalkami o pudełko.

– Już dwie! – stwierdza, ponieważ jedna z nich gaśnie. Sięga po przedostatnią, więc chociaż siedzę dość daleko, wstrzymuję oddech w obawie, żeby przypadkiem nie ugasić płomienia. Ogień kołysze się, oświetlając palce Willema. Chłopak pospiesznie przysuwa do niego gąbkę nasączoną benzyną. – No i mamy ognisko – kończy z ulgą.

Temperatura wynosi około stu osiemdziesięciu stopni na minusie, ciągle trwa noc, a przez kolejne osiem ziemskich dni słońce nie będzie zachodziło, co według Willema może okazać się gorsze od obecnej sytuacji przez blask, który podobno odbija się wówczas w lodzie i migocze, powodując ból oczu, a nawet ślepotę.

Borys wciąż mnie testuje, więc wędrujemy z Willemem przez pustynię lodu. Wiatr zbiera srebrzysty szron z powierzchni i ciska w naszym kierunku. Poza wyciem wichury nie słyszymy prawie żadnych innych dźwięków. Jaskinia została daleko w tyle, przedzieramy się przez niskie partie skał, podczas gdy przed nami czekają lodowce. Na nocnym niebie gromadzi się coraz więcej chmur, za kilka godzin przyjdzie deszcz albo burza. Willem wymądrza się, że to nieustanna cyrkulacja: metanowe chmury, z których spada deszcz, zasilają koryta rzeczne, a potem metan zaczyna parować, tworząc na powrót obłoki.

Jestem jakieś dwa kroki za nim, kiedy nagle to, co stanowiło stabilną podstawę pod moimi nogami, pęka. Lecę w dół, w głęboką szczelinę, z której wystają ostre skały.

– Trzymam cię! – Willem w ostatniej chwili łapie mnie za rękaw płaszcza.

Coś koło mnie przelatuje, to jakieś małe urządzenie, które wypadło mu z kieszeni.

– Cholera! Straciliśmy mapę!

Patrzę w ślad za urządzeniem, ale pod nogami widzę tylko ciemność najeżoną drobinami światła w tych miejscach, w których znajdują się ostre skały. Nerwowo spoglądam w górę, gdzie nad głową Willema gromadzi się coraz więcej chmur.

– Trzymaj mnie! – proszę.

– Daj mi drugą rękę!

Nasze dłonie mijają się o centymetry. Płaszcz blokuje ruchy, nie mam siły, żeby podciągnąć się w górę, i nie mam o co się zaprzeć.

– Cały czas cię trzymam! – zapewnia Willem.

Czuję jednak, że powoli i nieuchronnie osuwam się w dół.

– Nie trzymasz mnie! Nie trzymasz, Willem!

– Oczywiście, że cię trzymam!

Próbuję zaprzeć się butami o lodowe ściany, ale to na nic.

– Jeszcze trochę, Astrid! – powtarza, ale rękaw mojego płaszcza wysuwa się mu z palców.

– Nie mogę spaść! Trzymaj mnie, błagam!

– Wiem i trzymam cię, nic się nie stanie... Szlag!

Spadam.

Tracę władzę nad ciałem, które uderza o najeżone skały. Osłaniam twarz rękami, w ułamkach sekund widzę z bliska ostre stalaktyty. Coś pęka pod moimi plecami, osuwam się niżej, a potem jeszcze niżej i jeszcze, kalecząc nogi, ramiona i plecy. Kiedy w końcu ląduję na dnie szczeliny, dłuższą chwilę zajmuje mi uprzytomnienie sobie, gdzie i dlaczego tu jestem. Rozchyłam powieki i widzę długi tunel wznoszących się nade mną ścian. Z góry dobiega nawoływanie Willema.

Ból zaczyna się w końcówkach palców u nóg i przebiega wyżej. Jest koszmarny, nie do zniesienia – jakby ktoś szarpał mnie za rdzeń kręgowy, próbując oderwać go od ciała. Mam wrażenie, że rzucam się po dnie szczeliny jak ryba pozbawiona wody. Chcę być cicho, ale słyszę, że wydaję zwierzęce odgłosy. Chyba zaciskam dłonie na twardych skałach, jakbym szukała w nich oparcia. Potem dociera do mnie, że już nie wstanę, nie ma na to szans, więc w realnym świecie sięgam po czujniki łączące mnie z konsolą i obraz się rwie, a Astrid kolejny raz traci życie.

– Dość! – Borys wrywa mi konsolę, kiedy ponownie chcę się pod nią podpiąć. W jego oczach widzę mieszaninę podziwu i lęku. – Wiem, co się stało, był z tobą mój Obserwator!

– Poradzę sobie! – tłumaczę z desperacją i nagle, bez żadnego ostrzeżenia, tracę fragment świata po prawej stronie. Jakby nastąpił wyłom w rzeczywistości. Prawa strona nie istnieje. Jest tam tylko ciemność.

– Przekażę wyniki testu firmie i wspólnie się nad nimi zastanowimy – tłumaczy Borys, chowając przede mną konsolę, jakby sądził, że zacznę o nią walczyć jak jakaś narkomanka.

Dzieje się ze mną coś, na co nie mam wpływu, coś okropnego. Próbuję sobie z tym poradzić, nie pokazać tego po sobie.

– *Ja padzwaniu do ciebie.*

Zamykam oczy. Słyszę dźwięk krzesła, gdy Borys wstaje, żeby odprowadzić mnie do drzwi. Wiem, że nie dam rady wstać, zawroty głowy są tak silne, że wracają mdłości i cola, którą poczęstował mnie Borys, niebezpiecznie podchodzi mi do gardła. „Błagam, niech to minie!” – nakazuję sobie.

– *Wsio charaszo?* – pyta Borys, a w jego głosie słyszę coś stłumionego i drżącego.

– Tak. – Otwieram oczy.

Świat znowu jest jedną całością, tylko moje nogi są miękkie jak z waty i nie mam siły w rękach, a w kąci oka ciągle coś migocze, jakby znajdował się tam fragment innego świata.

– Będę czekać na twój telefon – powtarzam któryś raz z rzędu, trzymając się ściany, żeby dobrnąć do drzwi. Kiedy żegnam się z Borysem, zauważam wyraz jego twarzy: wygląda, jakby przewidywał kłopoty.



We śnie znowu jestem na Tytanie, otacza mnie jego surowa, piękna przyroda. Pływam w lodowatej, metanowej cieczy, która jednak traci swoją przezroczystość, zostawiając mnie w absolutnym mroku. Widzę siebie tak, jakbym obserwowała wszystko z boku: rozwiana biała koszula nocna unosi się wokół mnie jak suknia ślubna. Włosy przypominają krótki welon. W którymś momencie uświadamiam sobie, że w wodzie nie jestem sama, ktoś leży na dnie, obracany przez nurt rzeki. Płynę do niego, podczas gdy wokół robi się coraz ciemniej i ciszej. Już mogę rozpoznać, że to chłopak. Woda rozwiewa jego gęste, brązowe włosy, podnosi mu T-shirt, odsłaniając fragment wysportowanego ciała nad paskiem spodni. Kiedy jestem dość blisko, żeby go dotknąć, dociera do mnie, że to Janek. Zaskakują mnie jego nieruchome, otwarte oczy. „On nie żyje” – uświadamiam sobie.

Budzę się gwałtownie, zdenerwowana. Szare światło dnia sączy się przez szpary żaluzji, wyganiając spod powiek obrazy ze snu i uciszając strach. Mimo to wizja ze snu nie daje mi spokoju, kilka razy w ciągu dnia sięgam po telefon, żeby zadzwonić do Janka i porozmawiać z nim albo chociaż usłyszeć w słuchawce jego głos i się rozłączyć. Nie starcza mi jednak odwagi. Obiecałam Czaplinskiemu, że nie będę działała na własną rękę, i nie chcę go zawieść.

Cały dzień mam Janka w myślach. Zastanawiam się, co robi, czy spotkam go w grze, jeśli uda mi się otrzymać kontrakt. Jak będziemy się tam traktować? Czy jeszcze potrafimy ze sobą rozmawiać?

Kiedy idę na zakupy, wydaje mi się, że Janek porusza się kilka metrów przede mną. Mylę z nim innego, wysokiego chłopaka. Wieje wiatr, przymykam oczy i próbuję przywołać Janka myślami. Wyobrażam sobie, że wysyłam mu wiadomość. Nigdy nienapisany list opuszcza moją głowę i unosi się pod chmury, leci nad dachami domów, mija miasta, dociera daleko, nad pas morza, którego fale z hukiem rozbijają się o brzeg. Nie mam pojęcia, co mogłabym napisać w takim liście. Na pewno nie zdecydowałabym się wyznać prawdy, że pracuję dla policji i na razie jestem w stanie Janka ochronić. Łatwiej jest mi skupić się na wyobrażaniu sobie, że moja wiadomość wsuwa się przez luft domu i odnajduje go w salonie. Chciałabym wierzyć, że list jest jak podmuch powietrza, który przenika skórę Janka chłodem i sprawia, że jego myśli kierują się do mnie.

Wieczorem nie potrafię powstrzymać niepokoju i jednak decyduję się sięgnąć po telefon. Wybieram jego numer i staram się podjąć decyzję, co powinnam powiedzieć Jankowi, kiedy odbierze. Czekam dwa sygnały, a potem też trzeci i czwarty... Kiedy włącza się jego poczta głosowa, rozłączam się.

Telefon dzwoni kilka chwil później, więc jestem tak pewna, że to Janek, że odbieram, nawet nie patrząc na wyświetlający się na ekranie numer.

– Martwiłam się o ciebie... – wyznaję szybciej, niż zdążę powstrzymać słowa.  
– Śniłeś mi się. Wszystko u ciebie w porządku?

W słuchawce zapada cisza i w końcu słyszę ostrożny głos Borysa:

– A to z jakiego powodu? *Wy balialisia?*

Śmieję się, przyciskając dłoń do czoła, i czuję, że brak mi sił na dalsze udawanie. W tej chwili byłabym w stanie powiedzieć Borysowi prawdę, gdyby mnie zapytał. Wilgotnieją mi oczy. Tak długo czekałam na wiadomość z wynikami testów, a teraz dałabym wszystko, żeby to nie Borys znajdował się na linii.

– Rozmawiałaś z We Fly High o teście? – pytam, pocierając oczy. – Masz dla mnie wiadomości?

– *Da*. Za dwa dni lecisz z nami w Alpy.

\*

Dwa dni mijają jak sen i już Borys czeka na mnie na stacji metra, ubrany w ekstrawagancki biały płaszcz, którego futrzany kaptur spada mu na plecy. Jeśli chciał być niewidoczny, nie udało się. Wszyscy na niego patrzą.

– Już zamówiłem taksówkę – mówi, prowadząc mnie na schody, i jednocześnie ciągle rozgląda się dookoła. – Janek kontaktował się z tobą? – pyta w jakimś momencie, więc zaprzeczam ruchem głowy. – Miał tu być, umówiliśmy się. Mieliśmy lecieć razem.

Czekamy kilka minut i w końcu Borys gdzieś dzwoni, rozdrażniony, w coraz podlegszym nastroju. Rzuca do słuchawki szorstkie:

– *Da, da...* Nie wiesz, co się z nim dzieje? Nie był u ciebie? Chyba żartujesz? Co znaczy, że nie masz z nim kontaktu?! Jak to nie odbiera? Nie mogę dłużej czekać, zamkną nam bramki na lotnisku! – Rozłącza się i spogląda na zegarek, a potem na podłogę przed sobą, jakby sądził, że Janek zmaterializuje się przed nim w cudowny sposób.

Spiesz się nam, nie możemy długo czekać. Mimo to Borys prosi, żebym postąpiła z nim jeszcze chwilę na stacji. Oboje rozglądamy się po ludziach. Wypatruję Janka wśród wysokich chłopaków, ubranych w kurtki koloru khaki, noszących wełniane czapki i długie szale, ciągnących walizki albo niosących na ramieniu torby podróżne. Przez moment wydaje mi się, że naprawdę znajduję go za szybą wystawową pobliskiej kawiarni, jak niesie papierowy kubek z napojem. Wtedy coś się we mnie napina. Czuję ulgę i strach. Radość, podobna do paniki, ściska mnie za gardło. Moje spojrzenie przykleja się do pleców chłopaka, przyglądam się jego ciemnym włosom, już wydaje mi się, że rozpoznaję znajome pochylenie ramion, profil, uśmiech, z którym on odwraca się do jakiejś dziewczyny. Ale to tylko złudzenia. Janka nie ma w kawiarni, w ogóle go tu nie ma, więc cały mój strach wraca ze zdwojoną siłą.

Borys bierze ode mnie walizkę i stwierdza, że musimy już iść.

– Dzisiaj śpimy w Paryżu. Noc w hotelu. *Eto zhujczit haraszo!* – dodaje, starając się przywrócić głosowi wcześniejszy entuzjazm.

I już jesteśmy na pokładzie samolotu. Odrywa się od pasa startowego, a ja zaciskam dłonie na oparciu fotela tak mocno, że bieleje mi skóra. Nie patrzę na stewardesę rozpoczynającą pantomimę objaśnień, jak dostać się do wyjścia awaryjnego i jak skorzystać z masek tlenowych w razie awarii, nie słyszę jej pytania chwilę później, czy napiję się kawy lub herbaty. Obserwuję chmury, przez które się przebijamy. Ziemia w dole robi się mała, malutka, coraz odleglejsza.

– Przed nami półtorej godziny lotu – informuje pilot przez głośniki. – W Paryżu mamy dzisiaj ciepłą zimę. Temperatura przekracza pięć stopni na plusie, nie ma opadów,

a niebo powinno być bezchmurne.

Na twarzy czuję ciepło słońca, które odnajdujemy ponad chmurami.

Borys prawie od razu zasypia, ale ja nie zmruję oczu. To mój pierwszy lot w życiu. Pierwszy wyjazd z Polski. Pierwsza praca. Pierwszy raz od dawna odczuwam coś, co można nazwać szczęściem.

Paryż wita nas piękną pogodą. Taksówką pokonujemy ulice miasta, ustrojone na nadchodzące Święta. Oszołomiona przyglądam się zabytkowym budynkom, fascynują mnie Afrykanki w futrach i turbanach na głowach oraz miejsca znane do tej pory tylko ze zdjęć i filmów. Taksówka utyka w korku na jednym z mostów przerzuconych przez Sekwanę, a kiedy otwieram okno, docierają do nas dźwięki miasta: dwoje młodych ludzi gra na gitarach przy moście, słysząc gwar różnojęzycznych rozmów, na nabrzeżu rozstawiono wesołe miasteczko, z którego falami docierają śmiech i krzyki.

– Masz wolne do rana – informuje Borys.

Nie patrzy na wieżę Eiffla, która właśnie zaczyna migotać. Przegląda newsy w telefonie i tylko od czasu do czasu unosi spojrzenie znad ekranu.

„Może właśnie tak wygląda życie, kiedy grasz dla We Fly High?” – myślę rozbawiona jego zachowaniem.

Mam nadzieję, że za pieniądze, które otrzymam od firmy, będzie mnie stać na wiele takich podróży i może spowszednieją mi tak jak Borysowi. Na razie czuję się zafascynowana tym, co się dzieje.

– Mamy *krasiwyj* hotel. Ruszamy dalej o dziewiątej rano. Wcześniej śniadanie.

Przez czas zmarnowany w korkach robi się ciemno, kiedy zajeżdżamy do hotelu. Ciągnę za sobą walizkę po korytarzu, wyłożonym czerwoną wykładziną, a Borys idzie przodem, chyba pragnąc jak najszybciej znaleźć się u siebie.

– Będę wieczorem w restauracji! – informuje, gdy rozchodzimy się przed drzwiami mojego pokoju.

Nie proponuje jednak, abym dołączyła tam do niego albo żebyśmy się zdzwonili w sprawie wspólnej kolacji. Ciekawe, mam wrażenie, że chce się mnie jak najszybciej pozbyć.

Otwieram drzwi i staję na wprost dużego, jasnego apartamentu. Borys nie ma pojęcia, że to mój pierwszy pobyt w hotelu. Pierwszy raz, kiedy mogę być całkowicie sama, bez rodziny zastępczej, bez obcych ludzi w pogotowiu opiekuńczym. Nigdy też jeszcze nie byłam w miejscu tak pięknym. Wydaje mi się drogie. Za piękne i za drogie dla mnie. Od razu coś ściska mi gardło. Żałuję, że nie widzi tego Nikola, że nie ma ze mną Janka, że nie mam z kim podzielić się emocjami.

Zostawiam walizkę przy drzwiach i powoli przemierzam salon oraz przyległą do niego sypialnię. Gładzę szerokie łóżko, oglądam grafiki Paryża wiszące na ścianach. Rozchyłam zasłony w oknach i okazuje się, że mam widok na ulicę Moulin Rouge.

W łazience dotykam puszystych szlafroków, przytulam twarz do miękkich ręczników. Powinam się położyć, rano jedziemy przecież dalej, ale czuję się zbyt podekscytowana.

Lustro wiszące na ścianie odbija moją twarz. Uśmiech znika mi z ust, gdy przyglądam się swoim zaniedbanym włosom, z niedowierzaniem patrzę na podniszczoną

bluzę, w której tu przyjechałam. Uświadamiam sobie, że Borys miał rację, nie namawiając mnie do wspólnej kolacji – w takim stroju i z taką fryzurą nie pasuję do życia, które proponuje mi We Fly High.

Godzina na obrotowym krześle w salonie fryzjerskim i podnoszę się z uczuciem, że fryzjerka dokonała cudu.

– Podoba się? – pyta po angielsku.

Dotykam nowej, krótszej fryzury. Przypominam teraz moją mamę. Zapomniałam, że była piękną kobietą.

Nigdy siebie takiej nie widziałam, zawsze byłam dziewczyną w dzinsach, T-shirtach i bluzach. Do przymierzalni w butiku zabieram kilka par strojów, wybierając te, które nie przypominają mojego dotychczasowego stylu. Mierzę koszule i spódnice, sukienki, topy i opięte dzinsy, pozbawione wysnutych w nich nitek. Mam wrażenie, jakbym z każdą mierzoną rzeczą stawała się kimś innym. Myślę o imionach, których używałam w ciągu ostatniego roku: Mika, Agnieszka, Astrid. Nie jestem ani Agnieszką, ani Miką, gdy zapinam długi zamek na plecach w skromnej, białej sukience, sięgającej połowy ud. Teraz przypominam Astrid – dziewczynę, którą staję się w wirtualnym świecie.

Wydaje mi się, że ściągam na siebie spojrzenia ludzi, kiedy w nowej sukience i w kozakach na obcasach kieruję się do hotelowej restauracji.

– *Demander a...* – czytam z rozmówek francuskich, które zabrałam ze sobą, ale kelner zdaje się mnie nie rozumieć, więc ze śmiechem próbuję gestami opowiedzieć, o co mi chodzi.

Ktoś dotyka mojego ramienia.

– *Ja nie wierju!*

Borys stoi tuż za mną. Jest zaskoczony, wręcz oszołomiony. Jego wzrok z podziwem obiega moją twarz, włosy, strój.

– Astrid – stwierdza cicho. – *Szto ty dziedziałaś?*

Wskazuje mi krzesło przy stoliku.

– Chodź. – Łapie mnie za łokieć, niemal ciągnie za sobą. – Trzeba było tak od razu!

Wypożyczony jeep ledwie daje radę jechać, pomimo łańcuchów na kołach. Do miejsca, w którym firma wynajęła nam dom na czas konferencji, docieramy w porze, kiedy słońce chowa się za szczytem góry i wszystkie kontury nabierają twardości, a na śniegu wydłużają się cienie.

Miasteczko Saint Jean de Sixt okazuje się maleńkie, jak z pocztówki. To już właściwie granica Francji z Włochami, u podnóża Alp. Kiedy zadzieram głowę, zauważam lecący na niebie czerwony helikopter ratowniczy.

Borys skręca w wąską uliczkę, pnącą się w górę zbocza tak stromego, że ogarniają mnie obawy, czy uda nam się pod nie podjechać. Nagle ktoś staje przed maską jeepa. Borys hamuje tak raptownie, że aż muszę się zaprzeć o kokpit, żeby się nie uderzyć.

Borys otwiera okno i jestem przekonana, że rozpocznie się awantura, więc zaskakuje mnie jego wesoły ton, gdy woła po angielsku:

– Patrz, jak chodzisz, idioto!

– Patrz, jak jeździsz, baranie! – odpowiada ze śmiechem chłopak w grubej czapie z nausznikami i w kurtce z futrem przy szyi. Jego spojrzenie krzyżuje się z moim. – No proszę, proszę, więc tak wygląda Astrid w realnym świecie?

Wysiadam z samochodu, ciągle nie rozumiejąc, z kim mam do czynienia. Chłopak jest wysoki, błyska biel jego zębów, kiedy się śmieje.

– Nie poznajesz mnie? – Ściąga czapkę, odsłaniając czarne, gęste włosy.

– Mattia! – Wprost nie mogę w to uwierzyć. – Mattia, to naprawdę ty!

Rzucam się na niego z takim impetem, że prawie przewracamy się w śnieg. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę go widzę: nie avatara, poznanego w *Bitwie o Io*, tylko prawdziwego człowieka. Czuję zapach jego wody po goleniu, patrzę mu w oczy – nie tak piękne jak w rzeczywistości marzeń, nie odbijające rzeczywistości jak lustro, ale wesołe i błyszczące, otoczone gęstymi rzęsami.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę – mówię szczerze, a Mattia odwzajemnia uścisk.

– Późno przyjechaliście! – zwraca się do Borysa. – Zdążyliśmy zająć najlepsze pokoje, byliśmy na nartach, zwiedziliśmy jaskinie, trafiła nam się akcja ratownicza...

– *Toćna!* – Borys macha ręką, jakby odganiał muchę. Z powrotem siada za kierownicą. – Wy i narty...! Kto ci uwierzy?

– Zaparkuj auto na podjeździe! – Mattia wskazuje pokryty śniegiem ogród za drewnianym płotem.

Mnie obejmuje ramieniem i prowadzi do domu – nowoczesnej, dwupiętrowej willi. Zachwycona spoglądam na wysokie okna kwatery i szerokie, przylegające do nich tarasy. Mattia zabiera ode mnie walizkę, wyjaśnia, że z tyłu domu znajduje się sauna i mamy jacuzzi na zewnątrz, ale raczej nie starczy nam czasu na ten relaks z powodu dość napiętego grafiku.

Wchodzę do ciepłego przedpokoju, za którym rozciąga się salon z kominkiem.

– Przyjechała Polka! – woła Mattia wesoło. – Ruszcie się!

W szczupłym chłopaku, ubranym w staromodną koszulę i tradycyjne spodnie

z materiału rozpoznaję Josepha.

– Hej! – Wyciągam do niego rękę, ale on dopiero po chwili podchwytuje gest. Jego oczy za grubymi szklami okularów w stylu *old fashion* wyglądają na dwa razy większe i lustrują mnie nieufnie.

– Nie sądziłem, że cię zwerbowali. – Cofa rękę, którą ledwie dotyka mojej. – Kto by pomyślał? Zrobiłaś z nami raptem jeden *quest* i nie pamiętam, żebyś wykazała się wielką odwagą albo...

– Joseph! – Ucina rudowłosa dziewczyna, wybiegając z kuchni. Jest bardzo szczupła, filigranowa, na skórze ma tak wiele piegów, że mogłabym nazwać ją cynamonową.

– Zoja! – Odwzajemniam jej uścisk.

Kiedy ostatni raz się widziałyśmy, za późno odłączyła się od konsoli. Ślady tego, że musiała przejść równie długą i trudną drogę powrotną do zdrowia jak ja, dostrzegam w cieniach pod jej oczami i w zapadniętych policzkach.

– Myślę, że jednak Astrid powinna wiedzieć o Marsi – odzywa się Joseph, więc oglądam się na niego, nie rozumiejąc.

– Firma rozwiązała z nią kontrakt... – wyjaśnia Zoja, wyraźnie chcąc zamknąć Josephowi usta. Prowadzi mnie na schody, ale obracam się do niego.

– Mówiła mi o tym, gdy widziałyśmy się w Polsce – przypominam.

– Powiedziała ci, że to stało się przez ciebie?

Nieruchomieję, a Zoja spogląda na Mattię, który kręci z dezaprobatą głową.

– Joseph, zamknij się – stwierdza Mattia. – Po co to robisz? To nie jest wina Astrid.

– Przeze mnie? – Nie rozumiem. Przecież Kaśka straciła avatara w grze i dlatego firma rozwiązała z nią kontrakt!

– Tak, przez ciebie – odpowiada Joseph, ignorując Mattię. – Dobry początek naszej współpracy, nie uważasz? Znałem Marsię od dwóch lat, była naprawdę dobra w tym, co robiła, i...

W tym momencie dociera do mnie oczywista prawda – Zoja też straciła avatara w grze, a mimo to jest z nami. Joseph ma rację, ludzie z *We Fly High* zrezygnowali z Kaśki, ponieważ zwerbowali mnie.

Podczas kolacji przyglądam się im trochę tak, jakby byli aktorami na ekranie, a ja stałam się tylko widzem w rzędzie przed nim. Śmieją się i swobodnie rozmawiają, jak osoby, które znają się od lat. Wodzę spojrzeniem po ich dłoniach, jak przekazują sobie półmiski. Żartują, pada tyle nieznanymi mi nazwisk i historii, których nigdy nie słyszałam. Moje spojrzenie przykuwa puste krzesło, czekające na Janka.

– Za *Tytana*! – woła Zoja, wznosząc toast.

Brzęczy szkło, gdy uderzamy się kieliszkami.

– Za najlepszych z najlepszych! – śmieje się Mattia.

– Za wybranych! – krzyczy Joseph.

– Za Opiekunów.

Po kolacji przenosimy się do sali filmowej, umieszczonej w piwnicach domu. Borys uruchamia rzutnik i wyjaśnia, że w nowej grze znajdziemy elementy survivalu.

– Od poniedziałku wszyscy jesteście tam potrzebni – dodaje. – Niektórzy z was już

rozpoczęli pracę, więc wiedzą, o co chodzi, ale teraz zwracam się do reszty. Musicie się przygotować na ostrą zimę. Na Tytanie panują niskie temperatury. Będziecie świadkami wielkich burz i cyklonów, ale też znajdziecie się w miejscach tak pięknych, że zapierają dech.

Przekazuje nam kilka prostych zasad, które ułatwią życie w grze: nie wolno nam wyłączać łazików, gdy zrobimy postój na Tytanie – jeśli silnik przestanie pracować, już go nie uruchomimy. Śmierć na mrozie jest taka sama jak w realnym świecie – nastąpi w kilka minut. Zawsze musimy wozić ze sobą palniki i zapasowy akumulator. Musimy też mieć plecaki wyposażone w gąbkę, benzynę i syntetyczny węgiel. Oddalanie się od grupy oznacza ryzyko. Jeśli będziemy sami i zdarzy się wypadek, nasze szanse na przetrwanie będą bliskie zeru. Musimy rozważać wszystkie możliwości i wybierać jedną. Zasada jest prosta: pocisz się przy takim zimnie – umierasz.

– Mamy kilka nowych rodzajów broni! – Na ekranie oglądam projekt niewielkiego pistoletu, który wyglądem przypomina samopowtarzalny vis. – To CTW, czyli *Confused Thoughts Weapon*. Wygląda jak vis, ale strzela się z niego nabojami, które absolutnie obezwładniają gracza. Robią chaos w głowie. – Borys dotyka czoła, wyraźnie walcząc z doborem angielskich słów. – Brak myśli, niemożność skoncentrowania się na tyle, by się obronić albo uciec. Jeśli dostaniecie taką kulą, w realu macie przesrane na kilka godzin! Pod żadnym pozorem nie walcie z tej broni do ludzi, bo zostaniemy zasypani pozwami do sądu.

Zafascynowany Joseph wychyla się do przodu.

– Gmatwają myśli? – dopytuje się. – Co to dokładnie znaczy? Do czego nam ta broń, skoro nie możemy z niej strzelać do graczy?

– Joseph, tym razem jesteśmy pod lupą – odpowiada poważnie Borys. – Policja na całym świecie zbiera dowody, żeby zdelegalizować *Work a Dream*, więc trzeba być ostrożnym. CTW używamy tylko do walki z BC.

– Co to jest BC? – pytam, żeby zmienić temat, a Mattia śmieje się, jakbym powiedziała coś zabawnego.

– *Bloodthirsty Civilization*, istoty pozaziemskie – odpowiada, obracając się do mnie. – Są cholernie szybkie i rozwijają się w trakcie gry jak inteligentne avatary. Miały trzymać się gór, ale schodzą do obozów, zabijają, niszczą. Tego nikt nie przewidział. Albo *We Fly High* to przewidzieli, ale nie umieli już cofnąć, bo wyszło w praniu w kontakcie z dużą liczbą graczy. W każdym razie kiedy zobaczysz BC, Astrid, wuj, ile sił w nogach. Ale jeśli będziesz miała przy sobie to cudo, CTW, wal w BC tak długo, aż padnie. Inaczej sama staniesz się trupem!

Na ekranie oglądamy nowoczesny granatnik.

– Można ustalić, gdzie ma wybuchnąć! – opowiada podekscytowany Borys. – Strzela jak zwykły pistolet.

Następna broń okazuje się dużo większa.

– To broń dużego zasięgu. Dostęp do niej będzie ograniczony, a jeśli trafi w ręce gracza, co na pewno się wydarzy, może zniszczyć kilka budynków mieszkalnych albo wysadzić pojazd kosmiczny... Podoba się?

Wybuchamy śmiechem, widząc znajome, stare łaziki osadzone na pordzewiałych

gąsienicach.

– Nie mów, że tymi starociami będziemy poruszać się na Tytanie! – woła Mattia.  
– To tak, jakbyś wyłożył sobie kibel kafelkami i wstawił stary sedes!

– *Toćna!* – Borys pokazuje mu kciuk. – To nasze pojazdy.

Pokazuje następny slajd, na którym widzimy piękny, nowoczesny statek kosmiczny.

– Będzie zabawa – odpowiada. – To jest właśnie FFO, czyli *Fast Flying Object*. Trochę podobny do śmigłowca. Bardzo szybko się porusza. Niestety nie latamy tym. Ma stać tam, gdzie stoi, a jeśli jakiś idiota dostanie się do niego, rozwalamy go. Latamy mniejszymi FFO, ale tylko wtedy, gdy mamy do pokonania duże odległości.

Uśmiechy schodzą nam z ust, kiedy Borys pokazuje grafiki zwierząt, które napotkamy w grze. Twórcy tym razem poszaleli, Borys wyjaśnia, że zwierzęta mają instynkty zabójcy, to hybrydy drapieżników.

– Wyczują was na odległość dwóch kilometrów – tłumaczy. Kiedy już chcemy wydać okrzyk niechęci, dodaje: – Ale to nic w porównaniu z *Bloodthirsty Civilization*. Nigdy nie lekceważcie istot pozaziemskich, wyczują was na odległość około pięciu kilometrów. Są cholernie mściwe i każde spotkanie z nimi przypomni wam, co to *Terrible Horror*.

– Ziemia na Tytanie jest twarda jak kamień – kończy chwilę później, wyłączając rzutnik. – Zmarzlina jak u mnie w rodzinnym mieście na Kołymie. Jeśli ktoś umrze, zostawiamy go, chyba że to my umieramy. Wtedy ciało trzeba spalić albo wrzucić do skalnej szczeliny. Gracze nie powinni widzieć naszych ciał, ważne, żebyśmy byli dla nich kimś w rodzaju półbogów. To nowa strategia psychologa i socjotechnika współpracującego z We Fly High. – Śmieje się, dając nam do zrozumienia, co o tym myśli. – Chodzi o uniknięcie porwań nas, znęcania się nad nami czy innych wymuszeń. Reasumując: ciała zostają – umierasz, zamarzasz, zostajesz. Koniec ze zmienianiem się w pył. Ciało może być drogowskazem dla wędrowców, jak w górach. Właśnie! Na jutrzejszy wieczór We Fly High przewidzieli dla nas niespodziankę!

Rozdaje nam biblię gry, czyli wszystko, co dotyczy fabuły i postaci na Tytanie. Jest tak gruba, że przeczytanie jej zajęłoby mi kilka godzin. Kartkuję ją nieuważnie, czytam tytuły podrozdziałów: *Historia Bloodthirsty Civilization*, *Polityka Bloodthirsty Civilization*, *Religijność Bloodthirsty Civilization*... Tyle pracy wielu ludzi! Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego. Oszołomiona zatrzymuję spojrzenie na zagadnieniu: *Area of Faith* – „miejsce magiczne, ciągle modyfikowane. Zmienia się pod wpływem myśli gracza. Nie jest pewne, czy ten, kto do niej wejdzie, będzie w stanie z niej wyjść...”.

– Astrid? – Z zamyślenia wrywa mnie głos Borysa, a kiedy podnoszę głowę, zauważam, że wszyscy na mnie patrzą. Borys rozdaje broszury napisane po angielsku, a zatytułowane „Sztuka przetrwania na mrozie”. Przy mnie się zatrzymuje. – Musisz ćwiczyć. Wiesz o tym? Jutro Mattia i Zoja ci pomogą.

Każdy spogląda w innym kierunku albo opuszczają głowy, więc rozumiem, że spaliliby się ze wstydu, gdyby to do nich Borys tak się odezwał.

– Okej, rozumiem – odpowiadam po chwili.



– Kontaktował się z tobą Janek? – pyta Borys ciszej, gdy ludzie rozchodzą się do pokoi.

– Nie. – Staram się, żeby wypadło to tak obojętnie, jak tylko to możliwe. Nie potrafię. – A z tobą?

On też potrzęsa głową.

Leżąc w łóżku w czystej, ciepłej pościeli, próbuję przygotować się na następny dzień i czuję nieprzyjemne ciśnienie w brzuchu, gdy poddaję się bolesnym rozważaniom na temat oszustwa, jakim jest moja obecność tutaj. Bez końca odtwarzam w głowie ciepłe powitanie ze strony Matti i Zoi. Zapomniałam, że są dla mnie tacy dobrzy. Wygląda na to, że naprawdę mnie lubią. Znowu jest jak w *Bitwie o Iwo*, gdy uprzejmość ze strony Mistrzów Gry uświadamiała mi braki w przyjacielach w realnym świecie. Ledwie tu przyjechałam, a już wpadłam w emocjonalną pułapkę.

Blask księżyca kładzie się kwadratami na kołdrze, rozjaśnia pokój. W korytarzu słyszę stłumiony śmiech Zoi.

– Mattia, Mattia... – mówi głosem, w którym udaje mi się usłyszeć jakieś nowe, ciepłe nuty.

Ktoś naciska klamkę w drzwiach mojego pokoju.

– Twoja konsola. – Mattia wydaje się rozpromieniony, kiedy zbliża się do mojego łóżka.

– Dziękuję. – Dotykam szarego papieru, w który opakowana jest konsola. Przesuwam palcami wzdłuż znajomego kształtu.

Zoja stoi za Mattią, też dziwnie szczęśliwa.

– Jutro rano ćwiczymy, potem konferencja – szczebiocze, a moje spojrzenie przykleja się do jej dłoni, którą zapomniała zabrać z ramienia Matti. Patrzę, jak kciukiem gładzi jego szyję. Coś ściska mi gardło. Myślę o Janku, o bliskości z nim, której ledwie zaznałam i za którą tak bardzo tęsknię.

– Dziękuję – odpowiadam łagodnie, zmuszając usta do uśmiechu.

Po ich wyjściu nakrywam dłońmi twarz, już nie panuję nad sobą. Oddechu nabieram jak ktoś, kto przed chwilą tonął.

## 22:45 CZASU TYTANA

Nie przyjdzie noc – palące słońce będzie się utrzymywać przez kolejne pięć dni ziemskich i przynajmniej już wiem, dlaczego Willem twierdził, że to może okazać się gorsze od mroku. Kiedy z samego rana stawiam się na Tytanie, gotowa do ćwiczeń, słońce pali niemiłosiernie, odbija się w lodzie, którym jest skuta skorupa księżyca, drażni oczy, wygania cienie z kątów tak skutecznie, że człowiek zaczyna pragnąć nocy. Jednocześnie wciąż jest zimno, tak lodowato, że czuję się wdzięczna za każdą chwilę ciepła.

Zoja zabiera mnie na plac w cieniu gór, do miejsca, gdzie powstaje Iluzja. Przekraczamy linię skał i znajdujemy się w ziemskim lesie. Słyszę ćwierkanie ptaków, dostrzegam wiewiórki wspinające się po drzewach, a wiatr szumi w koronach i porusza młodą, zieloną trawą. Ciepło tu, jakbyśmy przebywały w obrębie niewidzialnych ścian, ale Zoja twierdzi, że Iluzja jest w stanie utrzymać się tylko przez trzy godziny dziennie.

– Walcz nożem – zaleca, podając mi klingę. – Podobno słabo sobie z tym radzisz.

– Kto tak powiedział? – obruszam się.

Nie odpowiada, więc łapię ją za ramię.

– Kto?

– Już nie pamiętam.

– Daj spokój!

– A jest inaczej? Umiesz walczyć w ten sposób?

Jakaś postać pojawia się między drzewami. Rzucam nożem, ale nie trafiam, co przyjmuję z ulgą, która jednak nie uchodzi uwagi Zoi. Zauważam jej gniewnie zmarszczone brwi. Kiedy sięgam po pistolet, wrywa mi go z ręki i podaje swój nóż.

– Jesteśmy jednym teamem, Astrid, i musimy być świetni w tym, co robimy – stwierdza z naciskiem. – Inaczej nie będziemy mogli na siebie liczyć! Walcz tak! Naucz się!

Zdumiewa mnie twardość w jej oczach. Zaciskam palce na rękojeści noża i czuję nieprzyjemne mrowienie w brzuchu. Nie ma szans, żebym w ten sposób kogokolwiek zabiła, nawet gdyby to miała być istota pozaziemska albo jakieś zwierzę. Zoja znikła, jakby cofnęła się poza granicę Iluzji, więc zostaję sama między drzewami, z wrogiem, o którym nic nie wiem. Obracam się przygotowana do ataku, widzę jednak tylko mieszaninę światła i cienia. „To chore!” – myślę, zła na Zoję. „Czemu się tak uparła?”

I nagle ktoś łapie mnie za szyję i przysuwa ostrze noża.

– Astrid, tak się nie da pracować! – Zoja puszcza mnie ze złością i chowa nóż.

– Mamy ciebie zamiast Marsi, Michaela i Janka! Dlaczego się nie starasz?

– Staram się, po prostu...

– Mamy ciebie! – powtarza i wtedy dociera do mnie, co naprawdę próbuje mi przekazać. „Mają mnie” – powtarzam w myślach. Mają mnie zamiast o niebo lepiej wyszkolonego Janka. Mają mnie zamiast dwóch innych Opiekunów, z którymi pracują

już od ponad roku. *Work a Dream* jest pod lupą, po piętach Opiekunów depcze Interpol i interesuje się też samą grą. Część społeczeństwa wytacza działa armatnie przeciwko *We Fly High*. A firma ma mnie. Tylko mnie.

– Przepraszam. – Zoja gładzi mnie po ramieniu, chyba dostrzegając, co zrobiła.

– Janek na pewno wróci. Zbyt wiele zawdzięcza Saint Francisowi, żeby się wycofać w ten sposób. W większym składzie będzie łatwiej, bo każdy z nas ma inne zdolności i razem jesteśmy niepokonani.

Powinnam dać jej odejść, ale nie potrafię.

– Niby co Janek zawdzięcza Saint Francisowi? – pytam.

Obraca się zdziwiona.

– Nie mogę z tobą o tym rozmawiać, skoro sam ci nie opowiedział.

– Możliwe, że Janek jest całkiem innego zdania niż ty i może miałby ochotę mi o tym opowiedzieć... – Robię krok w jej stronę, a Zoja gniewnie marszczy brwi.

– O tym zapomnij, Astrid.

– Dlaczego?

Zaciska pięści.

– Dlatego – odpowiada szeptem. – Z łaski swojej nie rozmawiaj z nim o tym, jeśli tu przyjedzie.

– W takim razie, dlaczego sama mi nie opowiesz?

Sądząc z wyrazu twarzy, w głowie Zoi toczy się potężna, krwawa bitwa. Zwycięza lojalność.

– Zabieraj się stąd, jeśli chcesz mnie dalej wypytywać. To sprawy Janka i tylko on zdecyduje, kto ma o nich wiedzieć!

Do sztuk walk przydzielają mi Mattię. W tym samym miejscu, w którym ćwiczyłam z Zoją, teraz znajduję iluzję ringu bokerskiego. Podobno mamy tylko godzinę, zanim Iluzja pęknie, więc Mattia od razu przechodzi do rzeczy.

– Ręce wyżej! – poucza. – Zaciśnij pięści...

– Co jeśli cię uderzę? – Uśmiecham się.

– Nie wiem, zobaczymy – odpowiada też rozbawiony. – Walnij mnie!

Śmiejemy się, bo moja pięść przelatuje daleko od jego twarzy. Kilka szybkich ruchów i leje się ze mnie pot.

– Twoje nogi muszą poruszać się tak... – tłumaczy Mattia, przesuwając mi stopy i prezentując ruch. – Trochę miękkości, dziewczyno... Dam sobie głowę uciąć, że jesteś beznadziejną tancerką!

– Przyjedź i się przekonaj! – żartuję, zaciskając pięść.

– Żebyś chciała wiedzieć. Przyjechałbym do ciebie w realnym świecie i nauczył cię tańczyć, ale strach się bać – ludzie rozszarpaliby mnie już na lotnisku!

Na moment tracę rezon.

– Chodzi ci o strzelaninę w szkole? – pytam, poważniejąc, i staję w miejscu.

– Na razie poćwiczymy samą obronę, Astrid... Tak, o ten żenujący proces, który ma ruszyć, a jego celem będzie zdelegalizowanie gier *Work a Dream*. Podobno macie w kraju nastrój jak na wojnie. Nigdy w życiu nie słyszałem idiotyczniejszego newsa!

Pięści Matti dotykają mnie. Nie uderza, ale daje mi do zrozumienia, że w obronie

też jestem kiepska.

– Pięści wyżej! Zakryj twarz, bo nie chcę rozkwasić ci nosa!

– Uważasz, że to, co się stało, nie miało wiele wspólnego z grą? – Schylam się, udaje mi się uniknąć ciosu. Obracamy się wokół siebie, widzę, że jego skóra też wreszcie zaczyna błyszczeć od potu. – Co wiesz o tamtych wydarzeniach?

Udaje mu się przewrócić mnie na podłogę, ale kiedy się podnoszę, odparowuje uderzenia, osłaniam twarz tak sprawnie, że Mattia się śmieje z własnej nieudolności.

– Uczennica chce prześcignąć mistrza?

– Znam lepszych od ciebie, Mattia!

Mattia ciężko opiera się o liny. Czuję się zmachana, jakbym wspięła się na Mount Blanc.

– Do czego dążysz? – pyta ze zniecierpliwieniem, ręcznikiem wycierając kark.

– Cokolwiek się stało, ludzie nie mają racji. Nie da się zdelegalizować *Work a Dream!* Jest za późno! Jeśli nawet zostaną wycofane z rynku *Bitwa o Io* albo *Tytan*, ktoś inny wyprodukuje podobną grę! Technological Progress podobno już mają jedną gotową. Jeśli nie my, to oni przejmą rynek. Nikt nie zatrzyma postępu technologii! Poza tym chciałabyś po czymś takim jak tutaj, grać znowu padem? Jakimś interfejsem? Niemożliwe!

\*

Odłączam czujniki od ciała i obraz Iluzji znika. W pokoju jest zimno, sięgam więc po ciepły sweter i już chcę wyjść, kiedy dobiegają mnie ściszone głosy z salonu.

– Jak to sobie wyobrażacie? Sto tysięcy ludzi gra, a my we czworo!

– Jak mógł nam to zrobić? – Rozpoznaję głos Matti. – Przecież to jakiś koszmar! Dlaczego nic nie powiedział? Chodzi o tę strzelaninę? Rozmawiałem z nim, ale nawet słowem się nie zająknął, że coś jest nie tak! Jeśli miał jakieś problemy, powinien nam powiedzieć!

– I co byśmy zrobili? – pyta Zoja. – Pojechałbyś do Janka? Jak byś mu pomógł? Nieruchomieję wpatrzona w drzwi.

– Nie wiem, ale coś bym zrobił, do cholery!

– Co byś zrobił? Powiedz! – dopytuje się Zoja. – Zostawiłbyś go, bo zawsze jest, kurde, coś pilniejszego do zrobienia!

– Nie chcę, żeby pomagała nam Astrid! – Rozpoznaję głos Josepha, więc cofam dłoń z klamki.

– Nie nadążam za tobą! – To Mattia, teraz wściekły. – Czego znowu od niej chcesz?

– Joseph, wiem, co myślisz – odzywa się Borys ugodowo. – Ale to, co gadasz, nie trzyma się kupy! Ona nie ma osiemnastki! Kto z policji chciałby gadać z taką gówniarą? Poza tym Janek ją zna...

– To świadczy jedynie o jego inteligencji, jeśli jej ufa! – Joseph jest tak zdenerwowany, że brzmi, jakby mówił przez zaciśnięte zęby. – Od kiedy się pojawiła, ciągle mamy problemy! Nie jest to dziwne, że pojawiła się krótko po strzelaninie w Polsce, kiedy Interpol zaczął nam deptać po piętach? Kto im podał nasze nazwiska? Ha? Rusz głową, Borys! Astrid przyznała, że ten kretyn strzelał w szkole, do której chodziła! Co w ogóle o niej wiecie? Googłał ją ktoś? Jest na liście uczniów tamtej szkoły?

Serce zaczyna mi bić żywiej. W salonie panuje cisza jak makiem zasiał. Łapię się na tym, że wstrzymałam oddech.

– *Jasna*, jesteście w osłabionym składzie – odzywa się Borys jakoś niemrawo. – Potrzebujemy Astrid. Mamy na głowie idiotyczną decyzję firmy o płatnych dodatkach do gry i chyba czujesz, że za chwilę na Tytanie dojdzie do zamieszek, rozpieprzą grę, jeszcze zanim w nią porządnie zagramy! Potrzebujemy wszystkich Opiekunów. *Wsiech!*

– Przecież fatalnie przeszła testy! – oponuje rozdrażniony Joseph. – Sam mówiłeś, że zginęła w obu przypadkach! Kto chciał ją zatrudnić? Komu odważyło?

Cisza aż dźwięczy mi w uszach.

– Kapitalnie przeszła drugi test – odpowiada Borys. – A w pierwszym przypadku załatwił ją ten nowy od Technological Progress. Noah. Ciebie też by załatwił, więc się nie czepiaj. Willem był zachwycony, grając z Astrid. Mówił, że trafiła koleś z takiej odległości....

– Borys! – jęczy Joseph. – Co ty pieprzysz?! Ośleplicie wszyscy?!

Łapię się na tym, że przestałam oddychać.

– *Drugą. Siewodnia* Astrid jest Opiekunką jak ty czy ja. A jeśli masz taką potrzebę, w wolnych chwilach googlaj ją, ile chcesz! Krzyż na drogę. Ale tu masz ją traktować jak Mistrzynię Gry i koniec tematu!

Co Joseph znajdzie na mój temat w sieci? Serce wali mi w piersiach, kiedy pospiesznie włączam laptop i wpisuję w wyszukiwarkę imię i nazwisko Agnieszki Domańskiej. Uspokaja mnie widok linków stworzonych przez policję, a odnoszących się do szkół, które kończyłam, i profilu na portalu społecznościowym. Sam profil też nie budzi podejrzeń, policja stworzyła go bardzo dokładnie: Agnieszka jest tam aktywna, odpisuje na wiadomości, zaprasza do siebie nowych znajomych, lajkuje i komentuje wpisy innych. Nie ma do czego się przyczepić, a jednak robak niepokoju nie przestaje pełzać mi po plecach.

Borys dał się przekonać, żeby na konferencji wystąpiła w peruce czarnych włosów i z profesjonalnym makijażem, więc ci, którzy mnie znają jako Agnieszkę Domańską albo Mikę Landowską, w życiu się nie domyślą, że to ja, zwłaszcza że dziennikarzom podano tylko nicki Opiekunów! Dlaczego więc wciąż czuję, że o czymś zapomnieliśmy?

Landowska – wpisuję w wyszukiwarkę, tknięta nagłym, złym przeczuciem, że Joseph jakimś cudem pozna moje prawdziwe nazwisko. Nie wiem, skąd miałby się tego dowiedzieć, ale przechodzi mnie dreszcz na myśl, że mogłoby ono doprowadzić go do mnie. Joseph jest skrupulatny i jeśli do czegoś się zabiera, robi to dokładnie. Nie podda się więc po dwóch pierwszych stronach wyświetlonych przez sieć, które powinny go zdezorientować, ponieważ prowadzą do innych osób. Na pewno otworzy też trzecią stronę...

Nieruchomieję, wpatrzona w artykuł: „Policjanci, którzy zginęli na służbie...”. W linku zostało wymienione nazwisko mojego ojca. To spada na mnie jak grom z jasnego nieba. Nie miałam pojęcia, że tata został wpisany do pamiątkowej księgi, o której istnieniu zresztą też dowiaduję się dopiero teraz! Drżą mi palce, gdy otwieram plik PDF. Wszystko się zgadza, chodzi o mojego tatę. To jak uderzenie pięścią w brzuch. Baaaaach! I cały

świat wali się w gruzy, bo gdy kopiuję imię i nazwisko ojca do przeglądarki, już pierwszy z brzegu link prowadzi mnie do krzykliwego artykułu: „Policjant ginie w wypadku samochodowym! Wraz z nim ginie troje cywilów...”.

Mam wrażenie, jakby wokół zrobiło się głośno jak w ulu. „To niemożliwe” – myślę nagle tak przerażona, że brakuje mi powietrza. Z tekstu artykułu wychwytyuję słowa: „Nikt nie przeżył zderzenia policyjnego radiowozu z osobowym samochodem. Policjant zmarł po kilku godzinach na oddziale intensywnej terapii. Osierocił dwie córki”.

„Dwie córki”.

Mam wrażenie, jakby moja głowa stanęła w płomieniach, gdy wpisuję w wyszukiwarce to właśnie hasło, połączone z nazwiskiem mojego ojca.

Dzwoni mój telefon. Na linii jest Czapliński i nie dopuszcza mnie do głosu, gdy chcę mu chaotycznie opowiedzieć, czego zaczęłam szukać w sieci.

– Mamy informację, że podczas konferencji może dojść do zamachu – stwierdza i to jest ten moment, kiedy zapominam o Internecie, zapominam o wszystkim. Jest tylko policjant na linii telefonicznej i ja, skamieniała na łóżku, z laptopem na kolanach, ubrana w nową sukienkę, w której za godzinę wystąpię na konferencji. – Działamy w porozumieniu z francuską policją, która też dostała taką informację i wzmocni ochronę wokół wydarzenia. Budynek teatru, w którym konferencja się odbędzie, został zabezpieczony i dokładnie przejrzany. Nic nie powinno się zdarzyć, ale musisz być świadoma zagrożenia.

– Kto będzie celem ataku? – Mam wrażenie, że coś źle usłyszałam, że Czapliński się pomylił i mówi o innej konferencji i o innej firmie. Czuję, jak wszystko, co zjadłam na obiad, podchodzi mi do gardła.

– We Fly High – pada odpowiedź.

Nie jestem w stanie odpowiedzieć ani o nic zapytać. Myślę o Matti, Zoi, Borysie i Josephie, których nie mogę ostrzec.

– Co mam robić? – pytam w końcu.

– Nic nie możesz zrobić. Zrób to, co należy.

Za spokojem jego słów kryje się tak wiele emocji, że przeraża mnie ich ogrom. Uświadamiam sobie wszystko, czego Czapliński mi nie powiedział. Cokolwiek ma się stać, pewnie wydarzy się przed konferencją, kiedy będziemy pozować do zdjęć fotoreporterom i odpowiadać na pytania dziennikarzy. Na ulicy trudniej jest kontrolować tłum.

Organizator konferencji w Annecy poświęconej zagrożeniom płynącym ze świata gier internetowych oraz mowie nienawiści wytoczył potężną artylerię. Plakaty na wszystkich ulicach okolicznych miast i miasteczek, banery i cała masa rozmaitych sztuczek, przygotowanych specjalnie na tę okazję. Internet został zainfekowany czymś w rodzaju wiralowego spamu i powiadomienie o konferencji zbombardowało skrzynki mejlowe ludzi. Kiedy dojeżdżamy do budynku teatru, już widzimy tłumy pikietujących. Pocieram szybę w miejscu, gdzie zaparowała od mojego oddechu, i przerażonymi oczami przyglądam się kobietom i mężczyznom. Większość z nich macha tabliczkami z hasłami krzyczącymi, że nie ma czegoś takiego jak alternatywny świat i pragną bezpieczeństwa dla swoich dzieci. „We Fly High to mordercy!” – głosi żenująca, gigantyczna reklama, rozpięta na parkującej w pobliżu furgonetce.

– Mowa nienawiści – stwierdza Mattia, śmiejąc się z niedowierzaniem. – Czy to nie miał być temat panelu, w którym uczestniczymy? Zaczęli go bez nas czy jak?

– Rozniosą nas na strzepy – mruczy niespokojnie Zoja.

Borys kazał nam ubrać się elegancko, więc w półmroku błyszczą się uszminowane usta moje i Zoi, bieli się moja nowa sukienka. Nerwowo przeczesuję palcami perukę. Mattia włożył marynarkę, Joseph staromodną koszulę z krawatem i spodnie na szelkach, Zoja wybrała czerwoną spódnicę i top, a Borys na tę okazję ubrał się bardzo powściągliwie, w garnitur i krawat, i rozpuścił długie włosy, przez co wygląda jak nie on. Udaje rozluźnionego, ale chyba już go trochę poznałam i wiem, że to tylko poza.

– Dobra, wysiadamy – decyduje, ale żadne z nas nie sięga do klamki w drzwiach.

Śmieją się z własnej słabości, z lęku, który poczuli, podczas gdy ja siedzę jak sparaliżowana, czując, że serce wali mi w szalonym tempie.

– Daj mi coś, co przynosi szczęście – zwraca się Mattia do Zoi, więc ona całuje go w czoło.

– Kto pierwszy? – pyta z uśmiechem.

– Pytanie powinno brzmieć: kto pierwszy rzuci we mnie kamień? – Mattia sięga do klamki w drzwiach i wtedy czuję, jak całe moje ciało się napina. Dałabym wszystko za to, żeby chwycić Mattię za ramię i ostrzec go: „Nie idź! Wracajmy do Saint Jean De Sixt”. Nerwowo przyciskam dłoń do ust, gdy on wysiada.

Jeśli ktokolwiek z pikietujących ludzi nie zdawał sobie sprawy, że przyjechaliśmy jeepem na francuskich rejestracjach, teraz już się zorientował. Mattia nie wspomniał ani słowem o tym, co chce zrobić, i dopiero w świetle jupiterów widzę, że pod rozpiętą marynarką ma T-shirt z napisem „Work a Dream’s Team”. Jaśniej chyba nie mógłby się wyrazić.

Wysiadamy, a dziennikarze rzucają się w naszym kierunku. Nagle stajemy przed futurystycznym teatrem Pathe Annecy w oślepiającym blasku błyskających lamp i w świetle kamer. Zatrzymujemy się pod dwoma gigantycznymi grafikami, bardzo *cool* i bardzo *minimal*, przedstawiającymi kulę ziemską opasaną diodową siatką. Nigdy w życiu tak bardzo się nie bałam. Dookoła błyskają flesze, słyszę padające zewsząd

pytania, powtarza się nazwa naszej firmy, dziennikarze dopytują o niedawną premierę *Tytana*, o zagrożenia płynące ze świata *Work a Dream*. Dopiero teraz dostrzegam młodzież tłoczącą się w holu teatru. Na nasz widok młodzi ludzie zachowują się tak, jakbyśmy byli gwiazdami rocka: zaczynają krzyczeć, biją brawo i wdzięczą się. Każdy chce nas dotknąć, wyciągają do nas ręce, wołają, że nas kochają, że grają na Tytanie i na Io i że chcieliby grać z nami na kontraktach.

– Chryste, czy im odbiło? – szepcze Mattia, odpowiadając jednak z uśmiechem na uściski ich rąk.

Bardzo staram się nie uciec do teatru z prędkością światła. Borys uprzedził, że dzisiejszy dzień to w pewnym sensie prezentacja mojej osoby jako Opiekunki. We Fly High w obliczu pomówień o niejasne zasady zatrudniania Mistrzów Gry odkrywa przed mediami karty: Saint Francis chce pokazać nas światu, udowodnić, że mamy się świetnie, jesteśmy ludźmi zadowolonymi z życia, a nie osobami związanymi zabójczymi kontraktami, zmuszającymi nas do spędzania większości doby w alternatywnej rzeczywistości. Mamy więc błyszczeć i pokazywać wszem wobec, że radzimy sobie doskonale. Żadnych podkrążonych oczu ani bladej skóry – tego wieczoru wyglądamy na wypoczętych i pełnych sił.

– Stój! – Borys łapie mnie za łokieć, kiedy ruszam do drzwi wejściowych. Jednocześnie przedstawia się dziennikarce, która do nas podeszła. Znam ją, to jedna z czołowych komentatorek szukających haka na We Fly High. – I uśmiechaj się do debili z naszej konkurencji – dodaje Borys szeptem.

– Którzy to? – pytam, żeby tylko coś powiedzieć.

Moje spojrzenie w tym czasie przebiega po tłumie ludzi, wypatruję w nim kogoś o tak zdesperowanych oczach, jakie widziałam u Sebastiana tamtego dnia, gdy znalazł mnie ukrytą pod ławką w szkole. Oślepiają mnie lampy błyskowe, napotykam wiele spojrzeń skierowanych na mnie i na Borysa. „Policja nie ma możliwości skontrolowania tej sytuacji” – myślę, dostrzegając dwóch francuskich policjantów, pilnujących wejścia do teatru. Uświadamiam sobie, że dzisiaj wszystko może się zdarzyć.

Borys uprzejmie kiwa głową do grupki młodych ludzi, którzy przyjechali taksówkami, a teraz przemierzają chodnik, zerkając na nas z równie dużym zaciekawieniem jak my na nich. To są Opiekunowie z Technological Progress.

– Oczywiście! Gra jest bezpieczna i będziemy o tym mówić podczas panelu... – zapewnia dziennikarkę. – Nie ma najmniejszego powodu do niepokoju...

Zmuszam usta do uśmiechu, kiedy błyska flesz. Razem z Mattią ustawiamy się pod jedną z *minimal* kul ziemskich, Mattia rozchyła poły marynarki, pokazując napis na T-shircie, a ja celuję w niego kciukiem i oboje śmiejemy się do obiektywów.

Na schodach w teatrze czuję się tak zmęczona, jakbym pokonała pieszko pół świata.

– Nigdy wcześniej tak nie było – wyjaśnia szeptem Zoja, też zestresowana, poprawiając zapięcie buta. – Nie podobają mi się te nowe zarządzenia... taki show to nie dla mnie! Podobno Saint Francis robi nam strony internetowe, gdzie będzie nas można lajkować i pisać do nas listy! Wyobrażasz sobie? O czym będą pisać? Że ich wypieprzyliśmy z gry? Albo że nie zdążyliśmy na czas uwolnić ich z akcji na Tytanie? To jakiś obłęd!



Oglądam się za siebie i widzę ludzi wpuszczanych na salę. Policjanci przeglądają ich plecaki, macają ubrania. Czy to wystarczy, żeby znaleźć ukrytą broń albo powstrzymać zaplanowany atak?

– Dlaczego z nimi nie gadacie? – beszta nas Borys, kiedy spotykamy się na półpiętrze. – Co wy wyprawiacie? Przecież mamy robić wrażenie!

– Mogę robić wrażenie na wojnie – odpowiada ze złością Mattia, wycierając wilgotne od potu czoło. – Nie jesteśmy małpami w zoo!

– Chociaż przez moment się nie kłóćcie! – prosi Joseph, wzdychając. – Możemy wejść na salę jak cywilizowani ludzie? Nasza konkurencja poszła zgodnie, jakby przyjaźnili się nie tylko w grze! Chyba rozważę przeniesienie się do nich!

– Chyba ci odwaliło! – kwituje Mattia bez uśmiechu.

W trakcie konferencji próbuję skupić spojrzenie na Opiekunach z Technological Progress. Jest ich trzech plus dziewczyna i wszystkich posadzono naprzeciwko nas na scenie, przy srebrnym, zabytkowym stoliku na giętych nogach. W rankingach popularności ich firma niebezpiecznie zbliża się do We Fly High, a nowa gra, stworzona w technologii *Work a Dream*, która premierę będzie miała wiosną, ponoć jest pozbawiona przemocy i cierpienia, czym ma zyskać nad nami przewagę. W reklamach, które pojawiają się w mediach od kilku dni, konsola do *Work a Dream* wyprodukowana przez Technological Progress wdeptuje w ziemię konsolę We Fly High, a w innym spocie reklamowym Technological Progress wysysa ludzi ze świata Io i sprowadza do budynku z nazwą swojej firmy.

Od świateł reflektorów, które na nas padają, robi mi się gorąco, ciągle spoglądam na publiczność. W teatrze zebrało się przynajmniej pięćset osób na widowni i tłumy dziennikarzy. „Czy dziennikarzy też dobrze zrewidowano?” – zastanawiam się.

Większość panelowych pytań kierowana jest do Borysa i to on rozpracowuje dziennikarzy, uprzejmie i bez większych emocji wyjaśniając niepokojące ich kwestie.

– Za daleko wybiega pan w przyszłość! – śmieje się. – To nie powieść Philipa K. Dicka! Nie ma jeszcze tak dużego postępu technologicznego, chyba że pan o czymś wie, o czym ja nie zostałem poinformowany! A może Technological Progress ma już taką konsolę?

Zgromadzona młodzież oklaskuje jego wypowiedź, natomiast starsza część widowni przygląda się nam posepnie, czujnie. Zauważam chłopaka, który nie spuszcza z nas mrocznego spojrzenia, i przechodzi mnie nieprzyjemny dreszcz. Mój wzrok biegnie dalej, aż do dwóch mężczyzn, którzy mimo zaduchu panującego na sali, nie zdjęli z siebie zimowych kurtek.

Dziennikarz z „Herald Tribune” zauważa, że to wysoce niepokojące, iż jeden z czujników konsoli jest podłączony do głowy gracza.

– Co w ten sposób osiągniecie? – pyta, więc skupiam na nim wzrok.

– Konsola działa podkorowo – odpowiada Borys, z nogą założoną na nogę, rozparty w aksamitnym, szarym fotelu. Dałabym się uwieść złudzeniu relaksu, gdyby nie to, że siedzę dokładnie przy nim i widzę, jak nerwowo zaciska palce na poręczach, aż bieleje mu skóra. – Chodzi o uzyskanie odczuć sensorycznych stymulowanych silnymi mikroimpulsami elektromagnetycznymi. Mogę wyjaśnić też inne integralne mechanizmy

konsoli: dołączono do niej trójdrożne słuchawki, zapewniające wybitnie realistyczną reprodukcję dźwięku. Lampy podczerwieni LED kierowane są sensorem, zespolone matryce mają najwyższą dostępną rozdzielczość i stopień odświeżania obrazu. Są wyposażone w technologię pozwalającą na maksimum wiernego odtwarzania obrazu... Nie będę wspominał, że algorytmy zostały napisane przez programistów – wirtuozów, dzięki czemu doznania są jeszcze intensywniejsze niż w realnym życiu. Proszę jednak zapamiętać, że ta konsola może być użyta także w medycynie i edukacji. Nie tylko w grach.

Dziewczyna z Technological Progress, niska brunetka o tak zielonych oczach, że podejrzewam ją o noszenie barwionych szkielek, wychyla się w jego kierunku.

– Mamy inne możliwości – stwierdza.

– Tak? A jakie? – pyta Borys obojętnie. – Chętnie się dowiem.

Moje spojrzenie przykleja się do chłopaków towarzyszących dziewczynie, ale żaden z nich nie odpowiada wspomnieniu avatara, który mnie zabił w apartamentowcu Spes. Noah – przypominam sobie jego imię. Nie przyjechał tutaj? Dlaczego nie? Gdzie jest teraz? Znowu oglądam się w stronę publiczności, a serce łomocze mi w piersiach.

– Borys, podczas gry pana mózg jest podłączony do konwertera impulsów, tak? A ten sterowany jest przez wieloprocessorowy komputer? – docieka młoda dziennikarka, która pisuje do jednej z najważniejszych gazet dotyczących rozwoju technologii. Coś w tonie jej głosu sprawia, że skupiam się uważniej na jej pytaniu. – Więc wszystko, co pan robi w grze, może należeć do We Fly High? Pana myśli, sny, które pan śni pod konsolą? Czy posuwam się za daleko?

Borys milczy tak długo, aż na niego też patrzę z niepokojem.

– Manipulujecie graczami? – dopytuje się kobieta otwarcie.

– Przede wszystkim posuwa się pani za daleko, uważając, że śpię pod konsolą. To nie łagry, tylko świetna zabawa! Śpię we własnym łóżku... Na ogół – stwierdza Borys ku uciesze dziewczyn z widowni.

– Przecież pobieracie informacje o graczach już w chwili, gdy oddają krew do analizy komputerowej, kiedy rozpoczynają grę. – Dziennikarka nie daje się zbyć.

– W doku konsoli znajduje się igła, którą trzeba się nakłuć, a krew jest analizowana przez komputer. Czy nie tak powstaje wizerunek avatara, oparty na genotypie gracza?

– Chodzi tylko o stworzenie podobnego avatara. O nic więcej. – Borys mruży oczy, a ja nie wiem dlaczego. Spoglądam na jego dłonie i widzę, że lekko mu drżą.

– Krew daje możliwość odczytania też innych informacji – nie ustaje w domysłach dziennikarka. – Przecież posiadając ją, możemy poznać choroby człowieka, jego geny, a to już prowadzi do łatwego sposobu manipulowania tą osobą w grze, zniewolenia jej...

– Kto miałby dokonać takiej manipulacji i po co? – pyta Borys na pozór obojętnie. – Zaręczam, że We Fly High tego nie robią, to nie tanie science fiction, ale poważny producent.

– Ile godzin na dobę pan śpi? – pyta inny dziennikarz. – Albo pana ruda koleżanka?

– Ja? – Zoja mruga, jakby coś wpadło jej do oczu. – Osiem.

Osiem? Gdybym usłyszała to bez świadków, chyba parsknęłabym śmiechem!

– Zabił pan już kogoś w grze *Work a Dream*? – pada pytanie do Matti.

– Słucham? – zdumiewa się Mattia i momentalnie purpurowieją mu policzki. Ku mojemu zdziwieniu zaczyna się jąkać, gdy Borys wkłada mu do ręki mikrofon, który chwyta w taki sposób, jakby go palił w dłoń. – Pyta p...pani, czy kogoś zabiłem podczas gry?

– Jeśli tak, to chciałabym wiedzieć, jak pan się czuł, robiąc to. Pamiętajmy, że mówimy o grze stworzonej w technologii, która pozwala na współodczuwanie wraz z postacią. Człowiek podłączony do konsoli jest więc poddany przemocy, odczuwa wszystko to, co jego avatar.

Mattia śmieje się z braku lepszej reakcji i spogląda na nas, jakby szukał ratunku.

– Nie wiem, nie czułem się źle – odpowiada w końcu wyraźnie zakłopotany.  
– Przecież to gra.

Mam wrażenie, jakby powietrze wokół nas zaczęło gęstnieć od czegoś niewypowiedzianego. Od strony publiczności docierają do mnie niezadowolone pomruki.

– W Polsce doszło do strzelaniny, a odpowiedzialnym za tę masakrę jest chłopak, którego werbowaliście na Opiekuna. – Technological Progress wytacza ciężką artylerię i rozpoczyna wojnę.

– Chyba żartujesz, koleś! – wrywa się Matti. – Winny masakry nie żyje, a bycie Opiekunem było tylko jego pobożnym życzeniem! Firma nie ma z tym nic wspólnego! Mówimy o grze, a ten pojebaniec w realnym świecie kupił karabin, wszedł z nim do szkoły i pozabijał ludzi!

I już niczego nie da się cofnąć.

– Mówi się, że winny masakry grał w *Bitwę o Io*. – To dziennikarz z „Daily Mirror”.

– Co to ma do rzeczy? – denerwuje się Matti, a Borys spogląda na niego ostrzegawczo. – Mógł też oglądać *Harry’ego Pottera*! Oskarżycie Rowling o tę masakrę?!

– Czy firma nie rozważa zweryfikowania zasad gry? – pyta dziennikarka z „L’Express”. – Mniej przemocy, a więcej pięknych zdarzeń? Czy naprawdę trzeba tam używać broni?

– We Fly High promują przemoc, w swoich grach oferują cały jej przekrój, od przemocy psychicznej do znęcania się fizycznego – wtrąca się chłopak z Technological Progress z niewinnym wzruszeniem ramion. – I oczywiście, że takie doświadczenie wpływa na umysł człowieka. Wszystko zostaje w głowie! Aż strach myśleć, co czuje osoba, która poniesie śmierć w grze! Dlatego nasza firma wyeliminowała ten problem i stworzyła grę całkowicie bezpieczną, gdzie nie ma możliwości zadawania sobie bólu...

– Więc według Opiekunów We Fly High *Tytan* jest bezpieczną grą? – dąży dziennikarz z niemieckiego portalu internetowego WEB.DE. – Moim zdaniem stanowi zagrożenie już w momencie, gdy pierwszy raz strzela się do gracza, wiedząc, że odczuje on to tak, jakby stało się w realnym świecie...

– Pan myśli, że to wina gry, ale winni są tylko ludzie! – przerywa mu Zoja.

– We Fly High stworzyli świat, w którym można przeżyć własną śmierć! – przez tumult przebija się dziewczyna z Technological Progress, zwracając się, nie wiem dlaczego, do mnie. – Uczycie ich ranić i zabijać... To jest według was wychowawcze?

Dlaczego teraz, gdy w Polsce doszło do strzelaniny i zginęło tak wiele osób, a zabójca jest powiązany z waszą grą, nie potraficie przyznać się do błędu i zmienić zasad?!

W Borysie coś nagle pęka. Chwilę temu wyglądał na zmartwionego, teraz sprawia wrażenie wkurzonego.

– Niczego nie zmienimy, bo na tym polega nasz sukces! – Ucina tak ostro, że zapada cisza. Wszystkie oczy kierują się na niego, a on mówi wolno, dobitnie, pochylając się w stronę rozmówców: – Wszystko kręci się wokół adrenaliny. Kiedy ją czujesz, wiesz, że żyjesz. Żyjesz pełnią życia w obliczu wojny, głodu, cierpienia. Wiadomość o nadchodzącej śmierci sprawia, że ludzie doceniają każdą chwilę. Adrenalina jest jak narkotyk, twoja własna heroina produkowana w organizmie. Kto raz ją poznał, uzależnił się, przepadł, jest nasz. We Fly High jest więc bezpiecznym sprzedawcą adrenaliny. A świat, który omawiacie z takim obrzydzeniem, został upleciony ze snów i pragnień ludzi. Tak, również z waszych pragnień! I niczego w nim nie zmienimy!

\*

Wydali na to mnóstwo pieniędzy i zaplanowali wszystko, ale jest warto.

– Nie ma mowy! – stwierdza Zoja, kiedy widzi czekający na nas helikopter.

– A przestań, będzie zabawnie! – przekonuje ją Mattia.

Siadają blisko siebie w kabinie, ja zajmuję miejsce przy Borysie, pilot Eurocoptera podnosi kciuk, pytając, czy jesteśmy gotowi.

– Latanie zawsze było marzeniem ludzkości – rzuca Joseph z patosem i zaciska powieki, kiedy słyszymy dźwięk rozpędzającego się śmigła. – Ale nie moim, do licha!

Lot trwa niecały kwadrans, w górze nie ma wiatru, chmury już nie przysłaniają widoczności. Oglądamy krajobraz w dole, zachwycający gęszcz podobnych do siebie budynków, dróg i polan zasypanych śniegiem i nie mogę uwierzyć, że się udało, że jesteśmy tutaj i nie doszło do żadnego zamachu. Lądujemy na lodzie, w niespodziewanej śnieżnej zadymce wznieconej przez śmigła. Eurocopter odlatuje, a my zostajemy na miejscu.

– Wróci po nas za trzy godziny – informuje Borys, który jako jedyny wiedział, na czym polega niespodzianka Saint Francis. Kazał nam się ciepło ubrać.

Kiedy maszyna znika z pola widzenia, zapada wręcz nierealna cisza. Rozglądam się wokół i widzę śnieg, skały i niebo. Ogarnia mnie zachwyt, niemal wzruszenie.

– Jesteśmy w dolinie, mamy zatem minus dwadzieścia siedem stopni – stwierdza Joseph ze śmiechem, spoglądając na swój telefon komórkowy.

Wspinamy się do schroniska położonego kilkadziesiąt metrów wyżej. Drzwi otwiera nam mężczyzna, który najwyraźniej porozumiał się wcześniej z We Fly High, skoro twierdzi, że w jadalni czeka na nas kolacja i grzane wino.

Zajmujemy długi stół w sali z widokiem na góry, sięgamy po przygotowane dla nas smakołyki. Czuję się skrajnie szczęśliwa, w tej chwili daję się uwieść We Fly High, zakochuję się w Saint Francisie, w pieniądzech, którymi firma dysponuje, w poczuciu wspólnoty między Opiekunami.

Śmieję się, gdy właściciel schroniska opowiada anegdoty o lodowcu, u podnóża którego się znajdujemy. Pijemy wino i chociaż otrzymaliśmy tylko po jednym kieliszku,

każdy z nas czuje się pijany. Ja dodatkowo upijam się poczuciem spokoju i bezpieczeństwa.

Bierzemy latarki i wychodzimy nacieszyć się górami nocą. To jak inny świat. Wystarczy odejść kilka kroków i wraca poczucie nierealności. Błyszczą lód, skrzy się śnieg, wszędzie widzę bezmiar i piękno. Uśmiech zastyga mi na ustach tylko na chwilę, gdy Mattia odkręca termos i rozlewa nam do kubków gorące kakao. Wówczas mrugam, wypychając spod rzęs wspomnienie innej nocy, innego termosu, innego chłopaka. Koncentruję się na niebie, tak gwieździstym, że aż bajkowym. Nic go nie przysłania, nie ma smogu, nie ma nawet chmur.

– Wiecie co? – zagaduje Mattia. – Wcale nie chce mi się stąd wyjeżdżać.

– Jutro praca i powrót do domu – przypomina Zoja.

– Tu jest doskonale – stwierdzam i wszyscy przytakują.

– Witaj wśród wybranych, Astrid. – Borys wyciąga do mnie rękę.

Obejmujemy się całą grupą. Oddechy opuszczają nasze usta w obłoczkach pary.

– Myślę, że Astrid do nas pasuje – stwierdza Zoja łagodnie. – Czujecie, że wszyscy jesteśmy częścią najlepszego teamu?

Uśmiechamy się do siebie. W tej chwili mam uczucie, jakbym znalazła to, o co zawsze prosiłam w modlitwach – miejsce dla siebie między przyjaciółmi. To kłóci się z moim zadaniem od policji, więc odpycham od siebie te przykre przemyślenia i pozwalam sobie na myślenie tylko o tym, co dzieje się tu i teraz.

## 05:21 CZASU TYTANA

No to jestem. Gram jako Mistrzyni Gry. Nie mam wprawdzie daru szóstego zmysłu, jak w *Bitwie o Io*, nie potrafię widzieć w ciemności, czytać ludzkich myśli, ale komputer dał mi niewielki plecak, w którym znajdują podstawowe wyposażenie i raki do nałożenia na buty. Dostałam też mapę terenu, z której jednak nie wynika, gdzie znajduje się baza Opiekunów.

„Na pewno będę musiała minąć ten masyw” – myślę. Zadzieram głowę i mierzę się z widokiem potężnej, lodowej góry, błyszczącej w słońcu. Jest piękna, mieni się odcieniami nieba odbitymi w lodzie. Jej głos przypomina ryk, gdy odpadają potężne fragmenty lodu, powodując, że ziemia drży.

Zakładam raki na buty, chwytam czekan i rozpoczynam wspinaczkę. Tak tu cicho, spokojnie, jakby znikł cały świat. Fascynuje mnie myśl, że być może wspinał się na niezdojdy jeszcze wielotysięcznik, będę pierwszym graczem, który na nim stanie. Ale góra raczej nie życzy sobie ingerencji ludzi. Każdy krok w rakach też stanowi wysiłek fizyczny. Dodatkowo skały są wilgotne. Stąpam po skalnych występach tak wąskich, że w realnym świecie pewnie poruszają się po takich tylko najsprawniejsi wspinacze. Mimo to mój avatar daje sobie radę, czuję się silna jak jeszcze nigdy, rozpiera mnie radość i energia.

Ściana przybiera niebezpieczny kąt pięćdziesięciu stopni, kiedy zaczynam naprawdę się męczyć. Staram się więc zwolnić, odpoczywać, ale tu, na wysokości, szarpie mną wiatr i trudno o relaks. „Na takiej wysokości ciało wystawione na działanie warunków zewnętrznych wychładza się średnio o 3 stopnie na minutę” – przypominam sobie informację przeczytaną w broszurze, którą rozdał nam Borys.

Ściany długiej na kilka kilometrów rozpadliny są dla mnie jak wyczekiwany odpoczynek. Zsuwam się na jej dno. Cicho tutaj, jakbym wkroczyła do innego świata. Refleksy światła migoczą na lodzie, giną niżej, w mroku. W lodowych ścianach słyszę odrealnione odgłosy pracującego lodu, jakby ruch całego masywu.

Przelatujące nade mną stwory przypominają nietoperze. Uśmiecham się z niedowierzaniem, kiedy trzepoczą pięknymi, fluorescencyjnymi, jaskrawoturkusowymi skrzydłami.

I właśnie wtedy, gdy stoję z nogami w wodzie wypełniającej rozpadlinę, w której pływają kawałki lodu, dociera do mnie, że nie jestem tutaj sama. Coś stoi w ciemności. Słyszę czyjś oddech, cichy pomruk, który sprawia, że moja skóra się elektryzuje i w jednej chwili przypominam sobie, że rzeczywistość *Work a Dream* jest też pełna pułapek.

Upływają sekundy, boję się poruszyć, a czas staje się wrogi. Nie wiem, co na mnie patrzy z mroku. Przypominam sobie slajdy pokazywane przez Borysa, ale nic nie pasuje. Czy mam do czynienia z przedstawicielem cywilizacji pozaziemskiej? Czy właśnie ocieram się o element *Terrible Horror*?

Odbezpieczam glocka, tym razem bez tłumika, celuję w ciemność i pociągam za spust. Huk jeszcze długo niesie się między ścianami rozpadliny, podczas gdy ja uciekam, rozumiejąc, że popełniłam błąd. Moje strzały nie zraniły tego, co czekało w mroku. Rzucam się biegiem w głąb rozpadliny, przebieram nogami najszybciej, jak potrafię, a to coś gna za mną. Jest bardzo szybkie, przyspiesza, kiedy ja zwalniam. Tupot słyszę już nie kilka metrów w tyle, a dużo bliżej. A potem jeszcze bliżej. I jeszcze bliżej.

„To BC!” – uświadamiam sobie i cierpnie mi skóra. *Bloodthirsty Civilization*, inteligentne zwierzę kształtami przypominające człowieka, o szczękach jak maszyna do zabijania i długich ramionach, z oczami jaszczurki – podobno jego źrenice się zwężają, gdy padnie na nie światło. Bestia wie, że nie ucieknę. Zna tę rozpadlinę, zna lodowiec, to jego dom. I co najgorsze, jest zbudowana jak inteligentny avatar, a więc rozwija się w trakcie gry i ma własną inteligencję!

Nietoperze znowu przelatują nade mną, ale tym razem wystraszone uciekają do światła. Próbuję zmienić kierunek biegu, zrobić coś raptownego, co zdezorientuje gnającego za mną potwora. Przed sobą dostrzegam jasność – to wyjście na zewnątrz. Dalej jest przepaść. Nie ma czasu do namysłu. Raz, dwa, trzy...!

Skaczę. Pod sobą widzę metry czystego powietrza. Ogarnia mnie panika. Połyka mnie próżnia. Spadam w dół, prosto do rzeki metanu. Lodowata ciecz zabiera mi oddech, a ciężkie ubranie ciągnie w dół jak worek kamieni. Niebezpiecznie szybko zbliżam się do rzecznych otoczków, widzę białe, migotliwe stwory, przypominające ryby, które rozpierschają się na mój widok, trzepocząc jaskrawopomarańczowymi ogonami. Opadam aż na dno. Z wysiłkiem zrzucam buty i w tym momencie zaczyna brakować mi powietrza. Szarpię się z rękami uwięzionymi w rękawach płaszcza. Kiedy udaje mi się z niego wyplątać, bolą mnie płuca i mam wrażenie, że już nie zdążę. Odbijam się nogami od kamieni i płynę w górę, do światła, rozpaczliwie młóćąc rękoma.

Powietrze. Chwytam się zalodzonego brzegu koryta rzecznego i nie jestem w stanie całkiem się z niego wynurzyć, więc chwilę leżę, z nogami w wodzie i czołem opartym o lód. Już czuję wiatr, przenika mnie ziąb. Ostatkiem sił wysuwam się głębiej na brzeg, obracam do światła słonecznego.

– Hej, Astrid! – woła ktoś, więc osłaniam dłonią oczy, próbując coś dojrzeć w palącym świetle.

Wydaje mi się, że widzę zarysy łazika jadącego po pustyni lodu. Spod jego gąsienic unosi się złocisty szron.

Odruchowo sięgam po broń.

– Nie strzelaj! – krzyczy dziewczęcy głos.

I już ją widzę. To Zoja. Wysiada z łazika i biegnie do mnie, trzymając coś w rękach. To koc, narzuca mi go na ramiona.

– Wariatka! – woła. – Borys cię namierzył! Co tutaj robisz, Astrid? Dlaczego komputer nie postawił cię w naszej kwaterze?

Otulona kocem biegnę z nią do ciepłego pojazdu.

– Gdzieś tu powinnam mieć zapasowe rzeczy! – Zoja pospiesznie przeszukuje tył łazika. Rzuca mi kombinezon termiczny i płaszcz. – Masz sine palce! – Śmieje się, dostrzegając moje dłonie. – Jak żyję, czegoś takiego jeszcze nie widziałam!

Zabiera mnie do pozostałych Opiekunów. Są teraz w ludzkiej kolonii, skumulowanej wokół potężnych plantacji roślinnych, uprawianych w szklarniach. Po drodze Zoja wyjaśnia, że mamy z tym miejscem sporo kłopotów. Spłonęły dwa inne obozy, jeden został zaatakowany przez istoty pozaziemskie i gracze przyszli tutaj. Żądają broni, która zabije bestie.

– Nie mamy ich gdzie kłaść, a na mrozie pozamarzają – opowiada, wyskakując z łazika. – Brakuje jedzenia, za chwilę zabraknie wody pitnej! Poza tym oni nie chcą brać *Magnetic Weapon*, bo ta broń nie zabija istot pozaziemskich, a niczego innego im nie damy! Naszym zadaniem jest więc ich uspokoić i stąd odesłać. Staramy się nie dopuścić do rozruchów...

– W jakim składzie działamy?

Marszczy brwi.

– Janka wciąż nie ma – rzuca cicho.

Kolonia sprawia wrażenie przepełnionej, a gracze wyglądają na bardzo zdenerwowanych. Wielu z nich ma obrażenia, niektórzy są tak przemarznięci, że ogrzewają się nad beczkami z ogniem. Zaczynam się martwić, że naprawdę mamy tu kryzys, w realnym świecie ci ludzie pewnie nie mogą odłączyć się od konsoli w obawie o utraty swoich avatarów, stojących w obliczu zagrożenia życia. Założę się, że za każdym razem, gdy sięgają po czujnik konsoli, żeby oderwać go od ciała, otrzymują ten sam znajomy i zniechęcający komunikat, że pozycja w grze nie zostanie zapisana. Naiwnie jednak sądzą, że rozwiązanie problemów nastąpi lada moment, więc wciąż tkwią tutaj.

– Mattia! – woła Zoja, zauważając wysokiego avatara, który idzie w naszym kierunku. – Znalazłam ją! Kąpała się w rzece przy minus stu siedemdziesięciu! Wyobrażasz sobie?

– Powiedz mi słowo na jedenaście liter, które pasuje do tej sytuacji! – mówi Mattia, podchodząc bliżej, w rozpiętej kurtce, z futrzaną czapką nasadzoną nisko na czoło i z dłońmi ukrytymi w rękawiczkach tak ciepłych, że chciałabym mieć identyczne w realnym świecie.

– Zmartwienie – odpowiadam, a on unosi kciuk.

– Astrid, ludzie zrobią tu taką rozpiętość, że się nie pozbieramy! – Pociąga mnie za sobą między niskie kontenery mieszkalne, podczas gdy gracze mierzą nas wrogimi spojrzeniami.

– Co właściwie robimy? – dopytuję się, chcąc szybko rozpocząć swoją pracę.

– O, tworzymy nastrój.

– Nastrój czego?

– Pomocy. – Mattia na moment się zatrzymuje, aby podnieść ze skorupy zupełnie czarny kamień. Ogląda go i podrzuca w górę. – To meteoryt, Astrid... Żart grafików? Lubię tych chłopaków! A co innego możemy zrobić? Przecież nie damy im cholernego CTW, broni, która zabija *Bloodthirsty Civilization*, mimo że po to tutaj przyszli. Pewnie Borys zapomniał ci powiedzieć o płatnych dodatkach. To jest dopiero jazda! Chodź, coś ci pokażę...

W środku jednego z kontenerów zapala światło. Są tutaj ściany niemal całe puste, zostało już tylko kilka egzemplarzy broni. Mattia tłumaczy, że w grze nie jest już tak



łatwo, jak w *Bitwie o Io*, teraz firma zarabia więcej: dobrą broń kupuje się za realne pieniądze w realnym świecie albo zdobywa na Tytanie, za darmo można dostać tylko glocka albo *Magnetic Weapon*, a oba są zawodne i nie zranią bestii. Wiele innych dodatków też jest płatnych: dobre buty, ciepły strój, noclegi i jedzenie inne niż to, które rośnie na plantacjach.

Spoglądam na niego z niepokojem. Mój czarny scenariusz z poprzedniej gry, gdy uznałam, że We Fly High będą chcieli zarobić jeszcze większe pieniądze, najwyraźniej się sprawdza. Mattia podnosi ze stołu elegancki biały pistolet i wyjaśnia, że to nowy wynalazek, pistolet posiadający czytnik linii papilarnych, jest gotowy do użytku tylko w ręce właściciela. *Fear Double Pistol* ma dwie lufy, więc potrafi wystrzelić osiemnaście kul w trzy sekundy.

– Może być twój, Astrid! Oczywiście gracze musieliby sporo za niego zapłacić, więc mało kto go posiada. A ten, kto posiada, dyktuje warunki. Nie zgub go. Jest naprawdę cenny.

Zaciskam palce na broni i czuję gorąco, gdy laser skanuje linie papilarne. Rozlega się cichy „klik” – pistolet zostaje odbezpieczony, co wywołuje uśmiech na moich ustach.

Mattia macha ręką do wysokiego blondyna, który jako jedyny nie wydaje się zmarznięty, chociaż bez czapki, w rozpiętym kozuchu pali papierosa na mrozie. Jego też komputer odtworzył nie tak dokładnie jak w realnym świecie, ale po gęstej kicie tlenionych włosów orientuję się, że to Borys. Kiedy się do nas zbliża, wydaje się poirytowany.

– Na Syberii, gdzie się urodziłem, na ludzi polują niedźwiedzie – rzuca. – Jeden, którego odstrzelił mój dziadek, miał na sumieniu czternaście ludzkich trupów! Mój ojciec spędził noc na dachu ciężarówki, kiedy przy minus pięćdziesięciu stopniach zepsuł mu się silnik, a wokół ciężarówki całą cholerną noc krążyły dwa niedźwiedzie. Mój stryjeczny brat został zaatakowany w górach przez polujące watahy wygłodniałych psów, które odgryzły mu rękę... Mój brat ma blizny, bo kolega nożem rozciął mu usta, żeby wlać do gardła spirytus i uratować mu życie, a ci idioci histeryzują, bo ich obozy zaatakowało BC!

– Ludzie świrują! – denerwuje się Zoja, kiedy razem przygotowujemy jedzenie z resztek, które zostały w spiżarni.

Niewiele tego, wystarczy na dwa posiłki dla nas, ale na pewno nie nakarmimy tym wygłodniałych graczy. Spiżarnie są puste, wszyscy mówią o transporcie, który miał przyjechać i rozwieźć ludzi do innych, bezpieczniejszych obozów, jednak wciąż go nie widać. Staje się jasne, że jeśli nie uda się odesłać stąd graczy w ciągu dwóch, trzech godzin, będziemy mieć poważne problemy.

Wychodzę na zewnątrz i uświadamiam sobie, że nastrój w obozie się zmienia, przechodzi teraz w fazę gniewu. Następną fazą będzie przemoc.

Napięcie wzrasta z każdą sekundą. Słońce ukryło się za chmurami, ludzie marzną, awanturują się, co chwila wybuchają bójki, zaczyna szerzyć się agresja. Z niepokojem przyglądam się inteligentnym avatarom, które stają się głównym obiektem gniewu. Twórcy gry zaprojektowali te maszyny jako usłużne człowiekowi i pozbawili je agresji. Teraz stają się bezradne w obliczu świata pozbawionego zasad, gdzie nikt nie bierze ich

w obronę.

Mattia akurat przedziera się przez tłum, kiedy wysoki chłopak z wyraźnymi odmrożeniami na twarzy łapie go za ramiona i rzuca na ścianę kontenera.

– Daj mi CTW!!! – wrzeszczy, a inni się dołączają i pomrukami oraz przekleństwami wyrażają swoje oburzenie.

– Puść mnie! – warczy Mattia, wyszarpując się z uścisku.

– Zapłaciłem za grę nie po to, by nosić gówniany *Magnetic Weapon!* – krzyczy do niego nastolatek i znowu próbuje go popchnąć. Z bliska widzę oszronione futro przy kołnierzu jego kurtki. – Muszę się wreszcie odłączyć! Nie zamierzam stracić avatara dlatego, że macie jakąś pieprzoną awarię!

– Nie ma żadnej awarii! – odpowiada Mattia wściekle.

Ludzie się śmieją, ale to niedobry śmiech, bo wynikający z bezradności i gniewu.

– Za dodatki trzeba zapłacić! – woła ktoś.

– CTW to obrona konieczna, a nie pieprzony dodatek! – denerwuje się chłopak, a ja w myślach przyznaję mu rację.

Ktoś rzuca w twarz Matti kubkiem z herbatą. Chyba go parzy, skoro na moment kryje twarz w dłoniach. Zaraz potem obraca się z gniewem do chłopaka, który go zaatakował.

„Nie rób tego!” – myślę.

Mam wrażenie, jakby agresja była teraz zapachem, który czujemy w powietrzu. Wciągam ją do płuc, widzę pełne wściekłości twarze graczy, uświadamiam sobie, że jeśli Mattia zaatakuje chłopaka, granica powstrzymywanego gniewu zostanie przekroczona i emocje pękną niczym przekłuty balon.

Na szczęście Mattia daje sobie spokój, jakby też zrozumiał, że tak naprawdę ma związane ręce.

– Chodź stąd! – Łapię go za łokieć i odciągam w stronę naszej kwatery.

Joseph twierdzi, że rozruchy wybuchną, kiedy rozpęta się burza, a jesteśmy o krok od niej. To będzie samoodradzająca się burza, komórka za komórką. Wyładowania będą miały niszczącą siłę, to będzie apokalipsa w skali nano – precyzyjna i bezlitosna. Ludzie już się boją, chcą otrzymać broń i uciec stąd, zanim to się wydarzy. Mamy ich ochronić, ale *We Fly High* nie dało nam do tego narzędzi. Gdzie jest transport?

W kwaterze zamykamy drzwi i zasłaniamy okna. Zoja układa na stole broń, żeby ją mieć w razie potrzeby po ręką.

– Rozdajmy im gorącą herbatę, to może się uspokoją na jakiś czas – proponuje Joseph, wyraźnie przerażony tym, co nieuchronnie się zbliża. O dach kontenera uderzają właśnie pierwsze krople metanowego deszczu.

– Herbata skończyła się przy śniadaniu... – Zoja ciężko opada na krzesło. – Gdzie jest transport? Dlaczego to tak długo trwa, Borys?

Patrzę na Borysa, który kładzie sobie paczkę papierosów na udzie i skupiony na tym tak, jakby od tej czynności zależało czyjeś życie, wyciąga papierosa. Joseph, który nie wytrzymuje napięcia, wyrywa mu z ręki zapalniczkę.

– Gdzie jest transport? – powtarza z naciskiem. – Chcesz, żeby nas rozszarpali?!

– *Ticho*, Joseph. – Borys spogląda mu w oczy swoimi jasnymi, niebieskimi oczami.

– Nie będzie transportu.

– Słucham?

– Nie będzie transportu.

– Co ty gadasz?

– Możemy czekać.

– Jak to: nie będzie?! – Na twarzy Josepha pojawiają się czerwone plamy. – Cały świat patrzy firmie na ręce, wszyscy czekają, aż się potkniemy w grze, a ty mi mówisz, że nie będzie cholernego transportu?! Na co chcesz czekać, Borys?

– Na bunt – odpowiada Borys stłumionym, cichym głosem. – Czekamy na bunt.

Widzę zdumienie na twarzy Zoi i Matti. Wszyscy obracamy się do Borysa.

– Czekasz na bunt? – pyta zdruzgotany Joseph, a policzki jeszcze bardziej mu purpurowieją. Jego głos się łamie, kiedy krzyczy zdenerwowany: – Zdajesz sobie sprawę, co oni wtedy zrobią?!

– *Da* – odpowiada Borys, wciąż spokojnie. – Spalą kontenery, będą zabijać siebie, cierpieć, umierać. Aż zrozumieją.

– Co rozumieją? – Joseph potrząsa głową, nerwowo obraca się do Matti, jakby u niego szukał ratunku.

Wszyscy wpatrujemy się w Borysa, który wygląda na coraz bardziej zdeterminowanego.

– *Ani panimajet*, że broń ważna. Że bez niej nie ma gry – odpowiada. – Więc poproszą rodziców o karty kredytowe albo wyskoczą ze swoich *dziengów* i zapłacą. O to chodzi firmie, takie stanowisko podał mi Saint Francis dzisiaj rano i nie dyskutujemy z nim.

Już nie ma czasu, trzeba zostawić obóz i pozwolić mu ulec zniszczeniu. Nie dyskutuje się z planami We Fly High. Jak najszybciej musimy więc dostać się do Spes, gdzie będziemy bezpieczni. Nasze avatary za dużo kosztują firmę, żeby ryzykować, że zginiemy podczas buntu. Zoja w pośpiechu pakuje rzeczy do plecaków, a Mattia rozdziela ciepłe ubrania i resztkę jedzenia oraz wodę. Nasz łazik znajduje się na pustyni, trzeba więc przebiec ulice utworzone z kontenerów. Deszcz leje tak zaciekle, że na skorupie tworzą się bąble, wiatr niszczy pobliskie namioty, wywraca puste beczki, podrywa w górę drobne kamienie. Burza jest najdalej o kilka kilometrów stąd.

– Gdzie jest Joseph?! – denerwuje się Zoja, kiedy obie biegniemy po śliskiej skorupie, gdzie rzeki błota w kilka sekund zmieniają się w lód.

– Nie widziałam go od...

Strzały kaleczą kontener za naszymi plecami, co oznacza, że obozowicze dostali się do baraku z bronią i zabrali resztki egzemplarzy *Magnetic Weapon*. Obracam się za siebie i widzę ich, jak idą zwartą gromadą. Ścisniają w dłoniach klingi, rzeczne otoczaki albo drażki wyrwane z rozwalonych namiotów. Pierwszy raz, od kiedy jestem w świecie *Work a Dream*, zaczynam się bać, a to, co mnie przeraża, okazuje się nieokreślone. Nie boję się, że zostanę złapana, że stracę avatara albo że ktoś zada mi ból. Przeraża mnie to, czego nie potrafię dostrzec: drugie dno technologicznego cudu, ta potężna, mroczna głębia, której nie rozumiem. „Przecież w realnym świecie wystarczy jeden nieudany krok, by rozpoczęły się procesy sądowe z We Fly High” – myślę. Dlaczego więc właśnie teraz

firma pozwala na zamieszki w grze? Dlaczego do nich dąży? Przecież tak właśnie skończyła się *Bitwa o Io*. Czy Saint Francis chce unicestwić *Tytana*?

– O nie, to Joseph! – Zoja krzyczy te słowa w chwili, w której od łazika dzieli nas jakieś pięćdziesiąt metrów.

Przywieramy do kontenera, wpatrzone w leżące w rzece błota okulary, które należą do Josepha. Jego twarz bez nich wydaje mi się naga. Dostrzegam przerażenie w jego oczach, gdy obozowicze wloką go na plac, otaczając zwartym tłumem. Mam broń, ale użycie jej w tym momencie niczego nie zmieni. Josepha otacza zbyt wielu graczy.

Niebo robi się białe od błyskawic, Joseph zaciska powieki, gdy ktoś do niego wrzeszczy, że ma mu wskazać, gdzie znajduje się broń CTW.

– Nie mamy jej już w obozie! – tłumaczy gorączkowo, klęcząc na lodzie. – Trzeba ją...

Słowo „kupić” nie przechodzi mu przez gardło. I słusznie.

Zoja zrywa się na nogi. Nie zdążam jej powstrzymać i krzyknąć: „Zoja, nie! Opracujmy szybko jakiś plan! Obejdźmy ich! Odciągnijmy ich uwagę!”. Jest za późno. Zoja strzela, więc nie mam wyboru, muszę ją wesprzeć. Wyciągam biały pistolet o dwóch lufach i czuję ciepło, gdy laser skanuje linie papilarne. Cichy „klik” powiadamia mnie o gotowości broni do użycia, a ja przyłączam się do Zoi, jednocześnie rozumiejąc, że wpadliśmy w poważne tarapaty.

Wściekły tłum rzuca się biegiem w naszym kierunku. Osiemnaście wystrzelonych kul w trzy sekundy to wiele, naprawdę wiele, ale i tak za mało w tej sytuacji. Kątem oka zauważam, że Zoi udaje się dobiec do łazika. Nie wiem, co się dzieje dalej, bo już jestem otoczona. Wichura oderwała dach od jednego z kontenerów i potężna blacha uderza o lodową skorupę, a do mnie wysoki nastolatek celuje z *Magnetic Weapon* i wrzeszczy, że mnie „kurwa, zajebie!”, więc podnoszę ręce i w tej samej chwili otrzymuję uderzenie czymś ciężkim w kark.

Otwieram oczy i myślę, że widzę duchy. Bo tylko duchy mogą poruszać się tak skokowo, we mgle. Mrugnięcie oczami zwraca mi wzrok. Skokowa postać to Borys i wcale się nie porusza. Stoi na środku placu, w rozpiętej kurtce, bez czapki, z rękami związanymi za plecami kablem. Ktoś go uderzył, więc Borys podnosi na tę osobę wzrok i miażdży ją swoim spojrzeniem.

– *Blać!* Najpierw zadajesz mi pytanie, potem ja udzielam złej odpowiedzi, a potem bijesz! *Ty nie panimujesz?!* – pyta z pogardą. – Tak się przesłuchuje ludzi! *Idiot!*

Musiałam stracić przytomność sporo czasu temu, skoro burza zdążyła przejść bliżej naszego rejonu. Krajobraz wygląda surrealistycznie i jednocześnie fascynująco – z gór płyną rzeki metanu zmieszanego z kamieniami. Widzę przewrócone kontenery.

Próbuję ustalić, gdzie jest Joseph, ale nigdzie go nie zauważam. Nie widzę również Matti ani Zoi. Odjechali? Zostawili nas? Nie wierzę, że Mattia nas zostawił.

– Daj mi dostęp do CTW! – Mam wrażenie *déjà vu*, kiedy słyszę te wściekłe słowa. Od razu przypominam sobie *Bitwę o Io* i związanego Janka. Od niego też gracze oczekiwali broni.

– Poproś mamę o kartę płatniczą, to *wy pokupajecie*, co zechcesz! – odwarkuje Borys.

Próbuję się podnieść, ale natychmiast czuję pulsujący ból w karku. Słyszę jęk Borysa. Uderzony i zgięty w pół, w spojrzeniu wciąż ma tę samą stal, jaką widziałam tam chwilę temu.

– Skończ z nim! – krzyczy ktoś i zauważam, jak mocno drży ręka chłopaka, który celuje Glockiem w skroń Borysa. Nasuwają mi się dwa słowa: zło, terror. Pospiesznie podrywam się na nogi, ale są miękkie jak z waty, więc znowu ląduję na kolanach. Nic z tego. Nie pomogę Borysowi, musi radzić sobie sam! Wydaje mi się jednak, że wciąż ma szansę się ocalić, musiałby tylko przełknąć dumę, opuścić głowę, powiedzieć jakieś kłamstwo, zrobić cokolwiek, co zadowoli graczy. Ale on patrzy chłopakowi butnie w oczy.

– *Ty boisz siebie?* – dobiega mnie jego pełen pogardy głos. – *Strielaj!* Zanim BC poczują krew.

Uświadamiam sobie metaliczny zapach krwi w powietrzu. Wydaje mi się, że majacząc, gdy we mgle, która spływa z gór, zauważam zbiegające długie cienie. Poruszają się tak szybko, wydają się niedoścignione, mgliste, nie mogą być ludźmi. Borys też na nie patrzy, śmieje się.

– *Wy budziecie umierać!* – woła. – Rozszarpia was BC, a ja będę patrzył! Trzeba było kupić pieprzone CTW!

I następuje zbiorowa histeria. Od tej chwili wydaje mi się, że czas zaczął biec innym tempem, wszystko wydarza się bardzo szybko. Obóz ogarnia chaos. Ludzie próbują się bronić, strzelają, chociaż kule nie zranią bestii, tylko je rozwścieczą. W tym czasie burza podchodzi bliżej, poryw wiatru przewraca wiele osób, po skorupie turla się kontener. A potem coś się dzieje, ale nie wiem dokładnie co. Wiem tylko, że nagle widzę coś, co nie powinno mieć miejsca – widzę inteligentnego avatara, sięgającego po leżący przy trupie *Magnetic Weapon*. Podnosi go i po chwili prób i błędów odbezpiecza. Myślę, że jest w szoku i pewnie zaraz się opamięta, ale w tym momencie oddaje kilka strzałów. Zanim zdążę zareagować i dźwignąć się z wysiłkiem na nogi, inteligentna maszyna rusza przed siebie, prosto w kocioł wojny i przy każdym graczu, którego napotka, zatrzymuje się i ryje w nim potężne dziury z karabinu. W którymś momencie obraca się do mnie, dostrzegam jego dziwnie pociemniałe oczy. Przypomina mi maszyny, które widywałam pod koniec gry *Bitwa o Io*, te oszołomione, które zostały zabite i uruchomione ponownie, ale zachowały pamięć bólu i śmierci. Myślę o słowach Janka wypowiedzianych w tamtej grze, a dotyczących pamięci śmierci, którą inteligentne avatary są w stanie zachować, i że pod jej wpływem się zmieniają. To musi być właśnie taki przypadek.

To tylko chwila, gdy unosi broń do oddania strzału, a ja nie mam gdzie się cofnąć, jest za późno na ucieczkę. On pociąga za spust.

Pocisk chybia i trafia w kontener za moimi plecami, gdzie znajduje się reszta amunicji. Następuje potężny wybuch.

Eksplozja wstrząsa ziemią, a mnie unosi kilka metrów dalej. Upadam na plecy i przez chwilę zupełnie nie wiem, gdzie jestem i co się stało. Wybuch wydrążył spory lej w skorupie Tytana, kontenery stają w ogniu, a rozmowy i głosy przeradzają się we wrzaski i nawoływania. Po ścianach kontenerów biegną płomienie, uderza mnie fala gorąca. Przez chwilę chyba widzę Mattię, ale tak szybko tracę go z oczu, że równie dobrze

mogło to być tylko moje życzenie. Leżę jak długa na kamieniach, oblana falą gorąca, która przetoczyła się po terenie. Dostrzegam chłopaka w kałuży krwi. Przenoszę wzrok dalej i widzę Zoję chwiejącą się na nogach. Nie rozumiem, dlaczego nagle cała zalewa się krwią.

Ogień obejmuje płachty namiotów, pnie się w górę. Masa błota płynie z gór jak lawina, jest coraz bliżej.

Pierwszy BC wybija szybę w płonącym kontenerze i wyskakuje przez okno w takim tempie, że niemal tracę go z oczu. Jak pajak przyczepia się do ściany i pospiesznie sunie w dół, prosto do mnie. Obracam się do drugiego BC, który pojawia się na dachu innego kontenera i skacze szerokim łukiem, ląduje kilka metrów ode mnie.

Próbuję dosięgnąć broni chłopaka leżącego w kałuży krwi, ale ledwie udaje mi się do niego doczołgać. Od pierwszego BC dzieli mnie już tylko kilka metrów, kiedy Mattia, który jednak nie jest wytworem mojej wyobraźni, zauważa, co się dzieje, bez emocji odbezpiecza swoje CTW, celuje do bestii i pociąga za spust.

– Astrid, do łazika! – woła.

Avatar, który wcześniej strzelał, teraz nagle wyrasta nade mną: wysoki, roztrzęsiony, dziwnie nieobecny, z rozszerzonymi strachem oczami, z bronią uniesioną tak, jakby chciał z niej zrobić kij do rozwalenia mi czaszki. Kiedy bierze zamach, żeby mnie zmiażdżyć, w ostatniej chwili przetaczam się na bok, wyszarpuję glocka z kieszeni trupa i trafiam avatara w pierś.

Dławię się wonią krwi, intensywnej i metalicznej. Obracam się do Zoi i widzę, że leży kilka metrów dalej, a odłamki skał i szkła pokrywają jej płaszcz, skórę i włosy. Docieram do niej, nie rozumiem, dlaczego Zoja drży, dotykam jej płaszcza i się kaleczę. Dopiero teraz widzę ostry drut, wychodzący z jej ciała. O Boże, jest cała pocięta, wybuch rzucił ją na jakąś pułapkę!

– Borys! – krzyczę w stronę placu, na którym stoi łazik i gdzie Borys z Mattią właśnie zanieśli Josepha. – Mattia!

Mój głos ginie jednak w ogólnym harmidrze.

– Zoja, musisz się odłączyć! – Brakuje czasu, mimo to próbuję zablokować najgorsze rany. Niemal każda z nich wydaje mi się śmiertelna. Spanikowana przyciskam ręce do miejsca, z którego krew wypływa pulsacyjnie, pod ciśnieniem. Wokół Zoi robi się kałuża. – Zoja... odłącz się...!

Ręce mam lepkie, czerwień barwi mi palce, czuję, jaka jest gorąca. Kręci mi się w głowie od upiornych wydarzeń, od wszystkiego, co stało się tutaj oraz w realnym świecie.

Zoja z trudem łapie oddech. Chce coś powiedzieć, porusza ustami, ale nie mogę zrozumieć słów, więc przysuwam ucho do jej ust i wsłuchuję się w chrapliwy szept.

– Co takiego? Zoja? O czym mówisz? Zoja?! Hej! Odłącz się od konsoli!...

Odsuwam się na tyle, żebyśmy mogły na siebie spojrzeć, i nagle dociera do mnie, że ona nie żyje. Ciągle przyciskam ręce do jej klatki piersiowej, a palce mam śliskie od krwi. Podnoszę się, rozglądam wokół, jakbym dopiero teraz zobaczyła to miejsce. Nie rozumiem, co się stało. Jak mogło do tego dojść? Czyja to wina?

Potykam się o rannego chłopaka leżącego na ziemi. Kiedy nad nim staję,

uświadamiam sobie, że wybuch urwał mu nogę, a chłopak nie utracił przytomności, natomiast w szoku, w jakim jest, zapomniał, że gra, że może odłączyć się od konsoli i skończyć z bólem. Wcześniej myślałam, że to jakiś koszmar, ale koszmar widzę dopiero teraz. Dostrzegam pourywane członki, pokaleczone ciała leżące wokół.

– Odłącz się! – wołam do dziewczyny, która, podobnie jak Zoja, cała jest we krwi. „To klęska” – przebiega mi przez myśl. Wyobrażam sobie, ile ludzi dzisiaj w realnym świecie dojdzie do wniosku, że uczestniczyli w czymś ponad swoje siły. Ilu z nich będzie miało koszmary w realnym świecie? Ilu zasłabnie, straci przytomność, ilu napisze pozwy do sądu i podpisze się pod petycją o zdelegalizowanie gier tworzonych w technologii *Work a Dream*? Jezu, gra zostanie zdjęta z rynku szybciej, niż zdołamy ją lepiej poznać!

Odwracam się do Zoi i przychodzi mi do głowy, że muszę zabrać ją ze sobą do łazika. Nie chodzi mi o sentymentalizm, ale o prostą zasadę, którą opracowała firma – ciała Opiekunów nie mają pozostawać na widoku publicznym. Kiedy jednak próbuję podnieść Zoję, okazuje się dla mnie za ciężka. Kilka chwil szarpię się z nią, ale wokół jest zbyt niebezpiecznie. Robię więc to, o co prosił mnie Mattia – biegnę do łazika. Znajduję Mattię przy masce pojazdu, gdzie pomaga Josephowi, który oprzytomniał.

– Nie ma z tobą Zoi? – zdumiewa się chłopak, gdy mnie widzi.

Obracam się za siebie.

– Ona... – zaczynam tłumaczyć i milknę.

– Odłączyła się? – pyta zaniepokojony Mattia.

Chciałabym mieć dla niego lepsze informacje niż prawdę.

– Umarła tu, w grze – bąkam, a on nagle wykonuje taki ruch, jakby w realnym świecie chciał złapać za czujniki od konsoli i się rozłączyć.

Borys, który przysłuchiwał się naszej wymianie zdań, momentalnie chwyta go za ramię.

– Co ty robisz?! – warczy. – Wiejemy stąd!

Obracam się w stronę pogorzelniska, które do niedawna było obozem. Skwierczy ogień. Sceny wyglądają jak żywcem zabrane z horroru – dostrzegam wydłużone sylwetki BC na tle ognia, ich długie ręce...

– Daj mi kilka godzin... – Mattia uderza w błagalny ton, ale w jego oczach zapala się gniew.

– *Szto ty dziełasz* przez kilka godzin?! – odkrzykuje Borys, popychając mnie do środka pojazdu. – To za mało, żebyś do niej pojechał, a na pewno nie odbierze twojego telefonu! Brakuje nam ludzi tutaj...!

– Kilka godzin! – wrzeszczy Mattia i pierwszy raz widzę go tak bardzo zdeterminowanego.

– Zostajesz! – odkrzykuje Borys, starając się nie zwracać uwagi na zaciskające się pięści Matti. – Wszyscy zostajecie. Policzcie nas i zobaczcie, w jakim składzie działamy! Nikt nie wychodzi z gry! Nikt! Jasne?! Spieprzamy stąd! Odłączycie się dopiero w Spes!

Czuję nasze emocje, nagromadzone nie do wytrzymania. Cisza wydaje się teraz jedynym wyjściem, byśmy nie pozabijali się tutaj, na miejscu. Opieram się o skórzane siedzenie w łaziku i skupiam wzrok na Josephie, który został mocno pobity, jednak jego avatar jest na tyle silny, że na naszych oczach następuje przemiana. Z jakimś rodzajem

dawnej fascynacji śledzę blednące siniaki, znikającą opuchliznę. Zawsze jest tak samo, mogłabym patrzeć na to godzinami.

Pędzimy jak szaleni, zostawiając za sobą spanikowanych graczy i rozwścieczone bestie. W lusterku zauważam wzrok Matti. Nie ma takich miast, których Mattia nie chciałby teraz spalić. Nie ma takich osób, których by nie rozwalił w tym momencie.

Przed nami pustynia lodu, a świat przypomina apokalipsę. Trzy tysiące wyładowań na minutę, niebo białe od piorunów, huk, który trzęsie skorupą Tytana.

W windzie apartamentowca Spes czuję się jak w innym, lepszym świecie. Długie lustro w złotych ramach, umieszczone w ścianie, odbija nasze sylwetki. Jesteśmy brudni od błota, mokrzy, poturbowani, niektórzy mają przy sobie broń. Joseph, który ocknął się na tyle, że stoi o własnych siłach, ciężko opiera się o ścianę. Niewiele mówimy, unikamy swoich spojrzeń. Mattia wciąż ma zaognione policzki, a Borys przygląda mu się ukradkiem i chyba się martwi, skoro w którymś momencie stwierdza ugodowo, że zaraz dostaniemy kilka godzin wolnego, ale wszyscy mamy być pod telefonami i w razie sygnału za pięć minut stawić się w grze.

– Ty, Astrid, pojedziesz ze mną – decyduje, gdy już zaczynam nastawiać się na powrót do realnego świata.

– Wieczorem mam samolot – odpowiadam zaskoczona. – Muszę zdążyć.

– Wiem, zdążymy! Przecież lecę z tobą!

Nie jestem tego taka pewna, ale rozumiem, o co chodzi Borysowi: tak jak ustaliliśmy w Alpach, trupów Opiekunów nie można zostawiać na widoku publicznym. Musimy więc wrócić po Zoję i ją zakopać albo ukryć.

Wysiadamy z windy na ostatnim piętrze, kierujemy się długim holem, gdzie biały dywan zabarwia się brudem naszych butów, a kryształowe żyrandole zapalają się nad naszymi głowami, jakby działały na fotokomórki.

Apartament, w którym mieszkają Opiekunowie, okazuje się absolutnie biały, tak biały, że chyba oszalałabym, gdybym miała w nim spędzić kilka dni. Totalna biel. Białe ściany, biały puszysty dywan, białe kanapy, białe sufity, białe kryształy. Migocze szklanka, do której Joseph nalewa sobie alkohol. Ja sięgam po herbatę w delikatnej, porcelanowej filiżance, tak pięknej, że w realnym świecie kosztowałaby pewnie fortunę.

– Jest moja! – odzywa się Borys łagodniejszym tonem, a na jego twarzy wreszcie maluje się spokój. – Mieliśmy taki komplet w domu rodzinnym, tu dało się go odtworzyć...

– Ładny! – Obracam filiżankę w dłoni.

Mattia niemal od progu rzuca się na sofę i nieruchomieje z zamkniętymi oczami. Przelotnie dotykam jego ramienia – skórę ma ciepłą, ale wiem, że właśnie odłączył się od konsoli.

– Co robimy? – pytam Borysa, który podciąga rolety w oknie, odsłaniając widok na potężne jezioro Kraken Mare. Fascynujący, pełen grozy spektakl: burza z piorunami ponad sztormem.

– Poczekamy jeszcze chwilę i wrócimy tam – odpowiada, rozpinając płaszcz.

– Nie zdążymy na samolot, Borys. – Uświadamiam sobie, jak bardzo chcę już znaleźć się w kraju, nie narażona na niebezpieczeństwo. Udało nam się przetrwać



konferencję, ale w willi, w której zostaliśmy teraz sami z Borysem, nie mamy przecież ochrony, a będąc w grze, nie mogę skontaktować się z policją i nie wiem, czy nie otrzymali nowych informacji o jakimś drugim planowanym zamachu. Zastanawiam się też, czy tak trudno byłoby znaleźć nas w Alpach, gdyby komuś na tym zależało? Podłączeni do konsoli jesteśmy bardzo łatwymi celami.

Kiedy za plecami słyszę kroki, odruchowo zaciskam dłoń na broni. Obracam się, a w drzwiach apartamentu staje mężczyzna, którego znam. Tak jak w *Bitwie o Io*, tak i tutaj mam wrażenie, że jego postać została skonstruowana w wyższej technologii niż nasze avatary. Patrząc na głęboki cień, który kładzie się u jego stóp, widzę jego eleganckie spodnie z kantami, jasną koszulę z krawatem. Louis Saint Francis wydaje się tak ludzki, jakby graficy prawie go nie dotykali swoimi narzędziami, jakby został tu przeniesiony z realnego świata. Podnoszę wzrok na jego twarz, idealnie odzwierciedlającą wygląd człowieka, którego niedawno oglądałam na fotografii w prasie. Wszystko się zgadza: drobne zmarszczki wokół oczu i ust, piegi na czole, siwe pasma w ciemnych włosach.

Dobiega mnie pełen ulgi głos Josepha:

– Ledwie udało nam się uciec, Louis!...

– Odpocznijcie. – Saint Francis wpatruje się we mnie. – A ty, Astrid, chodź ze mną do kuchni. Mam do ciebie sprawę.

To jakiś rodzaj przecucia – wiem, że wydarzy się coś złego. Kiedy Saint Francis na mnie patrzy, w jego oczach jak w lustrze widzę odbicie swojej brudnej, zakrwawionej twarzy, zlepionych włosów, odmrożonych policzków.

– Słyszysz bicie twojego serca – mówi. – Każdy twój oddech, Astrid. Twoje tętno w tej chwili wynosi sto czterdzieści i podnosi się w miarę, gdy rozmawiamy.

Oglądam się za nim zdezorientowana. Przypomina mi się Borys tłumaczący dziennikarce podczas konferencji, że konsola *Work a Dream* nie pobiera innych danych gracza poza jego cechami rysopisowymi. Co jeszcze było kłamstwem? Przenika mnie dreszcz na myśl, że *We Fly High* ma moją krew. Co dokładnie o mnie wiedzą?

– Janek na pewno cię uprzedził, że do twoich obowiązków Opiekunki należy coś więcej niż tylko moderacja gra? – pyta łagodnie szef *We Fly High*.

Powoli przytakuję, chociaż to nieprawda. Nikt z Opiekunów nie wyjaśnił mi, na czym polega praca, której się podjęłam.

– Boisz się, Astrid?

Unoszę wyżej głowę, mierzę Saint Francisa odważnym spojrzeniem.

– A powinnam się bać?

Mam wrażenie, jakby przestrzeń między nami się zakrzywiła: znika poczucie odległości, chociaż Saint Francis stoi daleko ode mnie, na policzku czuję jego oddech. Kosmyki jego włosów muskają moją skórę. Ogarnia mnie nieprzyjemne wrażenie, że nasze twarze dzielą centymetry, że tak naprawdę z bliska patrzymy sobie w oczy.

– O tym zadaniu nie będziemy dyskutować – mówi.

„*Work a Dream*” – myślę. Rodzaj Darknetu, miejsce idealne do nadużyć. Gdybym chciała opowiedzieć w realnym świecie o tym, co teraz się tutaj dzieje, byłoby moje słowo przeciwko słowu Saint Francisa. Nikt by mi nie uwierzył.

Louis wsuwa mi do ręki kartkę papieru i niczego nie wyjaśniając, wychodzi.

Rozchylam brzegi kartki, czytam napisane tam słowa: „Daj im przewagę”. Poniżej zostały podane dane współrzędne.

Wysiadamy z Borysem z samolotu w Warszawie i od razu rozumiemy, że podczas naszej nieobecności w kraju coś się wydarzyło. Zabieramy swoje bagaże z ruchomej taśmy, jednocześnie wpatrzeni w ekran telewizora wiszącego w hali przylotów.

Właśnie pokazywane są na nim fragmenty filmów nagranych telefonami komórkowymi przez ludzi z mojej szkoły podczas strzelaniny. Media nie wyświetliły ich wcześniej, ponieważ uznano, że są za mocne i tylko podsyłyby nienawiść społeczeństwa do Sebastiana. Ale dzisiaj, z jakiegoś powodu, emituje je jeden z czołowych programów telewizyjnych.

W hali zapada cisza, jak makiem zasiał, więc ktoś wzmacnia dźwięk w telewizorze i słyszymy strzały pochodzące z automatycznej broni użytej w szkole przez Sebastiana. Kamera drży w ręce ucznia, który to nagrywał. „Jest w drugiej sali” – szepcze głos z offu. Widzę krew na kaflach na podłodze. Słyszymy histeryczny, rwący się oddech ucznia. „Nie wiem, czy jest sam... Wszedł tu i zabija ludzi...” – opowiada ściszym głosem. Kamera filmuje ciało chłopaka leżące w kałuży krwi. Odruchowo wstrzymuję oddech, wpatrzona w inne ciało zatrzymane w kadrze, a należące do młodszej dziewczyny.

Na pasku informacyjnym pojawia się zdanie: „Policja: Prawdopodobne, że to gra w technologii *Work a Dream* doprowadziła do tragedii w warszawskiej szkole!”

Czuję wyrzut adrenaliny w ciele. Spoglądam na Borysa, a on na mnie. *What the fuck?* – czytam z ruchu jego ust. Pojawiają się dalsze napisy: „Za dramatem kilkudziesięciu osób, zranionych i zabitych przez Sebastiana P. w szkole w Warszawie, najprawdopodobniej stoi młody mężczyzna, od dwóch lat współpracujący z firmą We Fly High – producentem kontrowersyjnych gier *Bitwa o Io* i *Tytan*. Według policyjnych doniesień, to, co wydarzyło się w szkole, było wynikiem rozrachunków pomiędzy mężczyznami...”

Serce zaczyna mi walić jak szalone w piersiach. Skąd media o tym wiedzą?! Czy mówią o...?

– Od dawna toczyły się rozmowy o wysokości pensji pobieranych przez tak zwanych Mistrzów Gry – opowiada specjalistka od zagrożeń internetowych, złapana przez dziennikarzy na ulicy. – Nie znamy dokładnych kwot, ale mówi się o dużych sumach. Jak widzimy, takie pieniądze mogą doprowadzić do tragedii, do jakiej doszło trzy miesiące temu w Warszawie...

Na ekranie pojawia się matka Sebastiana – kobieta, za którą dziennikarze chodzą od dnia strzelaniny. Wcześniej unikała rozmów z nimi, odpychała od siebie kamery. Teraz kieruje twarz do obiektywu. Mówi łamiącym się, pełnym emocji głosem:

– Sebastian nie żyje od trzech miesięcy, a ja aż do dzisiaj nie rozumiałam, dlaczego zrobił coś tak okropnego! Zeznania tego chłopaka, Janka, wyjaśniają kilka spraw. Chciałabym porozmawiać z nim osobiście, spojrzeć w oczy człowiekowi, który odpowiada za śmierć mojego dziecka oraz za śmierć innych osób, które zginęły wtedy w szkole!

Słowo „zeznania” elektryzuje mnie i jest właściwie wszystkim, co słyszę. Kątem

oka zauważam, że Borys wyciąga telefon i próbuje gdzieś się dodzwonić. Ja w tym czasie cofam się do drzwi wyjściowych, wciąż wpatrzona w ekran telewizora.

– Ja też odchorowałam wejście do *Bitwy o Io* – informuje nastolatka zaproszona do programu. – Tam wszyscy obcowali z terrorem, a twórcy gry sami podpuszczali graczy, oferując im najnowocześniejszą broń. Pamiętam truciznę, która powodowała rozkład ciała gracza... Po wyjściu z *Work a Dream* czułam się tak, jakbym zabiła człowieka!

I to jest ten moment, na który czekała nasza konkurencja, na który czekało wiele osób. Spiker informuje, że w Polsce w najbliższy poniedziałek prace rozpocznie podkomisja rządowa, która rozpatrzy sprawę legalności gier tworzonych przez We Fly High. Reszty jej słów nie słyszę, bo wtedy już biegnę na postój taksówek.

– Gdzie on jest?

Czapliński patrzy na mnie, jakby coś było ze mną nie tak.

– Miałeś go nie wzywać na przesłuchanie! Mieliśmy umowę! Mówiłeś, że to błąd!

– Nie panuję nad sobą i podnoszę głos.

– Miko, uspokój się. – Jego ton jest przenikliwy i rzeczowy. Otrzeźwia mnie, ale tylko na chwilę. Czuję mrowienie w karku. – Usiądź i poczekaj, bo nie mogę teraz rozmawiać.

Kiedy wujek odwraca się do mnie plecami, zaczynam krzyczeć. Czapliński prosi, żebym się uspokoiła. Krzyczę jeszcze głośniejsze, nawet na widok ludzi w mundurach nie udaje mi się odzyskać równowagi. Jakiś policjant podchodzi do mnie i ostrzega, że zaraz zakuje mnie w kajdanki, jak się nie uspokoję. Próbuję więc zapanować nad sobą, ale to się nie udaje, za bardzo jestem zdenerwowana.

– Miałeś Janka nie wzywać na przesłuchanie! – powtarzam, łapiąc Czaplińskiego za ramię. – Obiecałeś mi! Obiecałeś, do cholery!

Dookoła zbierają się ludzie zaciekawieni przedstawieniem, więc policjant zwraca się do nich z prośbą, żeby się rozeszli.

– Chcesz rozmawiać? – Jego wzrok mnie mrozi. Czuję dłoń zaciskającą się na moim łokciu i już wiem, że mam poważne kłopoty. Policjant wlecze mnie do swojego gabinetu i z hukiem zamyka za nami drzwi. W środku opiera się o ścianę, wpatrzony we mnie jakoś tak, że robię się jeszcze bardziej niespokojna. – Ile wiedziałas z tego, co zeznał Janek? – Jego głos tnie powietrze jak ostrze noża.

Nieruchomieję, głównie dlatego, że uderza mnie prosty przekaz bijący z tych słów.

Czapliński nie spuszcza ze mnie oczu, a w jego spojrzeniu jest coś... Intuicja podpowiada mi, żebym zaprzeczyła. Muszę skłamać, że nie miałam pojęcia, co policja może usłyszeć od Janka. Potrząsam głową, ale wątpię, czy wujek mi uwierzył.

– Wezwaliśmy go, żeby ułatwić ci zadanie – mówi cicho, z wściekłością.

Domyślam się, co ma na myśli – wzywając Janka, policjanci chcieli wprowadzić w panikę ludzi, którzy brali udział w transakcji kupna broni. Liczyli, że tamci zaczną popełniać błędy i łatwiej ich namierzę. Nikt nie przewidział, że Janek może być kluczowym świadkiem. Wiedzieli, że coś im opowie, ale nie, że powie aż tyle. Otwierali pewnie oczy ze zdumienia, kiedy przyznał się do wszystkiego.

– Niemądry chłopak – dodaje Czapliński. – Wyszedł za kaucją, chociaż mu to odradzaliśmy.

Rozumiem i to – dla Janka byłoby o niebo bezpieczniej, gdyby został w areszcie. Nerwowo oblizuję usta. W gabinecie panuje teraz cisza, jak makiem zasiał. Spoglądam na drzwi wyjściowe, a potem na zegar wiszący na ścianie. Cyfry rozmazują mi się przed oczami. Mam wrażenie, że brakuje mi czasu. Muszę szybko znaleźć Janka. Mrugam i obraz wraca.

– Ile z tego wiedziałaś? – powtarza wujek, a za powagą jego słów słyszę groźbę. Uświadamiam sobie, że tym razem już mi się nie upiecze, stracę tę pracę. Czapliński pewnie od rana tłumaczy się przed swoim przełożonym. – Pytałem cię, czy jest coś, co powinienem wiedzieć o Janku, ale zaprzeczyłaś!

– Ja... – zaczynam, ale przerywa mi podniesionym głosem:

– Zaprzeczyłaś!

Stoję w bezruchu, niezdolna, żeby cokolwiek zrobić.

– Ile wiedziałaś?!

– Powiedz im prawdę – bąkam w końcu, mając na myśli policjantów z grupy operacyjno-dochodzeniowej, prowadzącej śledztwo w sprawie strzelaniny w szkole. Głos mi się trzęsie. – Przekonaj ich, że nie wiedziałam, co Janek miał do powiedzenia, bo... bo gdybym wiedziała, zgłosiłabym się przecież do was. Po... powiedziałałabym wam, żebyście go przesłuchali!

Wujek wciąż nie odrywa ode mnie wzroku, a mój niepokój rośnie. „Jest za późno” – myślę. Wszystko poszło źle. Ochroniłam Janka, zamiast pracować ze śledczymi. Popełniłam błąd, popełniłam ogromny błąd! Pierwszy raz wyraźnie dostrzegam, do czego prawie doprowadziłam, nie informując policji o tropach. Nie można prowadzić dochodzenia i jednocześnie nie dopuszczać do zeznań kluczowego świadka!

– Mnie przekonaj – odpowiada Czapliński lodowatym tonem.

Zaraz po wyjściu z komisariatu wykręcą numer Borysa, a on natychmiast odbiera, jakby tylko czekał na wiadomość. Zdenerwowany stwierdza, że wciąż nie ma z Jankiem kontaktu, natomiast z sieci dowiedział się sporo na temat jego zeznań. Okazuje się, że Janek został wezwany na przesłuchanie w przeddzień naszego wyjazdu do Francji. Kiedy czekaliśmy na niego na dworcu, jego przesłuchanie trwało już trzynastą godzinę. Na komisariacie przyznał się do wielu rzeczy, między innymi opowiedział policji, że uniemożliwił Sebastianowi podpisanie kontraktu z We Fly High, czego następstwem była masakra w szkole. Borys jest przerażony. Widział komentarze ludzi pod artykułami, więc wydaje mu się, że gorzej już być nie może.

– Kurde, Astrid, on pójdzie do więzienia! – stwierdza głosem nabrzmiałym ze zdumienia. – *Kak* to się mogło stać? Przecież to nie Janek wszedł do tej cholernej szkoły z bronią! Nie on kupił karabin! Zastrzelił w grze koleś, z którym nie chciał pracować! To nie jest zbrodnia! Podobno zeznał, że pomagał tamtemu wybrać broń, że wspólnie poznali kogoś, kto sprzedał Sebastianowi karabin, ale nie wierzę w to... Znam Janka, wiem, że nigdy nikogo by nie skrzywdził! Nigdy nie kupiłby tej broni! Na pewno niczego nie planował, chociaż wszystko, co powiedział policji, nie brzmi dobrze! *Blać*, naprawdę to nie brzmi dobrze! Wsadzą go za współudział i nie wywinie się z tego!

Najgorsze jest to, że ja również tak uważam.

Przez szyby wystawowe zaglądam do kawiarni i pubów, do wszystkich miejsc,

w których Janek mógłby przeczekać najzimniejsze godziny dnia. Okropnie się denerwuję, przez co mam wrażenie, jakby wszystko stało się makietą: i to miasto, i ludzie, i budynki. Każdy gada o strzelaninie, z pierwszych stron gazet wyziera twarz Janka, uchwycona w momencie, gdy wchodził na komisariat. Oznacza to, że oczywiście ktoś z policji dał cynk dziennikarzom, że dojdzie do przesłuchania. Wszystko było ustawione, policja chciała to nagłośnić, przyciągnąć uwagę ludzi związanych z transakcją kupna broni, postraszyć ich. Co z tego, że graficy zakryli ciemnym paskiem oczy Janka na zdjęciach, skoro poprzedniego dnia, kiedy jeszcze nie ciążyły na nim zarzuty, a już zeznawał, gazety publikowały to samo zdjęcie z odsłoniętą twarzą i z pełnym nazwiskiem? Dopiero dzisiaj „Kaniewicz” zostało skrócone do litery „K”.

Na przystanku autobusowym moją uwagę przyciąga gazeta, którą przegląda jedna z czekających na ławce kobiet. Krzyżący nagłówek pyta: „Czy możemy być spokojni o nasze dzieci grające w gry w technologii *Work a Dream?*”. Patrzę na ujęcie grobu Sebastiana, zamieszczone w artykule. „Śmierć za śmierć!” – napisał ktoś sprejem na płycie nagrobnej. Inny napis, nabazgrany czarną farbą, informuje „MORDERCA!”. Przychodzi mi do głowy okropna myśl, że z Jankiem byłoby tak samo, gdyby coś mu się stało. Ludzie zdewastowałyby jego grób, niszczyliby stawiane tam kwiaty, znicze... Nie mogę tak myśleć, to do niczego nie prowadzi. Trzęsę się, jakbym przemarża. Czuję się winna i załamana, a zmęczenie, które mnie ogarnia, wydaje się naturalnym stanem, mającym uchronić mnie przed poznaniem prawdy.

A prawda jest taka, że Janek trafi do więzienia za współudział w zbrodni, bo wszystkie dowody przemawiają przeciwko niemu! I to ja jestem temu winna, bo to ja odnalazłam go w realnym świecie i podałam Czaplińskiemu jego nazwisko!

Dzwoni mój telefon. Na linii słyszę Janka.

– Mika? Jesteś w Warszawie...?

– Tak! A gdzie ty jesteś? – Momentalnie podrywam się na nogi.

– Też tutaj. Wiem, co myślisz, i że pewnie nie chcesz ze mną gadać, ale spotkajmy się. Proszę. To ważne.

Całą drogę do miejsca, które mi podał, biegnę.

Docieram do parku i zdyszana, z zaczerwienionymi od mrozu policzkami, kieruję się alejką na prawo, wpatrzona w Janka, który czeka na mnie przy ławce. Staję przed nim, nasze spojrzenia się spotykają. To, co czuję, jest zbyt nieuchwytnie, żebym umiała ubrać to w słowa. Najpierw przypomina ulgę, ale potem wydaje mi się, że stało się coś okropnego, coś tak strasznego, że żadne z nas się po tym nie pozbiera.

Nie wiem, jak go przywitać. Nie wiem, co powiedzieć. Czuję potrzebę przeproszenia go, chociaż Janek pewnie nie zrozumiałby, za co go przeproszam. Albo zrozumiałby i byłoby jeszcze gorzej. Moje spojrzenie biegnie po jego twarzy, zauważam, że pod jego oczami malują się ciemne kręgi – efekt wielogodzinnego przesłuchania, braku snu, stresu i walki, by do samego końca przed policją trzymać emocje na wodzy.

Zanim zdążę wypowiedzieć jego imię, zamyka mnie w ramionach, a dla mnie jest to tak nieoczekiwane uczucie, że nabieram głęboko tchu i sztywnieję. Czuję te wszystkie zapachy, które dawniej kojarzyły mi się z grą, a teraz są nierozłączne z Jankiem, z nami: jego wodę po goleniu, znajomy zapach perfum. Zaciskam powieki.

– Przepraszam – szepczę w jego kurtkę. – Przepraszam, tak cię przepraszam...

Janek odsuwa mnie od siebie na tyle, byśmy mogli na siebie spojrzeć.

– Coś ty narobiła? – pyta z niepokojem. – Za co mnie przepraszasz...?

Zanim zdążę odpowiedzieć, on raptownie pochyla głowę, bo mijają nas jakaś kobieta z wózkiem. Pochyla głowę niżej, bo kobieta przystaje, jakby go rozpoznała. Kiedy myślimy, że jednak odejdzie, ona się zatrzymuje.

– To ty! – Jej głos rozrywa ciszę. – Chodzisz sobie z dziewczyną, jakby nic się nie stało! Tyłu młodych ludzi zginęło przez ciebie! Jak w ogóle możesz rano wstawać z łóżka?

Patrzę na tę kobietę bezradnie. Janek też podnosi na nią wzrok.

– Co z ciebie za człowiek?! – woła ona, wyraźnie nakręcona zdjęciami, które zobaczyła w brukowej prasie. – Gdzie są twoi rodzice? Jak cię wychowali, gówniarzu?! Powinieneś siedzieć w więzieniu!

Ludzie spacerujący alejką obracają się do nas, mierzą Janka spojrzeniami, które z chwili na chwilę robią się bardziej nieprzyjemne. Już się zorientowali, kim jest. Wraca do mnie wrażenie ze świata *Work a Dream*, że nienawiść może być jak zapach wyczuwalny w powietrzu. Uświadamiam sobie, że musimy stąd iść, zanim się stanie coś okropnego!

– Chodź! – Łapię Janka za rękaw kurtki i ciągnę za sobą do wyjścia z parku.

Idziemy szybko, ale i tak odnoszę wrażenie, że wszystko robimy zbyt wolno. Ze schyłonymi głowami, nie podnosząc oczu na ludzi, przemierzamy się do drugiej bramy parku, która wychodzi na ulicę.

Lodowate popołudnie przeradza się w śnieżną zamieć. Gdzieś w połowie drogi do przejścia nadziemnego moja dłoń ociera się o rękę Janka, bez wahania splatamy palce, resztę drogi pokonujemy, trzymając się za ręce. Mijamy budkę z podrabianymi perfumami, a potem kiosk ruchu, gdzie o szybę wystawową została oparta najnowsza gazeta, z fotografią Janka na pierwszej stronie.

Przejście nadziemne oddziela nas od ulicy. Biegniemy na schody, a dalej długim rękawem do zejścia. Na dole mijamy cukiernię i sklepy, mieszamy się z roześmianą grupą ludzi, którzy właśnie wysypali się z klubu. Akurat na przystanek podjeżdża autobus, więc w ostatniej chwili wskakujemy do środka. Drzwi się zamykają, nerwowo spoglądam na ulicę, prowadzącą do przejścia nadziemnego. Moje spojrzenie pada na migoczący ekran, na którym znajduje się reklama *Tytana*. „Jest ich tak wielu, że zostali nazwani Legionem” – czytam napis, pojawiający się na ekranie.

W autobusie opieram się o szybę. Jestem porażona tym, co się stało. Obserwuję dzieci bawiące się w strzelaninę między siedzeniami. Wyższy chłopczyk właśnie postrzelił swojego towarzysza zabawy.

– Zabiłem cię! – krzyczy uradowany. – Nie możesz wstać, bo nie żyjesz!

Zastanawiam się, co mogę zrobić, żeby wyciągnąć Janka z kłopotów, w które go wpakowałam. Przez cały czas krąży mi po głowie jedna myśl: „To ja jestem winna!”.

– Musisz wyjechać z Warszawy – decyduję.

Stolica żyje strzelaniną, ale podejrzewam, że inne miejscowości nie są aż tak bardzo zainteresowane tym tematem, więc tam Janek mógłby się poruszać ulicami bez lęku

o rozpoznanie, a gdyby nawet ktoś go rozpoznał, nienawiść ludzi nie miałaby takiej skali.

– Niby dokąd miałbym pojechać? – pyta ze zdziwieniem. – Przecież pod moim domem w Kołobrzegu stoją dziennikarze...

– Może jest inne miejsce, w którym mógłbyś przeczeć medialny szum? Zastanów się!

„Medialny szum” – co za idiotyczne wyrażenie! Nie ma szumu. Jest wrzask, który nie ucichnie, dopóki ludzie nie ukarzą winnego. Sebastian nie żyje, więc dostaną Janka.

– Pojadę do letniego domu rodziców – decyduje. – To w lesie, nikt mnie tam nie będzie szukał!

– Jeśli zetnę ci włosy, nie będziesz tak bardzo... – Jąkam się, bo nie wiem, czy to brzmi właściwie. – ...przypominał sobie – kończę z poczuciem zakłopotania. – Będzie ci łatwiej poruszać się po mieście.

To jakiś plan, chociaż nie wiem, czy skuteczny. Ręce mam lodowate z nerwów, kiedy przyciskam guzik stopu przed przystankiem w centrum miasta. Wsiadamy na zasypaną śniegiem ulicę. W drogerii kupuję nożyczki, podczas gdy Janek czeka na mnie, przybierając pozycję generującą najwięcej ciepła, a więc obejmując się rękami i wsuwając dłonie pod pachy. Znajdujemy jakiś mały pub, gdzie nie zauważam telewizora, więc istnieją spore szanse, że barman nie śledzi bieżących wiadomości i jeszcze nie miał okazji widzieć Janka w mediach. Płacimy za toaletę i zamykamy się w niej, odprowadzeni na wpół kpiącym spojrzeniem pracownika.

W łazience Janek zdejmuje kurtkę i bluzę.

– T-shirt też zdejmij – proponuję, bo nie wierzę w swoje umiejętności fryzjerskie i obawiam się, że nie uda mi się ściąć włosów tak, by Janek nie miał ich potem na całym ubraniu.

Pierwszy raz widzę jego nagi tors. Zauważam supły niebieskich żył, malujące się pod jego skórą, zarys mięśni, szczupłe, wysportowane ciało. „Więc takiego bym go oglądała, gdybyśmy byli razem” – myślę. Spoglądam na gęste, długie włosy, które czasem Janek zbiera w warkocz, upodabniając się w ten sposób do swojej postaci z gry. Trudno mi uwierzyć, że trzeba je poświęcić.

– Pochyl głowę – proszę.

– Nie baw się, Mika. – Janek wyczuwa moje wahanie, więc zabiera mi nożyczki i sam tnie włosy blisko skóry, bez sentymentów.

– Wyrównam... – Sięgam po nożyczki i próbuję przyłożyć się do działania.

Kiedy wszystko jest gotowe, on strzepuje resztki włosów z ramion i przesuwa palcami po głowie, pewnie nie mogąc się przyzwyczaić, że teraz czuje jej kształt. Spojrzeniem omija jednak lustro.

– Wiesz, nie jest źle – stwierdzam, chociaż chciałabym powiedzieć o wiele więcej. Skomplementowałabym Janka, bo wydaje mi się, że w tej fryzurze jest mu tak samo dobrze. W końcu jednak nic nie dodaję, bo brakuje mi odwagi, a on nie wydaje się zainteresowany słuchaniem tego.

Kiedy wychodzimy z pubu, nie opuszcza mnie myśl, że powinnam zadzwonić do Czaplńskiego i powiedzieć mu, że jestem tutaj z Jankiem i co Janek planuje. Czy znowu robię coś wbrew policjantowi? Czuję się zagubiona. Wydaje mi się, jakby nie minęła ani



jedna chwila, od kiedy rozmawiałam z Czaplińskim na plaży w Kołobrzegu i przekonywałam go, że naprawdę chcę pomóc śledztwu. Na wspomnienie jego pełnych gniewu oczu, kiedy rozmawialiśmy godzinę temu na komisariacie, robi mi się gorąco.

– Pójdźmy tam – proszę, wskazując pub, w którym zawsze czułam się anonimowa. Muszę na chwilę usiąść, odpocząć, moje ciało odczuwa zmęczenie związane z dzisiejszym lotem samolotem, z jazdą tu i wszystkim, co się wydarzyło. Aż kręci mi się w głowie.

W pubie wybieramy okrągły stolik z kolorowymi podkładkami. Kiedy zamawiamy picie, spojrzenie Janka koncentruje się na telewizorze wiszącym w rogu sali. Minęło zaledwie kilka godzin, od kiedy Polska oszalała na punkcie jego zeznań, więc telewizja wciąż bombarduje widzów nowymi doniesieniami. W tej chwili na ekranie rozpoczyna się konferencja prasowa policji.

Podpieram brodę na dłoni. Dałabym wszystko za to, żeby kelnerka wyłączyła telewizor i dała Jankowi chociaż chwilę wytchnienia, bez dręczenia go informacjami o śledztwie.

– Nie myślałeś, żeby wcześniej zgłosić się na policję i powiedzieć prawdę?  
– Przerwywam ciszę.

Od chwili, gdy Janek spojrział w ekran, widzę, że coś w jego oczach gaśnie, jakby energia zaczęła go bezpowrotnie opuszczać. Wydarzenia ostatnich dni i nastawienie ludzi do jego zeznań łamią go. Zauważam to w pochyleniu jego ramion, w sposobie, w jaki patrzy na telewizor. W jego twarzy jeszcze przez chwilę czai się nadzieja, a potem i ona gaśnie.

– Co miałem im powiedzieć? – Zaczyna zbierać drobiny cukru rozsypanego na stoliku. Jego głos wydaje mi się aż zbyt spokojny, więc muszą się za tym kryć wielkie emocje. – Że to, co się stało w grze, doprowadziło do dramatu w realnym świecie? – Usta mu drgają, jakby chciał się roześmiać. Ale się nie roześmieje. To, o czym rozmawiamy, jest zbyt straszne.

– Przecież tak było. – Nie spuszczam z niego oczu i widzę łagodność, której ludzie nigdy, przenigdy nie zauważą, bo Janek teraz już będzie tylko „tym chłopakiem, który pomógł w wyborze broni”. – Rodzina Sebastiana przeszła bardzo wiele, przez tyle czasu żyli w niewiedzy... Gdybyś powiedział o tym wcześniej...

– Mika, co wyniknęło z moich zeznań? – Janek marszczy brwi, a na jego policzkach pojawiają się rumieńce. – Prawda nie zawsze okazuje się wybawieniem.

Jego dłoń jest poturbowana, chociaż nie rozumiem dlaczego, przecież to nie stało się na komisariacie. Więc co zrobił? W bezsilnej złości uderzył pięścią o ścianę, kiedy go zamknęli w areszcie? Tarł dłonią o chropowaty mur, kiedy zrozumiał, że z tej sytuacji nie będzie wyjścia? Bił się z kimś?

– Jeśli nie zrobiłeś nic złego, nie zostaniesz skazany.

Oczywiście to kłamstwo. Wszystkie fakty przemawiają przeciwko niemu. Policja na pewno jeszcze dzisiaj przeszuka jego dom, zabezpieczą komputer i każdy inny nośnik, na którym mogłyby znajdować się informacje potrzebne w śledztwie. Być może już zablokowali mu konto bankowe, więc nie wiadomo, na jak długo starczy mu pieniędzy.

– To był jego wybór! – Układa drobiny cukru w regularne kompozycje. Na moment

zamyka oczy, jakby próbował przywołać w pamięci tamten dzień, gdy dowiedział się o strzelaninie w szkole. – Nikt normalny nie zrobiłby czegoś takiego z powodu kontraktu i gry komputerowej! Nie wiem, dlaczego mówisz, jakbyś uważała, że odpowiadam za śmierć Sebastiana i za śmierć tamtych ludzi. Przecież chyba tak nie myślisz?

Podnosi na mnie wzrok.

Nie wiem, co się ze mną dzieje, dlaczego wraca uczucie, które prześladowało mnie, od kiedy poznałam Janka: wrażenie bliskości, wręcz zachłyśnięcia się szczęściem, przekreślone brakiem zaufania wobec niego.

– Nie zasługuję na taką karę – dodaje Janek ciszej. – Nie na taką, bo nie ja strzelałem z tej cholernejszej broni!

Wodzę spojrzeniem po ścianach, po meblach, po kurtce Janka, którą odwiesił na oparcie krzesła. Zadaję sobie pytanie: jak to możliwe, że nie potrafi wskazać chłopaka, który w grze chwalił się posiadaniem wyjątkowego karabinu? Przecież jako Opiekun miał dostęp do IP konsoli każdej osoby zalogowanej w grze. Oczywiście mogę spróbować uwierzyć, że do tego stopnia nie był zainteresowany tamtą sytuacją, że nie widział powodu, by to sprawdzić. Potem pewnie nie było już ku temu okazji, na serwerze nie są przecież przechowywane dane graczy... Ale czy na pewno tak to właśnie wyglądało?

– Mam pójść do matki Sebastiana? – Jego spojrzenie niemal mnie miażdży.

– Odwaliło ci? Chcesz, żebym rozmawiał z jego rodziną? Co mam im powiedzieć?

Powinnam zaprzeczyć. Nie wiem, dlaczego tego nie robię.

– Przecież uważają mnie za winnego śmierci ich syna! – Nieświadomie podnosi głos. – Jak miałbym patrzeć im w oczy?!

Powinnam powiedzieć mu prawdę, że pracuję dla policji, że go chroniłam, ale to się wydostało spod kontroli i teraz już mu nie pomogę. Jednakże to wykluczone. Absolutnie wykluczone.

– Janek, zapłaciłeś za tę broń? Czy to dlatego nie chcesz wskazać chłopaka, który ją sprzedał?

Nieruchomieje wpatrzony we mnie.

– Sebastiana nie byłoby stać – dodaję w zaległej ciszy. – Nie byłoby, prawda?

– A co ty wiesz o finansach Sebastiana? – Nie wydaje się aż tak zszokowany, jak bym chciała.

Nie spuszcza z siebie wzroku i wraca przeczucie, że chociaż połączył nas dramat, tak naprawdę stoimy po dwóch stronach.

– Wiem, że taka broń musiała sporo kosztować, a We Fly High dobrze płaci. – Głos mi się łamie, chociaż tego nie chcę. Nie patrzę teraz na Janka, więc zaskakuje mnie szuranie krzesła. Unoszę głowę, a on już stoi i wkłada na siebie kurtkę.

– Dokąd idziesz...? – pytam i chcę się wytłumaczyć, ale nie daje mi dojść do słowa.

– Uwierzyłaś w to, co mówią w mediach? Powiedziałem glinom wszystko, co wiem! Tobie powiedziałem prawdę! Jak możesz, do cholery?! Za kogo ty mnie masz?!

Zauważam spojrzenia ludzi przy sąsiednich stolikach. Mam wrażenie, jakby moja głowa ważyła tonę, taka zrobiła się ciężka. Gubię się, nie wiem, w co mam wierzyć. Chciałabym, żeby ktoś mi powiedział, gdzie leży prawda, bo kiedy Janek tak na mnie patrzy wzburzony, jestem w stanie mu zaufać, chociaż Czapliński nie dałby złamanego

grosza za wiarę w jego dobre intencje.

– Przepraszam – mówię cicho. – Nie wiem... po prostu tak mało mi powiedziałeś o tym wszystkim. Nie wiem, nie wiem, co myśleć...

Janek przyjechał do Warszawy pociągiem. Teraz woła taksówkę i podaje adres wypożyczalni aut. Nie ma sensu ryzykować i poruszać się komunikacją miejską, a ja wolę mieć pewność, że uda mu się bezpiecznie opuścić Warszawę, więc udajemy się tam razem.

– Które auto pana interesuje? – pyta pracownik firmy, kiedy formalności zostają ustalone. Prowadzi nas na parking za budynkiem. Tyle tutaj samochodów, od lanserskiego Forda Mustanga GT500, poprzez wygodne, dobrze utrzymane kompakty klasy średniej, aż do rzęchów, którymi pewnie Janek nie dałby rady nigdzie dojechać.

– A ten? – Pracownik z dumą kieruje nas w stronę niebieskiego Cadillaca Eldorado. Otwiera drzwiczki, prezentuje siedzenia pokryte niebieską, skórzaną tapicerką. – Proszę mi wierzyć, każda dziewczyna będzie chętna, żeby ją pan powoził taką gablotą! Jako ciekawostkę mogę powiedzieć, że to tak dobra firma, że już w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku, kiedy ta ikona amerykańskiej motoryzacji została wyprodukowana, samochód miał klimatyzację! Ten model natomiast...

– Szukam czegoś mniej rzucającego się w oczy – przerywa mu Janek.

– Może Volvo S45? Nie rzuca się w oczy, a to niezawodny samochód klasy średniej wyższej... – Pracownik, wyraźnie zbity z tropu, wskazuje eleganckie, świeżo umyte auto, które Janek jednak też omija wzrokiem.

– A tamto? – pyta i właściciel ze zdziwieniem wzrusza ramionami.

– Tamto też jest dobre – stwierdza, jakby zabrakło mu pomysłów, co mógłby dodać o starszym modelu golfa. – A chce pan właśnie to?

– Gdzie cię odwieźć, Mika? – pyta Janek, kiedy po opłaceniu wszystkiego wsiadamy do wypożyczonego samochodu. – Do domu? Gdzie jest twój dom?

Obraca do mnie twarz. Zapomniałam wiele na jego temat, wyleciała mi z głowy nasza bliskość, skupiałam się tylko na ostatnich chwilach, a teraz, kiedy Janek ma odjechać z Warszawy i kiedy zniszczyłam jego spokój i szczęście, widzę go bardzo wyraźnie. Mam wrażenie, że znaleźliśmy się poza czasem, chociaż takie miejsce nie istnieje. Przychodzi mi do głowy gra *Bitwa o Io* i tamte magiczne chwile, gdy podróżowaliśmy razem. Przypominam sobie, jak wiele razy Janek mi tam pomagał, prowadził mnie za rękę, ochraniał mnie. O tym, co wydarzyło się w Kołobrzegu, w Noc Postaci z Gier Komputerowych, myślę najczęściej. Widzę przebliski tamtych wspomnień: wrażenie szczęścia, moją wdzięczność wobec gwiazd na niebie, rąk Janka trzymających moje dłonie, pamiętam, jak całowaliśmy się, nie próbując pójść dalej, oszołomieni niedowierzaniem i wiarą, że robimy to, co słuszne.

Siedzę tak blisko niego, że mogę obserwować jego oczy. I wiem, że żadna inna osoba nie zbliży się do niego na tyle, by zobaczyć, jaki ładny mają odcień brązu. Myślę o procesie, który czeka Janka, o nienawiści ludzi, o tym, że Janek zawsze starał się być miły dla innych, okazywał dobroć, a teraz musi czuć się dezorientowany i osamotniony. Uświadamiam sobie, że chcę mu podarować dobry dzień. Jeden dobry dzień albo nawet kilka takich dni. Tyle jestem mu winna.

– Pojadę z tobą. – Mam wrażenie, że to nie ja wypowiedziałam te słowa. Chcę ukryć twarz w dłoniach, bo nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. Niemożliwe, że znowu robię coś wbrew Czaplowskiemu i grupie operacyjno-dochodzeniowej!

Jeśli jednak zostawię Janka, a sama przecież sprowadziłam na niego kłopoty, chyba już nigdy nie będę umiała spojrzeć sobie w oczy. Zaskakuje mnie zasadność argumentów, które mu przedstawiam:

– Nie możesz jechać sam, bo... bo ludzie cię rozpoznają... Nie będziesz w stanie zrobić różnych rzeczy, które ja mogę zrobić. Zakupów. Formalności. Twoje nazwisko jest znane w Polsce, a moje nie... Daj mi czas, na przykład... trzy dni, a potem, kiedy nabiorę pewności, że wszystko jest w porządku, wrócę do Warszawy.

Trzy dni to niewiele, ale wystarczająco dużo, żebym doszła do punktu, w którym nie będzie już dla mnie powrotu do Czaplowskiego, do policji. Złożoność problemów, w które wpakowałam Janka i siebie, zaczynają przeciążać mój umysł, więc chyba mam nadzieję, że Janek pozbawi mnie możliwości wyboru, podejmując decyzję za mnie. To dobrze, że patrzy, jakby wcale nie chciał nigdzie ze mną jechać. W gruncie rzeczy zasłużyłam na to, żeby już przez resztę życia wyrzucać sobie, że zniszczyłam jedyną osobę, której na mnie zależało.

– Mika, przecież to moje problemy, po co je ściągasz na siebie? – pyta zaskoczony.

– Nie rozumiesz, że ktoś może wyrządzić ci krzywdę tylko dlatego, że cię przy mnie zobaczy? Ludzie mnie nienawidzą i chcą... chcą mnie skrzywdzić. To nie fair, że miałabyś na tym cierpieć!

Oczywiście nie ma racji, ale tego nie wie. Nie ma pojęcia, że jego kłopoty są moim dziełem i jeśli ktoś zasłużył na cierpienie, to właśnie ja. Powtarzam uparcie, że chcę z nim pojechać, i w końcu Janek się zgadza.

\*

Zatrzymujemy się tylko raz, pod galerią handlową. Całe szczęście, że mam przy sobie wszystkie potrzebne mi rzeczy przywiezione z Alp, łącznie z konsolą do *Work a Dream*. Nie muszę więc ryzykować, wracając do mieszkania Tobiasza i Doroty, którzy pewnie od razu zatrzymaliby mnie i zadzwonili do Czaplowskiego. Janek jednak jadąc na przesłuchanie do Warszawy, zabrał tylko ubranie na zmianę, więc teraz spisuje mi na kartce listę rzeczy, które mam mu kupić. Oboje rozumiemy, że będzie lepiej, jeśli sprawunki załatwię sama, a on zostanie w samochodzie.

W głowie aż mi huczy, kiedy w pośpiechu krążę po sklepach. Trudno mi w tej chwili skupić się na czymkolwiek innym niż na myśleniu o Czaplowskim i decyzji, którą podjęłam. Kiedy więc dzwoni mój telefon, wszystkie ubrania, po które sięgnęłam, wypadają mi z rąk. Na ekranie komórki wyświetla się nazwisko policjanta.

Och nie! Tylko nie to! Wiem, że moje wyjście z komisariatu wymaga dokładniejszego wyjaśnienia, ale w tej chwili nie mam nic, nie posiadam żadnego barteru, który przekonałby wujka, że postępuję słusznie. Dlatego wyciszam telefon i chowam go do kieszeni. „Zajmę się tym później” – postanawiam. Chwilę potem zadaję sobie jednak pytanie: „Czy to jest właśnie «punkt bez powrotu»?”

Wszystkie ubrania dla Janka, po jakie sięgnęłam, wydają mi się nie w jego guście.

Trudno mi sobie wyobrazić, że kupiłby taki prosty, wełniany sweter, taką tanią bluzę, T-shirt z trywialnie zakomponowanym zdjęciem Nowego Jorku. Nie mam jednak czasu na konsultowanie z nim zakupów i wydaje mi się, że Janka kompletnie to nie obchodzi, ma teraz poważniejsze problemy na głowie niż logo na bluzie. Z siatkami pełnymi zakupionych rzeczy wracam do samochodu, gdzie on ustawia w GPS-ie nowy adres.

\*

Jedziemy prawie sześć godzin, podczas których szeroka autostrada zmienia się w wąską drogę, a zamiast liściastych lasów zauważam coraz więcej świerków i choinek. Pejzaż przeradza się w górzysty, płaskie dachy mijanych domów zostają zastąpione szpiczastymi, po obu stronach drogi dostrzegamy głębokie połacie śniegu.

Niewiele rozmawiamy, tylko przelotnie wspominam Jankowi o helikopterze, o konferencji prasowej i innych sprawach, które go ominęły. Mam jednak wrażenie, że jest już daleko od myśli o We Fly High i o nowej grze.

„Więc tak to jest, gdy wszystko się chrzani” – myślę. „Z taką pustką w oczach wtedy patrzy się na drogę, tak nieuważnie przytakuje się ruchem głowy”.

– Jesteśmy na miejscu, Miko.

Nie wiem, gdzie uciekł czas. Jeszcze chwilę temu zapadał zmierzch, a ja wpatrywałam się w okno, a teraz za szybą widzę ciemność, rozświetloną dwoma strugami reflektorów samochodu. Musiałam zasnąć, chociaż kompletnie tego nie pamiętam. Opieszale odpinam pas bezpieczeństwa.

Bieli się ściana podmurowanego, parterowego domu, przy którym stanęliśmy. Czuję ociężałość w ciele, kiedy wychodzimy na lodowatą noc, ciągnąc za sobą bagaże. Reflektory samochodu gasną, więc jedynym wyraźnym obrazem jest biel śniegu otaczającego dom. Z daleka słyszę szum strumienia albo małej rzeki, pohukiwanie puszczyka w głębi lasu, a potem zgrzyt klucza, który Janek obraca w zamku w drzwiach, uprzednio wyjąwszy go ze skrytki pod doniczką.

Światło zapala się, odsłaniając przestronny, nowoczesny salon z kominkiem. Ładnie tutaj. To drogi, elegancki dom, a nie żadna letnia działka. Na podłogach wyłożono ciemne drewno, z którym kontrastuje biel kanapy i mebli oraz czerwień dywanu. Nikt nie bywał tu od miesiący, co zauważam po grubej warstwie kurzu pokrywającej przedmioty. Rozpinam kurtkę, podczas gdy Janek kuca przy kominku i wkłada do niego szczapy drewna. Zawilgotniało, będzie trudno je podpalić.

– Uruchomię piec – obiecuje, bo zimno w domu sprawia, że nie mogę się zmusić do zdjęcia czapki ani rękawiczek. Patrząc na zmarznięte dłonie Janka, na niego schylonego nad drewnem. „Tak to jest, gdy się ucieka” – myślę. „Tak jest, gdy niszczy się czyjeś życie”. – Do jutra się nagrzej, a dzisiaj opalimy ten pokój kominkiem i razem będziemy spać tutaj.

Zaskoczona oglądam się na łóżko stojące pod oknem. Akurat tego nie wzięłam pod uwagę.

– Mogę spać na podłodze – dodaje Janek, wyczuwając moją konsternację.

Od razu myślę o *Bitwie o Io* i namiocie, w którym nocowaliśmy na jednym materacu.

– Nie musisz, daj spokój – odpowiadam jakimś nieswoim głosem. – Przecież łóżko jest duże.

Oboje jednak spoglądamy na nie z konsternacją.

Mróz narysował wzory na szybach chaty, a od środka, na parapetach, leży szron. Odstawiam walizkę, rozpinam kozaki.

– Rodzice mieszkają w Chicago – dobiega mnie głos Janka. Niesłusznie sądzi, że jestem załamana miejscem i warunkami, które mi zaoferował. – Nie miałem czasu zajmować się działką... Głupio mi, że nie mogę ci zaproponować lepszych warunków. W komodzie jest pościel.

Prześcieradło napina się jak żagiel, gdy nakrywam nim łóżko. Wygładzamy fałdy materiału, nakładamy czyste poszwy na poduszki. Janek w kuchni gotuje wodę na herbatę. Kiedy nie ma go w salonie, staram się myśleć o wszystkim, tylko nie o tym, że pościeliliśmy łóżko dla nas dwojga, że będziemy w nim spać. Razem.

Cisza przeciąga się, więc trochę nerwowo oglądam się na okno, za którym widzę tylko ciemność i pnie drzew, przecinające dziewiczy śnieg. Żal mi Czaplińskiego, który pewnie odchodzi od zmysłów, nie wiedząc, czy ma poinformować swoich przełożonych, co zrobiłam. Co im powie?

Że zatrudnił gówniarę, która zakochała się w kluczowym świadku, więc dla dobra chłopaka naraża śledztwo? Postanawiam, że z samego rana skontaktuję się z nim i wszystko sobie wyjaśnimy.

– Rano pojedziemy po produkty spożywcze. Dzisiaj mam tylko to. – Janek stawia na stole sucharki, po które łąpczywie sięgam.

W ciszy głośno dźwięczą kubki, odstawiane na szklany blat. Trzeszczy ogień w kominku, powoli obejmując szczapy drewna. Pokój wypełnia się wonią palonego drewna i ciepłem.

Janek chyba dopiero teraz uświadamia sobie, że to jego jedyny azyl. Nie może przecież wrócić do domu, więc prawdopodobnie najbliższe tygodnie aż do rozpoczęcia procesu sądowego spędzi tutaj. Już teraz widzę, że trudno mu to sobie wyobrazić. Wydaje mi się też, że to pierwszy raz od dawna, kiedy tak długo tkwi w realnym świecie, bez możliwości ucieczki z niego. I ten świat chyba już mu się kompletnie nie podoba.

Szuka czegoś po kieszeniach kurtki. Może chodzi o paczkę papierosów, ale jej nie znajduje, więc z rezygnacją siada na podłodze przy kominku i ogrzewa dłonie nad ogniem.

– Położę się – decyduję, żeby skrócić ten wieczór.

Zamykam drzwi do łazienki i odkręcam prysznic. Lustro odbija moją bladą, zmęczoną twarz. Jest tak późno, że powinnam szybko się wykąpać i wsunąć się do łóżka, ale powstrzymuje mnie myśl o Janku. O tym jednym łóżku. Przykładam się, by rozczesać włosy, trochę uważniej przyglądam się sobie w odbiciu lustra, przesuwam palcami po skórze ramienia, z którego zsuwa się koszulka pidżamy. Nie wiem, co takiego mam w oczach, więc po powrocie do salonu unikam spoglądania na Janka.

– Dobranoc – bąkam, zsuwając ze stóp wełniane skarpetki.

– Dobranoc, Miko.

Pościel okazuje się sztywna i zimna, gdy się w niej kładę. Szybko zamykam oczy

i słyszę szcęk drzwiczek od kominka, a potem szum prysznic w łazience i w końcu wyczekiwane przeze mnie kroki. Momentalnie rozchyłam powieki. Kiedy Janek gasi światło, zapada totalna ciemność, tak gęsta, że nie potrafię dostrzec żadnych kształtów, nawet tych położonych najbliżej. Czuję za to niemal wszystko: zapach dymu, którym przeniknęła skóra Janka, woń szamponu w jego świeżo umytych włosach, nikłą woń męskich perfum, których nie zmył prysznic.

Materac delikatnie ugina się w miejscu, gdzie Janek się układa. „Więc tak to jest leżeć przy nim” – myślę. Tak jest, gdy on zasypia. Całe moje ciało, cała ja jestem jak sparaliżowana jego bliskością. Czuję coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłam z nikim – to nie tylko bliskość fizyczna z Jankiem, ale jakiś rodzaj więzi, przynależności do siebie. Zamiast odpoczywać, wpatruję się we fragment nieba, usianego gwiazdami, widoczny między firanami w oknie. Patrzę w nie tak długo, aż staje się jasne, że o śnie nie będzie mowy.

Powinnam być mądrzejsza i zamknąć oczy, o nic nie pytając. Tymczasem przekręcam się na bok, twarzą do Janka, i pytam szeptem:

– Śpisz?

On robi to samo. W ciemności błyszczą jego oczy.

– Jasne, że nie, Miko. Nie wiem, jak miałbym przy tobie zasnąć.

Ręce mam wciąż lodowate, kiedy dotykam jego ręki. Bum-bum bum-bum wali moje serce. Wydaje mi się, że w ciszy słyszę też stukot serca Janka, chociaż to raczej niemożliwe. Czuję ciepło jego oddechu na moim czole, a potem na ustach. Nigdy w życiu nie byłam z nikim tak blisko. Mam zawroty głowy: z lęku i z pragnienia, jakim jest dla mnie Janek. Odczuwam ulgę, gdy przyciąga mnie do siebie, a jego wargi dotykają moich ust. Całuje mnie i wydaje mi się, jakby świat pograżył się w chaosie. Zatracam się w ciepłe ciało, do którego lgnę, w pocałunkach, których nie potrafimy skrócić. Oplatam szyję Janka ramionami. Słyszę nasze oddechy: coraz cięższe, wstrzymywane. Czuję, że on próbuje pójść dalej, w jakimś momencie przewraca mnie na plecy i wsuwa dłoń pod moją koszulkę. Dla mnie to pierwszy raz, więc odruchowo go powstrzymuję. Puszcza mnie i patrzy pytająco.

– Nie odsuwaj się – proszę. Na nic więcej mnie nie stać, więc pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że Janek zrozumie.

Uśmiecha się, cofa ręce. Obejmujemy się tak mocno, że mam wrażenie, jakby wyciskał ze mnie powietrze i wdychał je. Czuję jego palce w moich włosach, gładzi mnie po głowie, jakbym była dzieckiem. Ogarnia mnie uczucie bezpieczeństwa, spokoju. Po raz pierwszy od dawna czuję, że buduję coś ważnego w realnym świecie.

Ogień wygasł. Minęła doba bez kontaktu z policją. Czaplński na pewno już namierzył sygnał mojej komórki i odkrył, czyj to dom, gdzie się znaleźliśmy. Aż boję się pomyśleć, co mu chodzi po głowie i jak bardzo musi mnie przeklinać.

W prześwicie między rzęsami obserwuję Janka, który zdążył się ubrać i teraz siedzi na szerokim parapecie okna, ze słońcem za plecami. Światło układa się kwadratami na mojej koszulce i na kołdrze, a dłonie Janka rzucają na moje ciało cień o kształcie ptaka. Uśmiecha się, poruszając rękami. Ja też się uśmiecham, a cień ptaka na mojej skórze trzepocze skrzydłami.

Po jego wyjściu jeszcze tylko chwilę leżę w ciepłej pościeli. Czuję rozkoszne uczucie szczęścia, powiązane z obecnością Janka, z tym, co się między nami wydarzyło. Potem wkładam kozaki na gołe nogi, na pidżamę zarzucam bluzę i biegnę na dwór.

Od progu uderza mnie siarczysty mróz. Wydaje mi się, że w dolinie, gdzie leży dom, temperatura spadła przynajmniej do dwudziestu stopni na minusie. Słońce powoli chowa się za chmury, a z gór zsuwa się mgła. Znajduję Janka w drewni przy domu, gdzie wybiera szczapy drewna na opał.

– Jak ci się spało? – Obejmuje dłońmi moją twarz i całuje mnie w usta na powitanie. – Zaraz pójde po zakupy do miasta. Umieram z głodu, a ty?

– Ja też. Pójde z tobą. – Przytrzymuję go, nie mogąc się nacieszyć, że to takie proste, że możemy wykonywać czułe gesty wobec siebie. Staram się nie myśleć o swoich kłamstwach, o tym, czego Janek o mnie nie wie. Jego oczy w świetle dnia wydają się pogodne i pełne optymizmu. Niewiarygodne jest to, co go czeka ze względu na proces.

– Pomogę ci – proponuję, więc nakłada mi do rąk kilka szczap drewna.

– Udźwigniesz tyle?

– Nie masz pojęcia, jaka jestem silna!

– Chyba w grze! – Znowu mnie całuje, a potem robi to jeszcze raz, już w domu, kiedy układamy drewno przy kominku. Za każdym razem moje zmysły się ożywiają, czując Janka smak, zapach, słysząc dźwięk jego głosu, widząc jego ciało blisko mnie.

W łazience przebieram się w gruby sweter i zimowe spodnie. Kaloryfery nareszcie nagrzały się na tyle, że dom zaczyna wydawać się ciepły.

Do miasta idziemy piechotą. Przedzieramy się przez zaspy śniegu, które sięgają mi kolan, a momentami tonę w nich po uda. To niesamowite, jak łatwo mogłabym tutaj zapomnieć o mediach, o koszmarze, który wypędził nas z Warszawy i o mojej misji dla policji.

Przez większość drogi trzymamy się z Jankiem za ręce i to też mnie zdumiewa, nie potrafię się przyzwyczaić do nowej sytuacji, do czułości, którą on mi okazuje w prostych gestach, takich jak poprawianie mojego szalika czy wytrzepywanie śniegu z kaptura mojej kurtki. Gdy spotkaliśmy się wczoraj, Janek sprawiał wrażenie, jakby stał na krawędzi, a teraz czuję, że stoi już na równiejszym, przyjaźniejszym podłożu.

– Zawsze chciałem cię zapytać, gdzie nauczyłaś się grać? – zagaduje, wymachując naszymi złączonymi dłońmi. – Mieliście w ośrodku dostęp do takich rzeczy, jak xbox czy komputery?

Źle wybrał pytanie. Już czuję znajome napięcie, jak zresztą zawsze, gdy ktoś, kto ma rodzinę, pyta o moje sieroctwo. Próbuję tego nie okazać, panuję nad niechęcią w głosie, gdy odpowiadam:

– To nie była noclegownia dla bezdomnych. Mieliśmy dostęp do wszystkiego, po co ty mogłeś sięgnąć w swoim domu.

– A gdzie jest twoja mama? Bo mówiłaś, że straciłaś tylko ojca.

– Ją też straciłam. Zostawiła nas. – Zdumiewa mnie, że udało mi się przywdziać lekki ton.

– Was? Czyli kogo? – Janek obraca się zaskoczony, a ja potykam się o konar ukryty pod śniegiem. Agnieszka Mika Domańska, której dokumentami się posługuję, nie ma



przecież rodzeństwa! Ależ ze mnie agentka! Pewnie nie ma dnia, kiedy Czapliński by się za mnie nie wstydził!

– Mnie i tatę. – Wybieram unik, a Janek na szczęście się tym zadowala.

Kawałek drogi wędrujemy w milczeniu. Słońce ledwie przebija się przez korony drzew, niebo wydaje się idealnie białe, zaciągnięte tak szczelnie mglistymi chmurami, że nawet nie potrafię zlokalizować kierunków świata. Słyszę szuranie naszych butów w śniegu. Zanim dojdziemy do pokrytej śniegiem polany, Janek zatrzymuje mnie, wskazując na coś znajdującego się kilka metrów przed nami. Kucamy wpatrzeni w sarną nieświadomą ludzkiej obecności.

– Nigdy nie byłem w takim miejscu, w jakim się wychowałam – szepcze Janek, a kiedy na niego spoglądam, odgarnia mi z policzka pasmo włosów. – Nie wiem, jak to jest. Nie mam pojęcia, o czym możemy rozmawiać, żebyś nie patrzyła na mnie, jakbyś chciała mnie zabić.

Śmieję się, chociaż to nie jest śmieszne.

– Po prostu uważam, że masz bardzo wiele – odpowiadam równie cicho i chcę go pocałować, ale się odsuwa.

– Wiele czego?

Źle to ujęłam, chciałam mu uświadomić, że mimo tego, co się wydarzyło, mimo nienawiści ludzi i wizji procesu, otrzymał od życia znacznie więcej niż ja. Prawdopodobnie dałabym się pokroić za wszystko, co Janek dostał ot tak, bez proszenia.

– Chodzi ci o to, że moi rodzice żyją, a twoi nie? Miko, czemu to mówisz?

– Nie powiedziałam tak. – Już czuję, że powietrze wokół nas gęstnieje.

– Ale coś przecież próbujesz mi powiedzieć?

Gdzieś w głębi serca wiem, że nie pasujemy do siebie, pochodzimy z zupełnie różnych światów i prawdopodobnie w innych okolicznościach, na przykład gdybyśmy chodzili do jednej szkoły, w żaden sposób nasze drogi by się nie zetknęły. Janek jest jednym z tych chłopaków, do których zawsze miałam dystans, uważając, że ma wszystkiego w nadmiarze. Tacy jak on mieli własne samochody, iPody, xboxy, stać ich było na markowe ubrania, umawiali się z najładniejszymi dziewczynami, a po szkole wracali do domów, do swoich rodzin, podczas gdy ja i mój przyjaciel Bartek skręcaliśmy w stronę pogotowia opiekuńczego. Minęło tyle czasu, a wciąż czuję nieprzyjemne mrowienie w brzuchu na wspomnienia tamtych chwil. Przypominam sobie, że dziewczyny w tym względzie były najgorsze, nieraz słyszałam od nich, że noszę ubranie, które ich rodzice podobno wyrzucili do śmietnika albo oddali dla ubogich. Najstraszniejsze jednak było to, że jeśli ktoś chciał mnie dręczyć, mógł to zrobić. Mógł posunąć się tak daleko, jak miał ochotę, bo nie było nikogo, kto by mnie obronił.

– To dla ciebie problem, że mam rodziców? – dopytuje się Janek, coraz bardziej zaskoczony.

– Nie powiedziałam tak! Ale... masz też brata, prawda? – Znowu mówię za mało i niewiele z tego wynika. Żałuję, że nie mogę użyć argumentu w postaci mojej siostry i opowiedzieć Jankowi, jak to jest, gdy traci się jedyną bliską osobę, ponieważ jej nowi rodzice chcą, by stała się dla nich córką, ale ciebie nie życzą sobie w jej nowym życiu.

„Co się ze mną dzieje?” – ganię się. „Janek nie zasłużył sobie na moją złość”.

Bezradnie patrzę, jak się podnosi, otrzepując ze śniegu spodnie.

– Zupełnie zapomniałaś dodać, że mam jeszcze psa i samochód, i kończyłem zajebiście dobry ogólniak – wyrzuca z siebie z żalem. – Nie mówiłem ci też, że na maturze otrzymałem świetne oceny i mogłem pójść na wybrane przez siebie studia, ale wtedy okazało się, że największy na świecie producent gier złożył mi propozycję nie do odrzucenia. Dziecko szczęścia ze mnie, prawda? Zapomniałaś też, że czeka mnie kilka lat więzienia, mam za sobą nienawiść społeczeństwa, a rodzice pierwsi uwierzyli w moją winę i dlatego są teraz w Chicago, zamiast być tutaj ze mną!

Ktoś inny potrafiłby zareagować, ale nie ja. Wstaję i idę za Jankiem, w myślach przygotowuję pytania o jego rodziców, o tę winę, w którą uwierzyli, ale w końcu brakuje mi odwagi, by spytać o cokolwiek.

– Wezmę konserwy, a ty wybierz bułki – proponuję ugodowo w sklepie, który okazuje się niewielkim budynkiem przy głównej ulicy.

Gorąco tutaj, więc Janek zdejmuje wełnianą czapkę i rozpiną kurtkę. Właścicielka sklepu, tęga kobieta, nie spuszcza z niego wzroku, od kiedy przekroczył próg lokalu. Podejrzewam jednak, że przyciągamy jej zainteresowanie tylko dlatego, że jesteśmy nowi w tej małej miejscinie. Nie wierzę, żeby naprawdę rozpoznała Janka.

Okrażamy regały, do koszyka wrzucamy produkty, na które mamy ochotę, a mamy ochotę niemal na wszystko, bo jesteśmy bardzo głodni.

– Twoi rodzice nie przyjechali? – Głos ekspedientki przerywa ciszę.

Obracam się i zauważam zmieszanie na twarzy Janka.

– Słucham? – pyta z niepokojem. – Moi rodzice? Chyba mnie pani z kimś myli.

Ona opiera łokcie o dzisiejszą gazetę lokalną.

– A skąd! Nikogo nie mylę! Masz przecież taką twarz, że trudno ją zapomnieć. Przyjeżdżałaś tu jeszcze w ubiegłym roku z rodzicami i z bratem. Pamiętam... pamiętam twoją mamę, zajmuje się rysowaniem komiksów. Mówiła, że masz po niej talent! I pamiętam twojego brata. Młodszy od ciebie. Miał wypadek.

– Naprawdę nie mam pojęcia, o czym pani mówi. – Janek obraca się tyłem do niej i znacząco spogląda na mnie. – Zapłacisz? Poczekam na zewnątrz. – Cofa się do drzwi tak szybko, że kobieta nie zdąża go zatrzymać. Po jego wyjściu to na mnie zawiesza więc wzrok.

– Nie opowiadał ci? – pyta, gdy się do niej zbliżam i podaję koszyk z produktami.

– Jesteś jego dziewczyną?

Nie odpowiadam, ale jej to nie przeszkadza.

– Jego brat wybrał złą górkę! – wspomina. – Zjechał na sankach prosto w świerk. Pamiętam krew rozlaną wokół drzewa! Wyglądało fatalnie. Byłam zdziwiona, jak się dowiedziałam, że chłopiec przeżył. Poważnie ucierpiał. Rodzice pewnie zabrali go do jakiejś kliniki? Podobno ktoś z Ameryki zapłacił za jego leczenie, pokrył koszty operacji. Na stałe mieszkają w Stanach Zjednoczonych. To prawda?

– Nie wiem. – Unikam jej spojrzenia. Nie rozumiem, dlaczego przed oczami mam Zoję, gdy ćwiczyła ze mną walkę na Tytanie i wspominała, że Janek zawdzięcza coś Saint Francisowi. Czy to możliwe, że szef We Fly High pokrył leczenie brata Janka? Kto inny mógł to zrobić? Kogo byłoby na to stać?

Za zakupy płacę swoimi pieniędzmi, nie chcąc dodatkowo obciążać Janka w razie, gdyby się okazało, że policja zablokowała mu konto. Kiedy wychodzę ze sklepu, ulica zalana jest światłem słońca, które znowu przebiło się przez chmury. Janek zabiera mi siatki z rąk, chyba wdzięczny, że o nic nie pytam, a kilku nastolatków, którzy palą papierosy po drugiej stronie ulicy, uważnie nas obserwuje.

W domu, w kuchni przygotowuję śniadanie i wprost nie mogę się doczekać, aż je zjemy. Przy stole staramy się nie wpychać do ust całych potężnych kawałków pieczywa. Rwiemy pachnącą, spieczoną skórę chleba. Każdą cząstką swojego ciała pragnę zjeść jak najwięcej. Śmiejemy się, bo gdyby ktoś nas teraz zobaczył, pomyślałby, że jesteśmy parą dzikusów, którzy nie jedli od tygodnia.

Po śniadaniu Janek znajduje stary szkicownik w jednej z szuflad komody. Rysunki rozkłada na drewnianej podłodze.

– To twoje? – upewniam się. – O rany, są świetne! Czemu nie mówiłeś, że rysujesz?

– Bo już rzadko to robię. Ciągle brakuje mi czasu, od kiedy gram dla We Fly High.

Wodzę palcami po komiksowych szkicach superbohaterów, których stworzył. Podoba mi się śmiała kreska, z której wyprowadził zarysy twarzy dziewczyny. Obrysowuję palcem jej grzywę i długie, ciemne włosy.

– To Jade – wyjaśnia Janek. – Poznaliśmy się w mojej pierwszej grze, gdzie byłem Opiekunem. W *Podwodnym świecie*. Tam też poznałem Marsię.

– A to?

– Joseph. – Janek zabiera mi rysunek i patrzy na niego, uśmiechając się do wspomnień. – Poznaliśmy się na konwencji fanów gier komputerowych w Londynie. To on przedstawił mnie Saint Francisowi. – Rozsuwa palcami kartki na podłodze, odsłaniając inne rysunki, wszystkie równie dobre, przedstawiające portrety ludzi.

To, o czym mówi, to inny świat. Świat, który ukształtował Janka, sprawił, że jest właśnie taki, a nie inny, że mimo wszystko, co się stało, wyczuwam w nim dobroć, coś, co sprawia, że jestem z nim tutaj, chociaż powinnam być gdzie indziej.

Uśmiecham się, a potem poważnieję, bo jak to bywa z większością złych rzeczy, nie jestem przygotowana na to, żeby za jakiś czas stracić Janka. Kiedy na niego patrzę, pochyla się nad rysunkami, więc moje spojrzenie bezkarnie obiega jego twarz, dłonie, patrzę na długie, silne palce, wodzę spojrzeniem po pogniecionym ubraniu, które mu kupiłam. Myślę o jego rodzicach, o wypadku jego brata. Zastanawiam się, jaki Janek musiał być jako dziecko, i wydaje mi się, że nie sprawiał nikomu kłopotów, pewnie starał się zadowolić ludzi wokół siebie, był dobrym synem i dobrym bratem, więc teraz jest tym bardziej zagubiony, będąc obiektem nienawiści. Słowa, których się kompletnie nie spodziewałam, szeptem opuszczają moje usta:

– Kocham cię.

Przez chwilę wydaje mi się, że sobie to wyobraziłam. Bo to nie ja powinnam powiedzieć takie słowa pierwsza. Zapada cisza, w której rosną moje obawy. Wiem, że Janek mi odpowie, na pewno to robi, choćby z grzeczności. Takich słów nie wolno przecież pominąć milczeniem. Jestem okropnie na siebie zła, że sprowokowałam go do tego, że nie udało mi się trzymać języka za zębami.

Patrzę napiętym wzrokiem, kiedy sięga po moją dłoń i obraca ją wnętrzem do góry. Pisze coś palcem po mojej skórze. Odczytuję litera po literze, a moja złość cichnie, aż staje się nieważna, tak samo jak bez znaczenia wydają się teraz wszystkie przeszłe, złe chwile, w których czułam się niepotrzebna, niekochana i samotna.

„Tak właśnie wygląda punkt bez powrotu” – myślę, odczytując wyznanie, napisane palcem na mojej dłoni.

Dźwięk tłukącego się szkła rozlega się późnym popołudniem, akurat, kiedy las zostaje nakryty długim cieniem nocy. Podrywamy się z podłogi przed kominkiem, gdzie próbowaliśmy zabić czas, grając w grę w rodzaju „państwa i miasta”, tyle że z podziałem na typy gier internetowych, filmów i utworów muzycznych – trudno nam przestawić się na świat bez sieci.

– Zostań! – Janek chwyta mnie za rękę, gdy chcę podbiec do drzwi sypialni, zza których dobiegają dźwięki. – Stój tu, do licha!

Słyszę głosy ludzi z zewnątrz:

– ...szlag by!

– Sukinsynu!

Czuję ziąb przesuwający się po podłodze, wiatr wdziera się do środka domu. Jestem przekonana, że ktoś próbuje wejść do pokoju, ale kiedy Janek otwiera drzwi, uświadamiam sobie, że to tylko kamień, który wrzucono przez okno. Na podłodze leżą kawałki szkła i śnieg.

Zbliżam się do szyby i obserwuję grupę nastolatków, którzy przeskakują płot i znikają nam z oczu. To ci sami, którzy obserwowali nas w mieście. Myślę, że musieli iść za nami przez las... Chciałabym poczuć gniew albo nienawiść, ale czuję jedynie żal. Janek trąca butem kamień, obraca go na tyle, byśmy mogli dostrzec nabazgrany na nim napis: „GIŃ!”.

– To tylko głupi ludzie – odzywam się cicho. Boję się tego, co on może czuć, więc próbuję przekierować jego emocje na konstruktywne działanie. – Trzeba zabić okno deskami. Gdzieś tu widziałam latarkę...

Latarką w garażu oświetlam półki i zaglądam do stojących tam pudełek, podczas gdy Janek w milczeniu znajduje gwoździe oraz kilka desek. Wystarczy, by zakryć okno, jednak to mała ochrona przed mrozem. Staje się jasne, że nie będziemy mogli tutaj zostać. Bez słowa porozumienia zaczynamy więc pakować rzeczy.

Zło czai się na zewnątrz i wiem, że powinniśmy stąd jak najszybciej odjechać. Dzisiaj przyszła grupa nastolatków, ale za chwilę mogą się o nas dowiedzieć ich rodzice, dziennikarze albo zdesperowani ludzie, pragnący na własną rękę wymierzyć sprawiedliwość.

– Powinnaś wrócić do domu. – Wiedziałaś, że Janek w końcu to powie. Wybrał moment, kiedy zamykam kluczem drzwi. Obracam się i patrzę na niego, marszcząc czoło. Jest zmartwiony, ale stara się tego nie okazać, bagatelizująco wzrusza ramionami. – Odwiozę cię na dworzec PKP i poczekam z tobą na pociąg.

– A ty? Gdzie będziesz, kiedy wrócę do Warszawy?

– Nie wiem – przyznaje. – W podróży. W jakimś hotelu. Poradzę sobie, nie musisz się o mnie martwić. Nie jestem dzieckiem.

Chowam klucz w miejsce, gdzie go znaleźliśmy, i idę za Jankiem do samochodu. Próbuję sobie wyobrazić, że wracam do stolicy, a Janek znika z mojego życia. Tak powinno się stać, właśnie to należy zrobić. O jego losach będę się dowiadywać z telewizji, z gazet i z Internetu. Kiedy jednak próbuję skupić myśli na pociągu, którym odjadę sama, za jego drzwiami napotykam wyłącznie pustkę i strach, do których wszystko się sprowadzi. Nie chcę tego przeżyć!

Wsiadam do środka i w bocznym lusterku samochodu obserwuję letnią willę, która zostaje w tyle. Jesteśmy już na rozwidleniu dróg, z których jedna prowadzi do centrum miasteczka, a druga w dalszą trasę. Janek wrzuca kierunkowskaz, ustawia się na pasie do skrętu w stronę miasta, gdy układam dłoń na jego ręce.

– Nie tam, Janku. Pojadę dalej z tobą.

– Nie musisz, naprawdę – powstrzymuje mnie. – Wszystko w porządku. Tak będzie lepiej dla nas obojga, uwierz!

– Przeciwnie, muszę. – Zaciskam palce na jego dłoni.

I zawracamy z wyznaczonej trasy.

Czuję się niespokojna, mam wrażenie, że gdziekolwiek się udamy, wszędzie będzie tak samo.

Jedziemy długo, aż napotkamy po drodze niewielki motel. Senna recepcjonistka podaje nam klucz do pokoju. Idziemy tam długim, brzydkim holem, gdzie zrolowana wykładzina utrudnia mi prowadzenie walizki. W pokoju na szczęście jest tylko jedno łóżko, co przyjmuję z ulgą, bo ani tej nocy, ani już żadnej innej nie chciałabym spać sama.

Nie ma sensu się rozpakowywać. Nie spędzimy tu wiele czasu. Na łóżko rzucam rzeczy na zmianę, a z torby, do której spakowałam produkty spożywcze, wykładam te na dzisiejszy wieczór. Dałabym wiele, żeby wiedzieć, o czym Janek myśli i co chodzi mu po głowie, kiedy stoi przy oknie, wpatrzony w miasto rozciągnięte za motelem. Gdybym tak mogła wnikać do jego mózgu i pochować wszystkie złe myśli, rozplątać pajęczynę zmartwień, wydobyć na wierzch nadzieję. Oplątam go ramionami i przytulam policzek do jego pleców. Po chwili czuję, jak nakrywa dłońmi moje ręce.

Z ulicy dochodzi szum ciężarówek gnających po przelotowej trasie, położonej przy motelu. Dobiega nas czyjś śmiech, brzęk rozbijającej się butelki, ochryple wołanie. W ciemności słyszę cichy głos Janka.

– Wiesz, chciałbym...

Nie kończy ale i tak wiem, co próbował powiedzieć. Że chciałby, aby to wszystko wyglądało inaczej, abyśmy mieli przed sobą więcej czasu, żebyśmy mogli wyjść z hotelu frontowymi drzwiami, umawiać się na spotkania, bywać między ludźmi, żyć jak nasi inni zwyczajni znajomi.

- Co to jest? Nigdy cię w czymś takim nie widziałem.
- Kupiłam ją w Paryżu.
- Musiała być okropnie droga?
- I była. Nie podoba ci się?
- Bardzo mi się podoba!

Śmieję się, bo Janek, zamiast ubrać się do wyjścia, oplata mnie ramionami. Czuję jego usta na moim policzku, odgarnia mi włosy z szyi, dotyka wrażliwej skóry przy obojczyku. Rozchyłam powieki i dostrzegam lustro, które nas odbija. Wydaję się niska przy Janku, zauważam jego spojrzenie, biegnące po moich uszminekowanych na czerwono ustach i rozczesanych włosach. Do jego oczu wkrada się nieśmiałość, gdy próbuję go pocałować. Zostawiam czerwony ślad na jego skórze, który zaraz ścieram palcem.

– Nie mówiłaś, że jest okazja do świętowania, a przecież tak ładnie się ubrałaś. Co to za specjalny dzień, Miko?

„Urodziny mojej siostry” – odpowiadam mu w myślach, a na głos mówię:

– Nie ma okazji. Po prostu chciałam włożyć tę sukienkę przy tobie.

Całuje mnie, więc potem i tak jeszcze raz muszę umalować usta.

Niebo nad miastem ma odcień ultramaryny. Ledwie wychodzimy przed motel, gdy Janka dłoń znajduje moją rękę. Śnieg chrzęści pod naszymi butami. Miejscowość, do której trafiliśmy, jest tak mała, że nie sędzę, by kogokolwiek tutaj obchodziły wiadomości z Polski.

W centrum miasta znajdujemy jeden jedyny pub, w dodatku tani i można w nim zamówić tylko piwo. Od chwili jednak, gdy przekraczamy próg lokalu i zagłębia się w głośną muzykę i wesołe głosy ludzi, wraca poczucie normalności, a media, proces i niepewność stają się jakieś nierzeczywiste.

– Chodź, Janek, coś ci pokażę! – decyduję po kolejnej nieudanej próbie dodzwonienia się do Nikoli z łazienkowej kabiny.

Podejrzewam, że moja siostra świętuje urodziny z nowymi rodzicami, a telefon zostawiła w sypialni. Nie ma w tym nic złego, przecież nie musi ciągle o mnie pamiętać. A jednak to boli.

Schylamy się z Jankiem, żeby przejść pod girlandą świątecznych ozdób, którymi oddzielono miejsce do tańca od miejsca do siedzenia.

– Dokąd mnie prowadzisz? – pyta i wyczuwam jego opór, gdy zaczyna pojmować mój plan. – Daj spokój, nie ma mowy! Nie jestem w tym dobry!

– Są rzeczy, których jeszcze nie robiliśmy razem! – Z uporem, za rękę wiodę go między tańczącymi parami. Napotykam spojrzenia chłopaków i mężczyzn, ślizgające się po mojej białej sukience, po nogach i odsłoniętych ramionach. Przystaję na środku parkietu w chwili, gdy muzyka zmienia się na balladę.

– Mika, to naprawdę kiepski plan! – protestuje Janek, ale zauważa spojrzenia tamtych chłopaków i milknie. Kiedy przenosi wzrok na mnie, układam dłonie na jego ramionach.

Dziwne uczucie: tyle razy walczyliśmy razem w grze, opatrywaliśmy sobie rany, planowaliśmy różne akcje, ucieczki, a pierwszy raz mamy ze sobą zatańczyć!

Przytulam czoło do jego nieogolonego policzka. Bajkowa wydaje mi się sceneria wokół nas – unoszące się pod sufitem balony, świąteczne światełka. Czuję dłonie Janka na mojej talii. Z ust wyrywa mi się śmiech, kiedy Janek obraca mnie z wprawą, która zaprzecza jego słowom. Przygarnia mnie z powrotem do siebie, więc wspinam się na palce i kładę rękę na jego karku. Z bliska spoglądamy sobie w oczy. „Więc tak to jest być kochaną przez niego” – myślę. Tak to jest, gdy jego oczy rozbłyskują na mój widok, gdy potrafię go uszczęśliwić. Jest cudownie, niemal idealnie, ale gdzieś z tyłu głowy wciąż mam obawę przed tym, co może się stać, gdy Janek zostanie rozpoznany. To dlatego wolałabym już wrócić do pokoju.

– Dziękuję – mówi, dotykając ustami mojej skroni.

– Za co? – Nie rozumiem i patrzę niepewnie, jakbym jeszcze nigdy nie słyszała takich słów.

– Za to. Za wszystko.

Wtedy czuję, jakby imadło ścisnęło mi klatkę piersiową.

Wracamy trochę pijani, zartując i przytulając się do siebie. Janek ma problem z włożeniem klucza do zamka w drzwiach. Ledwie przekraczamy próg, gdy wyczuwam zimno w pokoju.

– Zostawiliśmy otwarte okna? – pytam zdziwiona, bo kompletnie tego nie pamiętam.

Janek trochę chwiejnie kieruje się w stronę balkonu.

– Nie wiem, może. Nie pamiętam.

Drzwi na taras są otwarte, wiatr targa firanę. O coś się potykam – to moje rzeczy wyrzucone z walizki na dywan. Nieruchomieję, uświadamiając sobie, na co patrzę. Janek zapala światło. Wszędzie widzę białe ptasie pióra, które podrywają się, gdy podmuch wiatru wpada do pokoju. Zauważam, jak gaśnie blask w oczach Janka, gdy on też pojmuję, co się stało. W tej samej chwili dostrzega coś za moimi plecami i jego twarz się zmienia. Obracam się. Patrzę na drąg oparty o ścianę. Wydaje mi się, jakby pokój został nakryty długim, mrocznym cieniem.

– Przepraszam... – dobiega mnie głos Janka i pierwszy raz, od kiedy wyruszył ze mną w tę podróż, mam wrażenie, jakby spadła z niego maska, i wreszcie widzę go takiego, jakim jest naprawdę w tej sytuacji. Jest załamany. Zaczyna zbierać moje rzeczy z podłogi, więc proszę, żeby przestał, przekonuję, że sama to zrobię. Zapewniam, że najważniejsze, że nam się nic nie stało, wszystko inne nie ma znaczenia.

– Mylisz się – odpowiada, przekładając rzeczy na łóżko.

Coś ściska mi gardło, bo Janek patrzy na drąg i pewnie myśli o tym, co by się wydarzyło, gdybyśmy dzisiaj wieczoru zostali w hotelowym pokoju, zamiast bawić się w pubie. I wini siebie, podczas gdy nie wie, że powinien winić mnie.

– Nie wiem, co powiedzieć – mówi z takim żalem, że kucam przy nim i przytulam twarz do jego ramienia. – Tak mi przykro, tak okropnie mi przykro, że w tym uczestniczysz!

Nad ranem, gdy tylko jest w stanie już prowadzić, przenosimy się w nowe miejsce.

Następny motel, w którym się zatrzymujemy, wydaje mi się podobny do poprzedniego. Łóżko ma plamy na materacu, tapeta na ścianach została przyklejona tak krzywo, że kwiatowy wzór zachodzi na siebie, lustro w łazience jest pęknięte przez sam środek. Minęły ledwie trzy dni, a ja przyzwyczajam się do niemal identycznych pokoi, gdzie na ścianach wiszą reprodukcje górskich pejzaży, a łazienki prawie zawsze są wyłożone białymi kafelkami.

Śniadanie jemy w tanim barze. Janek nie podnosi wzroku na kelnerki i nie ma ochoty na rozmowę, póki nie znajdziemy się sami. Wydaje mi się, że kończą mu się pieniądze, ale kiedy go o to pytam, zapewnia, że to nieprawda. Łatwo jednak wpada w podły nastrój.

– Dlaczego jej nie szukasz? – pyta w pokoju hotelowym, wertując czasopismo, które zabrał z holu. – Przecież to bez sensu, twoja matka jest jedyną osobą spokrewnioną z tobą, która ci została. Powinnaś ją znaleźć.

– Niby do czego miałyby być mi teraz potrzebna? – zdumiewam się, od razu obronnie najeżona.

– Mówiłaś, że chorowała. Ludzie przecież robią różne rzeczy, których potem żałują.

– Ona nie żałuje, skoro do dzisiaj się do mnie nie odezwała! – Nie udaje mi się ukryć nuty rozpaczony w głosie. Sięgam po paczkę ciastek i mam ochotę rzucić nimi w Janka, gdy pyta:

– Może nie wie, że jej potrzebujesz?

Co Janek może wiedzieć o wychowywaniu się bez matki? Jestem tak zła, że najchętniej wszystko bym mu opowiedziała. Pamiętam, jak to było, gdy mama odeszła, i aż za dobrze przypominam sobie tygodnie poprzedzające jej decyzję, kiedy chorowała i głównie leżała w łóżku, niezdolna, żeby zainteresować się mną czy Nikołą. Byłam starsza, więc zdawałam sobie sprawę z tego, co się dzieje, ale moja siostra naiwnie biegła z rana do pokoju mamy i wspinała się na jej łóżko. Serce mi się ścisza, kiedy przypominam sobie, jak po mamy wyjeździe stawała w oknie, wyczekując jej powrotu. Jeszcze gorzej mi się robi, kiedy wspominam chwile po śmierci taty, w których czekałam na wiadomość od mamy, licząc, że zabierze mnie i Niki do siebie, że nie będziemy musiały zostać w pogotowiu opiekuńczym. Mijały dni, a ona się po nas nie zgłaszała, aż stało się jasne, że tego nie zrobi.

– Nie potrzebuję jej! – odpowiadam gniewnie, zalewając nam herbatę w kubkach. Boli mnie, że Janek trafił w sedno: mama wyrządziła mi wiele złego, a mimo to przyjąłabym ją z otwartymi ramionami.

– Czemu nie chcesz ze mną o tym rozmawiać? – Odkłada na bok czasopismo i wsuwa ręce za głowę, opierając się o ścianę. – Myślisz, że skoro nie byłem bity, wykorzystywany seksualnie, rodzice mnie nie porzucili i nie wychowywałem się w rodzinach zastępczych, to nie zrozumieć, co mówisz?

Spoglądam mu w oczy i widzę, jaki jest niewyspany, ziemiście blady, zmęczony do granic możliwości przez bezsenne noce, podczas których głównie słucha muzyki na iPadzie, próbując oderwać się od zmartwień i nieświadomie odseparowując się też ode mnie. Robi mi się żal Janka, bo opowieść o mojej przeszłości wymaga również opowieści



o mojej siostrze, a tego nie mogę mu dać.

– Wcale tak nie uważam – bąkam na odczepnego, przybierając jednak łagodniejszy ton. – Herbata ci stygnie.

Zaciskam powieki, bo dałabym teraz wszystko za to, żeby usłyszał ode mnie prawdę, żebym mogła mu opowiedzieć chociaż o mojej siostrze.

Z westchnieniem przyciąga sobie krzesło do stołu.

– Wkurza mnie, jak to robisz! – informuje.

– Jak co robię? – Patrzę na niego, marszcząc brwi.

– Traktujesz mnie jak idiotę tylko dlatego, że nie mieszkałem jak ty, w domu dziecka!

– W pogotowiu opiekuńczym – poprawiam go i zaraz mam ochotę cofnąć te słowa. Pod spojrzeniem Janka wyczuwam, że jego cierpliwość też jest na wykończeniu. Staram się to załagodzić, tłumacząc: – Mówiłam ci, że to było pogotowie opiekuńcze, czyli miejsce, gdzie się trafia po interwencji policji, po ucieczce z domu albo kiedy giną rodzice i nie wiadomo, co zrobić z dzieckiem!

– Okej, pomyliłem się! – Unosi głos, bo nieświadomie zrobiłam to samo. – Co za różnica? Czemu się czepiasz, do cholery?

Gryzę się w język, żeby nie wytknąć Jankowi, że różnica jest gigantyczna i sam zdawałby sobie z niej sprawę, gdyby przeżył to, co ja.

Kiedy trafiłam do pogotowia opiekuńczego, pielęgniarka zabrała moje ubranie i kazała mi wziąć kąpiel. Pamiętam zażenowanie, które odczuwałam, ponieważ została ze mną w łazience, więc to przy niej miałam się umyć, a już wtedy byłam na tyle duża, by wstydzić się pokazywać swoje ciało. Oglądała mnie uważnie, zrobiła obdukcję skóry, włosów, rąk, paznokci – chciała się upewnić, czy byłam dobrze traktowana w domu, czy nie mam na ciele śladów przemocy. Oczywiście nic nie znalazła, ale z innymi dziećmi, które trafiały do pogotowia, było inaczej. Przypominają mi się ich siniaki i wybroczyny, nerwowe gesty, kiedy kryły głowy w rękach albo kuliły się w sobie na dźwięk głosów dorosłych ludzi. Myślę o nich, gdy na skórze Janka zauważam bliznę na przedramieniu, trochę powyżej kolorowych rzemyków, które Janek od jakiegoś czasu wiąże wokół nadgarstków.

– Co to? – pytam, próbując obrócić jego rękę. W półmroku mało co widzę, ale wydaje mi się, że blizna jest zaogniona, świeża. – Gdzie się skaleczyłeś?

– Nie wiem, może przy drewnie. – Zabiera dłoń, właściwie wyszarpuje mi ją z ręki, co mnie zaskakuje.

Chwilę później próbuje załagodzić sytuację. Podnosi moją koszulkę, palcami kreśli kółka na mojej skórze.

– Początek twojej historii. – Uśmiecha się, kładąc rękę na moim pępku.

Wiem, że pragnie się do mnie zbliżyć. Ja też bardzo tego pragnę. Nasza nagość coś by oznaczała, głównie to, że sobie ufamy, że jesteśmy wobec siebie absolutnie szczerzy. Pewnie dlatego jeszcze do tego nie doszliśmy.

Czuję usta Janka na moim ramieniu. Śmieję się i odpowiadam pocałunkiem złożonym blisko jego ucha. Znowu się uśmiechamy. Mam wrażenie, jakby każda chwila przechodziła płynnie w następną. Jestem teraz szczęśliwa. On jest szczęśliwy.

Chciałabym, żeby mnie poprowadził dalej, ale przecież to ja nie mam doświadczenia w miłości, więc powinnam dać mu sygnał, czy chcę i jak daleko możemy się posunąć.

Przeszkadzają nam ubrania, więc ściągam z niego T-shirt, odpinam guzik jego dzinsów i sięgam do zamka. Pragnę go. Pragnę tego, co mogłoby się stać. On pragnie mnie. Czuję, jak bardzo. Ale okropnie się boję. Jestem oszustką, bo Janek mi ufa, ale nie zna prawdy o mnie. Gdyby ją znał, może wcale by go ze mną nie było?

– Jesteś pewna? – pyta, czując, że się wycofuję, i chyba stara się ukryć rozczarowanie.

– Tak. Nie powinniśmy...

Czeka, żebym powiedziała coś więcej, jakoś to uzasadniła. Jestem mu to winna. Nie mogę jednak tego zrobić.

– Okej – stwierdza z westchnieniem i kładzie się na plecach, odsuwa się ode mnie. Potem jednak zwycięża jego dobroć, chęć znalezienia we mnie kogoś, kim sądzi, że jestem, więc przysuwa się bliżej i przytula mnie do siebie.

Teraz też jest przyjemnie, chociaż w inny sposób. Lubię leżeć przytulona do niego. Lubię, gdy rozgarnia pasma moich włosów. Przez ostatnie lata nie zdarzało mi się zaznać wiele dotyku, więc teraz łatwo się uzależniam od bliskości. Trochę mnie to martwi. Nie chcę być jak jedna nastolatka z pogotowia opiekuńczego, z którą przez jakiś czas dzieliłam pokój. Przywieziono ją po interwencji policji w jej domu. Nie wiem, co dokładnie tam się wydarzyło i co zaniepokoiło policję, w każdym razie dziewczyna w pogotowiu zasłynęła jako puszczalska. Za dotyk dłoni na policzku, za czułe słowa i miły gest pozwalala się dotykać starszym chłopakom. Robiła też o wiele więcej, chociaż wtedy nie miałam pojęcia, co takiego. Teraz, kiedy śpiam w jednym łóżku z Jankiem, tamte sprawy są dla mnie bardziej oczywiste.

W dzień wybieramy prosty górski szlak, który jednak okazuje się wyczerpujący z powodu śniegu i oblodzonych kamieni. Słońce pnie się po niebie, podczas gdy zdyszani, z zaczerwienionymi policzkami pokonujemy ostatnie metry dzielące nas od szczytu. Opowiadam Jankowi o lodowcach, które znajdują się w grze *Tytan*.

– Gdyby można to nagrać i pokazać, jaki piękny jest świat *Work a Dream!* – dodaję, łapiąc go za rękę, żeby wejść na zalodzony potężny głąz.

– Czemu uważasz, że nie można? – Puszczą mnie i przesuwają się w stronę przepaści. – Znam chłopaka, który potrafiłby stworzyć do tego aplikację.

Jest tak, jakby w jednej chwili pękła pod nami ziemia. Słowa same zaczynają pchać mi się na usta, kiedy dociera do mnie, co usłyszałam:

– Co ty mówisz? Przecież gdyby to było możliwe, aplikacja na pewno byłaby już na rynku i ludzie oszaleliby na jej punkcie! Kto nie chciałby mieć zdjęcia na wirtualnym księżycu?

Jednocześnie czuję, jak zaczyna mi walić serce. Słyszę napięcie w swoim głosie, gdy zadaję najważniejsze pytanie:

– I co to za chłopak, który umiałby zrobić coś, czego nie potrafią ludzie z *We Fly High*?

– *We Fly High* po prostu nie pracują nad tym! – Janek skupia się na ustawieniu parametrów w aparacie fotograficznym komórki. Siada na głazie i spuszcza nogi

w przepaść. – Staszka znam od dzieciństwa, to prawdziwy geniusz! Firmy zwariowałyby na jego punkcie, gdyby się dowiedziały o jego istnieniu!

– Gdzie znajdę jego adres? – Udaję, że to żart. Nawet udaje mi się uśmiechnąć.

– W moim notesie, w domu – odpowiada i ogląda się na mnie, marszcząc brwi.

Usiłuję wyobrazić sobie, że wykorzystuję tę wiedzę i dzwonię do Czaplińskiego. Przez moment rozpała się we mnie nadzieja, wręcz pochłania mnie to, co mogłabym zrobić. Odzyskałabym zaufanie policjanta, znowu widziałby sens mojej misji! Potem jednak przychodzi otrzeźwienie. Przecież Janek by mnie znienawidził, a aplikacja do zatrzymania chwil w *Work a Dream* prawdopodobnie byłaby początkiem końca tej technologii. Byłaby też początkiem końca dla nas. Zauważam jego spojrzenie ślizgające się po mnie, nagle zdystansowane. Zaniepokoiłam go? Coś podejrzewa?

Boję się wysokości, a jednak dokonuję heroicznego dla mnie czynu i przesuwam się do Janka. Siadam przy nim na głazie i staram się nie zwracać uwagi na lęk, który mnie ogarnia, gdy pod butami mam dziesiątki metrów powietrza.

– Fajnie, co? – Janek odgarnia mi pasma włosów z twarzy. W jego ruchach znowu pojawia się czułość. Obejmuje mnie, więc przytulam twarz do jego kurtki i żałuję, że powiedział mi o Staszku, o możliwości stworzenia aplikacji, ponieważ nie potrafię teraz przestać o tym myśleć.

A w nocy śni mi się Tytan: pustynię skuł lód, po którym ślizga się policyjny radiowóz. Przysyłaniem dłonią oczy i nie mogę uwierzyć, że to mój tata bawi się, kręcąc koła po lodzie.

– Tato! – wołam szczęśliwa, że go widzę. Radość mnie rozpiera, kiedy tata zatrzymuje przy mnie auto.

I nagle lód zapada się pod moimi nogami. Wszystko się zmienia – już nie jestem z tatą na Tytanie, teraz tonę w rzece. Woda jest ciemna, brunatna. Kiedy nurkuję, dostrzegam kawałki roślin, żwir i śmieci unoszące się przy dnie. Rozpaczliwie walczę, by się wychylić na powierzchnię, ale jest za późno. Moje nogi uderzają o dno...

Budzę się gwałtownie, z wrazeniem, że coś przegapiłam.

– Która godzina? – pytam, widząc, że pali się światło, a Janek coś robi w telefonie.

Nie odpowiada, więc unoszę głowę i jak grom z jasnego nieba spada na mnie świadomość, że to mój telefon leży na Janka kolanach.

– Odpowiedz na jedno moje pytanie – zwraca się do mnie lodowatym tonem, jakiego nigdy jeszcze nie słyszałam. – Pracujesz z policją?

Czuję pustą przepaść w żołądku.

– Joseph miał rację, to ty podałaś glinom jego nazwisko – ciągnie Janek, a jego spojrzenie ślizga się od jednego mojego oka do drugiego i nie ma w nim ani trochę ciepła. Trudno mi też cokolwiek wyczytać z jego twarzy. Jest wściekły? Zrozpaczony? Zawiedziony? A może wszystko razem? – Podałaś im też moje. Zastanawiasz się, skąd wiem? Bo widziałem na komisariacie faceta, który cię odwiedził w Kołobrzegu na samym początku, gdy przyjechałaś do mnie. Byliście razem w kawiarni. Głupi przypadek, nawet nie wiem, czy on zdaje sobie z tego sprawę. Szedłem wtedy do pokoju przesłuchań. Myślałem, że coś mi się przywidziało, że facet był po prostu podobny do tamtego... W każdym razie miałem rację, a on jest gliniarzem!

Mierzymy się spojrzzeniami i wiem, że na wszystko jest teraz za późno.

– Czemu wzięłaś moją komórkę? – pytam drętwo, próbując uciec od zasadniczego pytania, które padło. – Co chciałaś zrobić? Kontrolujesz mnie?

Nie odpowiada, uznając, że to głupie pytanie. Przecież nigdy by mi tego nie zrobił bez powodu. Musiał jednak mnie sprawdzić, zanim sprawy między nami zajdą za daleko.

– Pracujesz z nimi? – powtarza.

Każda odpowiedź wydaje mi się zła, na każdą mógłby zareagować gniewem.

– Rozmawiałaś z kimś o tym? – Nienawidzę siebie za to, że muszę myśleć o dobru śledztwa.

– Najpierw mi powiedz, czy to prawda?

– Ty mi powiedz, czy rozmawiałaś o tym z We Fly High?

– Jezu, Mika! Zadałem ci proste pytanie. Pracujesz z nimi?

– A ty rozmawiałaś z kimś o tym?

– Odpowiedz!

– Ty mi powiedz!

Możemy się tak droczyć w nieskończoność.

Zmierzamy w złą stronę – wyczuwam to. W ruchach Janka dostrzegam zniecierpliwienie, w oczach gniew. Wstaje, jakby moja bliskość była dla niego nie do zniesienia. Dociera do mnie, że nie ma sensu zaprzeczać. W komórce Janek na pewno znalazł SMS-y od Czaplińskiego, które jasno określają, co robię poza granicami na kontrakcie dla We Fly High.

– Tak. – Mój głos wciąż brzmi bardzo cicho. – Pracuję z nimi.

Zapada cisza, a potem Janek śmieje się, jakby nie mógł uwierzyć, że dał mi się zmanipulować. Widzę, ile wysiłku wkłada w to, żeby nie dać się ponieść emocjom.

– Kazali ci tu ze mną pojechać? – pyta z niedowierzaniem. – Bo uważają, że czegoś im nie powiedziałem, a ty to ze mnie wyciągniesz, żerując na moich emocjach? To są wasze metody?

Jego słowa są dla mnie jak ciosy pięścią. Nie jestem w stanie odpowiedzieć. Nie wiem nawet, czy jest sens cokolwiek tłumaczyć. Od kiedy Janek zrozumiał, że ludzie mogą wyrządzić mu krzywdę, chyba przestał wierzyć w dobre intencje innych, a moją obecność podczas wyjazdu traktował jak prezent od losu, coś, na co w pełni nie zasłużył. Teraz pewnie uważa, że wszystko było ukartowane.

– Po co tu jesteś? – Gniew w jego głosie wywołuje mój lęk. – Policja kazała ci zadbać, żebym przeżył do procesu? To jest teraz wasze zmartwienie?!

Nigdy wcześniej nie mówił do mnie w taki sposób. Bardziej jednak uderza mnie to, co powiedział. „Przeżył do procesu?” – oszołomiona powtarzam w myślach. Do tej pory nie przyszło mi do głowy, że Janek mógłby zrobić coś głupiego z powodu ciężących na nim zarzutów, ale nie jestem już pewna, co jest prawdziwe, a co nie. Przetrzęsam swoje wnętrze, próbując znaleźć złość albo irytację – emocje, które pozwoliłyby mi się obronić przed Jankiem, ale ku mojemu zaskoczeniu, czuję tylko strach. Jakaś część mnie boi się nie o to, co się teraz dzieje, ale o Janka. O to, że dalej pojedzie beze mnie, przekonany, że nikt mu nie został. Aż za dobrze wiem, jak to jest czuć taką pustkę.

– Janku, posłuchaj... – zaczynam, wstając, ale mi przerywa.

– Więc wprowadziłem cię do We Fly High po to, żebyś wykończyła tę firmę? O to chodziło, gdy rozmawialiśmy o stworzeniu aplikacji do zatrzymania obrazów w *Work a Dream*? Spryciula z ciebie!

Przejrzałam mnie, nie przewidziałam, że tak łatwo połączy fakty. Wyczuwam, że dzieje się z nim coś niepokojącego, od czego przechodzą mnie dreszcze. Próbuję więc słuchać głosu w głowie, podpowiadającego, że powinnam powiedzieć Jankowi wszystko. Zdam się na niego i razem znajdziemy wyjście z tej sytuacji. Tyle wspólnie przeszliśmy, więc poradzimy sobie i z tym problemem.

Ale Janek patrzy na mnie wrogo i cofa się, kiedy chcę do niego podejść.

– Nie dotykaj mnie! – warczy, odtrącając moją dłoń. – Doniosłaś na Josepha i na mnie, i na Marsię?

Przyciskam ręce do brzucha, bo nagle zaczyna mnie okropnie boleć.

– Tak, Janku. Tak było.

– Ale Mattię za bardzo lubisz, więc jego pominęłaś?

– Tak.

– Z podaniem policji mojego nazwiska nie miałaś żadnych kłopotów?

Milknę, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Żadnych, prawda? – powtarza, hamując mnie w wykonaniu jakiegokolwiek ciepłego gestu w jego kierunku. Widzę, jak cała czułość, całe ciepło, którym mnie obdarowywał w ostatnim czasie, znika. – Więc to tobie zawdzięczam te hotele i motele, niemożność wyjścia na miasto i powrotu do pracy?! Kto by pomyślał, że mnie tak urządzisz, Opiekunko?!

Pospiesznie, niemal na jednym oddechu zaczynam mu opowiadać prawdziwą historię. Mówię bez ładu i składu, zaczynam od końca, od tego, że jestem tu wbrew oczekiwaniom policji, że chciałam go ochronić przed przesłuchaniem i zatajałam przed policją fakty, chociaż to nie służyło dobru śledztwa. Kiedy jednak docieram do momentu, w którym dowiedziałam się na lotnisku o jego przesłuchaniu, milknę, uświadamiając sobie, że Janek mi nie wierzy.

– Zostaw mnie, Mika! Jak mogłaś?!

Wtedy słyszę swój głos, równie pełen gniewu:

– Nie ma co udawać, że nic nie zrobiłaś! Zrobiłaś bardzo wiele i dlatego tutaj jesteśmy! To nie ja podjęłam fatalną decyzję, przez którą zginęli ludzie!

I to już jest koniec. Gorzej powiedzieć nie mogłam. Niesprawiedliwie uderzyłam w najbardziej czułą strunę, obudziłam najgorsze demony Janka. Natychmiast chciałabym cofnąć słowa, ale nie mam już takiej możliwości. Stoję w bezruchu, wpatrzona w niego, kiedy zaczyna zbierać swoje rzeczy w bałaganie, którego nie zdążyliśmy sprzątnąć po powrocie z gór. Jest tak zdenerwowany, że policzki dosłownie mu płoną.

Nagle pokój, który wynajęliśmy, zaczyna mi się wydawać ciemny i dziwnie pusty, jakbyśmy już z niego zniknęli. Kryję twarz w dłoniach, a kiedy jakiś czas później rozchylam palce na tyle, by zrobić w nich szczelinę, zauważam, że pozniknęła część rzeczy Janka. Chcę coś powiedzieć, przywołać go, potrząsnąć nim, żeby się ocknął ze swojego zaślepienia i zrozumiał, że wcale nie uważam, że to on odpowiada za śmierć ludzi z mojej szkoły, że niefortunnie się wyraziłam i że nie wszystko, co się między nami działo,

wykonałam na polecenie policji. Ale Janek wychodzi i jest już o wiele, wiele za późno.

Potem godziny wloką się z dręczącą powolnością. W ciszy głośno dźwięczy kubek, gdy stawiam go na blacie, trzeszczą drzwiczki szafki, z której wyciągam kilka swoich rzeczy. Podejrzewam, że niedługo stracę pracę w We Fly High decyzją policji. Jeśli nie, to stracę ją przez Janka, bo mnie zdemaskuje przed Saint Francisem, albo Borys mnie wyleje za niesubordynację, bo od czterech dni nie zjawiłam się w grze.

Tykają zegary. Chyba cały czas liczę na to, że Janek wróci, że poradzimy sobie z tym, co o mnie odkrył, ale tak się nie dzieje, więc zaczynam pogrążyć się w bólu. W łazience płuczę twarz zimną wodą, a kiedy potem spoglądam w lustro, widzę dziewczynę, którą się stałam. Mam pełne poczucia winy oczy i jednocześnie wciąż wyglądam na zdesperowaną. Wracam do pokoju. Miejsce, które jeszcze nie tak dawno tętniło życiem, teraz nabrało cech muzeum. Bezradnie oglądam szkice Janka. Na wielu rysunkach rozpoznaję siebie: raz jestem dziewczyną, która ratuje świat – komiksową superbohaterką, innym razem wydaję się okropnie samotna. Na ostatnim jego rysunku śpię z policzkiem przytulonym do poduszki.

Pierwszy raz myślę poważnie o tym, że popełniłam błąd. Czaplinski mógł mieć rację, kiedy odebrał mi konsolę do *Work a Dream* i chciał zerwać ze mną układ. Powinnam wtedy go posłuchać, nie naciskać na powrót, odmówić, kiedy zapytał, czy przyjmę nowe zadanie. Co ja właściwie sobie myślałam? Marna ze mnie agentka, niewarta pracy grupy operacyjno-dochodzeniowej! Nie dość, że nie pomogłam śledztwu, to jeszcze je opóźniłam, a teraz do reszty zawałam sprawę!

Próbuję się skupić na podjęciu decyzji co do dalszych swoich działań, ale nie jestem w stanie nic wymyślić. Wydaje mi się, że wyczerpały się wszystkie moje pomysły. Nadchodzi świt, a dalej nic się nie dzieje: Czaplinski nie daje znaku życia, nikt mnie nie informuje, czy moja praca dla grupy operacyjno-dochodzeniowej już została przerwana i czy mam jeszcze po co wracać do *Work a Dream*. Nie potrafię się odprężyć i wydaje mi się, że zaraz stanę do walki na śmierć i życie, co oczywiście jest mało prawdopodobne.

Koło południa nie daję sobie rady i dzwonię do Janka, ale włącza się jego poczta głosowa. Nagrywam mu więc głupią, krótką wiadomość, której potem okropnie się wstydzę:

– Czy już rozmawiałeś o mnie z We Fly High? Powiedz, bo nie mam siły snuć domysłów.

Wolałabym nigdy tego nie nagrać i już w chwili, gdy się rozłączam, mam ochotę rzucić komórką o ścianę, zwłaszcza że Janek nie odpowiada.

Tracę rozeznanie, która jest godzina i ile minęło czasu, od kiedy wyszedł. Myślę o nim, prowadzącym samochód. Za oknem znowu zapada zmierzch, więc Janek pewnie już zatrzymał się w jakimś motelu, gdzie recepcjonistka zalotnie wodzi za nim wzrokiem, nie rozpoznając w nim chłopaka z pierwszych stron gazet. Pewnie widzi fasadę Janka: jego piękną twarz, wysokie czoło, dobrze zbudowane ciało, miły uśmiech, spojrzenie błyszczących oczu. Może uważa, że ma do czynienia z bardzo szczęśliwym chłopakiem?

Zamykam oczy i przytulam do siebie poduszkę. Nie mogę uwierzyć, że wszystko tak bardzo, bardzo schrzaniłam! Ileż bym dała, żeby Janek oddzwonił do mnie, żeby mogła mu się wytłumaczyć i cofnąć to wszystko.

Dziwnie jest obudzić się w pustym pokoju po tylu dniach bycia z kimś, kto był dla mnie ważny. Nie chce mi się wstać, nie mam ochoty na jedzenie. Brakuje mi determinacji, by podjąć jakiegokolwiek działanie, więc dopiero koło południa wydaję sobie serię poleceń.

– Teraz się umyj i ubierz! – nakazuję sobie szeptem. – A teraz uczesz włosy... Zabierz ze sobą torebkę i idź, idź gdziekolwiek między ludzi, byle tylko nie tkwić tu, bo oszalejesz!

Krążąc po mieście, przypadkiem trafiam na zakład tatuaży.

– Chcesz ozdobić ciało? – pyta chłopak, który przysiadł na murku przed kamienicą, z papierosem w ręce.

Przystanęłam bez celu, bo zainteresowały mnie rysunki wywieszzone na witrynie, ale teraz koncentruję na chłopaku wzrok. Pytam o cenę tatuaży.

– Naprawdę chciałabyś? – upewnia się. – Bo nie wyglądasz na taką. Raczej szara myszka, co? Tatuaż pomógłby ci znaleźć nową tożsamość. Potrzebujesz tego!

Mam ochotę się roześmiać. Co on o mnie wie? W myślach wymieniam wszystkie swoje tożsamości: Mika, Agnieszka, Astrid. Sięgam do torebki i wyglądam szkic Janka, ten, na którym przedstawił mnie jako komiksową postać, ratującą świat.

– Umiałbyś zrobić to? – upewniam się.

– Możesz zamówić wszystko, co zechcesz! – odpowiada.

– Chcę – odpowiadam. – Chciałabym też dołożyć do rysunku napis.

Borys dzwoni do mnie kilka razy późnym popołudniem, a ja tak bardzo boję się odebrać, że sięgam po telefon dopiero przy czwartym połączeniu.

– Astrid, do cholery! – krzyczy, nie dając mi dojść do słowa. – Ostatni raz świecę za ciebie oczami! Jak mogło cię nie być w grze przez tyle czasu?! Co ty sobie wyobrażasz? Pamiętasz, że dla nas pracujesz?! Co ty w ogóle wyprawiasz?! Nigdy więcej mi tego nie zrobisz! A jak się tu nie zjawisz za dziesięć minut, to zerwiemy kontrakt i będziesz słono płacić za swoją niesubordynację!

## 20:59:49 CZASU TYTANA

A więc Borys jeszcze nie rozmawiał z Jankiem, co wydaje mi się zaskakujące. Podczas jazdy łażikiem, kiedy jego wściekłość stygnie, słucham opowieści. Opowiada, że mamy poważne problemy, wiele się wydarzyło przez kilka dni, kiedy byłam w realnym świecie. Przede wszystkim w siedmiu różnych miastach świata odbyły się konwenty społeczności *Work a Dream*, domagającej się wprowadzenia zmian.

– Naprawdę nie widziałas zmian w grze w telewizji? – upewnia się. – Trąbiły o tym wszystkie media! Gdzieś ty była? Na pustyni czy jak?... W każdym razie społeczność chce wycofania płatnych dodatków! Straszą atakami hakerskimi na system, w którym jest zbudowana gra, jeśli nie zaczniemy z nimi negocjować! – Co to oznacza? Co realnie mogą nam zrobić? – Nie rozumiem.

– Wszystko. – Borys dociska pedał gazu, podczas gdy łażik pędzi przez pustynię lodu, skrzącą się w słońcu, okoloną pasmem gór. – Nigdy wcześniej tak nie było. Nie wiem, co zamierzają, ale czasem podczas ataków wyciekają jakieś dane... – Nie podoba mi się, że mówi to w taki poważny sposób. – Nie wiem, jak bardzo będą potrafili nam zaszkodzić!

Akurat dojeżdżamy do obozu, który ostatnio spłonął na moich oczach. Kiedy poprzednio tutaj byłam, wszystko po prostu się działo, teraz uderza mnie rozmiar zniszczeń, liczba zabitych, ciała leżące na całym terenie, niektóre rozszarpane przez wybuch, inne rozczłonkowane przez bestie. Momentalnie serce zaczyna mi żywiej bić. Inteligentny avatar, którego postrzeliłam, leży blisko Zoi, z ręką zaciśniętą na broni.

– Był agresywny! – przypominam sobie, wyskakując z łażika. – Nie takie miały być te maszyny, prawda?

– *Eto nie adin raz!* – komentuje Borys, kucając przy ciele.

Rozglądam się wokół i przeraża mnie to, co widzę. Aż dziw, że firma nie została jeszcze zasypana pozwami do sądów po tym, jak gracze poginęli w męczarniach.

– Dlaczego nie przyjechałeś wcześniej z Josephem albo Mattią? – dziwię się. – Czekales tyle czasu na mnie...? Przecież psycholog mówił, że zwłoki Opiekunów muszą zostać pochowane, zanim...

– Astrid! – denerwuje się Borys, zadzierając głowę i osłaniając oczy przed słońcem. – Jeśli nie chcesz, żebym znowu cię opieprzył, to zamilknij! Z kim miałem tutaj przyjechać? Z tobą? Z Jankiem? Zobacz, ilu mam ludzi do dyspozycji! Raptem Josepha i Mattię! Gdzie się podziewałaś?! Jankowi wybaczam, że nie odbiera moich telefonów, bo ma kłopoty, ale co z tobą?! Ostatni raz bronilem cię przed Saint Francisem! Nigdy, niech to szlag, nigdy więcej mi tego nie rób!

Kiedy próbujemy ruszyć Zoję, okazuje się, że przymarzła do skorupy.

– O cholera, musimy ją odkuć albo spalić. Wolę ją odkuć mimo wszystko. A wy, Astrid?



Taka opcja i mnie wydaje się mniej dramatyczna, zwłaszcza że mróz zakonserwował Zoję doskonale, zachował rysy jej twarzy i bez względu na to, że widzimy tylko wirtualną powłokę, nie potrafiliśmy traktować jej bezosobowo.

– Dobrze się czujesz? – Borys wreszcie dostrzega, jaka jestem zmęczona.

Wymagam od siebie naprawdę wiele, by nie okazać mu, co naprawdę się ze mną dzieje.

– Wszystko w porządku, Borys. Powiedz mi lepiej, co z Zoją? Mattia dodzwonił się do niej? Jest cała i zdrowa?

– *Da, da*, odpoczywa, a Developerzy pracują nad jej nowym avatarem. To o ciebie bardziej się martwię. Wyglądasz, jakby coś się stało. Co się dzieje? Chodzi o Janka? Widziałaś się z nim?

Troska nie pasuje do niego i pewnie dlatego zbywam jego pytania, mrużąc, że źle spałam i tyle, a z Jankiem nie mam kontaktu. Nie wiem, czy mogę Borysowi ufać. Jest blisko z Saint Francisem i nie podważa jego decyzji. Jako jedyny z nas pracuje na naprawdę odpowiedzialnym stanowisku, ręczy za Opiekunów, werbuje nas, prowadzi negocjacje handlowe, obraca dużymi pieniędzmi firmy, a w razie dokonania złego wyboru, *We Fly High* być może obciążają go kosztami. Zastanawiam się, czy obciążą go karą za zwerbowanie mnie, gdy wyjdzie na jaw, kim naprawdę jestem? Może wtedy w ogóle zwolnią go z pracy?

– Zabierzmy ją stąd! – decyduję, zwracając do łazika po narzędzia.

Pracujemy bez ustanku, oboje z zaczerwienionymi od mrozu policzkami, a oddechy opuszczają nasze usta w obłoczkach pary.

– Pochowamy ją w szczelinie – decyduje Borys, kiedy wspólnymi siłami udaje nam się odkuć Zoję. Zabieramy sztywne, ciężkie ciało avatara do łazika. W trakcie jazdy Borys włącza muzykę, jakby chciał dać sobie i mnie kopa. Ostry, rockowy numer rozrywa głośną gór. Rozbawia mnie myśl, że dla inteligentnych avatarów, jakimi są BC, te dźwięki mogą okazać się nie do wytrzymania.

– Więc wykończmy ich muzyką jak w Panama City, gdy schronił się tam dyktator Manuel Moriega! – śmieje się Borys i jeszcze bardziej wzmacnia dźwięk utworu, aż basy wibrują między ścianami skał.

Śmieję się, on też się uśmiecha, a koszmarna rzeczywistość realnego świata odchodzi w dal. Parkujemy łazik w najwyższym punkcie góry, do którego byliśmy w stanie dojechać. Z bagażnika zabieramy liny, rozcinamy je i obwiązujemy trupa. Poruszanie się w rakach i wleczenie ciężkiego, zalodzonego avatara okazuje się jednak okropnie męczące i czuję, że opadam z sił. Jednocześnie wolę wysiłek fizyczny od leżenia na łóżku w motelu w realnym świecie.

– Zauważyłaś, *kak ticho*? – Zdyszany Borys staje w miejscu.

Też się zatrzymuję.

– *Pasłyszaj*, Astrid!

Rzeczywiście, z doliny nie napływają prawie żadne dźwięki. Nie ma też zapachów graczy, jakby Tytan wymarł. Obracam się zdezorientowana, mierzę wzrokiem miejsca, gdzie słońce nie dociera prawie nigdy, więc zachował się tam dziewiczy lód. Jak okiem sięgnąć, nikogo nie widzę. Czy to możliwe, że na Tytanie jesteśmy tylko my,

Opiekunowie?

– Gdzie są wszyscy? – zdumiewam się zaniepokojona.

– A, widzisz! – Borys wzrusza ramionami. – *Nikto nie znajet!* Wylogowali się, nie wiadomo, czy wrócą!

Znowu łapię za liny.

– Nie wierzę w to! Skoro było ich stać na grę i na konsolę, stać ich też na te płatne dodatki!

– Kto to wie? – odpowiada filozoficznie Borys, też ujmując linę. – Saint Francis zaryzykował. Okaze się, czy opłacalnie! Wszyscy pewnie teraz siedzą w necie i próbują ustalić strategię przeciwko We Fly High! Wcale się nie zdziwię, jak jeszcze dzisiaj walną w nasz system!

Wysoko między skałami znajdujemy głęboką szczelinę. Wcześniej planowaliśmy spuścić ciało na dno linami, ale teraz czujemy się zbyt zmęczeni, a liny okazują się za krótkie, więc Borys proponuje, żebyśmy zepchnęli avatara.

– Szkoda naszej pary – stwierdza i muszę się z nim zgodzić.

– To chociaż owińmy ją czymś – proponuję, kierując się resztką przyzwoitości. Dziwnie będzie patrzeć w twarz Zoi i pchnąć ją w przepaść.

– *Paciemu?* Jak się nad tym zastanowimy, to nie ma żadnej różnicy, no nie? Nie szkoda szalika albo płaszcza?

Zdumiewa mnie, jak łatwo obojętnieją mi takie sprawy, dla których byłam gotowa narażać życie w *Bitwie o Io*. Wreszcie w pełni rozumiem, że Zoja w grze jest tylko obrazem, tak zaprojektowanym, że można w niego uwierzyć. Nie ma jednak sensu wariować z tego powodu. Przesuwamy ciało do krawędzi szczeliny, przez moment widzę rozchylone powieki Zoi, jej długie rzęsy, blade, zamrożone usta. Popychamy ją i ciało spada. Dobiega nas głuchy dźwięk z dna szczeliny, od którego przechodzą mnie dreszcze.

– I po sprawie – stwierdza Borys, otrzepując dłonie.

Nowoczesne laboratorium ze szklanym dachem wyostrza mi zmysły. Wszystko się zgadza: to współrzędne tego miejsca podał mi Saint Francis. Zostawiłam łazik w cieniu skał. Im bliżej podchodzę do budynku, tym bardziej mam się na baczności, coraz częściej przystaję i nasłuchuję nietypowych dźwięków. Na razie wszystko wydaje mi się bez zarzutu, ale to nie znaczy, że w środku nie dzieje się nic, co powinno mnie zaalarmować.

„Pamiętaj” – powtarzam sobie. „Teraz masz być zwierzyną, a nie myśliwym. Nie bronisz się. Dajesz im przewagę, bo za to zapłacili, ale postaraj się nie stracić kontroli!”.

Zostawiłam w łaziku broń, jednak zabrałam ze sobą nóż taktyczny typu combat. W głowie roi mi się od porzrzucanych obrazów, zebranych urywków wypowiedzi Opiekunów. Myślę o tym, czego nikt nigdy mi nie powiedział wprost, a co pewnie Janek miał na uwadze, gdy odradzał mi podpisanie kontraktu z We Fly High. Teraz żałuję, że go nie przycisnęłam, nie zapytałam wprost, co się dzieje podczas płatnych zleceń? Co mnie tutaj czeka? Czy jeśli będzie bardzo źle, mogę się odłączyć i po prostu przestać?

Wszystko wydaje mi się nieruchome, ciche, oblane złotym światłem, jakby czas się tutaj zatrzymał. Chociaż nie dostrzegam śladów człowieka, wcale nie czuję się tym zdziwiona. Wiem, że to pułapka. Unoszę głowę i stoję w promieniach słońca, czekając, aż instynkt mnie ostrzeże, powie, że mam uciekać, że lepiej tam nie iść.

Nic takiego się nie dzieje, więc ruszam dalej, starając się nie porzucać cienia skał. Jestem gdzieś w połowie drogi, kiedy słyszę cichy dźwięk – jakby ktoś puścił lotkę, która przelatuje blisko mojego ucha. Momentalnie przeszywa mnie ból w okolicach karku.

Och, tylko nie to! Szarpię się, próbuję złapać za strzykawkę, zanim płyn rozleje się po ciele, ale jest za późno! Moje ręce i nogi robią się ciężkie jak z ołowiu i nagle ląduję na czworakach.

Nie! Nie jestem w stanie się podnieść. Próbuję, ale nie mam na to szans, więc zaczynam wpadać w panikę. Wydaje mi się oczywiste, że nie mogę tutaj zostać, nie w tym stanie, bo wtedy nie będę dawała komuś przewagi, tylko całkowicie zdam się na ludzi, którzy za mnie zapłacili, a przecież nie wiem, do czego są zdolni! Jeśli coś mi zrobią, w realnym świecie nikt mi nie pomoże!

– Nie histeryzuj! – z tyłu za mną rozlega się męski głos.

Szukam noża za cholewką buta, ale palce nie trafiają we właściwe miejsce. Bezwzględnie nie jestem w stanie iść. Jestem tylko w stanie pełznąć na kolanach, ale kiedy zaczynam to robić, dociera do mnie brzęk łańcucha za plecami. Próbuję się odwrócić, upadam na brzuch i zaciskam dłoń na nożu, ale nawet nie potrafię się nim zamachnąć. Coś niedobrego dzieje się z moim wzrokiem.

– Wygląda jak w teatrze! – stwierdza głos.

Nakrywa mnie długi cień.

– Tylko inny kolor włosów... – dopowiada ktoś drugi.

Przewracam się na plecy, ale nie widzę dobrze, nie jestem pewna, ile osób mnie otacza: trzy czy dwie. W oczach mi się mieni, mrugam, jednak ostrość widzenia się nie poprawia.

– Ładna. Już ją wzięło. Można zaczynać!

Próbuję odepchnąć tego, który się nade mną pochylił, ale tylko niecelnie macham ręką, co wywołuje jego śmiech.

Wydaje mi się, że tracę zmysły. Kiedy próbuję skoncentrować spojrzenie, świat niepokojąco się kołysze, a skały, które mnie otaczają, zdają się rozpychać, pęcznieją i pęcznieją. I nagle, zanim przyjdzie mi do głowy, że mam halucynacje po leku, jakaś czarna ciecz chlusta na mnie. Jest lepka, przypomina smołę. Krzyczę. Krople unoszą się, jakby nastąpiła odwrotna grawitacja, pełzną mi po rękawach płaszcza w górę, po ciele, nurkują za kołnierzem kombinezonu. Szarpię się, niemal rozrywam ubranie, czuję wilgoć we włosach. Potem ktoś długo wrzeszczy i ogarnia mnie niejasne przeczucie, że to ja wołam. Na szyi czuję ciężar łańcucha.

– Wciągnij ją do środka! – decyduje ktoś.

Nie!

– Doskonale.

Nie! Proszę, nie!

Ktoś wlecze mnie po powierzchni Tytana, coraz bliżej drzwi laboratorium. W myślach powtarzam jedno słowo: pomocy! Pomocy! Pomocy!

Ciemność. Nie wiem, co się dzieje, ile osób mnie obserwuje. Kiedy dochodzę do siebie na tyle, by rozejrzeć się dookoła, dociera do mnie, że zostałam przypięta

łańcuchami do stalowego pierścienia w podłodze w ciemnej, betonowej sali, która ma tylko jeden otwór – szybę. Łapią mnie skurcze, ponieważ spięto mi ręce razem z kostkami nóg, zmuszając do przykucnięcia. Nie mogę usiąść, klęknąć, wstać. W realnym świecie nie mogę poruszyć rękami. Znam tę pozycję, w wojsku nazywa się ją *stress position* i stosuje się ją przy torturach albo jako przygotowanie do przesłuchania. W sali jest zimno, więc zmagam się z dreszczami, z osłabieniem po tamtej miksturze, z halucynacjami, które ciągle wracają.

– Wpuść do niej BC – mówi głos gdzieś nad moją głową, przesterowany, jakby docierał z głośnika.

Nie! Próbuję oprzytomnieć. Coś upada przy mnie, tuż przy mojej nodze. Nie mam wyboru, muszę sprawdzić, co to. „Do roboty!” – myślę. Zaciskam szczęki, sięgam najdalej, jak pozwala łańcuch, do miejsca, gdzie słyszałam stukot, i czuję pod palcami duży, metalowy klucz. Przypomina klingę. Mogę się rozkuć!

Ledwie wysuwam się z łańcuchów, gdy słyszę jakiś nowy dźwięk. Kulę się pod zimną, betonową ścianą, na wprost małych drzwi, na które pada odrobina światła. Instykt każe mi się wychylić na tyle, by widzieć za drzwiami tunel – prowadzi w głąb ziemi.

„Pistolet został w łaziku” – przypominam sobie. Nóż upuściłam przed wejściem do laboratorium. Nie obronię się, nie mam czym! Może kluczem, skoro ma ostrą końcówkę? Czy tego właśnie chce ten, kto patrzy? Chce oglądać, jak walczę bez broni z bestią? To chore!

Wydaje mi się, że wszystko dookoła wciąż wiruje, nie jestem w stanie zebrać myśli, zastanowić się, zaplanować czegoś. Słyszę, że coś się przeciska przez tunel, coś do mnie idzie, jest coraz bliżej, tuż, tuż. To na pewno BC, tak przecież powiedział mężczyzna. Wycieram przedramieniem twarz i czuję, że jestem lepka od potu, spanikowana, wciąż mało przytomna. Próbuję zwiększyć swoje szanse, przysuwając się do otworu. Słyszę chrobotanie, gdy coś się przedziera w moim kierunku, a niewielkie światło, które rozjaśniało drzwi, nagle gaśnie.

W absolutnym mroku tracę rozeznanie, co się dzieje. Nie mogę się zmusić do uderzenia, dociera do mnie głośny oddech jakiejś istoty, pomruk przypominający warczenie. Bezradnie próbuję przeniknąć spojrzeniem ciemność, dojrzeć coś, co się porusza, co nadal gramoli się w moim kierunku, i wiem, że albo zginie to coś, albo ja!

Biorę więc głęboki wdech, zaciskam dłoń na kluczu, wysuwam rękę w ciemność i kiedy trafiam na ciepłe ciało, tnę najmocniej jak potrafię, starając się trafić w tętnicę.

Gwałtowny ból rozrywa mi bok, gdy coś ostrego kaleczy też mnie. Rozpętuje się piekło. Postać, którą trzymam, zachowuje się jak wariatka, piszczy, trzęsie się, krzyczy ludzkim głosem. Spanikowana wypuszczam ją z rąk i w tym momencie zapala się wątle światło. Widzę młodą dziewczynę, może piętnastoletnią. Upada, przyciskając ręce do rany na szyi, i jednocześnie tak mocno szarpie za klucz, że wyrywa mi go z dłoni. Przez kilka chwil wije się spazmatycznie w rosnącej kałuży krwi i w końcu nieruchomieje.

Zabiłam ją.

Robi mi się gorąco, a potem oblewa mnie zimny pot. Łapię oddech jak ktoś, kto przed chwilą tonął. Spanikowana oglądam się na szybę. „To tylko gra!” – powtarzam sobie, ale to na nic. Rzucam się na szybę z pięściami, ale nie dam rady jej rozbić, więc

chwytam łańcuch, którym byłam wcześniej spętana. Robię zamach, ale zatrzymuje mnie jakiś dźwięk. To ciche chrobotanie gdzieś za mną. W tunelu. Znowu ktoś tam jest i tym razem na pewno nie jest człowiekiem.

Pomimo hysterii i zamroczenia udaje mi się skojarzyć proste fakty: klucz jest w rękach dziewczyny i muszę go odzyskać. Potykając się i trzymając ścian, docieram do trupa. Nie rozumiem, co się stało: piękna blondynka, którą przed chwilą widziałam, teraz jest opuchnięta, jej kończyny wydają się dwa razy większe, ma dłonie twarde jak kamienie. Może to wciąż halucynacje? Łamię łańcuchem to, co kiedyś było palcami dziewczyny, i wrywam jej klucz.

BC rzuca się na mnie, więc dźgam go na oślep, próbując nie dopuścić, żeby żelazna szczeka zbliżyła się do mojego ciała. Jest bardzo szybki, okrąża mnie z łatwością, podczas gdy potrzebuję czasu, żeby wykonać jakikolwiek zwrot. Czuję jego cuchnący oddech, który owiewa mi twarz. Wrzeszczę, gdy na mnie skacze. Ranią mnie jego ostre pazury. Przewracam się, ale robię szybki zwrot. Znowu tnę, ale nie udaje mi się drasnąć bestii. Mimo to BC zaczyna się chwiać na nogach. Może też go czymś nafaszerowali? Kiedy go popycham, czuję oślizgłą, lepką skórę. Stwór przewraca się na bok i nieruchomieje.

Odczołguję się jak najdalej od niego i od trupa dziewczyny. Cała się trzęsę, nie potrafię tego drżenia powstrzymać. Nie wiem, kiedy leki przestaną działać i BC znowu poderwie się na nogi. Ogarnia mnie paniczny lęk, że ktoś chce mnie tutaj torturować i przetrzymywać w nieskończoność. Że to się nie skończy, aż się poddam i odłączę od konsoli, tracąc Astrid, a tym samym pewnie kontrakt z We Fly High!

Z ogromnym wysiłkiem sięgam po klucz i czekam na następną niespodziankę, która wynurzy się z ciemności. Mija jednak sporo czasu i nic się nie dzieje.

Zbliżam się więc do szyby, która pewnie jest czymś w rodzaju lustra weneckiego. Przesuwam po niej palcami, szukam miejsca, które da się zadrapać. Kto stoi po drugiej stronie?

Ryję ostrą końcówką klucza słowa: ZABIJĘ CIĘ!

Potem siadam pod jedną ze ścian i staram się nie zwracać uwagi na ciało dziewczyny. Zimno zmienia się w upał – ktoś bawi się klimatyzacją. Usiłuję nie myśleć, o co w tym wszystkim chodzi. Myślę za to o tamtym dniu w teatrze w Alpach, kiedy Opiekunowie prezentowali się przed kamerami. Uważałam, że to był najlepszy dzień w moim życiu, a teraz w pełni widzę jego drugie, ohydne dno. Saint Francis kazał nam się pięknie ubrać i zaprezentował nas w mediach jak zwierzęta na arenie. Sprzedawał nas. Eleganckie stroje, makijaże, ułożone fryzury. A teraz jestem tutaj lepka, brudna, roztrzęsona, z potarganymi włosami, a ktoś za szybą syci oczy moim upodleniem!

Kiedy otwierają się drzwi, przez chwilę po prostu na nie patrzę, starając się przeniknąć wzrokiem mrok. Jakoś podświadomie wiem, że już mogę odejść, jest po wszystkim, spełniłam swoje zadanie.

Powłóczę nogami, z trudem przeciskam ciało przez wąski otwór. Tunel biegnie w głąb ziemi, ale teraz dostrzegam drabinę, po której mogę się wspiąć na powierzchnię księżycy.

Kiedy zjawiam się w Spes, w apartamencie jest tylko Joseph.

– A tobie co się stało? – pyta. Widoczny na jego twarzy wstrząs wydaje mi się

bezsensowny.

Czekam na mocne słowa, że to mi się należało, że teraz już tak będzie i sama tego chciałam, skoro podpisałam kontrakt. Może każdy z nich przeszedł przez coś takiego?

– Idź się umyć – radzi Joseph, wyraźnie porażony tym, co mi się przydarzyło.

– Zrobię ci coś do picia. Potrzebujesz czegoś jeszcze?

Idzie za mną aż do drzwi łazienki.

W łazience odkręcam prysznic i wszędzie widzę migotliwą wilgoć. Cały strój mam we krwi, jestem nią umazana nawet na twarzy i we włosach. Dopiero kiedy dostrzegam to wszystko w lustrze, załamują się pode mną nogi i zamiast wejść pod prysznic, siadam ciężko na podłodze, przyciskając czoło do kolan.

Odłączam czujniki od ciała i obraz się rwie, ale ciągle mam go pod powiekami. Powinnam natychmiast zadzwonić do Czaplińskiego, lecz powstrzymuje mnie myśl, że być może nie będzie chciał mnie wysłuchać. Nasz konflikt zaszedł zbyt daleko – jeśli mamy rozmawiać, to tylko twarzą w twarz.

Zamykam oczy i przypomina mi się charczący oddech dziewczyny, moment, gdy przeciągnęłam ostrzem po jej szyi. Nie mogę się od tego uwolnić, to wydaje się takie prawdziwe! Mam wrażenie, że powietrze w pokoju jest przesiąknięte zepsuciem, wszystko staje się inne niż w poprzednich dniach.

Przesuwam dłonią po nabrzmiałej skórze przy karku, gdzie goi się opuchlizna po tatuażu. „Rebeliantka” – czytam napis w odbiciu lustra, umieszczony pod rysunkiem. Myślę o Saint Francisie, o tym, jak łatwo przyszło mu sprowadzić mnie do parteru, pokazać, gdzie jest moje miejsce! Czy tak postępuje z każdym Opiekunem? Czy Mattia, Janek, Zoja, Borys i Joseph też przez coś takiego przeszli? Czemu więc mnie nie ostrzegli?

Wreszcie rozumiem, dlaczego nasze wynagrodzenie jest tak wysokie! Pieniądze pokrywają nie tylko maratony gry, ale również zamykają nam usta i zmuszają do posłuszeństwa. Jakie to proste! Powinnam się temu poddać, inni Opiekunowie chyba się z tym pogodzili, skoro nie walczą, nie zrywają kontraktów i nie słyszę od nich skarg. Ale ja nie potrafię!

„O tym zadaniu nie będziemy dyskutować” – powiedział Saint Francis w Spes. Jakie będzie następne zadanie, które mi wyznaczy? Czy w ogóle będzie takie?

Powinnam wrócić do gry i zapomnieć, przejść nad tym do porządku dziennego. Ale coś we mnie pęka. Złość, którą odczuwam, jest silna jak wodospad. Nigdy w życiu nie czułam takiego gniewu, mieści się w nim cała moja bezradność wobec spraw związanych z Jankiem, wobec *Work a Dream*, policji, Nikoli i wszystkiego innego, na co nie mam już wpływu. Mogłabym rzucać przedmiotami i krzyczeć w bezsilnej furii. Mogłabym to wszystko zrobić, ale łapię za konsolę do *Work a Dream*. Okulary, czujniki i...

20:59:49 CZASU TYTANA

Nie jest jak w *Bitwie o Io*, na Tytanie nie mamy do dyspozycji całego magazynu z bronią, ale w garażu znajduję kilka egzemplarzy, z których wybieram trzy i wkładam do torby, a ciężką torbę wlokę po ziemi do pojazdu. Trzęsą mi się ze złości ręce, gdy na elektronicznej mapie terenu zaznaczam laboratorium. Dociskam gaz i opuszczam Spes tak szybko, że unoszą się za mną kłęby szronu.

Do laboratorium docieram dwadzieścia minut później i na sam jego widok coś się we mnie kruszy. Nie potrafię oderwać od niego oczu, kiedy zabieram *Magnetic Weapon*, glock, chowam pod płaszczem CTW, a w cholewce buta – nóż combat.

Idę szybko, czujnie rozglądając się dookoła. Mam wrażenie, że coś się zmieniło. W budynku nikogo nie znajduję, chociaż zaglądam do wielu pomieszczeń. W potężnych

klatkach jednej z sal zauważam zwierzęta – hybrydy, o których opowiadał Borys. Wyglądają groźnie, są muskularne, mają ostre kły i równie ostre pazury, a przy tym są niewysłowienie piękne, ich sierść migocze odcieniami bieli i turkus. Na mój widok szamoczą się i próbują przegryźć pręty.

Posuwam się dalej, aż znajdę drzwi do piwnicy. Schody spowija mrok. Snop światła z latarki wbudowanej w *Magnetic Weapon* wyławia z ciemności brudne stopnie. Nabieram pewności, że jestem we właściwym miejscu.

Idę coraz szybciej, fragmenty tego, co przeżyłam tutaj, pojawiają się w mojej pamięci i nie dają się zepchnąć w obszar nieistnienia. Pospiesznie mijam drzwi, w które zostało wbudowane okratowane okno. Jakiś intensywny syk o wysokiej częstotliwości niemal wypala mi uszy, a od smrodu wirują ściany wokół mnie. Mimo to zaglądam przez kratę do środka i przez chwilę nic nie widzę. A potem coś rzuca się na mnie. Ogromne, mechaniczne zębiska próbują przegryźć kratę i zemleć ją w pył. Odsuwam się z fascynacją i lękiem, wpatrzona w uwięzionego w środku BC.

„Więc tu go trzymają” – myślę. Wcale nie zginął, a teraz najchętniej rozszarpałby mnie na strzępy. Patrzymy sobie z bestią w oczy. Przypominają mi się słowa Borysa o tym, jak pamiętliwe są BC i że nigdy nie należy ich lekceważyć.

Salę znajduję kilka chwil później. Uderza mnie widok wygodnych foteli, zwróconych w kierunku szyby. Trudno mi uwierzyć, że ktoś siedział tutaj, oglądając spektakl z moim udziałem.

Dławi mnie wściekłość, mam ochotę wszystko tu zniszczyć. Robię krok w stronę stolika na giętych nogach i zauważam szybę. Mieści się za nią niewielka cela. Wszystko widzę wyraźnie: i łańcuchy, i pierścień w podłodze, i małe drzwi prowadzące do drugiego tunelu. Mogłabym się temu przyjrzeć uważniej, gdyby nie to, że na podłodze zauważam ciało. Zamordowana przeze mnie dziewczyna nadal tutaj leży. Oczy ma jak czarne stawy, źrenice rozszerzyły się tak bardzo, że tęczówki prawie znikły.

Patrzę na nią długo, aż w końcu instynkt podpowiada mi, że przeoczyłam coś ważnego. Z gardłem ściśniętym nienawiścią obracam się do stolika na giętych nogach i spoglądam na stojącą tam filizankę. Na Tytanie nie widziałam wielu tak ładnych przedmiotów. Moje spojrzenie twardnieje w miarę, gdy dociera do mnie, że to własność Borysa.

\*

– Musimy wrócić do szczeliny, Borys.

– *Siewodnia?* – Ociera pot z czoła, zajęty naprawianiem łazika razem z Josephem. W garażu pod Spes panuje duchota, jakby ktoś za mocno podkręcił ogrzewanie. Wirują drobinki kurzu, a Borys wydaje się tak rozgrzany, że aż podwija rękawy koszuli. – Jak widzisz, teraz próbuję naprawić tego rzęcha. Po co chcesz tam wracać?

– Zapomniałam, że Zoja miała przy sobie broń. Mój *Double Pistol*. Mówiliście, że nie możemy ich zgubić.

– Grubo przesadziliśmy. Załatwię ci drugi.

– Chcę odzyskać moją broń dzisiaj! – W moim głosie pojawia się złość.

– Co jest, Astrid? – Borys mruży oczy, spoglądając na mnie uważniej. Odkłada



narzędzia.

– Przecież to tylko kawałek drogi stąd. W czym problem, Borys? – odpowiadam zaczepnie, z trudem panując nad sobą, żeby nie zrobić czegoś głupiego już teraz, przy Josephie.

Borys się waha, ale w końcu sięga po kluczyki do miniatury pojazdu FFO, parkującego pod garażem w Spes.

– Astrid! – stwierdza, wkładając kurtkę. – Robię to tylko dlatego, że Joseph wspominał, w jakim stanie wróciłaś do Spes! Ale nie myśl, że będę ci ustępował cały czas!

– Wcale tak nie myślę! – warczę w odpowiedzi.

Pojazd przypomina niewielki, metaliczny dysk i mieliśmy się nim poruszać tylko wtedy, gdy mamy do pokonania bardzo duże odległości. Borys woła, żebym usiadła za jego plecami i zgodnie z instrukcją nałożyła na głowę nowoczesny, niezwykle lekki kask. Tak też robię. Czuję mrowienie w brzuchu, gdy FFO podrywa się w górę. Kołysze się, jakby zaraz miał stracić równowagę, a jego lekka konstrukcja sprawia, że wyrывa się do przodu w stronę metanowych chmur z takim pędem, że niemal wgniata nas w fotele. W kilka chwil dolatujemy w góry.

– Zejdę pierwszy. – Borys nad szczeliną sprawnie tworzy pętlę z liny, a linę przywiązuje do poręczy wbitej w skały. Sprawdza jej naprężenie. Zbiera włosy, które rozsypały mu się z kity, i ponownie wiąże je gumką. Na mnie spogląda trochę tak, jakby zaczął uważać, że mam nie po kolei w głowie. Kiedy znika w szczelinie, rozglądam się dookoła, upewniając się, że nikt nas nie widzi, po czym chwytam linę i podążam za nim.

Zapomniałam, że groty i rozpadliny to inny świat. Czas nie płynie tutaj jak na powierzchni. Im niżej schodzę, tym robi się ciemniej i zimniej. Znikają normalne dźwięki, a zastępuje je echo i cichy szum masywu górskiego. W świetle czołowej latarki, którą zapaliłam, dostrzegam refleksy światła rzucone na ściany. Gdyby nie furia, którą odczuwam, pewnie zachwyciłoby mnie piękno tego miejsca. Teraz tylko kątem oka zauważam, że większość powierzchni szczeliny wypełnia jezioro turkusowej, prawdziwej wody, a na ścianach przyczaiły się zwierzęta, przypominające nietoperze. Dostrzegam też pozostałości po starej cywilizacji: skalne rysunki zwierząt i układów planet, czekające na odkrycie na wilgotnych, lodowych ścianach.

– Okej! – Borys pomaga mi zeskoczyć na dno.

Ruszam za nim w stronę, gdzie według jego obliczeń być może spadła Zoja.

– *Eto ona...* – Nabiera głęboko tchu, a ponieważ nie zbliżam się do ciała, z wyraźną niechęcią schyla się do leżącego w ciemności kształtu. – Gdzie ta broń?

Wyciągam z kieszeni CTW, odbezpieczam i przyciskam do głowy Borysa.

– Rusz się, a rozwalę ci łeb! – ostrzegam.

Wydaje mi się, jakby wokół zrobiło się zupełnie cicho, już nie słyszę kapania wody z lodowych form ani szurania potężnej bryły lodu, która obija się o brzegi jeziora. Słyszę za to oddech Borysa. Widzę biel skóry jego avatara w miejscu, gdzie kosmyki włosów się rozchylają.

– Odłóż pistolet, a uznam to za chwilową niepoczytalność – odzywa się jakimś nieswoim głosem, co mi uświadamia, że pewnie, podobnie jak ja, już wyczerpał limit

śmierci w grze. Może też chodzi o broń, której użyłam. „Nigdy nie strzelajcie z CTW do graczy” – powiedział nam w Alpach. Dokładnie pamiętam jego słowa. I zapamiętałam, że ta broń na wiele godzin gmatwa myśli gracza w realnym świecie, a przecież nie wiem niczego o realnym świecie Borysa, nawet nie mam pojęcia, czy tam, skąd dzisiaj zalogował się do gry, ktoś mógłby udzielić mu pomocy.

– Napatrzyłeś się? – Ledwie mogę mówić, taka jestem wściekła. – Spektakl ci się podobał, Borys?

– Nie wiem, o czym gadasz...

– Dobrze wiesz!

Zaciskam obie dłonie na pistolecie, przyciskam broń tak mocno do głowy Borysa, że musi go boleć.

Coś, może te małe stworzenia, które widziałam na ścianach szczeliny, podrywają się w ciemności, trzepocząc skrzydłami, a Borys wykonuje głupią sztuczkę, na którą za każdym razem się nabieram: nieruchomieje, a potem raptownie się obraca i wybija mi broń z ręki.

Tracę łód pod nogami i nagle ląduję na plecach, a Borys kopniakiem wybija moją broń do jeziora.

– Nikt z nas ci tego nie zrobił! – wrzeszczy. – Nikt nie dostaje takich zadań!

Wrywam z kieszeni płaszcz *Double Pistol*, on robi to samo i stajemy naprzeciwko siebie, celując jedno do drugiego. W oczach Borysa płonie gniew, ale dostrzegam też współczucie. Widzę również odbicie mojej pełnej nienawiści twarzy. Nie umiem przestać. Nie poznaję się. W tej chwili chcę go skrzywdzić. Chcę, żeby cierpiał jak ja, gdy znalazłam się w betonowej sali.

– Odłóż broń! – powtarza Borys ugodowo. – Gramy w jednym teamie, Astrid. Myśl! Nie po to za ciebie ręczyłem przed Saint Francisem, żeby później gapić się, jak ktoś cię łamie!

– Więc co mi się stało?! – Nie wierzę mu. Nie wierzę w ani jedno słowo, chociaż wszystko, co Borys mówi, ma sens.

– Ktoś dał ci nauczkę, bo uznał, że nie umiesz walczyć nożem? Nie tak powinnaś rozumować?

„Dwa wygodne fotele” – przypominam sobie. Nienawiść mnie zżera.

– Kto tam był?

– A jak myślisz? Rusz tą swoją blond głową!

W tym momencie coś się wydarza, cały masyw górski zaczyna drżeć. Kilkanaście metrów powyżej szczeliny pewnie obsuwa się lodowa lawina. Tracimy grunt pod nogami, Borys pierwszy wpada do wody, ja tonę moment po nim. Ciężki strój ściąga mnie na dno jak wór kamieni. Spadam coraz niżej, latarka na mojej głowie gaśnie, a potem znowu się zapala, oświetlając podwodne skały i biały brzuch jakiegoś dużego stworzenia, które nade mną przepływa.

Ogarnia mnie panika, młócę rękami między brudem i kawałkami roślin unoszącymi się w wodzie. Nagle dostrzegam światło z latarki Borysa, a jego zauważam szamoczącego się, próbującego ściągnąć buty. Robię to samo i w końcu jestem wolna, płynę ku powierzchni. Kiedy wysuwam głowę nad wodę, tracę rozeznanie, gdzie jestem i gdzie

znajdowało się wejście do jaskini. To mnie otrzeźwia. Budzę się ze swojego zaślepienia, przynajmniej na chwilę. Dociera do mnie, co zrobiłam – walczę z chłopakiem, który być może naprawdę nie ma nic wspólnego z wydarzeniami w laboratorium. Zdumiewa mnie nienawiść, którą czułam.

Czekam, aż Borys wypłynie, ale tak się nie dzieje, więc mimo zimna i dreszczy prędko nurkuje. Płynę do dna, jednocześnie obracając głową, by latarka oświetliła jak najwięcej miejsc. Im niżej jestem, tym woda okazuje się zimniejsza. W końcu zauważam nikłe światło wiele metrów pode mną. Nie dam rady dopłynąć do Borysa w tej chwili, więc wynurzam się na powierzchnię i chwytam powietrze ustami, jednocześnie czując ból w płucach.

Kilka oddechów i znowu jestem pod taflą jeziora. Teraz już mi się spieszy. Próbuje odnaleźć miejsce, w którym byłam wcześniej. Światło z latarki Borysa zsunęło się jeszcze niżej. Rozgarniam wodę, płynę najszybciej, jak potrafię. W końcu dostrzegam go – nie dał rady zdjąć płaszcza i zaplątał się w niego tuż przy dnie. Kiedy jestem już blisko i chcę mu pomóc, odpycha mnie tak mocno, że opieram się plecami o skały. Zauważam smugę krwi, unoszącą się nad moją głową, w karku czuję piekący ból. Znowu płynę do Opiekuna, łapię za jego płaszcz i szarpię, próbując mu pomóc. Ale i tym razem zaczyna ze mną walczyć, a mnie brakuje tchu. Jemu też, oboje się dusimy, zaraz będzie po wszystkim. Kiedy wreszcie Borys ma wolne ręce, brakuje nam czasu. Płyniemy jak szaleni w górę. Oboje jesteśmy tak wyczerpani, że kiedy docieramy do brzegu, on nie daje rady wyjść z wody, tylko wychyla się z niej, opierając ręce o brzeg, i ciężko łapie oddech. Ja kładę się na plecach, z nogami w jeziorze.

– Myślałam, że to ty – mówię głosem rwącym się ze zmęczenia. Próbuje dotknąć ramienia Borysa ale on to wyczuwa i odsuwa się, a moja ręka zawisa w próżni.

– Wal się! – odpowiada wściekle.

Moja latarka bezpowrotnie gaśnie. Światło z latarki Borysa zaczyna ciemnieć i Borys jednak wysuwa się na brzeg. Kaszle, trudno mu złapać oddech, mimo to próbuje się podnieść.

– Kto mi to zrobił? – pytam z resztką gniewu.

– A komu przeszkadzał twój brak umiejętności w walce? – syczy przez zaciśnięte zęby.

Wtedy wszystko staje się jasne. Nie mogę uwierzyć, że to właśnie Zoja zrobiła mi coś takiego! Co powiedziała Saint Francisowi? Że robi to dla dobra naszego teamu? Że wszyscy musimy być równie dobrzy w walce, więc należy mnie zmotywować do nauki? A może siedziała na jednym z wygodnych foteli, przebrana w ciało zastępcze i obserwowała sceny zza szyby, uważając, że wszystko to dzieje się dla słusznej sprawy? Z bezsilnej złości aż zaciskam pięści.

Jesteśmy mokrzy, a w szczelinie panuje potężny ziąb. Musimy iść. Głos łamie się Borysowi z zimna, gdy stwierdza, że na elektronicznej mapie widział coś, co przypominało tunel, porównywalny do zjeżdżalni, wychodzący na zewnątrz. O ile szczelina nie zmieniła kształtu od tamtej pory, powinniśmy go znaleźć.

– Okej. – Mnie też trzęsie się głos. – Prowadź!

Krążymy po korytarzach grotu prawie dziesięć minut, nie potrafiąc zlokalizować

znajomych punktów. Zimno narasta, drżymy coraz mocniej, do reszty tracimy orientację w terenie.

Kiedy w końcu znajdujemy tunel, jego ściany okazują się zalodzone. Udaje nam się odrobinę rozgrzać w trakcie pełznięcia do wyjścia. I wreszcie słońce. Powietrze. Kładę się na plecach, zbyt wyczerpana, by iść dalej. Czekam, aż słońce mnie rozgrzeje. Borys układa się koło mnie. Nie wiem, ile czasu tak leżymy, zbierając siły. Potem on dźwiga głowę i łapie mnie za ramię.

– Astrid, *pasmatrij!*... – mówi zupełnie innym, zdumionym tonem, wskazując coś przy skałach.

Posłusznie próbuję się podnieść.

Najpierw słyszę, a potem też czuję. Czuję zapachy ludzi, jakby chwilę temu przeszli przez to miejsce, zostawiając woń perfum, zapach szamponu do włosów, czekolady, piwa, ziół. Powietrze się mąci, dociera do mnie szemranie, jakby ktoś wypowiadał słowa, trochę jak w rozstrojonym odbiorniku radiowym. Coś materializuje się na naszych oczach: powietrze przy skałach drży, jakby znajdował się w nim żar. Rozróżniam słowa:

– ...się zacznie...

– ...musisz...

– ...on...

Jeszcze chwilę wcześniej między skałami nie było nikogo, a teraz widzę postać, coraz wyraźniejszą – to dziewczyna ubrana w długi płaszcz z kapturem. Patrząc na nią oniemiała ze zdumienia, zerkam na Borysa i widzę, że się uśmiecha z niedowierzaniem. Dziewczyna natomiast jeszcze nie należy do naszego świata, jest jak kalka z zarysami postaci, zawieszona w powietrzu. Jeszcze nie jest dość materialna, nie dość kolorowa, jej oczy odbijają ciemność.

– Ale jak...? – zaczynam, jednak Borys nakazuje mi ciszę.

Zauważam innych – jeszcze cienistych, ale już kolory ich ubrań nabierają intensywności, zapachy stają się mocno wyczuwalne. Patrząc na broń w ich rękach – wielu ma CTW albo *Fire Double Pistol*. Głosy też nabierają mocy, jakby ktoś dostroił odbiornik. Mija sekunda i pojawiają się przed nami, materialni jak ja czy Borys. Tytan się zaludnia. Znowu tętni życiem. Trudno mi w to uwierzyć, ale decyzja Saint Francisa, by mimo nacisków ze strony policji w realnym świecie zmusić ludzi do zakupów, nawet stosując terror w grze, okazała się trafna.

„Potężna społeczność *Work a Dream* zapowiada ataki hakerskie na główny komputer firmy *We Fly High!*” – informuje spiker w radio, kiedy pakuję się w hotelowym pokoju. – „Jeden z przedstawicieli społeczności, Alexander Firth, okrzyknął się mianem Lidera i żąda rozmów z producentem gier, Louistem Saint Francisem. Ostrzega, że jeśli do jutra wieczora firma nie rozpocznie z nim negocjacji, zniszczy najnowszą grę *Tytan*”.

Podróżuję przygodnie zatrzymanymi samochodami i w ten sposób docieram na północ Polski. Tam pada śnieg i odmienia kraj tak bardzo, że staje się pustynią bieli. Trudno tu określić kierunki świata, odnaleźć znajome punkty. Ostatni złapany kierowca przywozi mnie w pobliże dzielnicy Janka, gdzie okazuje się, że morze zamarzło na wiele metrów od brzegu i dzieci biegają po nim jak po boisku. Dziękuję za podwózkę i wysiadam z samochodu.

Dom wydaje się pusty i mam nadzieję, że taki właśnie jest, że Janek tu nie wrócił. Zanim przejdę w jego pobliże, wodzę spojrzeniem po zamkniętych okiennicach i opuszczonych w środku roletach, nigdzie na zewnątrz nie zauważam dziennikarzy, więc widocznie dali sobie spokój, rozumiejąc, że Janek szybko nie wróci. Ostrożnie przekraczam żółte taśmy policyjne rozpięte przy drzwiach, zabieram zapasowy klucz ze skrytki na werandzie i staram się nie zdradzić swojej obecności, nie zapalam świateł w domu, nie otwieram okien.

Psem zajął się ktoś ze znajomych Janka, kto zawsze mu pomaga, gdy on wyjeżdża albo musi grać dla *We Fly High*, więc w środku panuje cisza. W tej ciszy głośno dźwięczą moje kroki.

– Janek? Jesteś? – pytam na wypadek, gdyby jednak okazało się, że nie tylko ja staram się nie zdradzić swojej obecności.

Ale dom jest pusty, co napawa mnie ulgą i jednocześnie rozczarowuje. Na parapecie zauważam kubek z resztkami kawy, a na stole leży talerz z okruszkami. Janek wszystko zostawił tak, jakby miał tu wrócić. Widzę też ślady policjantów i techników, którzy poruszali się po domu. Na dywanie jest brud z ich butów, w popielniczce leżą niedopałki papierosów, na stole porzucono opakowania po batonikach. Nigdzie nie znajduję laptopa Janka, co oznacza, że pewnie biegli zabrali go do ekspertyzy. Nie ma też konsoli do *Work a Dream*, więc pewnie podzieliła los laptopa. Być może jednak policja zostawiła to, po co przyjechałam: notes z adresami i numerami telefonów.

Telefon stacjonarny dzwoni niemal bez przerwy. Podczas gdy szukam notesu w szafkach i szufladach, na poczcie głosowej nagrywają się informacje od dziennikarzy pragnących umówić się na wywiad z Jankiem, od kogoś o imieniu Adrian, którego głos sprawia wrażenie dorosłego, ale w dziwnie dziecinny sposób pyta, gdzie Janek jest i dlaczego nie oddzwonił. „Może to jego brat?” – myślę, przerywając na chwilę poszukiwania. Brat ucierpiał podczas wypadku, co może oznaczać różne przypadłości, również upośledzenie. Czuję, jakby coś w moim wnętrzu spadło z liny, ale jeszcze nie dotknęło rozpiętej siatki.

Szukam notesu w sypialni Janka, pospiesznie wybebeszam rzeczy z szafek.

A potem chowam je z powrotem, bo nie chcę narobić bałaganu i wolałabym, aby Janek się nie dowiedział, że byłam w domu pod jego nieobecność. Staram się omijać wzrokiem jego ubrania, rzeczy, które są dla niego ważne, albo te, które mi się z nim kojarzą. Dzień zmienia się w potężne oczekiwanie, chociaż nie jestem pewna, na co czekam, i przez to mój strach rośnie.

Znajduję notes przypadkiem, w kuchni. Policjanci na pewno dokładnie go przejrzeni, ale uznali, że nie będzie przydatny w śledztwie. Większość adresów i numerów telefonów zapisali Janka rodzice, co rozpoznaję po staromodnych, ładnych charakterach pisma. Janek zrobił tylko kilka dopisków. Między innymi wpisał adres Staszka. Fotografuję go komórką i zawracam do wyjścia. Nie mogę jednak tak po prostu wyjść, więc w drzwiach obracam się za siebie. Chcę, żeby Janek mnie tu zastał, i jednocześnie uważam, że to kiepski plan. Jestem wdzięczna za te ostatnie chwile tutaj, za ciszę domu, za wrażenie, którego nie rozumiem, a które miałam od pierwszej chwili, gdy zastukałam do drzwi tego domu wiele tygodni temu: jakby należał do mnie, jakby był moim miejscem na świecie. Dziwna wydaje mi się myśl, że być może nie będzie okazji, abym jeszcze kiedyś tu przyjechała.

Drogi do centrum stoją w długich korkach i dojazd do miasta zajmuje mi kolejną godzinę.

– Ten budynek? – dziwi się taksówkarz, kiedy za częściowo zaparowaną szybą dostrzegam numer wypisany na kamienicy, która wygląda, jakby nadawała się do rozbiórki. – Jest pani pewna, że chce tutaj wysiąść?

Mnie też zaskakują popisane sprejem ściany, dziury w miejscach szyb, które wyglądają w ciemności jak oczy, brzydka elewacja budynku, kraty w oknach. Trudno mi sobie wyobrazić, że może tu mieszkać ktoś, kto mógłby mi pomóc. Że w ogóle mieszka tutaj ktoś żywy.

Lodowata klatka schodowa otwiera się na mnie jak czeluść. O dziwo, światło działa, działa też winda, którą sprowadzam na dół. Wsiadam z niej na korytarzu czwartego piętra, który wydaje się długi jak lochy pod zamkami. Wygląda tu trochę jak w apartamentowcu Spes, tyle że to jego odwrotność – zła, ciemna strona: stara, zabrudzona wykładzina pod stopami, światło zapala się i gaśnie, niektóre drzwi są pootwierane i czuję zimno hulające w środku pustych pomieszczeń, dostrzegam ściany pozbawione tapet, podłogi, na których nie stoją meble.

Na drzwiach podanych w adresie wisi numer, ale drzwi wyglądają, jakby nikt ich nie otwierał od lat. Jeszcze raz upewniam się, że trafiłam pod właściwy adres, a potem pukam. Oczywiście nic się nie dzieje. Już nabieram pewności, że Staszek od dawna tu nie mieszka, kiedy słyszę zgrzyt zasuw. W drzwiach staje niewysoki chłopak o rozkuśdłanych jasnych włosach i trochę rozespanych oczach.

– Dostałam ten adres od Janka Kaniewicza – tłumaczę, a uśmiech chłopaka bezpowrotnie gaśnie.

– Dlaczego ci go dał? – pyta czujnie.

– Mówił, że potrafisz dokonać rzeczy niemożliwych. Że znasz się na programowaniu jak nikt inny.

– Co masz na myśli? – Jego głos traci miłe brzmienie.

Myślałam, że wpuści mnie do środka, że wszystko wyjaśnię mu bez świadków ale on nie robi mi miejsca w drzwiach. Ściszam głos, bąkając:

– Muszę zebrać dowody z miejsca, gdzie o to trudno.

– Z jakiego miejsca? – Patrzy na mnie wrogo.

Oglądam się na sąsiednie drzwi.

– Z *Work a Dream*. Porozmawiamy w twoim mieszkaniu?

Staszek raptownie się cofa i pewnie zamknąłby mi mieszkanie przed nosem, gdybym nie wsunęła stopy między futrynę a drzwi.

– Przysłali cię ludzie z We Fly High? – Gniewnie unosi głos. – Czy policja? Idź stąd!

– Nikt mnie nie przysłał...

Wypycha moją stopę, próbuje zatrzasać drzwi.

– Nie zajmuję się tym! – Teraz już właściwie krzyczy. – Spadaj! Nie chcę mieć problemu z glinami ani tym bardziej z Saint Francisem!

– Uwierz, nikt mnie nie przysłał! – Rozpaczliwie próbuję nie dopuścić do zamknięcia drzwi, chociaż Staszek jest zdecydowanie silniejszy. – Proszę! Jesteś moją ostatnią nadzieją! Zrobiłam coś okropnego, to przeze mnie Janek ma kłopoty, więc jeśli mi nie pomożesz, on pójdzie siedzieć do więzienia!

O dziwo, to właśnie te słowa sprawiają, że Staszek puszcza mnie i otwiera drzwi szerzej.

\*

W mieszkaniu nie wygląda tak źle, jak zapowiadała to klatka schodowa ale Staszek chyba niewiele tutaj robi poza spaniem i pracą na komputerze. Regały uginają się od płyt, parapet jest tak zastawiony puszkami po coli i piwie, że nie wyobrażam sobie otworzenia okna, zauważam konsolę do *Work a Dream*, leżącą na niepościelonym łóżku, a wokół niej sterty ubrań i rozrzuconą bieliznę. Czuję się zagubiona w bałaganie, który tutaj panuje, a który nie przeszkadza Staszekowi. Płynnym ruchem ręki zrzuca ubrania, prosząc, żebym usiadła.

– Nie chcę mieć na głowie ani policji, ani ludzi z We Fly High – oznajmia stanowczo. – Szczególnie z tymi drugimi wolę nie mieć nic do czynienia. Wystarczy mi oglądanie Saint Francis w necie. To niebezpieczny człowiek! Fanatyk! Za żadne pieniądze nie chciałbym z nim współpracować!

Jego słowa mnie zaskakują, ale nie komentuję ich. Nie wiem, czy będzie dobrze, jeśli wyjaśnię, że gram dla Saint Francis. Staszek zajmuje obrotowe krzesło przy biurku tak zavalonym papierami, że ledwie mieści się na nim komputer najnowszej generacji.

– Co dokładnie chcesz osiągnąć? – dopytuje się. – Chodzi ci o zapis w stylu Shot-Cube? To w jakiś sposób pomoże Jankowi?

Nie mam pojęcia, o czym mówi.

– Shot-Cube – powtarza głośniej, jakby moją niewiedzę wziął za niedosłuch. – Nic innego nie stworzę, nie jestem cudotwórcą!

Okazuje się, że Janek miał rację, na rynku od jakiegoś czasu istnieje aplikacja, która umożliwia wykonanie pojedynczych zdjęć w wirtualnej rzeczywistości, ale mają słabą

specyfikację i parametry. Firmy jeszcze nie wiedzą, do czego można taki zapis efektywnie wykorzystać, więc nie pracują nad nim.

– Tyczy się tylko *Work a Dream*, a to wciąż nowość – tłumaczy Staszek, szukając czegoś w komputerze. Obraca do mnie ekran. – Widzisz?

Przyciągam sobie drugie krzesło.

Na ekranie znajduje się przestrzenny kadr, uchwycony w grze *Work a Dream*. To pierwszy raz, kiedy w realnym świecie mogę zobaczyć fragment tamtego, wirtualnego uniwersum.

– Znam to miejsce! – wyrywa mi się i aż dotykam palcem ekranu. – To ujęcie sprzed Spes! Jest dokładnie z tyłu, gdyby odwrócić kadr...

– Gdyby zrobić to? – Staszek uśmiecha się jak kot, który właśnie złapał mysz. Powoli rozszerza kadr. Obraca go na tyle, że zaczynam widzieć fragment apartamentowca, błyszczącego w srebrzystym świetle Saturna. Na ekranie wygląda równie niesamowicie jak w wirtualnej rzeczywistości.

– Możesz się w tym poruszać? – pytam zafascynowana.

– Chodzi ci o zwiedzenie większego obszaru? – Staszek zatrzymuje ruch na ekranie. – Tylko pojedyncze ujęcie, nic więcej nie wymyślili.

– A ty? – Podnoszę na niego wzrok pełen nadziei. – Ty coś wymyślisz? Możesz nagrać dźwięk?

– Hola! – śmieje się. – Cudem będzie, jeśli sprawię, że przejdziesz kilka kroków w *Work a Dream*, a dla ciebie to za mało? Przecież to więcej, niż wymyślili informatycy na świecie!

Znowu spoglądam na ekran, oceniając przydatność tego, co proponuje mi Staszek.

– To za mało – decyduję. – Muszę mieć film. Ale skoro potrafisz zrobić pojedyncze ujęcia, może dałoby się stworzyć ich sekwencje, uchwycić dźwięk i... – Zagalopowałam się. Widzę to po jego minie. – Potrzebuję dowodów. Nie zdobędę ich bez dźwięku.

Przez chwilę mi się przygląda, jakby próbował skojarzyć moją twarz z jakimś wspomnieniem, więc przychodzi mi do głowy, że Janek był u niego, że opowiadał mi o mnie. Wyraz twarzy Staszka podpowiada mi, że to się stało już po naszym rozstaniu. W końcu Staszek pochyla się nad klawiaturą, a kiedy znowu spoglądam na ekran, okazuje się, że kolega Janka porusza się w algorytmie aplikacji, dodając do niego komendy. Nic z takiego zapisu nie rozumiem, więc zostawiam go samego przy biurku i przesiadam się na sofę. Czekam. Czekam jeszcze trochę, a potem się poddaję i wodzę wzrokiem po zdjęciach, które Staszek poprzybił pinezkami do korkowej tablicy na ścianie, przyglądam się kolekcji gier na regale i próbuję wysnuć jakieś wnioski z jego życia, ale to trudne, w mieszkaniu nie znajduję wielu podpowiedzi.

– Znamy się z Jankiem od małego – dobiega mnie głos Staszka. – Kiedy mój stary zapił i zapomniał o mnie, nie dał mi obiadu albo robił w nocy balangę, zawsze mogłem pójść do Janka. Nie raz mnie nocował, jadałem tam. Potem, jak już dorośliśmy, pożyczał mi kasę, chociaż nie miałem mu z czego oddać, a on też nie miał jej wtedy zbyt wiele. Skoro ta aplikacja ma mu pomóc, zrobię ją i nie chcę za to żadnej zapłaty.

Jakiś czas później woła mnie do siebie:

– Dobra, chodź tutaj! Coś mam!



Wracam na krzesło przy komputerze. Okazuje się, że aplikacja umożliwia teraz zrobienie kilku kroków w głąb budynku w Spes.

– To czasochłonne – opowiada Staszek, wydaje się podekscytowany, co dobrze wróży. – Założmy jednak, że uda mi się stworzyć pełną aplikację, która nagra nieco więcej. Musisz wiedzieć, że przerobienie tego na sekwencje poszczególnych zdjęć, tworzących film i dodanie do nich dźwięku zajmie mnóstwo dni pracy. A mówimy maksymalnie o dwóch minutach, które będziesz mogła nagrać w *Work a Dream*, i to w nie najlepszej jakości. Zastanów się, czy to w ogóle ma sens?

Dwie minuty? Błyszczą mu oczy, co uświadamia mi, że zapalił się do pomysłu, że zrobi więcej, niż teraz mówi.

– Jak uruchomię aplikację w wirtualnym świecie?

– Pytasz o cholernie trudne rzeczy! – Staszek śmieje się, pocierając skronie.

– Myślę nad tym, ale nie jestem cudotwórcą. Potrzebuję przynajmniej kilku dni. Wytrzymasz tyle?

Skąd we mnie przekonanie, że za kilka dni może być już za późno? I skąd pewność, że Staszek jednak zdaży?

– Jasne, dzięki – odpowiadam, ściskając jego dłoń.

\*

Zamieć niemal całkowicie sparaliżowała miasto i nie mam szans na złapanie taksówki. Kiedy docieram na dworzec, okazuje się, że wstrzymano pociągi, a ten jadący do Warszawy ma wielogodzinne opóźnienie. Nie widzę więc możliwości, żebym jeszcze dzisiaj znalazła się w stolicy. Zmarznięta melduję się w jedynym wolnym pokoju, jaki znajduję w hotelu, niemal całym zarezerwowanym na weselną imprezę. Krzyki, śmiechy i muzyka dobiegające z sali restauracyjnej dudnią do późna w nocy.

Przemoknięte rękawiczki układam na kaloryferze w pokoju, a pod kaloryferem ustawiam buty.

– Tu Ester Furtado z We Fly High z działu promocji – oznajmia kobiecie głos, kiedy odbieram dzwoniącą komórkę. – Firma zabrała się do tworzenia oficjalnej strony internetowej Opiekunów, gdzie będzie można pisać do was listy i lajkować was. Obecnie przygotowujemy się do sesji zdjęciowej.

Nie wierzę, że spada na mnie jeszcze to! Milczę tak długo, że Ester upewnia się, czy na pewno jej słucham. Pyta, czy zastała mnie w Warszawie, a jeśli nie, to jak szybko mogę się tam zjawić.

– Będę jutro po południu – odpowiadam, walcząc z niechęcią.

Umawiamy się w hotelu, gdzie Ester wynajęła apartament i zaprezentuje mi stroje do sesji. Twierdzi, że są fantastyczne, będę zachwycona. Wspomina, że zapozna mnie z fotografem oraz ze stylistką, przedstawi plan zdarzeń, pokaże tła graficzne.

– Będziemy się doskonale bawić! – dodaje z entuzjazmem, więc całe szczęście, że nie widzi wyrazu mojej twarzy.

Zoja leży w jaskini – skulony kształt, z połamanymi rękami i nogami. Kiedy dostrzegam ruch jej ciała, jęcząc, przewracam się na łóżku. Mam sucho w ustach, czuję, jak pękają mi wargi. We śnie Opiekunka nieporadnie próbuje wstać. Nie potrafi jednak

się podnieść, więc przewraca się na brzuch i zaczyna pełznąć. Krzywe ciało centymetr po centymetrze przesuwa się do wyjścia z tunelu. Jest coraz bliżej mnie. Już dostrzegam jej połamane zęby, krew na dziąsłach, krew we włosach, zalane krwią białka oczu. Uśmiecha się szeroko...

Budzi mnie własny krzyk. W głowie mi huczy, kiedy próbuję się podnieść. Razi mnie blask lampki, którą zapalam. Szczękam zębami, ale nie wiem, czy z zimna czy ze strachu. Nie mam też pojęcia, co się ze mną dzieje. Coś jest nie tak. Nie potrafię opanować dreszczy, które mną szarpia, nie umiem samodzielnie wstać.

„Potrzebuję czystych rzeczy” – myślę, bo jestem okropnie spocona, ale tracę równowagę, gdy w końcu się podnoszę. Od gorączki robi mi się niedobrze.

Coś się dzieje ze mną, coś, na co nie mam wpływu. Coś ostatecznego. Wydaje mi się, że mój organizm, wycieńczony dwukrotną śmiercią w grze i przeżyciami ostatnich tygodni, przechodzi kryzys. Jestem osłabiona, wręcz wycieńczona stresem i byle przeziębienie mnie pokonuje. Gorączka pnie się w górę i nie zwalcza jej ani aspiryna, ani żadne inne lekarstwo, które znajduję w swojej kosmetyczce.

– Proszę, niech to minie! – mamroczę, wyciskając drżącymi palcami kolejną tabletkę na dłoń.

Potrzebuję, żeby ktoś był tu ze mną i mi pomógł. Tymczasem sama muszę zrobić sobie herbatę, sama muszę znaleźć czyste rzeczy. W jakimś momencie, w kąciuku oka zaczyna migotać pole, jak wtedy, kiedy straciłam życie, podczas gdy Borys mnie testował. Nieruchomieję, próbując odgonić to okropne, niepokojące uczucie. Między rzęsami coś się porusza, mam wrażenie, jakby znajdował się tam jakiś kształt. Ogarnia mnie nieuzasadniony lęk, wydaje mi się, że zaraz nastąpi jakiś koniec.

Rozważam zawołanie taksówki i przejazd na pogotowie, ale powstrzymuje mnie myśl, że nie dam rady samodzielnie się ubrać i wyjść z hotelu. Brakuje mi sił, gdy próbuję zmienić ubranie na czyste. Zażywam jeszcze jedną aspirynę i otwieram drzwi do łazienki, pragnąc się ogrzać pod prysznicem. Ale wtedy nagle podłoga uskakuje mi spod nóg. Próbuje uchwycić się ściany, ale jest za późno.

Kubek z herbatą wypada mi z palców, ogłusza mnie dźwięk rozbijającego się szkła. Jeszcze próbuję ustać, łapię się rantu wanny, ale już po chwili osuwam się na kolana i w końcu ląduję całym ciałem na zimnych, podłogowych kaflach.

Nie wiem, jak długo byłam nieprzytomna, ale kiedy ponownie otwieram oczy, ciągle trwa noc. Boli mnie ciało, posiniaczone od upadku. Bardzo, bardzo powoli dźwigam się z podłogi i patrzę na rozlaną wodę i szkło, które trzeba zebrać. Dzisiaj nie dam sobie z tym rady. Z trudem docieram do pokoju.

Wsuwam się do łóżka i wydaje mi się, jakby wokół zakrzywiały się ściany. Pokój wydaje się pełen cieni, ale część z nich nie pasuje do realnych przedmiotów. Drzę coraz mocniej, nie mija kilka chwil i znowu jestem kompletnie mokra od potu. Coś kolejny raz pojawia się w kąciuku mojego oka, przesuwa się, przeraża mnie. Nerwowo wpatruję się w ścianę przy oknie. Cięż, który tam widzę, nie ma realnego umocowania. Przypomina wysokie, chude zwierzę. Przypomina BC.

Nie wiem, co robić. Okropnie się boję! Z walizki wyciągam słuchawki do telefonu. Rozplątuję kabelki i włączam muzykę. Melodyjne dźwięki klawiszy popychają moje

myśli w bezpieczniejsze rejony. Przypominam sobie, że słuchałyśmy tego utworu z Nikołą, kiedy jeszcze mieszkaliśmy z rodzicami. Sięgam pamięcią do obrazu małej Niki i chwil, gdy nagrywałyśmy się na kamerę.

– W przyszłości zostanę trenerką koni i będziemy razem z Miką prowadzić ranczo!  
– opowiadała wówczas moja siostra.

Myślę, że tak mogłoby być, gdyby nie zginął nasz tata. Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, byłabym dzisiaj z moją siostrą.

Przewracam się na brzuch i próbuję przypomnieć sobie coś dobrego. Trafiam na wspomnienie, w którym leżę na dachu pogotowia opiekuńczego z Bartkiem. Moje usta natychmiast wyginają się w uśmiechu, czuję, jak serce zaczyna spokojniej bić. W tym wspomnieniu ja i mój przyjaciel oglądamy spadające gwiazdy. To była niezwykle ważna noc, niemal magiczna. W radio spiker mówił, że meteoryty będą widoczne tylko w ciągu tamtej jednej doby. Przypominam sobie dłoń Bartka ocierającą się o moją rękę, wrażenie szczęścia, spokoju, poczucie spełnienia... Potem czułam tak tylko przy Janku. Nie umiem jednak określić, który z nich był dla mnie ważniejszy.

Dotykam palcami karku, miejsca, gdzie skóra wciąż się goi po tatuażu. Gdyby był ze mną Janek, powiedziałby: „Mika, nieźle narozrabiałaś! Przecież nie możesz decydować o takich rzeczach jak tatuaż. Nie wiesz, że twoje ciało już nie należy do ciebie, tylko do We Fly High? Nie czytałaś kontraktu?”

Ale Janka już nie ma w moim życiu. Bartka też nie ma. Ani Nikoli. Jestem sama. Gaszę światło i wreszcie zapadam w sen.

Po słońcu wiszącym nisko nad parapetem orientuję się, że musi być koło dziesiątej. Oczywiście spałam za długo i zaraz spóźnię się na pociąg. Do pokoju przez niedokładnie zaciągnięte żaluzje wpada szare światło dnia. Mam wrażenie, że każdy głośniejszy dźwięk może mnie zranić, a kiedy podnoszę się z łóżka, wciąż kręci mi się w głowie. Wspomnienia z nocy krążą pod powiekami, kiedy pakuję rzeczy, gdy w łazience zbieram okruchy szkła. Wiem, że za kilka godzin będzie mi trochę lepiej, a jutro być może w ogóle obudzę się całkiem zdrowa. Dzisiaj jednak poruszam się drobnymi krokami.

W taksówce sięgam po telefon komórkowy. Ktoś przysłał mi SMS. Pełna obaw sprawdzam to i nieruchomieję, wpatrzona w imię Janka widoczne na wyświetlaczu. Zbierał się dwa dni, żeby mi odpisać, a teraz ja zbieram się przez kilka minut, żeby to przeczytać.

„Trudno mi w tej chwili przejmować się tym, co zrobisz z We Fly High” – napisał. „Jeśli jednak najdą mnie wątpliwości, uprzedzę cię”. Czytam te słowa kilka razy i wciąż nie potrafię określić, czy czuję wdzięczność, ulgę, czy raczej Jankowi nie wierzę. W tonie SMS-a wyczuwam jakiś smutek, mam też nieodparte wrażenie, że tą wiadomością odsłonił się przede mną. A potem przychodzi mi do głowy, że w jakiś sposób mnie przeprosza. Musiał przecież przyjść moment, gdy wzburzenie Janka opadło i zbliżył się do poznania prawdy. Na pewno wtedy przypomniał sobie wszystkie wspólne dobre momenty. Zrozumiał, że zachował się niesprawiedliwie wobec mnie, że przecież nie byłam z nim tylko z powodu policyjnego śledztwa.

Trzymam komórkę w dłoni. Żałuję, że się poddałam. Niepotrzebnie chciałam, żeby miłość wszystko rozwiązała za mnie. Czekałam i czekałam, a powinnam działać. Przecież

miłość sama nie potrafi niczego zrobić. To ja powinnam walczyć w jej imieniu. Teraz wiem, że miałam szansę.

Kiedy docieram do Warszawy, jest wczesne popołudnie. Chciałabym najpierw pojechać do Tobiasza i Doroty, odpocząć i przespać się trochę, ale rozsądek podpowiada, że przede wszystkim powinnam porozmawiać z Czaplińskim. Nie mogę z tym dłużej zwlekać.

Sekretarka na komisariacie informuje, że mój wujek jest u siebie w gabinecie i mogę tam wejść. Nabieram więc głęboko tchu, na moment zamykam oczy, przywołując całą odwagę, i w końcu pukam do drzwi, jednocześnie pociągając za klamkę. W ten sposób staję na wprost kilku osób, zajmujących krzesła w środku.

– Miko, zostań! – dobiega mnie głos Czaplińskiego, kiedy chcę się wycofać. – To właśnie Mika Landowska – policjant przedstawia mnie zgromadzonym tu osobom.

Trzech mężczyzn i dwie kobiety ściskają mi ręce, wyraźnie ciekawi mnie. Przedstawiają się i wspominają, że słyszeli o moim tacie i z nim pracowali. Nie bardzo rozumiem, co tu się dzieje. Spoglądam pytająco na Czaplińskiego, a on wyjaśnia, że wszyscy tu zebrani należą do grupy operacyjno-dochodzeniowej, która prowadzi śledztwo dotyczące wydarzeń w mojej szkole, i też jestem do niej włączona!

Przesuwam spojrzenie od twarzy do twarzy, coraz bardziej zdezorientowana. Rozpoznaję wysoką kobietę, to profilerka, wiele razy wypowiedziała się w mediach na temat motywów, które kierowały Sebastianem, gdy strzelał w szkole. Wtedy jeszcze nie wiedziała o Janku i zdarzeniach, które doprowadziły do masakry, a mimo to celnie twierdziła, że według niej sprawca przyszedł do szkoły, aby kogoś w niej odnaleźć, a zabijani przez niego ludzie byli przypadkowi i prawdopodobnie nigdy wcześniej nie widział ich na oczy.

– Kontynuujmy – prosi Czapliński, gdy powitania się kończą.

Siadam przy starszym policjancie, którego nie znam, a on pochyła się nad jakimś wydrukiem.

– Ukradziona broń to TT-7,62 milimetry – informuje. – Jest legalna, należała do Rafała Wańkowskiego...

– Więc napastnik był skuteczny! – zdumiewa się kobieta z drugiej strony gabinetu. – Wańkowski ma przecież całodobową ochronę, jak to polityk jego szczębła. Ktoś porwał się na trudny cel!

Marszcząc brwi, przenoszę spojrzenie na twarz Czaplińskiego, który zabiera głos.

– Jak wiemy, kamery uchwyciły sprawcę na ulicy – opowiada. – Prawdopodobnie to młody człowiek, być może ten sam, o którym już raz rozmawialiśmy podczas pogrzebu Sebastiana.

Pogrzebu Sebastiana? Niepokój zaczyna pełznąć mi po plecach, kiedy spoglądam na zebranych. O czym mówią? Co ma z tym wspólnego Sebastian i dlaczego rozpatrują sprawę jakiejś ukradzionej broni, skoro ta grupa została powołana po to, by rozwiązać tylko jedno śledztwo, związane z moją szkołą?

– Mamy odcisk buta w rozmiarze czterdzieści pięć – kontynuuje Czapliński.

Dla policji oznacza to, że człowiek, którego szukają, musi mieć około metra osiemdziesiąt wzrostu – tyle wyniosłam z dzieciństwa, kiedy tata pracował w grupie

dochodzeniowej.

– Co z opcją naśladowcy Sebastiana? – pyta kobieta.

I to jest ten moment, kiedy ogarnia mnie lodowaty ziąb. Jak w złym śnie przenoszę wzrok na kobietę. Dopiero teraz dociera do mnie, co tu się dzieje, i krew odpływa mi z twarzy. Znieruchomiała słucham informacji, że ukradziony TT-7,62 jest pistoletem samopowtarzalnym produkcji radzieckiej. Działa na zasadzie krótkiego odrzutu lufy, a w magazynku normalnie mieści się osiem kul. Jednak ten konkretny egzemplarz był unowocześnioną wersją jugosłowiańską, wydłużoną do dziewięciu nabojów.

– Co wiemy? – dopytuje się ktoś zza moich pleców.

– Że napastnik był dobrze zorientowany i skuteczny. Nie popełnił błędów – odpowiada starszy policjant. – To nie wygląda na robotę amatora! Jednocześnie chłopak, którego uchwyciły kamery, jest młody, więc trudno uwierzyć, że ktoś go zatrudnił. Mógł jednak nie działać sam. Musimy założyć, że być może będzie chciał zabić.

Przyciskam dłoń do czoła. Jest znowu gorące i lepkie od potu. Jezu, przecież wiem mniej więcej, jak to wygląda, gdy człowiek otrzymuje postrzał z pistoletu! Taki pocisk nie tylko rozcina, miażdży i drażni otwór w ciele, zostawiając za sobą kanał, ale zaburzenia rozchodzą się we wszystkich kierunkach. To proste zderzenie dwóch sił, prosta fizyka: energia kinetyczna i prędkość uderzenia. Kiedy w ciało wbija się pocisk, fale ciśnienia mogą spowodować pęknięcie czaszki, złamanie kręgosłupa, paraliż, uszkadzają nerwy... Jeśli trafią w jelita albo inne miękkie tkanki, które są rozciągliwe, nie dojdzie do wielkich zniszczeń, ale w przypadku organów takich jak płuca czy wątroba, rzecz ma się o wiele gorzej. Sebastian strzelał głównie w brzuch, dlatego wiele osób przeżyło – tak pisano potem w artykułach na ten temat, które ukazywały się w prasie i na portalach internetowych. Bibliotekarce strzelił prosto w twarz.

Zaciskam powieki i znowu kręci mi się w głowie.

– Media patrzą nam na ręce – odzywa się ktoś i po gabinecie przetacza się pomruk niezadowolenia. – Mamy złą prasę. Minęło pięć miesięcy, a wciąż nie zamknęliśmy tamtej sprawy. Trzeba uspokoić nastroje, proponuję zwołać konferencję z dziennikarzami a Janek Kaniewicz powinien jak najszybciej trafić przed sąd...

Wychylam się wpatrzona w osobę, która to powiedziała. Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę!

– Podajmy mediom nagrania z monitoringu, na których jest sprawca – podsuwa jakiś mężczyzna. – Ktoś może go rozpoznać?

– Miko? – Głos Czaplńskiego wyrywa mnie ze stanu, w którym nie odrywałam spojrzenia od starszego policjanta. – Miko, zaraz podzielisz się z nami swoimi informacjami. Przygotuj się, dobrze?

Wszystkie oczy kierują się na mnie. Zmuszam się, żeby opuścić wzrok, rozpaczliwie próbuję uciszyć łomot serca.

– Mika dobrze sobie radzi, głęboko wniknęła w strukturę We Fly High – wyjaśnia zebrany mój wujek. – Zyskała zaufanie Mistrzów Gry, a niedawno osobiście poznała szefa We Fly High, Louisa Saint Francisa. Ostatnie dni spędziła z Jankiem Kaniewiczem, dbając o to, żeby nie zrobił nic głupiego. Mam na myśli jego przeszłość, incydenty, które wypływały na wierzch w trakcie śledztwa.

Incydenty? Ktoś pyta, o co dokładnie chodzi, a profilerka, która do tej pory milczała, teraz włącza się do rozmowy i opowiada rzeczy, które mnie przerażają. Twierdzi, że jakiś czas po strzelaninie w szkole Janek trafił na izbę przyjęć szpitala w Kołobrzegu – z powodu krwotoku. Badająca go lekarka uważała, że wykazywał objawy depresji i stresu. Wmawiał jej, że miał wypadek, ale według kobiety była to próba samookaleczenia – Janek za mocno pociął sobie rękę, doprowadził do krwotoku, którego nie potrafił samodzielnie powstrzymać. Podczas opatrywania rany lekarka zauważyła też inne ślady, wskazujące u niego na incydenty samoagresji.

Przez głowę przelatuje mi teraz miliard myśli. Nie wiem, czy potrafię ukryć przed policjantami szok, jakim jest dla mnie ta informacja. Przypominam sobie ranę na rękę Janka, pamiętam też, jak szybko cofnął się, gdy o to zapytałam.

Oczywiście wiem, dlaczego ludzie robią sobie coś takiego. Człowiek musi nienawidzić się całym sercem i cierpieć w środku tak bardzo, że tylko ból fizyczny zagłusza tamto cierpienie! Ludzie okaleczają się, gdy mózg wymazuje wszystkie dobre wspomnienia, wszystkie argumenty za tym, że może być lepiej. Gdy chce się drapać paznokciami ściany. I krzyczeć. Gdy walka wyczerpuje ciało. Gdy wygrywa strach i złość. Oszałamia mnie myśl, że właśnie to czuje Janek, a ja swoimi kłamstwami jeszcze mu dowalałam.

– To młody chłopak – dodaje profilerka łagodniej. – Nikt nie wychodzi bez szwanku z takiej opresji, w jakiej Kaniewicz się znalazł. Kiedy rozmawiałam z nim przez chwilę na komisariacie, patrzył na mnie jak zwierzę w klatce. Jestem przekonana, że gnębi go poczucie winy i chciałby się przyznać do reszty spraw, których jeszcze nie wyjaśniliśmy.

„Jakich spraw?” – myślę w panice. Co jeszcze policja przypisuje Jankowi? Jestem wdzięczna Czaplińskiemu, że daje mi chwilę czasu na ochłonięcie i oswojenie się z tym, co usłyszałam.

– Miko, podziel się z nami informacjami – prosi w końcu.

Próbuję zapanować nad chaosem w głowie. Głos mam trochę schrypnięty, kiedy zaczynam mówić:

– Pewien chłopak przygotowuje dla mnie aplikację, która – mam nadzieję – umożliwi mi nagranie krótkiego filmu ze świata *Work a Dream*. To pomoże nam zebrać dowody.

Wywołałam poruszenie. Szum nie cichnie przez kilka chwil, a usta Czaplińskiego drgają, jakby chciał się uśmiechnąć. Niemal czuję, jak mur wybudowany między nami kruszeje.

– Co to za chłopak? – chce wiedzieć starszy policjant.

– Znajomy – wyznaję, spoglądając na niego nerwowo.

Czapliński prosi, żeby policjanci pozwolili mi mówić, żeby przestali hałasować.

– Od kiedy się z nim kontaktujesz? – pyta.

Wzdrygam się, uświadamiając sobie, czego właśnie stałam się częścią. Myślałam, że nic się nie zmieniło i już nic się nie zmieni, a tymczasem nagle od tego, co powiem, znowu zależy bardzo wiele. Marszczę brwi i skupiam wzrok na oknie, za którym rozciąga się niebo. Przez chwilę uważnie rozważam scenariusze, usiłuję wszystko przemyśleć. Nie

odrywając wzroku od okna, mówię:

– To Janek Kaniewicz mnie do niego skierował.

Zapada cisza, a potem znowu słyszę szum.

– Wie, że dla was pracuję – dodaję i zagłusza mnie łomot mojego serca. – Rozpoznał... rozpoznał pana Czaplińskiego na komisariacie. Nie zdemaskował mnie jednak, bo chce pomóc śledztwu. Tak się składa, że wiele przemawia przeciwko niemu, ale znam inną wersję jego winy niż tę, która wam wydaje się prawdopodobna. Chętnie o niej opowiem i może jeszcze raz rozważycie wszystko.

Szum zmienia się w huk, a Czapliński nie odrywa ode mnie oczu. Jego umysł pracuje pewnie teraz na najwyższych obrotach, próbując mnie przejrzeć i zrozumieć, gdzie leży fałsz. Cokolwiek jednak znajdzie, niczego mi nie udowodni. Nie ma takiej możliwości. Nie planowałam tego, ale tym razem to ja postawiłam go pod ścianą.

Wychodzimy z komisariatu razem. W samochodzie policjanta niewiele rozmawiamy, on tylko mgliście wspomina, że człowiek, który ukradł broń i wokół którego kręciło się dzisiejsze spotkanie, już wcześniej zwrócił na siebie uwagę policji. Prawdopodobnie jest powiązany ze światem *Work a Dream*, ale Czapliński nie chce mi wyjaśnić, na jakiej podstawie tak uważa. Rozumiem jednak, jakim torem biegną jego myśli – chłopak może mieć dostęp do danych We Fly High. Figuruję na liście płac, więc łatwo można znaleźć mój adres. Albo adres Janka. Tamten człowiek ukradł pistolet kilka dni po złożonych przez Janka zeznaniach, więc być może celem jest zemsta albo kara na Opiekunach. Policja nie może ryzykować moją osobą. Czapliński zawozi mnie do kamienicy, w której po raz pierwszy spotkałam się z grupą operacyjno-dochodzeniową i gdzie otrzymałam nowe dokumenty. Wyjaśnia, że na razie będę mieszkała tutaj sama.

– Jak to? – zdumiewam się. – A Dorota i Tobiasz? A moje rzeczy?

Ledwie mijam próg kawalerki, gdy zauważam moje rzeczy, spakowane i przywiezione od Doroty i Tobiasza. Momentalnie wiem, że nie zobaczę już moich opiekunów, że w taki właśnie sposób, bez pożegnania, zostałam od nich zabrana. Patrzę na cały mój dobytek i aż za dobrze rozumiem, że to była ostatnia rodzina, u której mieszkałam. Niedługo skończę przecież osiemnaście lat i będę musiała radzić sobie sama.

Czapliński sprawdza, czy jest woda w kranach, czy kuchenka jest podłączona do gazu.

Prawie go nie słucham, kiedy tłumaczy, że nie wolno mi opuszczać mieszkania, aż policja znowu się ze mną skontaktuje. Ktoś oczywiście przywiezie mi zakupy, a dzisiaj mam wykorzystać to, co znajdę w szafkach w kuchni. Pod żadnym pozorem nie powinnam podnosić rolet w oknach, otwierać drzwi komukolwiek, kogo nie rozpoznam przez wizjer. Nie wolno mi też używać telefonu, chyba że chodzi o kontakt z ludźmi z We Fly High. Ktoś z policji odwiezie mnie na spotkanie z Ester Furtado.

– Jak długo mam tu zostać? – pytam, nie panując nad rozdrażnieniem.

Mam dość ukrywania się i pustych mieszkań, w których brakuje mi kogoś, do kogo mogłabym się odezwać. Dopiero co porzuciłam jedną samotnię, a już Czapliński wpycha mnie w drugie odosobnienie!

– Dam ci znać. Na razie tu zostań i czekaj na dalsze wskazówki – odpowiada.

Nie panując nad sobą, rzucam rzeczy na łóżko i zrezygnowana obracam się do

policjanta.

– Jak długo?! – powtarzam ze złością. – Mam dość! Nie dam sobie rady! Chcę wyjść do ludzi, spotkać się z Nikołą! Jestem zmęczona ukrywaniem się i...

– Chciałaś tego – przerywa mi ostro. – Zgodziłaś się na współpracę z nami. Tak wyglądają konsekwencje, Miko!

\*

– Cieszę się, że wreszcie mogę cię poznać, Astrid! – zwraca się do mnie Ester Furtado, ściskając moją dłoń. Szefowa działu promocji We Fly High okazuje się drobna i szczupła, ma duże, wyraziste usta i oczy, które sprawiają wrażenie trochę sennych. Prowadzi mnie w głąb apartamentu hotelowego, prosząc, żebym zdjęła kurtkę.

– Nakręcimy też krótki film o tobie – podejmuje, gdy siadamy na białej, nowoczesnej kanapie. – Coś minutowego, żeby odbiorcy mogli zobaczyć cię w ruchu i usłyszeć twój głos.

– Będę mogła nałożyć perukę? – upewniam się, z trudem odrywając spojrzenie od nowatorskich mebli, surowych ścian, od kryształowego żyrandolu, który zdobi sufit.

– Oczywiście, Astrid. Dla firmy najważniejsze jest twoje bezpieczeństwo.

Niecierpliwie krzyżuję ramiona na piersiach, w głowie znajdując nieprzyjemny komentarz do słów Ester. Czuję rozdrażnienie na samą myśl, dla kogo naprawdę tworzone są nasze strony. Domyślam się, że nie minie kilka dni, gdy jakiś bogacz zapłaci za mnie albo za Mattię i zrobi z nami, co zechce, a za co w realnym świecie poniosłby karę.

Oczywiście prawda jest taka, że wizerunek Opiekunów należy do We Fly High, więc pytania o to, jak widziałabym sesję zdjęciową, stanowią tylko uprzejmość ze strony Ester. Mimo to staram się wykrzesać entuzjazm, zwłaszcza że fotograf okazuje się młodym, pełnym energii mężczyzną i najwyraźniej cieszy się na naszą współpracę. Rozkłada przede mną projekty sesji zdjęciowej, więc skupiam się na jego opowieści.

– To jest fajne – przyznaję, dotykając palcem jednego z ujęć, które mi pokazuje jako przykłady interesującej go stylistyki.

Oglądam tła graficzne, które zostaną podłożone pod zdjęcia: będą to płonące obozy i piękny pejzaż Tytana. Firma zadbała o wszystko. Kiedy Ester prosi, żebym zajrzała do drewnianej skrzyni stojącej na podłodze, posłusznie uchylam ciężkie wieko i natychmiast cofam się, wpatrzona w broń czekającą na jej dnie. Znam te pistolety. To Five-SeveN.

„Nie gap się tak!” – szepczę do siebie w myślach. „Zachowuj się normalnie!”. Nie mogę wyglądać na zdezorientowaną. Nie wolno mi sprawiać wrażenia zagubionej i wystraszonej.

– To najefektowniejsza broń, jaką udało nam się wypożyczyć! – dobiega mnie głos Ester. – Obecnie jest na usługach jednostki specjalnej, Gromu. Myślę, że będzie wyglądać świetnie w twoich rękach!

Zmuszam się, żeby sięgnąć po belgijską broń, i zaskakuje mnie jej ciężar, niemal identyczny jak w świecie *Work a Dream*. W realnym świecie jeszcze nigdy nie miałam pistoletu w dłoni, ale teraz okazuje się, że bez problemu potrafię go otworzyć i sprawdzić magazynek.

Przenika mnie chłód. Spoglądam na Ester, a ona uśmiecha się do mnie. Zwalczam



okropne uczucie wyczerpania, które raczej nie ma nic wspólnego ze zwykłym zmęczeniem po chorobie, a które właśnie mnie ogarnęło. Marszczę brwi, zastanawiając się, dlaczego firma pożyczyła aż dwa pistolety.

– Skupmy się na strojach! – prosi Ester.

Klekoczą kółka, na których stylistka ciągnie garderobę z kilkoma wieszakami i strojami owiniętymi w ciemną folię. Furtado wyjaśnia, że w firmie odbyła się narada i podczas burzy mózgów dział promocji oraz dział handlowy zgodzili się, że w czasie sesji powinnam mieć na sobie ubranie identyczne jak w *Bitwie o Io*. Prezentuje mi żółtą sukienkę z gołymi plecami, dokładnie taką jak ta, którą nosiłam w grze.

– Jak wam się to udało? – pytam zaskoczona, z pietyzmem macając materiał.

Sukienka jest śliczna, niemal doskonała, mieni się odcieniami słonecznej żółci, miękki materiał łagodnie spływa z wieszaka. Z niepokojem oceniam jednak, że będę w niej mieć odsłonięty tatuaż.

Czy powinnam już teraz powiedzieć o tym Ester? Czy nałoży na mnie finansową grzywnę pieniężną?

– Mam tu przygotowane ubrania dla wszystkich Opiekunów – tłumaczy szefowa działu promocji. – Zaraz po sesji w Polsce lecę do Pragi, do Borysa, potem do Włoch, do Matti, a jeszcze potem do Szwajcarii, do Zoi, by na koniec odbyć podróż za ocean, do Josepha. Jak widzisz, mam pełne ręce roboty!

Zanim zdążę spytać, co robi, zsuwa foliowy worek z drugiego wieszaka.

Chyba jestem bardzo łatwym celem. Mam wrażenie, że płonie mi twarz i w tej chwili nie potrafię spojrzeć ani na Ester, ani na fotografa. Za to jak porażona wgapiam się w wysokie męskie kozaki, wojskowe spodnie, T-shirt z napisem „To ja zabiłem Kennedy’ego” oraz katanę w kolorze khaki. Kompletnie zapomniałam o tym stroju, a teraz przed oczami staje mi wirtualny księżyc Io i Janek.

Niemal podskakuję, gdy Ester kładzie mi dłoń na ramieniu, informując, że sesja odbędzie się w Warszawie za dwa dni.

– Angażujecie w nią też Janka? – pytam oniemiała ze zdumienia.

Naprawdę nie pojmuję, co We Fly High mieliby osiągnąć w ten sposób! Na ich miejscu raczej zerwałabym z nim kontrakt i to jak najszybciej! Już nawet nie chodzi o to, że jeśli zrobią mu stronę, szybko stanie się miejscem hejtu. Prawda jest taka, że Fly High mają dość kłopotów i bez jego obecności! Janek też ma dość kłopotów i bez tej strony! Czy oni powariowali?

– Oczywiście, jest naszym kontraktowym graczem. Czemu mielibyśmy go nie angażować? – pyta niewinnie Ester, ale za fasadą jej uśmiechu doszukuję się innych emocji: jest zdezorientowana tak samo, jak ja. Jej też nikt nie wyjaśnił tej decyzji.

Dociera do mnie prosta, brutalna prawda – Janka już nie stać na pokrycie gigantycznej grzywny pieniężnej, jaką obciążone jest zerwanie kontraktu. Będzie potrzebował pieniędzy na adwokata i proces sądowy. Jako pracownik nie może odmówić wzięcia udziału w promocji, stąd dwa pistolety w drewnianej skrzyni. I stąd Ester ma pewność, że Janek weźmie udział w sesji.

## 07:17:00 CZASU TYTANA

Okazuje się, że musimy z Mattią pojechać do Obozu Trzynastego, gdzie będzie na nas czekał Alexander Firth, chłopak, który żąda negocjacji z We Fly High i grozi zniszczeniem całego systemu, w którym zbudowana jest gra.

Borys opowiada, że wieczorem doszło do pierwszego ataku na grę i według developerów system uległ uszkodzeniu, jednak Borys nie bardzo się orientuje w konsekwencjach tego działania, ponieważ do tej pory nie zauważył w grze niczego, co odbiegałoby od normy. Nie znaczy to jednak, że zaraz coś się nie wydarzy.

Ostrzem noża na lodzie szkicuje mapę terenu, zaznaczając na niej podstawowe punkty. Dowiaduję się, że Trzynastka mieści się w rejonie Xanadu, na wschodzie Tytana, i według Borysa jest najsłabszym punktem, miejscem niebezpiecznym, od którego normalnie należałoby się trzymać z daleka.

– Jeśli tam coś się wydarzy, będziemy mieć kłopoty na całym Tytanie! – opowiada. – Dlatego zabierzcie stamtąd Alexandra i przekonajcie go, żeby zgodził się na bycie naszym Konsulem. W ten sposób zamkniemy mu usta, bo pensja Konsula jest naprawdę wysoka i powinna go zadowolić!

Uważnie słucham, gdy tłumaczy, że do Trzynastki wędrują gracze, którzy nie zamierzają realizować scenariusza gry narzuconego im przez komputer. To obszar nadużyć, sprzedaje się tam wszystko: od inteligentnych avatarów, po dziewczyny i chłopaków od „niedozwolonych” doznań sensorycznych. W tym miejscu na pewno można też zakupić broń z drugiej ręki, za którą normalnie należy zapłacić firmie, korzystając z opcji płatnych dodatków. Ludzie w Trzynastce walczą dla przyjemności albo żeby wyładować frustrację z realnego świata, w tym miejscu realizuje się najdziwniejsze pragnienia.

– Mattia za godzinę *w cias budziet w grie* – dodaje Borys. – Do tej pory zdążę pojechać z tobą na Mercatus i znaleźć wam mniej lancerskie ciuchy, żebyście mogli wjechać do Trzynastki bez purpurowych skór bijących po oczach!

Okazuje się, że Mercatus to tutejszy bazar, położony kilkanaście minut drogi łązikiem od Spes, na północy Tytana. To nie jest zwykle miejsce i od pierwszej chwili, gdy tam docieramy, ogarnia mnie wrażenie, jakby kładł się na nim długi cień. Przede wszystkim Mercatus wydaje mi się tak ogromny, jak osobne miasto, chociaż jego strukturę stanowi długa hala, namioty i stoiska do sprzedaży. Aż dziw, że wcześniej tutaj nie byłam!

Zdecydowanie można tu kupić wszystko: od broni po ubrania, a nawet własne, inteligentne avatary. W klatkach zauważam zniewolone BC, skute łańcuchami, z ciemnymi opaskami na oczach, żeby nie oślepyły od blasku słońca. Moją uwagę przyciągają dziewczyny od doznań sensorycznych. Kuszą opiętymi strojami i pięknymi, umalowanymi twarzami. Niektóre są tak śliczne, że trudno sobie wyobrazić, aby

w realnym świecie nie miały chłopaków albo by brakowało im bliskości – a przecież tak musi być, skoro logują się do gry w celu poczucia bliskości z drugą osobą.

Ogarnia mnie niepohamowana ciekawość. Chciałabym wiedzieć, czy Opiekunowie korzystają z ich uroków, gdy liczba godzin spędzonych w grze staje się męczarnią, a w realnym życiu brakuje im czasu na nawiązanie nowych znajomości, na jakąkolwiek czułość.

– Na Io też były takie miejsca? – dopytuję, starając się nadażyć za Borysem, który naciągnął na głowę kaptur purpurowego płaszcza i przemierza halę szybkim krokiem, wyraźnie wiedząc, czego szuka.

– *Oczywista.*

– I bywałeś tam?

Spogląda na mnie jakoś tak, że czuję się niezręcznie. Uśmiecha się kpiąco.

– Naprawdę interesuje cię, czy JA tam bywałem?

Jedna z dziewczyn nas zauważa, ale najwyraźniej uznaje, że jako para nie jesteśmy dla niej interesujący. Podejrzewam jednak, że inaczej by się zachowała, gdyby Borys przyszedł tutaj sam.

– Więc zdarzało się...? – pytam dalej.

Przewracam oczami, bo nietrudno mi sobie wyobrazić, że w *Work a Dream* chętnych na doznania sensoryczne nie brakuje, szczególnie gdy walka goni walkę i widzi się tak wiele krwi i trupów. Człowiek na co dzień obcuje ze strachem i potrzebuje odejścia od tego.

– Tego nie powiedziałem – zbywa mnie Borys.

Doganiem go i delikatnie chwytam za łokieć.

– A nie mógłbyś mi podać imienia chociaż jednej? – nalegam. – Była taka?

O Sophie, dziewczynie Matti, słyszałam, a nawet widziałam ją na filmie wideo z rozdania nagród w konkursie *Work a Dream*. Wiem, że rozstali się przez jego pracę dla We Fly High – pewnie trudno jest kochać kogoś, kto ciągle jest nieobecny. Jednak żaden inny Opiekun nie wspominał o dziewczynach.

– Miała na imię Ciara – przyznaje Borys z westchnieniem. Już otwieram usta, by zdumieć się, czy dobrze rozumiem, że Ciara była dziewczyną Borysa, gdy on dodaje: – Starła się o *robotę* u nas, bo prawie nie widywaliśmy się przez moją pracę. Testowałem ją i nieźle wypadła, ale niestety Saint Francis jej nie przyjął. Krótco potem się rozstaliśmy.

Ze sterty rzeczy na stoisku wybiera takie, które wyglądają najgorzej: są najbardziej zniszczone i spłowiałe oraz śmierdzą papierosami. W ten sam sposób dobiera nam spodnie i bluzy, czapki i rękawiczki.

– Jeśli dojdzie do kłopotów, nie umrzecie w luksusie – stwierdza, wydobywając z kieszeni pieniądze.

\*

– Nic tak nie zmienia świata jak władza – stwierdza Mattia, kiedy łązikiem docieramy do Obozu Trzynastego. Miejsce zostało ogrodzone siatką pod prądem, pewnie mającą chronić graczy przed atakami BC.

To inny świat. Za ogrodzeniem dostrzegam skupisko budynków i pawilonów. Wydaje się, że tworzą niemal jedną, zgraną strukturę. Uderza mnie nastrój obozu,

wrażenie, że terror wisi tam w powietrzu. Każdy gracz jest uzbrojony po zęby. Siedzę w łaziku cicho, bez ruchu i przyglądam się avatarowi, który do nas podchodzi. Wygląda trochę jak na starych filmach wojennych – papieros zwisa mu z ust, chłopak nie wyjmuje go w trakcie rozmowy.

– Nie da się wjechać – informuje oschle, więc Mattia wskazuje mu tył pojazdu.

Avatar zagląda tam, szeleści plandeką i wraca, chowając coś do torby.

Skrzypi brama, gdy otwierają ją dwa inne avatary. Ostatni raz oglądam się na bezpieczny teren za nami i drogę do Spes, a chwilę później jesteśmy już za kolczastym ogrodzeniem.

– Dalej nie pojedziemy. Trzeba wysiąść, Astrid.

W kabinie łazika czułam się w jakiś sposób bezpieczna, ale bez niego, na ulicy, już nie. Oczywiście mamy broń, ale do ilu osób udałoby się nam strzelić, zanim zostalibyśmy zabici?

Parkujemy łazik i pospiesznie przemierzamy dwieście metrów, które dzielą nas od motelu. Neon zapala się i gaśnie, a nazwa jest tak wyblakła, że nie potrafię jej odczytać w świetle słońca. Okropne miejsce, budzi we mnie wstręt, chociaż Mattia twierdzi, że to i tak kawał cywilizacji w porównaniu z niektórymi motelami na Io. Recepcję obsługuje inteligentny avatar – kobieta, ale nawet ona wydaje mi się odmieniona, wrogo nastawiona do ludzi, co aż za bardzo przypomina mi niedawną historię śmierci Zoi w grze, więc robię się czujna.

– Pokój na jedną noc. – Mattia płaci pieniędzmi, które w *Work a Dream* nie mają tak wielkiej wartości jak produkty spożywcze, kawa, papierosy czy broń.

Avatar zabiera je jednak chętnie, przyklejając do nas zimny wzrok.

Zamykamy się w niewielkim pokoju, gdzie zrzucamy plecaki. Jest oczywiste, że jeśli wychodząc, zostawimy tutaj cokolwiek, wszystko zostanie rozkradzione. Nie ma co wierzyć w zamknięcie na drzwiach. Wydaje mi się, że noc w tym miejscu mogłaby obfitować w wiele nieprzyjemnych niespodzianek. Przez brudne okno przyglądam się ludziom na ulicy w dole. Niepokoi mnie ten obóz. Mam wrażenie, że jest jak iskra zapalna.

– Jak znajdziemy Alexandra? – pytam i słyszę szcęk broni, gdy Mattia uzupełnia magazynek w swoim dwulufowym *Double Pistol*.

– Borys umówił nas ze swoim Obserwatorem. Od niego wszystkiego się dowiemy.

Wychodzimy z motelu i zagłębiając się w uliczki oblane złotym światłem gwiazdy. Przyszła pora, którą na Ziemi nazywalibyśmy „złotą godziną” – moment poprzedzający nadejście zmierzchu, chwile, gdy zmiękczają się kontrasty i cienie. Żółtopomarańczowa smuga będzie się rozciągać na niebie przez kilka godzin, potem kolory staną się intensywniejsze, szare chmury nabiorą odcienia ultramaryny, niebo zacznie płonąć, a słońce stanie się białą kulą znikającą za horyzontem.

Czuję się zaniepokojona i jednocześnie pochłonięta tym światem. Jeszcze nigdy nie byłam w tak dziwnym i fascynującym miejscu. Na wietrze trzepoczą płachty namiotów, rozpiętych pomiędzy nowoczesnymi pawilonami. Gracze, których nie stać na Spes czy hotele, aby odłączyć się od konsoli, układają avatary w niewielkich noclegowniach, za które trzeba zapłacić tutejszymi pieniędzmi, a gdzie pewnie dochodzi do nadużyć.

– Patrz tam! – Mattia pociąga mnie w tłum ludzi otaczających dwunasto- albo trzynastoletniego chłopaka, walczącego z o wiele starszym i wyższym od siebie nastolatkiem. Z niedowierzaniem i podziwem obserwujemy młodego, kiedy bez trudu ogrywa swojego przeciwnika.

– Jest niesamowity! – śmieje się Mattia. – Zwerbowałbym go, gdyby rolą Opiekunów była tylko walka!

Każdy szyld na sklepie, każda witryna pubu wydaje się posiadać drugie dno. Każde drzwi prowadzą w jakąś ciemność. Pierwszy raz, od kiedy weszłam do gry, mam uczucie, że zbliżyłam się o krok do tajemnicy, którą policja pragnie rozwiązać. Myślę, że to w takim miejscu na Io Sebastian nawiązał kontakt z chłopakiem, który sprzedał mu broń. Tylko w takim miejscu można swobodnie rozmawiać o wszystkim.

Schodzimy po ciemnych schodach do piwnicy przerobionej na pub.

– Poczekaj tutaj, Obserwator chciał rozmawiać tylko ze mną – tłumaczy Mattia, zostawiając mnie przed salą.

Na schodach jest głośno i tłoczno. Opieram się plecami o ścianę i przyglądam rozmawiającym ludziom, osobom, które przyszły tutaj, aby dokonać transakcji, być może aby kupić coś nielegalnego w realnym świecie. Obserwuję uściski dłoni, pochylone do siebie twarze. „Jakie to proste” – myślę. W realnym świecie ludzie musieliby uważać na policję, zacierać ślady. Tutaj przychodzą do pubu i robią interesy.

– Lecimy! – Mattia chwyta mnie za rękaw i pociąga za sobą na zewnątrz.

– Już wszystko załatwione? – pytam, ledwie za nim nadążając.

– Musimy się pospieszyć! Ruchy, Astrid!

Prowadzi mnie w stronę budynków stojących po prawej stronie obozu. Wyglądają jakoś inaczej niż reszta pawilonów, chociaż w pierwszej chwili trudno mi stwierdzić, na czym to polega. Dopiero kiedy wchodzimy na szerokie, zewnętrzne schody przeciwpożarowe, pnące się po ścianie budynku, uświadamiam sobie, że to kraniec gry, miejsce takie, jakie widzieliśmy na Io, niedopracowane graficznie.

Konstrukcja kołysze się i huczy.

– Te schody zaraz odpadną! – protestuję, chcąc się wycofać.

– Do góry! – warczy Mattia, więc mimo obaw pospiesznie zaczynam się wspinać.

Docieramy do pierwszego piętra, gdzie Mattia otwiera pierwsze lepsze drzwi balkonowe. Zagłębiamy się w półmrok ledwie naszkicowanego wnętrza mieszkania. Duszno tutaj. Na łóżku zauważam śpiących chłopaka i dziewczynę, otulonych kocem. Purpurowe światło słońca sprawia, że łóżko wygląda, jakby płonęło.

– Ciiii... – Mattia ze śmiechem kładzie sobie palec na ustach, kiedy chcę zapytać, co tu robimy.

Czuję się nierzeczywista, oszołomiona, dziwnie szczęśliwa, gdy na palcach docieramy do drugiego pokoju i zastajemy tam jeszcze jedną osobę pogrążoną we śnie. Najwyraźniej to dziewczyna od doznań sensorycznych, stąd w jej pokoju tak wiele pięknych ubrań i peruk, które widziałam wcześniej na bazarze. Przesuwam palcami po kolorowych, miękkich materiałach, zarzucam sobie na ramiona boa z fluorescencyjnych fioletowych piór, a potem patrzę na uśpioną dziewczynę, na jej śliczną, koronkową koszulę nocną. Ciemne włosy okalają jej postać jak rama obrazu, długie rzęsy rzucają

cienie na policzki. Obejmuję wzrokiem jej długie nogi, ładne stopy.

– Spadamy stąd! – szepcze Mattia, też w nią wpatrzony.

Poprzez niepomalowane drzwi wysuwamy się na ciemną klatkę schodową, pospiesznie wspinamy się na ostatni pokład budynku. Drzwi z napisem „Przejścia nie ma” zagradzają nam drogę, ale Mattia otwiera je bez najmniejszego trudu. Wychodzimy na dach. Dwanaście pięter dzieli nas teraz od twardej jak skała ziemi Tytana.

– Chyba się nie boisz? – Mattia z łatwością bierze rozpęd, by przeskoczyć na dach pobliskiego pawilonu. Oszołomiona wpatruję się w niego, gdy miękko ląduje tam, gdzie zamierzał. – No dalej, Astrid! Pospiesz się!

Nie miałam pojęcia, że istnieje coś takiego jak „pamięć ciała”, ale właśnie to dzieje się ze mną. Choćbym nie wiem jak bardzo się starała zapomnieć o upadku w szczelinę podczas podróży z Willemem, moje ciało doskonale pamięta tamten ból.

– Nie rozwalaj mnie! – woła Mattia z drugiego dachu i wesoło rozkłada ręce. – To tylko kilka metrów, Astrid! Jeśli spadniesz, obiecuję, że cię zastrzelę, zanim umrzesz z bólu!

Śmieję się, a potem zamykam oczy. „Niech się dzieje, co musi!” – myślę, rozpędzając się. W brzuchu mam motyle, zapominam o oddychaniu, a moje stopy odrywają się od bezpiecznego dachu. Nie mogę otworzyć oczu. Nie jestem w stanie nawet krzyknąć. Wiem, że znajduję się teraz nad przecznicą, lecę w powietrzu. To tylko kilka chwil i nie mam pewności, czy trafię do celu. Kiedy upadam na rozgrzany dach, wydaje mi się, że to niemożliwe.

– Jesteś do tego stworzona! Ja bym nie skakał w ciemno. – Zdumiony Mattia wyciąga do mnie rękę.

Zachwyca nas widok potężnych, majestatycznych gór, które czynią z obozu naturalną enklawę. Zachodzące promienie słońca odmieniają skały, sprawiają, że kamienie nabierają odcienia starego złota, przypominają mi ziemski Wielki Kanion. Śmiejemy się oszołomieni pięknem otaczającego nas świata, miękkością barw, zachwycającym pejzażem ciemniejącego nieba.

Przy krawędzi następnego dachu wspólnie bierzemy rozpęd i już bez lęku przeskakuję nad przecznicą, by po chwili wylądować na pobliskim budynku. W ten sposób docieramy do dwupiętrowej hali, która jest naszym celem. Mattia otwiera kolejne drzwi z napisem „Przejścia nie ma”.

Z cizy i spokoju panującego nad ulicami zagłębiamy się w gwarze, krzykach, zapachu potu i krwi wypełniających halę. To mroczny pustostan, podziemne miejsce, gdzie, mam wrażenie, może zdarzyć się wszystko. Mijamy niewielkie boksy, w których stworzono iluzję ziemskich ringów MMA. Walczą tu ze sobą hybrydy zwierząt, zniewolone BC albo gracze.

– Co tu robi Alexander? – dopytuję się, obserwując BC, które właśnie wpuszczono na ring.

Gubię krok, gdy bestie rzucają się sobie do gardeł. Mattia też się zatrzymuje, pochłonięty widokiem krwi, która tryska, brudząc najbliższych stojących ludzi. Zafascynowany wpatruje się w potężne zęby bestii, miażdżące kości przeciwnika. Z gardła pogryzionego potwora wydobywa się rżący skowyt.

– Podobno przegrał z kimś zakład i zostanie wystawiony do walki – odpowiada, podejmując wędrówkę.

– Zmusili go? – Nie rozumiem.

– Nie wydaje mi się, raczej honorowo chce ponieść konsekwencje zakładu. Tak twierdzi Obserwator Borysa. Nie daj się jednak nabrać na ten honor Astrid. Alexander to dupek i gdyby to ode mnie zależało, w życiu nie wybrałbym go na Konsula!

Wyciągam głowę, by dojrzeć arenę, wyznaczoną w największym z boksów. Zapach potu i perfum jest tutaj wręcz duszący. Arenę otacza gęsty tłum, ludzie stawiają zakłady. Walutą stają się ciepłe ubrania, broń, łaziki i noclegi. Wyczuwam narastające emocje, oczekiwanie i radość emanujące od ludzi. I wreszcie widzę Alexandra, którego wskazuje mi Mattia. Jest wysoki i przystojny, jak zresztą każdy avatar w *Work a Dream*. Ma na sobie wojskowe spodnie i poplamiony od potu T-shirt. Śmieje się, jakby gra dawała mu ten rodzaj przyjemności, którą odczuwałam, gdy pierwszy raz przebywałam w rzeczywistości marzeń.

Wrażenie jest tak intensywne, że całkowicie się w nim zatracam. Wydaje mi się, że czas stanął w miejscu, ale to nieprawda. Wokół Alexandra dzieje się wiele rzeczy: rozpoczęła się szalona walka, każda sekunda obfituje w uderzenia, uniki. Tymczasem ogarniam spojrzeniem jego twarz, widzę błysk potu na skórze, zauważam gęste, czarne włosy, prosty nos, uśmiech. Przypominam sobie uczucie szczęścia, które niemal mnie obezwładniało, gdy pierwszy raz otworzyłam oczy w rzeczywistości marzeń. Tamta euforia nie opuszczała mnie nawet w realnym świecie, nosiłam wirtualną rzeczywistość w sercu, tęskniłam do niej, była dla mnie jak drugi dom. Pod moimi powiekami wiruje teraz kosmos, gwiazdy, których nie zobaczę z Ziemi, przypominam sobie skrzącą się w słońcu pustynię księżycy Io i lodowe pejzaże Tytana. Piękny świat, dopracowany w najdrobniejszych szczegółach. Niewyobrazalna wydaje mi się myśl, że jestem tu po to, żeby go zniszczyć.

Wszystko wraca na swoje miejsce, znowu jestem w tłumie graczy, wokół narasta gwar: ludzie krzyczą, biją brawo, wiwatują. Przeciwnik Alexandra właśnie uderzył go prawym sierpowym i przeciągnął pięścią po jego nosie. Rozpryskuje się krew, widzę pięść Noaha, w tej samej sekundzie celującą w umięśniony, płaski brzuch przeciwnika.

Przesuwamy się do przodu, torując sobie drogę w tłumie. Do narożnika ringu docieramy, gdy runda pierwsza dobiega końca i gracz, będący sędzią w walce, zarządza pięciominutową przerwę.

– Powiedz wprost, że ci się u nas bardzo podoba i tylko robisz sobie jaja, strasząc atakami na system! – żartuje Mattia, chwytając Alexandra za ramię.

Alexander śmieje się, obracając do nas głowę.

– No proszę, proszę, Work a Dream's Team! – stwierdza, rozpoznając Mattię.  
– Chcesz wreszcie ze mną rozmawiać? Bo wyglądasz, człowieku, jakbyś wybrał się na poważne negocjacje! Teraz nagle traktujecie mnie serio?

– Daj spokój, Alexandrze, od kilku dni próbujesz zasłużyć na naszą uwagę i w końcu ci się udało. Jeśli więc mnie przekonasz i nie będziesz miał zbyt wygórowanych życzeń, być może się dogadamy.

Spojrzenie moje oraz Alexandra krzyżują się. W jego oczach odbijam się jak

w lustrze.

– Macie słabą obronę – stwierdza Alexander. – Twoją Opiekunkę mój znajomy Noah załatwił w dziesięć sekund przy pierwszym spotkaniu! Skoro to wasz team, wcale się nie dziwię, że ganiacie po całym Tytanie, żeby mnie znaleźć!

– Astrid – przedstawiam się.

– Wiem. – Ściska moją dłoń w trochę lekceważący sposób, ale ciągle mi się przypatruje. – Odeślij chłopaka na piwo, Astrid. Porozmawiam tylko z tobą. W cztery oczy.

\*

Nie podoba mi się to, nie tak miało być. Przecież to Mattia miał iść z nami. On ma zdecydowanie większą wiedzę niż ja na temat negocjacji. Tymczasem umawiamy się na spotkanie w motelu, a Alexander zabiera mnie ze sobą. Zanim się rozejdziemy, Mattia szepcze mi do ucha kilka informacji. Podaje kwotę pieniędzy, którą mogę zaproponować Alexandrowi za pośredniczenie pomiędzy We Fly High a społecznością graczy *Work a Dream*. Twierdzi, że nie wolno mi też negocjować na temat broni używanej w grze i innych płatnych dodatków – wszystkie tego typu rozmowy mam przekierować do Borysa. Alexander powinien się z nim rozmówić w realnym świecie i Borys na to czeka. Ja mam tylko nakłonić Lidera, żeby wyprowadził się z Trzynastki i odłączył się od konsoli na kilka godzin.

– Uważaj na tego dupka – dodaje Mattia, obejmując mnie za szyję swoją silną ręką. – I pięć razy ugryź się w język, zanim mu coś odwarkniesz! Nie daj się sprowokować! Najważniejsze, żeby wrócił z nami do Spes, zamiast się tu szwendać i namawiać ludzi do buntu!

– Okej! – przytakuję i Mattia mnie puszcza. Zostaję sama z Alexandrem.

Zna ten obóz, wie, gdzie mnie prowadzić. Wygrał walkę, jest poobijany i pewnie obolały, ale porusza się sprawnie, a jego avatar musi być bardzo silny, skoro w kilka chwil z jego skóry znikają siniaki i wybroczyny. Zabiera mnie na dach budynku, gdzie wcześniej wędrowałam z Mattią i gdzie w mieszkaniu na piętrze spała dziewczyna od doznań sensorycznych.

Teraz słońce przesunęło się niżej nad horyzontem i dach został nakryty długim cieniem nocy. Wciąż jednak zachwyca mnie widok rozciągający się stąd. Alexander rozsiada się wygodnie pod jednym z ogniw fotogalwanicznych i mruży oczy przed resztką słońca.

– Prawda jest taka, że znaleźliście się w czarnej dupie – oznajmia wprost. – Co konkretnie oferujesz, Astrid?

Wymieniam sumę, za którą mógłby dla nas pośredniczyć w rozmowach ze społecznością graczy. Jest wysoka i podejrzewam, że tylko We Fly High tak dobrze płaci, ale jeśli nawet kwota zrobiła na Alexandrze wrażenie, nie okazał tego.

– Robicie sobie ze mnie żarty? – pyta z niedowierzaniem. – Konsul! – Zdmuchuje sobie kosmyki włosów z czoła. Jego oczy wydają się czyste, niemal przejrzyste, jak zielona tafla jeziora, kiedy na mnie spogląda. – Odpowiedzialne stanowisko, prawda? I pewnie uważacie, że o to mi chodziło? Że przyszedłem tu, żeby dostać od was kasę?

„Nie daj się sprowokować” – powtarzam sobie w myślach.



– Werbujemy cię, ponieważ uważamy, że idealnie sprawdzisz się na tym stanowisku, a firma na stałe potrzebuje kogoś, kto będzie nas reprezentował na konwentach i w kontaktach ze społecznością...

– Przyszedłem do was, żeby rozmawiać o ulepszeniu gry i zadowoleniu tysięcy ludzi! – Alexander unosi głos, a ja nie mam pewności, czy rzeczywiście jest oburzony, czy tylko udaje. – Dajecie mi pieniądze, żebym nie walczył o rzeczy, które są dla was niewygodne! Co jest z wami nie tak? Nie zależy wam na tym, aby gra była perfekcyjna?! Nie liczycie się z graczami? Robicie to wszystko tylko dla kasy?

Nie odrywam od niego spojrzenia. Trudno mi go sklasyfikować. Jest aż tak naiwny? A może wcale nie? Może Alexander pragnie zaistnieć w świadomości największego na świecie producenta gier i znalazł na to sposób? Może marzy mu się, że sam Saint Francis będzie się z nim liczyć? Zastanawiam się, jaki ma atut w rękawie, czy rzeczywiście popiera go większą część potężnej społeczności graczy, czy może Alexander jest po prostu doskonałym hakerem, który chce narozrabiać w naszym systemie?

– Doceniamy twoje pomysły, ale próbujesz z nami walczyć – odpowiadam najłagodniejszym tonem, na jaki mnie stać. – Normalnie Saint Francis nie prowadziłby z tobą dialogu, tylko zbanowałby cię w grze, a w realnym świecie wytoczyłby ci proces sądowy. Ale mój szef cię docenia, proponujemy ci stałą współpracę. Jako nasz współpracownik...

– Dziewczyno, przecież robicie w portki ze strachu, bo na tyłkach siedzi wam Interpol, gracze się od was odwracają, rośnie wam konkurencja, a wasz Opiekun lada dzień trafi do pierdła! – odpowiada Alexander, zrywając się na nogi. – Nie masz pojęcia, z kim zadzieracie! Jestem Konsulem i...

– Jesteś tylko Liderem, a nie Konsulem, Alexandrze! – Sama słyszę, jak wrogo brzmi mój głos. Alexander niepotrzebnie wspomniał o Janku. – Negocjować możesz z Borysem, ponieważ to on ma wiedzę o decyzjach Saint Francisa, ale nie zyskasz wiele groźbami i atakami na nasz system!

Twarz Alexandra wydaje się teraz pustą maską, jakby nie krył się pod nią człowiek, tylko avatar.

– Myślałem, że zależy wam na graczach, że stworzyliście Tytana dla nas, a nie dla pieniędzy!

Wpatruję się w niego napiętym spojrzeniem, czując, jak powietrze wokół gęstnieje od niewypowiedzianej jeszcze groźby.

– Pojedź z nami do Spes i porozmawiaj z Borysem... – przekonuję, ale przerywa mi.

– Zniszczę was!

Sięga za cholewkę buta. Nie potrzebuje mi niczego dwa razy powtarzać. Podrywam się na nogi. Powinna sięgnąć po *Double Pistol*, ale łatwiej było wyciągnąć nóż. Alexander też wydobył tę broń, która w jego ręce staje się realnym zagrożeniem, zwłaszcza że widziałam, jak dobrze potrafi się bić. Krążymy wokół siebie jak zwierzęta przyczajone do skoku.

– Jak już się ockniesz w realnym świecie, Astrid, i wyliżesz się z ran, które ci zadam, przekaz swojemu szefowi naszą rozmowę! – syczy, a w jego oczach dostrzegam

złość: czystą i pierwotną. – Przekaż mu, że rozpieprzę to wszystko! Cały ten obóz pierwszy pójdzie z dymem! Wiesz, do ilu tysięcy ludzi z waszej bazy danych mam dostęp?! Wiesz, co mogę zrobić?!

Ogarnia mnie idiotyczne wrażenie, że budynek pod nami drży. Oczywiście to nieprawda. To ja się trzęsę, bo mimo usilnych starań nie znajduję słów negocjacji i czuję, że sytuacja wymknęła mi się z rąk. Odzyskuję panowanie nad sobą na tyle, by odskoczyć pod panel fotogalwaniczny, gdy Alexander zamachuje się nożem, blisko mojego ramienia. Słyszę świst w powietrzu. Atakuję go i tym razem on się uchyla. Zmiana zachodzi w ułamku sekundy – przyszliśmy tu rozmawiać jak negocjatorzy, ale to już przeszłość. Teraz jesteśmy wrogami. Przeskakuję na drugi dach, żeby zyskać trochę więcej przestrzeni, a kiedy oglądam się za siebie, Alexander trzyma w ręce CTW.

O nie, tylko nie to! Kula przeznaczona dla bestii śwista tak blisko, że dzielą mnie od niej centymetry. Przerazona uchylam się, kryję za panelem i przylegam plecami do jego rozgrzanej ściany. Serce jak szalone tłucze mi się w piersiach. Nie mogę uwierzyć, że to, co miało ustrzec We Fly High przed atakami, zmieniło się w koszmar! Pospiesznie otwieram swoją broń. Mam jeszcze tylko jeden zapasowy magazynek do *Double Pistol*. To za mało, żeby odbyć tu długą walkę. Idąc na spotkanie z Alexandrem, nie przypuszczałam, że będę musiała się bronić. Rozglądam się wokół i szybko podejmuję decyzję, że najlepszym sposobem będzie zwabić go do miejsca, gdzie ograniczę jego możliwości ruchu i gdzie nie wystrzelamy do siebie zbyt wielu kul.

Wybiegam więc zza panela i skaczę na schody przeciwpożarowe. Konstrukcja kołysze się i huczy. Alexander posyła kilka strzałów, ale żaden mnie nie dosięga. Popycham drzwi balkonowe, przez które już raz dzisiaj przechodziłam, i szybko zagłębiam się w półmroku pokoju, mijam łóżko, na którym wciąż śpi chłopak z dziewczyną.

Alexander skacze na schody chwilę po mnie, o czym się dowiaduję, gdy słyszę brzęk metalowej konstrukcji. W tym czasie zdążyłam już obejść całe mieszkanie, szukając najlepszego miejsca do walki. Jest tu wyjątkowo gorąco, pewnie dlatego, że cały dzień światło prażyło w ścianę budynku. Już po kilku sekundach wydaje mi się, że powietrze pachnie czymś zepsutym i robi się tak duszne, że trudno oddychać. Wyłamuję kratkę od szybu wentylacyjnego w łazience i zaglądam w głąb dziury, sprawdzając, czy w razie czego będę miała drogę ucieczki, gdybym nie mogła dotrzeć do drzwi wyjściowych. Ale wejście tutaj byłoby pułapką, w środku może czekać ślepe zakończenie. Natychmiast rezygnuję z takiego rozwiązania.

Nie wiem, gdzie jest Alexander. Nie słyszałam, żeby wszedł do mieszkania, chociaż na bank wie, gdzie się ukryłam. Wycofuję się z łazienki i ogarniają mnie wątpliwości. Może jednak dalibyśmy radę się dogadać? Dlaczego właściwie tak szybko sięgnęliśmy po broń? Ale czego on naprawdę chce? Może od początku chciał się sprawdzić jako haker, który dokona najpotężniejszego ataku na najpotężniejszy system w dziejach gier komputerowych, a negocjacje były tylko mydleniem nam oczu?

Kręci mi się w głowie. Ze zmęczenia wywołanego wieloma nieprzespanymi nocami i ciągłym stresem czuję się kompletnie niezdolna do walki. Ziścił się mój koszmar – nie potrafię racjonalnie myśleć ani przeprowadzić sprawnie akcji, a przecież po raz

piewszy, od kiedy zostałam Opiekunką, otrzymałam poważne zadanie!

Muszę kilka razy mrugać, żeby świat znowu miał ostre kontury. Zawracam do przedpokoju, gdzie purpurowe światło miesza się z szarymi cieniami na podłodze i ścianach, tworząc plataninę barw i dając wrażenie ruchu. Nie słyszę mojego wroga, a jednak wyczuwam w pomieszczeniu woń jego perfum. Próbuję go zlokalizować, usłyszeć, ale z ulicy dochodzi zbyt wiele dźwięków. „Jeszcze trochę i zginę w tym cholernym mieszkaniu!” – myślę.

I nagle go widzę, wysuwa się z gmatwaniny cieni i światła splątanych na ścianie. W ręce wciąż trzyma CTW.

Kiedy pocisk opuszcza lufę, rzucam się w bok, a dziewczyna i chłopak budzą się z krzykiem. Pociski kaleczą ścianę za moimi plecami. Ogłuszający huk wypełnia wnętrze mieszkania. Niewielki murek staje się moim jedynym schronieniem. W zasięgu wzroku mam przerażonego, obudzonego chłopaka, który nie wie, gdzie się schronić, więc staje pośrodku pomieszczenia z paniką w oczach. Dziewczyna w tym czasie próbuje wsunąć się pod łóżko, ale Alexander łapie ją wpół. Nie wiem, czy chce się nią osłonić, wziąć ją jako zakładniczkę, czy odepchnąć. W każdym razie w chwili, gdy ją chwyta, z zimną krwią biorę go na celownik. Nie ma na co czekać. Naciskam spust i trafiam. Plama krwi na jego płaszczu poszerza się bardzo szybko, a wściekłość w oczach Alexandra miesza się z bólem. Odpycha dziewczynę i udaje mu się wskoczyć na parapet okna.

– Ty idiotko! – dobiega mnie jego głos. – Pożałujesz tego! Zapamiętajcie mnie!

Wystraszony chłopak opóźnia mnie o kilka sekund, gdy staje na mojej drodze.

– Wooooon! – krzyczę.

Moment wystarcza Alexandrowi, by zniknąć za oknem. Podbiegam do parapetu z pistoletem w dłoni i wodzę wzrokiem po schodach przeciwpożarowych, obrzucam wzrokiem dach. Ale Alexander jakby się rozplątał w powietrzu.

Temperatura spada, mróz szczypie w skórę, a niebo płonie. Mijam tłum zalogowanych graczy, którzy czekają na wirtualną, spektakularną, gwieździstą noc.

– Gdzie byłaś tak długo? – Mattia czeka na mnie przy oknie w motelu, z butelką tutejszego alkoholu w ręce. Po wyrazie jego oczu orientuję się, że to chyba druga albo trzecia butelka... Nie próżnował, kiedy mnie nie było, a teraz uśmiecha się w rozbijający sposób. – Przekonałaś go? Podpisze z nami kontrakt i da spokój straszeniu nas atakami? Saint Francis będzie z nas zadowolony?

Siadam na łóżku i przez chwilę na niego patrzę. Nie jestem gotowa na myśl, że zaczynam tracić rozum, że wszystko zepsułam.

– Daj mi się napić – proszę.

Nie mamy szklanek, więc Mattia podaje mi butelkę, uprzednio wycierając rękawem gwint. Upijam długi łyk, który pali mnie w gardle i boleśnie spływa do żołądka. Przez chwilę kaszlę, co Mattię śmieszy, ale kiedy odzyskuję oddech, przechylam butelkę i piję tak długo, aż wyrwie mi ją z ręki siłą.

– Chyba nie chcesz się uwalić w najniebezpieczniejszym obozie Tytana? I to na służbie? – pyta wyraźnie rozbawiony. Jednak po chwili poważnieje. – Co się stało, Astrid? Co ustaliłaś z Alexandrem?

Kręci mi się w głowie od wypitego alkoholu. Patrzę na Mattię i nie wiem, jak mu

powiedzieć o nadchodzących kłopotach.

– Spieprzyłaś sprawę? – pyta cicho, z niedowierzaniem.

Wycieram nos. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę zawiodłam! Jednocześnie nie wiem, co więcej mogłam zrobić, żeby nie dopuścić do tej sytuacji.

– Jak mogłem pozwolić ci iść samej?! – dobiega mnie pełen niedowierzania głos Matti. – Co teraz powiemy Saint Francisowi? I gdzie jest Alexander?!

Patrzę na niego bezradnie, gdy zaczyna pakować swój plecak.

– Co robisz? – pytam, bo wygląda, jakby zamierzał mnie tutaj zostawić.

– Pójdę go szukać! – odpowiada, ale chyba naprawdę sporo wypił, skoro zatacza się na ścianę. – Cholera! Trzeba to naprawić, Astrid! Przecież nie możemy tak wrócić do szefa!

Kiedy słyszę cichy świst zza okna, przypominający ćwierkanie ptaka, prawdopodobnie nie zwróciłabym na niego uwagi, gdyby nie to, że na Tytanie nie ma ptaków, a Nikola właśnie tak gwizdała w dzieciństwie, kiedy chciała dać mi potajemny sygnał. Mattia wciąż coś do mnie mówi podniesionym głosem, a ja prędko gaszę światła i zbliżam się do okna. Moją uwagę przykuwa dziewczyna, będąca prawdopodobnie w wieku Nikoli, stojąca na dachu jednego z budynków. Cichy gwizd powtarza się gdzieś dalej, w głębi obozu.

– Co? – pyta Mattia z irytacją. – Chcesz teraz podziwiać zachód słońca? Ale masz wycucie!

Wychylam głowę, wychytuję spojrzeniem jeszcze jedną osobę stojącą na dachu budynku położonego od nas znacznie dalej. Wszystko staje się jasne. Zamykam Matti usta, nakrywając je swoją dłonią.

– Przekazują sobie wiadomości! – szepczę. – I niech to diabli, ale myślę, że chodzi im o nas!

Kiedy go puszczam, czas zaczyna się dla nas kurczyć. Mattia prędko rozdziela nam broń. Bez słowa wkładamy na siebie kurtki i czapki. On zatacza się na futrynę drzwi, więc łapię go pod ramię i niemal ciągnę po schodach.

– Nie tak szybko! – powtarza, chociaż wie, że nie mamy czasu.

Wybiegamy z hotelu na ulicę.

Zaszło tutejsze słońce – to pierwsze rzuca mi się w oczy. Mrok spowija kamienice, wsuwa się w zakamarki ulic, na niebie pojawiają się pierwsze wyraźne gwiazdy. Nie ma sensu udawać, że jesteśmy zwykłymi obozowiczami. Odbezpieczamy broń i trzymamy ją, gotową do oddania strzału, biegnąc w stronę naszego łazika, zaparkowanego po drugiej stronie rozległego placu. Cud, że nikt go jeszcze nie ukradł ani nie rozłożył na części.

– Kluczyki! – wołam do Matti. Wygląda na to, że dzisiaj ja będę musiała poprowadzić pojazd.

Ciemne, lodowate ulice. Nie zauważam innych graczy. Jeszcze kilka minut temu, gdy wracałam ze spotkania z Alexandrem, przeciskałam się w tłumie, a teraz nagle wszyscy gdzieś poznikali, jakby się umówili. Nie podoba mi się to wszystko, wyczuwam nadchodzące kłopoty. Wieje silny wiatr, który targa płachtami namiotów, huczy w metalowych konstrukcjach, wyje w powybijanych szybach budynków, a budynki śledzą nas oczodołami w miejscach okien, drzwiami pootwieranymi jak usta. Gdzie

zniknęli wszyscy? Czy to jakaś zмова? Czy to sprawka Alexandra?

Coś się dzieje. Mam wrażenie, jakby Tytan drżał pod naszymi nogami. Mimo to staramy się nie zatrzymywać ani na moment. Od łazika dzieli nas już mniej niż kilka metrów, kiedy nagle fragment ulicy przed nami staje w ogniu. Wybuch podrywa w górę nasz wielotonowy pojazd. Oszołomiona nie zdążam się cofnąć. Przez ułamek sekundy widzę łazik wirujący w powietrzu i dociera do mnie, że leci prosto na mnie! Adrenalina wypełnia moje ciało i determinuje mnie do błyskawicznego przeturlania się w bok, podczas gdy łazik z hukiem uderza w mur pawilonu, blisko miejsca, gdzie stałam.

Sypie się na mnie grad szkła. Fala gorąca przetacza się po placu. Rozpaczliwie szukam wzrokiem Matti i znajduję go. Pierwszy zrywa się na nogi, teraz o wiele przytomniejszy niż wcześniej. Łapie mnie za rękę, podrywa w górę.

– Szybko, Astrid!

Biegnę przy nim i czuję, że ziemia znowu drży. Nie rozumiem, co się dzieje. Skorupa Tytana po raz kolejny zaczyna pękać. Na naszych oczach utworzył się potężny lej w miejscu, gdzie przed chwilą była ulica.

– A co to?! – Mattia ma lepszy refleks niż ja. Stałabym i patrzyła, jak pęka ściana wysokiego budynku, ale on wyrzywa mnie z otępienia, łapiąc za rękaw kurtki i znowu pociągając za sobą w przeciwną stronę.

Huk jest ogłuszający! Pawilon rozpada się na naszych oczach. W ślad za nim idzie drugi budynek, a potem trzeci. Pęknięcie na ziemi poszerza się tak bardzo, że już po chwili tworzy potężną przepaść.

– Co się dzieje? – krzyczę przerażona.

– To chyba ten atak hakerski! – odkrzykuje Mattia.

Trzymam się mocno rękawa jego kurtki, kiedy biegniemy w stronę innego łazika, parkującego w wąskiej ulicy. Po zawaleniu pawilonu wszędzie unosi się dym i kurz. Mattia zasłania sobie rękawem nos, więc robię to samo. Dym jest jednak zbyt gęsty. Spowija wszystko. Kaszlę, a budynki znikają we mgle. Wciąż staram się trzymać Matti, ale czuję, że moje palce rozluźniają uchwyt. Kolejny, spowalniający mnie atak kaszlu i zostaję na ulicy sama. Dym pali mnie w skórę, zaczynam tracić orientację, gdzie jestem. Kiedy słyszę dźwięk pękającej szyby, wydaje mi się, że to kolejny walący się budynek. Nie wiem, gdzie uciekać, dym piecze mnie w oczy, które zaczynają łzawić.

– Mattia! – wołam, ale zagłusza mnie kolejny huk. – Mattia!

Błądzą, zataczam się, nie wiem, gdzie znajduje się kierunek, do którego zmierzaliśmy. Potykam się o gruz. Potem na wprost siebie widzę wysoką postać, ubraną w płaszcz z kapturem, nadbiegającą od strony zawalonych budynków. W pierwszej chwili myślę, że to przywidzenie, bo postać jest całkiem mglista, ale dym opada, od postaci dzieli mnie mniej niż trzy metry i rozpoznaję go. To Noah, ten chłopak z Technological Progress, który postrzelił mnie, kiedy byłam testowana przez Borysa! Właśnie wybija szybę w łaziku, jedynym parkującym pod ocalałym budynkiem. Oszołomiona wpatruję się w niego, gdy strąca rękawem szkła z siedzenia i wskakuje do środka. W chwili, gdy chce cofnąć łazik, zauważa mnie.

– *Szit!* – Czytam z ruchu jego ust. Hamuje w ostatnim momencie, kilka centymetrów przede mną. – Przejechałbym cię, wariatko!

Patrzemy na siebie i coś się dzieje. Noah uwięził mnie w pułapce swoich dziwnych, ciemnych oczu. Oboje musimy wyglądać na zdeorientowanych.

– Wsiadasz czy planujesz tutaj stać i gapić się na mnie? – woła, otwierając mi drzwiczki.

Pospiesznie wskakuję na siedzenie pasażera, wciąż krztusząc się kaszlem. Ruszamy, ale widoczność jest zbyt ograniczona, nie wiem, jak mielibyśmy jechać w takim dymie.

– Gdzieś tu jest mój przyjaciel! – krzyczę, próbując odnaleźć Mattię za oknem. – Poczekaj, Noah! Proszę! Nie mogę go zostawić!

Dym rzędzie tak nagle, jakby ktoś go rozgonił, Noah nie zwalnia stopy z pedału gazu a ja widzę przed nami, na ziemi, potężną szczelinę. Jest tak blisko, że za sekundę powinniśmy w nią spaść!

– Noah, stój!

Instynktownie wbijam nogi w podłogę tak mocno, że zaraz wyrwę tam dziurę. Noah w ostatniej chwili skręca kierownicę. Pojazd przechyla się, jakby miał się przewrócić. Jakimś cudem jednak omijamy wyrwę, jedziemy teraz wzdłuż szczeliny, a ona ciągle się wydłuża.

– Tam! – krzyczę, dostrzegając Mattię po drugiej stronie przepaści. Nie jestem pewna, czy ktoś za nim biegnie, czy po prostu ucieka w tym samym kierunku co Mattia. – Zjedź tam, Noah!

Jedziemy teraz bardzo szybko. Dociera do mnie, co Noah chce zrobić: umyślił sobie, iż wyprzedzi pęknięcie i zjedzie na drugą stronę potężnej wyrwy. Ale przecież łaziki nigdy nie były specjalnie zrywne! Nie ma szans, żeby jego plan się powiódł!

– Nie uda ci się! – szepczę oniemiała, wpatrzona we fragment powierzchni ulicy, do którego pęknięcie jeszcze nie dotarło, a który znajduje się kilka metrów przed nami. Głos mam schrypnięty od dymu: – Noah, nie rób tego, nie zdążysz, ja nie mogę teraz zginąć i...!

Jesteśmy już blisko gładkiego miejsca. Pęknięcie w szczelinie goni nas, poszerza się niemal równo z pędem naszego pojazdu. Mam uczucie, jakbyśmy już osuwali się w dół. Zaciskam powieki, bo nie chcę na to patrzeć, i słyszę okropny dźwięk rozrywającej się ziemi. Wydaje mi się, że zaraz spadniemy, że już spadamy w przepaść. Ale łazik staje w miejscu i dociera do mnie głos Noaha:

– Czy wasi Developerzy wzięli urlopy, do cholery?! Co tu się dzieje?!

Otwieram oczy i okazuje się, że stoimy po drugiej stronie pęknięcia. Udało się nam! Pospiesznie rozglądam się za Mattią ale to dziwne, nie ma go tutaj. Zaskoczona wiodę spojrzeniem po wałących się pawilonach.

Zapala się niebieskie światło, kiedy Noah uruchamia elektroniczną mapę terenu.

– Pilotuj mnie! – rzuca. – Trzeba się wydostać z obozu!

Patrzę na niego, jakby oszalał.

– Nie mogę jechać bez Matti! Muszę go najpierw znaleźć!

– Nie możesz tutaj zostać, bo zginiesz! – odpowiada, nie podnosząc głowy znad urządzenia.

Jesteśmy tak blisko siebie, że czuję zapach człowieka. Pachnie słońcem i morską

wodą. Pachnie upalnym południem. Moje spojrzenie ślizga się po twarzy jego avatara. Znam go z tamtych chwil, gdy strzelił do mnie w Spes i kucnął, żeby mi się przyjrzeć. Teraz jednak ogarnia mnie pewność, że to nie wszystko, spotkaliśmy się jeszcze gdzieś w realnym świecie... Próbuję uchwycić to wrażenie, przypomnieć sobie Noaha...

– Jedziesz ze mną? – pyta, podnosząc na mnie wzrok. Dziwnie patrzy, ogarnia spojrzeniem moją twarz, jakby szukał w niej czegoś, czego nie widać na pierwszy rzut oka. Próbuję wyobrazić go sobie w realnym świecie, ale jedyne, co przychodzi mi na myśl, przypomina błysk światła. To wspomnienie. Widzę dach. Widzę spadające gwiazdy.

„To niemożliwe” – myślę, porażona wizją.

– Nie pojedę bez Matti – oponuję drętwo, wpatrzona w Noaha.

Śmieje się, kładąc dłonie na kierownicy.

– Chyba podoba ci się umieranie na Tytanie! – stwierdza. – Może dam ci swój numer, w razie gdybyś przeżyła i jednak potrzebowała więcej adrenaliny?

– Przynajmniej wiem, dlaczego wolę We Fly High od buraków z teamu Technological Progress! – odcinam się i pociągam za klamkę w drzwiach.

W kuchni rozgrzewam patelnię i układam na niej kawałki zeschniętego chleba, licząc, że po odgrzaniu będą przypominały grzanki. Kiedy rozchyłam roletę w oknie, zauważam samochód parkujący po drugiej stronie ulicy z kierowcą w środku. Nie muszę być specjalnie mądra, by zorientować się, że to moja ochrona, podstawiona tu przez policję.

Czapliński wychodząc, zostawił mi teczkę do przejrzenia. W środku podobno znajdują się zdjęcia osób powiązanych ze strzelaniną w mojej szkole. Brutalny powrót do rzeczywistości. Mam je przejrzeć i wskazać osoby, które ewentualnie budzą moje podejrzenia i według mnie byłyby zdolne do irracjonalnych zachowań. Realnie oznacza to, że policja szuka wśród nich osoby powiązanej z kradzieżą broni, z podejrzeniem, że ktoś chce się zemścić na Janku.

Biorąc teczkę do ręki, czuję, jakbym schodziła do zimnej, brudnej rzeki z moich złych snów. W środku mieści się wszystko, od czego do tej pory udawało mi się odwracać wzrok.

Powoli rozkładam zdjęcia na podłodze. Wiodę spojrzeniem po twarzach, które pamiętam z czasów szkolnych. Przypominam sobie tych ludzi, pozdrawiających mnie na korytarzu, rozgrywających mecz na boisku, jedzących drugie śniadanie na przerwie, na ławkach przed budynkiem. Niektórych prawie nie znam, inni byli moimi bliższymi znajomymi albo po prostu zaistnieli na chwilę w moim życiu. Czapliński naprawdę się natrudził, minęło tak niewiele czasu, a on sporządził kompletną listę osób, które przebywały w szkole w dniu strzelaniny. Znalazł też niektórych krewnych rannych i zabitych.

Kiedy dzwoni Borys, prędko sięgam po słuchawkę, nie odrywając jednak spojrzenia od zdjęć.

– Mattia znikł – informuję go, pomijając na razie nieudane negocjacje z Alexandrem. – Mieliśmy problemy i zapadł się jak kamień pod wodę! Ukryłam swojego avatara i wróciłam tu, dzwoniłam do Matti, ale wciąż jest chyba w grze, skoro nie odbiera telefonu!

– Astrid, *wsio znaju* – odpowiada Borys tak ponuro, że robię się czujna. Czemu nie pyta mnie o Alexandra?

– Coś jeszcze się wydarzyło, Borys?

– Pogadamy jutro w grze. – Robi unik, ale wyczuwam, że coś się kryje za tymi słowami. Borys jednak nie chce kontynuować tematu, być może uważa, że jego telefon jest na podsłuchu, skoro grą interesuje się Interpol. – Powodzenia na sesji zdjęciowej!

– Okej, dzięki, Borys! – staram się brzmieć chociaż trochę entuzjastycznie.

Po rozłączeniu rozmowy potrzebuję chwili, żeby przestać się zamartwiać nowymi problemami, o których Borys nie chciał wspomnieć, i wracam do przeglądania teczki.

„Piotr Cichowiak” – czytam na odwrocie pierwszej fotografii. Przedstawia chłopaka kompletnie mi nieznanego. Policjant zostawił krótką notatkę, z której wynika, że Piotr przeniósł się do mojej szkoły na trzy dni przed strzelaniną. Sebastian zabił jego



dziewczyne.

– Trzy dni? – powtarzam głucho. – Trzy?

Trzy dni przed wydarzeniami, które odmieniły moje życie, nie byłam zainteresowana niczym innym niż odzyskanie siostry. Każdy z nas miał wtedy swoje problemy. Po tragedii zapomnieliśmy o nich, potem już nic nie było tak ważne, jak to, że ocaleliśmy. Teraz wysuwam z teczki zdjęcie innego młodego mężczyzny. Na odwrocie czytam, że to syn bibliotekarki, którą Sebastian zabił na moich oczach. Nieruchomieję. Pod powiekami pojawia się strzęp tamtego wspomnienia. Nie wiedziałam, że zabita kobieta miała syna. Nie potrafię sobie wyobrazić, co czuje teraz ten chłopak.

„To może być każdy” – myślę, podnosząc wzrok na okno. Syn bibliotekarki ma powód, żeby się zemścić, tak samo, jak Piotr Cichowiak, który przeniósł się do mojej szkoły na trzy dni przed strzelaniną, a Sebastian zabił mu dziewczynę. Uświadamiam sobie, że takich osób są dziesiątki. Wszyscy nienawidzą *We Fly High*, *Work a Dream* i mieliby ochotę wyrządzić krzywdę Jankowi. Nawet to jedno miasto, w którym się znajduję, wydaje mi się teraz wielkim oceanem. Jak odnaleźć w nim człowieka, który dobrze się ukrył? Jak odnaleźć tego, który ukradł broń? Policja nic o nim nie wie. Czy pracuje sam? Czy dostał od kogoś zlecenie? Co właściwie chce zrobić? I czy na pewno to ma coś wspólnego z *Work a Dream*?

Sesja zdjęciowa odbędzie się w jednym z najdroższych apartamentów, położonym na ostatnim piętrze nowoczesnego budynku, który niedawno powstał w Warszawie. Media żyją tą historią, od kiedy poszła w eter, więc już z samego rana usłyszałam informację o nas w wiadomościach w radio, a kiedy Czapliński podwozi mnie prywatnym samochodem na parking pod apartamentowiec, wprost trudno mi uwierzyć w to, co widzę: parking przypomina małe miasteczko!

Zebrali się tu fotoreporterzy i paparazzi z całego kraju, a między nimi toruje sobie drogę wóz stacji telewizyjnej. Wszyscy zachowują się, jakby przebywali na pikniku: jedzą sandwicze, ogrzewają się, pijąc gorące napoje, i czekają na mnie i na Janka.

– Co robimy? – pytam, wpatrzona w dzieciaki z pobliskiej szkoły podstawowej, które zakradają się w pobliże dziennikarzy, zaferowane, pragnąc posłuchać rozmów, znaleźć się blisko wydarzeń i chociaż musnąć palcami kamery. – Przecież nie dadzą mi wejść do środka! Sfotografują mnie! Nie mogę pokazać ludziom swojej twarzy!

– Zaparkujemy po drugiej stronie ulicy – decyduje Czapliński, zmieniając trasę jazdy. Objeżdżamy samochody dziennikarzy. Policjant wskazuje mi szklany rękaw, łączący dwa bliźniacze apartamentowce. – Pójdiesz tamtędy. Nikt cię nie zauważy.

Głośno przetykam i czuję mrowienie w ciele, gdy nasze auto staje i muszę wysiąść.

Wiem, że ludzie w kraju płoną z niecierpliwości, by poznać tożsamość Polki zatrudnionej przez *We Fly High*. Ich ciekawość rośnie z dnia na dzień, zwłaszcza że internauci rozgryźli już, że noszę perukę. Gdybym otworzyła teraz jakiegokolwiek forum internetowe, bez trudu znalazłabym domysły na swój temat, zapytania, kim jestem i dlaczego się ukrywam. Czapliński oświecił mnie dzisiaj, że za jedno moje zdjęcie wyznaczono takie duże sumy pieniędzy, że na pewno będzie na mnie polowało wielu fotografów, ale też i amatorów pragnących zarobić trochę kasy.

Kompleks apartamentowców otoczony jest małym parkiem. Pamiętam, co mój

ojciec opowiadał o agentach, o śledzeniu ludzi i obserwowaniu obiektów, więc staram się być czujna. Nakładam na głowę kaptur kurtki i próbuję nie ściągać na siebie niczych spojrzeń. Do przejścia mam raptem jedną przecznicę. To niedużo. Powinno się udać.

Kiedy przebiegam przez ulicę, moją uwagę przyciąga młody mężczyzna czekający przy bramie rozpoczynającej teren budowy, gdzie stoją apartamentowce połączone szklanym rękawem. Stoi rozparty, jakby się nudził, ale intuicja podpowiada mi, żebym skręciła za budynek, wybrała inne przejście – stojący tam człowiek może być fotoreporterem.

Z pochyloną głową, niemal nie podnosząc wzroku, udaję się z powrotem na drugą stronę ulicy. Zbiegam schodami do przejścia podziemnego, ale w środku trwa remont i muszę zawrócić. Niech to diabli!

Znowu wkraczam na chodnik, gdzie widziałam tamtego człowieka. Walczę ze sobą, żeby iść wolno i nie patrzeć nikomu w oczy. Mężczyzna unosi wzrok akurat, kiedy go mijam, a mnie serce niemal staje w piersiach. „Rozpoznał mnie?” – zastanawiam się, idąc dalej. Nie wiem, w jakim stopniu peruka zmienia mnie w mediach, ale w tej chwili mam na głowie ciemny kaptur, więc moja twarz może zostać rozpoznana przez ludzi, którzy kojarzą brunetkę z We Fly High.

Nie przyspieszam kroku, staram się jak mogę udawać, że jestem zwyczajną dziewczyną, która przechodzi przez plac, kierując się do szkoły.

Mijam wejście do apartamentowca będącego w trakcie budowy, a potem do jasno oświetlonego biurowca, w którym jest szklany rękaw. Jestem już prawie przy końcu przecznicy, blisko awaryjnego wejścia do budynku, kiedy dochodzi do mnie męski głos:

– To ona! To dziewczyna z We Fly High!

I rozpętuje się piekło. Dziennikarze rzucają się w moją stronę. Każdy chce wykonać zdjęcie! W panice popycham pierwsze lepsze drzwi i wpadam do jasno oświetlonego holu jakiejś firmy. Biegnę długim korytarzem, mijając szklane drzwi, za którymi znajdują się biura. Pracownicy podnoszą głowy, patrzą na mnie, nic nie rozumiejąc. Nie zwalniam kroku, docieram do końca piętra i w ten sposób trafiam do niedużego mieszkania, przylegającego do firmy i będącego prawdopodobnie jej częścią.

Nie wiem, gdzie jest fotoreporter. Nie mam pewności, czy ochroniarz go zatrzymał. Jestem tak zdenerwowana, że przyciskam dłoń do czoła i przez chwilę nie myślę o niczym ani nic nie czuję.

Potem rozchylam powieki i próbuję się uspokoić. Panika tylko mnie osłabi. Jestem sama w pustym mieszkaniu. Jestem zdana na siebie. Skoro jednak nikt do tej pory tutaj nie wszedł, to znaczy, że fotoreporterzy zostali zatrzymani. Z ulgą wypuszczam powietrze.

Wracam na korytarz i bez kłopotów docieram do wahadłowych drzwi, za którymi znajduje się mały hol i winda. Słyszę dźwięk rozsuwających się drzwi. Szklanym rękawem przedostaję się do budynku, gdzie odbędzie się sesja fotograficzna.

Trudno mi zapamiętać imiona wszystkich osób, które zebrały się w apartamencie. Dwie asystentki fotografa, stylistka, makijażystka i chłopak „techniczny”, czyli od wszystkiego. Część z nich to Amerykanie. Po wyczynie, jakim było dla mnie przedostanie się tutaj, łatwo udziela mi się ich entuzjazm i energia.

– Przebierz się! – informuje podekscytowana Ester, prowadząc mnie do garderoby.  
– Widziałam te tłumy ludzi na dole! Mam nadzieję, że nie miałaś kłopotów z dojściem tutaj?

Asystentka pomaga mi włożyć żółtą sukienkę. Nie komentuje mojego tatuażu, ale być może po prostu nie ma pojęcia o tym, jak wyglądałam w chwili podpisywania kontraktu. Aby od razu nie wywołać burzy z Ester, która na pewno jest bardziej zorientowana w moich sprawach, nakładam na siebie wojskową katanę. Makijażystka przechodzi samą siebie, żeby zatuszować oznaki zmęczenia na mojej twarzy. Kiedy później oglądam się w lustrze, widzę kogoś, kogo znam w innym życiu, milion kilometrów stąd. Dziwne uczucie patrzeć w oczy Astrid.

Janek przyjeżdża spóźniony, a na sam jego widok czuję, jak jakieś imadło ściska mi klatkę piersiową. Ktoś go uprzedził, że tutaj będę, ale raczej nikt mu nie powiedział, że zostanę ubrana i umalowana jak dziewczyna, którą poznał na wirtualnym Io, więc patrzy na mnie w taki sposób, jakbym była wszystkim, za czym tęsknił. To sprawia, że do reszty się gubię.

– Uzgodniłeś to z kimś? – pyta ze zdumieniem Ester, wykonując nieokreślony gest wokół jego głowy. – Przecież to zmienia twoją postać w grze! Jak mogłeś ściąć włosy bez uprzedzania nas?

Widzę po Janku, że na próżno próbuje wymyślić dobrą odpowiedź i mówi prawdę:

– Przecież wiesz, że mam kłopoty, Ester. W mediach opublikowano moje zdjęcia, miałem problem, żeby tu wejść, dziennikarze... Jezu, nalicz mi karę finansową, ale nie ciągnijmy tego tematu!

Robię nura do drugiego pomieszczenia, gdzie znajduje się szwedzki bufet. Głównie chcę zniknąć Jankowi z oczu, bo chociaż obiecał dać mi znać, gdyby chciał porozmawiać o mnie z We Fly High, czuję, że temat został tylko uśpiony, a tak naprawdę pali się jak lont. Wspólne przebywanie w jednym apartamencie, w dodatku w obliczu promocji dla firmy, może tylko zmienić Janka nastawienie do sprawy. Czuję też, że przerasta mnie rozmowa z nim i wspólne przebywanie w jednym pomieszczeniu.

Kilka minut później jednak spotykamy się przy zaimprovizowanym bufecie. W milczeniu nakładamy sobie jedzenie na talerze, a ja nie mogę uwierzyć, że stoimy blisko siebie, że nie mogę Janka dotknąć, przytulić, że nic nas już ze sobą nie łączy. Dla niego ta sytuacja chyba też jest trudna, wyraźnie wyczuwam jego konsternację. Nie od razu dociera do mnie, że od tego, co teraz powiem, zależy bardzo wiele. Jeśli na przykład zacznę mówić: „Janek, musimy to sobie wyjaśnić”, odsunie się. Jeśli powiem: „Naprawdę mi na tobie zależy”, też się odsunie. Obracam się do niego i mówię:

– Będziemy musieli udawać przyjaźń przed We Fly High, więc najlepiej, jeśli udamy, że spotykamy się po raz pierwszy. Że jesteśmy Mistrzami Gry, którzy nigdy nie widzieli się w realnym świecie. Zaproszono nas na tę sesję, ty nie wiesz o mojej pracy dla policji, a ja nie mam pojęcia, że kiedykolwiek poznałeś Sebastiana. Jesteśmy dwojgiem obcych ludzi, pracujących w jednej firmie. W ten sposób będziemy mogli być sobą i cieszyć się tą sesją.

Janek uruchamia ekspres do kawy.

– Nie widzę sensu... – stwierdza.

– Daj nam szansę, inaczej ta sesja zmieni się w koszmar.

Wtedy on się przysuwa.

– No to miło mi cię poznać – stwierdzam, wyciągając do niego rękę. Nie jest przekonany do pomysłu, ale ściska moją dłoń. – Słyszałeś o ataku na system? – zagaduję, kiedy się odsuwa.

– Tak. – Sięga po filiżankę. Spogląda na ekspres, a jego oczy wydają mi się tak niewyspane i podcienione, że domyślam się, iż nie wie mu się ani trochę lepiej niż w czasie, gdy wyruszyłam z nim w podróż.

– Poczekaj, aż usłyszysz, co się stało w realnym świecie – szepczę i w oczach Janka jednak pojawia się błysk. Kiedy opowiadam mu o ukradzonej broni, na jego twarzy odbija się zaskoczenie i niepokój. Chyba przytłoczyłam go fatalnymi nowinami.

– Możesz być celem ataku – dodaję. – Albo ja. Oczywiście, jeśli policja się nie myli i naprawdę kradzież broni ma coś wspólnego ze zdarzeniami z mojej szkoły.

Rzecz w tym, że moje słowa wymagają dodatkowych wyjaśnień, ale martwię się, że ktoś nas usłyszy i nie możemy tak swobodnie rozmawiać. Ekspres przestał szumieć, więc ponownie go uruchamiam.

Po paru sekundach Janek przerywa ciszę.

– Dzięki za ostrzeżenie. – Spogląda na produkty spożywcze, ale chyba odechciało mu się jeść.

– To jeszcze nie wszystko – informuję go i wtedy się uśmiecha.

– Niemożliwe. Jest coś jeszcze? Aż tak narozrabiałś?

Jestem zła na siebie, bo mimowolnie też się uśmiecham. A to wcale nie jest śmieszne.

– Być może ktoś z policji będzie chciał ponownie z tobą rozmawiać – dodaję, w ostatniej chwili podsuwając filiżankę pod kurek, z którego leje się kawa. Biorę głęboki wdech. – O tym, że podsunąłeś mi Staszka.

Janek daje sobie spokój z szukaniem cukru. Raptownie łapie mnie za ramię. Obraca mnie do siebie, a na jego policzkach wykwitają rumieńce.

– Czemu go w to mieszasz? Jeszcze ci mało?

– Staram się to naprawić! Wyciągam cię z kłopotów! – Wyszarpuję się z jego uścisku. – Jeśli policja będzie o to pytać, powiedz, że wpadłeś na pomysł, aby Staszek wykonał aplikację dla mnie, o której rozmawialiśmy w górach i... – Urywam, bo Janek się odsuwa i patrzy na coś za moimi plecami. Też tam spoglądam.

W progu stoi Ester. Momentalnie moje nogi robią się miękkie jak z waty. Ile słyszała z naszej rozmowy? Po wyrazie oczu Janka domyślam się, że też się przeraził.

Ale Ester wydaje się raczej pogodna. Prosi, abyśmy się pośpieszyli ze śniadaniem, ekipa chciałaby już zabrać się do pracy.

– Dobrze, zaraz przyjdziemy – obiecuje Janek. Po wyjściu kobiety spogląda na mnie.

– Wmówiłaś policji, że pomagam śledztwu bo sądzisz, że dzięki temu będę bezpieczniejszy? – pyta. – Dzięki, Miko, ale... Za kilka tygodni trafię do więzienia. Co mam z tym bezpieczeństwem zrobić?

W pokoju zmienionym na garderobę siadam na kanapie i czekam, aż Janek się

przebierze w strój Iana. Żeby się czymś zająć, przeglądam Internet w telefonie. Wszystkie serwisy piszą dzisiaj o atakach hakerskich na We Fly High. „Atak na główny serwer doprowadził do przerwania gry!” – krzyczy nagłówek pierwszego z brzegu artykułu, na który trafiam. „W zabezpieczeniu gry *Tytan* znajdowały się luki, które wykorzystali hakerzy do pierwszego w historii ataku, mającego na celu zmuszenie potentata We Fly High, by wszczął rozmowy z potężną społecznością świata *Work a Dream* w celu przywrócenia bezpłatnej broni w grze!” – czytam w tekście. Przeskakuję wzrokiem kilka wersów i odnajduję zdanie: „Mówi się, że hakerzy otrzymali dostęp do zasobów gry, być może z baz danych wypłynęły adresy i nazwiska pracowników firmy. We Fly High wciąż jednak nie potwierdziło tej wiadomości...”

Zamykam na chwilę oczy i próbuję zrozumieć, jakie to będzie miało znaczenie dla mnie, dla Janka i dla reszty Opiekunów, jeśli się okaże, że dziennikarz miał rację. Czy to będzie koniec mojej policyjnej misji?

Chwilę potem przeglądam tekst opowiadający o naszej sesji zdjęciowej. Moje ruchy stają się powolniejsze, kiedy zauważam komentarze ludzi pod artykułem. Hejt aż bije po oczach, wyzierając ze słów internautów: „Kto wpadł na tak głupi pomysł?! Ten koleś powinien smażyć się w piekle!” – napisał ktoś o pseudonimie Malcolm, mając na myśli Janka. Ktoś inny, ukrywający się pod nickiem Madzia\_18, stwierdził: „Wielka szkoda, że w Polsce zniesli karę śmierci!!!!”. Momentalnie czuję, jak ścina mi się krew. Aż za dobrze pamiętam, co profilerka na policji powiedziała o Janku, o tym, że się kaleczy, że sobie nie radzi z nienawiścią społeczeństwa i wydarzeniami, których stał się częścią. „Nie mają prawa życzyć mu śmierci!” – myślę z bezradnością większą niż gniew. Co oni sobie wyobrażają? Jak można pisać coś takiego w necie?! Nikt z nich nie zna Janka, nikt nawet się nie zastanawia, że on może przeczytać te słowa, że jego bliscy mogą je zobaczyć! Takie sądy mogą wyrządzić więcej złego niż uderzenie czy krzyk. Ktoś o nicku Scowers kończy długą litanię słowami: „Niech zdechnie, a jak nie, to sam go zabiję!”...

Janek, nieświadomy tego, albo może aż za bardzo świadomy, wraca z garderoby, z dłońmi ukrytymi w kieszeniach spodni, i zatrzymuje się przy oknie. Staram się na niego nie gapić, ale mam teraz przed oczami postać z gry. Patrzę na Iana. Pochłaniam go wzrokiem. Nie ma już długiego warkocza, jego oczy nie posiadają tak wielkiej głębi, jak miało to miejsce w rzeczywistości marzeń, ale jest tutaj. Wiem, jak mu trudno, jak bardzo cierpi. Spogląda na chmury widoczne z naszego sześćdziesiątego trzeciego piętra.

– Miejmy już to za sobą! – decyduje.

Kilkanaście razy powtarzam nagranie i mogę się założyć, że wszyscy z ekipy mają mnie dość. Okazuje się, że nie jestem w stanie bez pomyłki wygłosić kwestii przygotowanej przez dział PR. Ilekroć dochodzę do słów: „Jestem tu i czekam na listy od was”, zaczynam się jąkać i musimy wszystko zrobić od początku.

O dziwo, nagrania Janka przebiegają o wiele sprawniej, może dlatego, że We Fly High nie kazali mu opowiadać entuzjastycznych bzdur, chyba rozumiejąc, że i tak posunęli się daleko, angażując go w promocję. Janek krótko i zwięźle mówi o swoim pierwszym spotkaniu z We Fly High, co wypada naturalnie. Problemem jest dla niego spoglądanie w kamerę – wyobraźnia na pewno pozwala mu ogarnąć, co może się

wydarzyć, gdy nagranie trafi do sieci, i jakie używanie będą wówczas mieli internetowi hejterzy. Na jego miejscu w ogóle nie dałabym rady tu przyjść.

Bałam się zdjęć, ale fotograf nie narzuca nam póz i sami możemy szukać dla siebie najlepszych ustawień, szczególnie w ujęciach, na których mamy być razem. To wiele ułatwia. Ktoś włącza muzykę, żebyśmy nie pracowali w ciszy. Na stole pojawiają się napoje energetyczne i ciastka – ekipa robi, co może, żeby sesja zmieniła się w dobrą zabawę. Panuje powszechny entuzjazm, wszyscy są zadowoleni z efektów swojej pracy i powtarzają, że wyglądamy świetnie.

– Udało się wypożyczyć naboje do Five-SeveN! – oznajmia z dumą Ester.

Oczywiście nie można ich włożyć do broni, ale fotograf rozsypuje je na podłodze wokół naszych nóg. Spoglądam na nie i ogarnia mnie niepokojące uczucie, wrażenie, któremu nie potrafię się oprzeć. Janek też na nie patrzy, a w jego oczach dostrzegam coś ciemnego, czego wcześniej tam nie było.

– Powinni cię ukarać – zauważa, kiedy zdejmuję kurtkę, odsłaniając tatuaż.

Na pewno rozpoznał swój rysunek, ale nie wspomina o tym.

– Jest piękny! – Ester, o dziwo, wydaje się oczarowana. Oznajmia, że ekipa planowała nakłonić mnie do zmiany wizerunku, ponieważ uznali, że Opiekunowie powinni być bardzo charakterystyczni, a ja odbiegałam od reszty teamu Mistrzów Gry We Fly High. Duży tatuaż to rozwiązał. Ester twierdzi, że dzięki niemu nabrałam nowego charakteru i teraz wyglądam idealnie! Nie otrzymam więc kary finansowej. Tym razem mi się upiekło, ale Ester przypomina mi o warunkach kontraktu, o tym, że każdą zmianę w swoim ciele powinnam najpierw uzgodnić z firmą. Na planie zdjęciowym udajemy z Jankiem przyjaźń, której oczekują ludzie z We Fly High. Saint Francis, kiedy mnie werbował, uznał, że stanowimy ładną parę, więc teraz mamy zrealizować jego plan i pozostać jako przyjaciele. To nie jest dla mnie łatwe. Większość ludzi, kiedy kończy się jedna miłość, czeka na następną. Ze mną tak nie jest, za wiele w życiu straciłam i zbyt niewielu ludziom dałam się poznać, więc dlatego tak desperacko trzymam się tej miłości, którą mam. Jednocześnie rozumiem, że nic z niej już nie będzie.

Nie chcę tego robić, ale muszę, więc śmieję się, kiedy Janek naciąga mi na głowę kaptur wojskowej bluzy, twierdząc, że tak przynajmniej nie widać teraz peruki i przypominam jasnowłosą Astrid. Chwilę potem próbuję mu wyrwać z ręki Five-SeveN.

– Ejże?! – oburza się, wykręcając mi dłoń, a ponieważ okazuję się silniejsza, niż przypuszczał, musi włożyć więcej wysiłku w próbę obezwładnienia mnie.

Szamotanina wypada naturalnie, fotograf wykonuje mnóstwo ujęć. Spoglądam na nasze dłonie – na chwilę złączone. Przypomina mi się dom Janka, dach nakryty śniegiem, herbata w termosie. Chwila mija za chwilą, a nasz uścisk trwa. Kiedy fotograf prosi, żebyśmy przybrali pozy imitujące walkę, czuję się, jakbym wróciła z zaświatów. Wysuwam rękę z dłoni Janka i oddalamy się od siebie. Ester upiera się przy kilku zdjęciach, podczas których mam stać blisko niego, bez broni, w mojej delikatnej żółtej sukience i kozakach wiązanych jak łyżwy. Podobno tworzę ciekawą opozycję wobec jego wojskowego stroju i pistoletu w jego ręce.

– Doskonale! – powtarza fotograf.

W końcu jednak gasną światła i blendy, techniczny znosi talerze do zmywarki

i wyrzuca do śmietnika papierowe kubki, a zapadający za oknem zmierzch przypomina nam o tym, co nieuchronne. Znowu nie opuszcza mnie myśl o człowieku, który ukradł broń politykowi. Jeśli naprawdę chce nas skrzywdzić, to dzięki mediom na pewno dokładnie wie, gdzie się znajdujemy. Zło po raz kolejny czai się gdzieś na zewnątrz.

Mam ochronę policji i jestem anonimowa dla ludzi. To Janek znajduje się na oczach wszystkich. Martwię się o niego, kiedy ubiera się do wyjścia. Mam mu tyle do opowiedzenia, ale czuję, że nie ma sensu mówić czegokolwiek. Rozmowa sprowadziłaby nas do przeszłości, zmusiłaby do kłótni.

– Do zobaczenia, Miko – mówi Janek, naciągając wełnianą czapkę na głowę.

Macham mu ręką na pożegnanie. Opuszczam apartament chwilę po nim. Szklanym rękawem docieram do parkingu, na którym czeka na mnie Czapliński. Jestem już prawie przy samochodzie, kiedy decyduję się spojrzeć za siebie. Moje spojrzenie odnajduje Janka, przedzierającego się przez tłum dziennikarzy. Zaczepiają go, próbują zmusić do odpowiedzi na pytania. Patrzę na niego tak długo, aż Czapliński przywoła mnie do porządku. Posłusznie zajmuję bezpieczne miejsce w jego samochodzie. Okrążamy parking. Spojrzenia moje i Janka spotykają się w chwili, gdy on dociera do swojego samochodu.

## 00:11:54 CZASU TYTANA

Grad tłucze o powierzchnię Tytana, podczas gdy zagłębiam się w zimne, ciemne tunele, znajdujące się pod obozem Trzynastym. Z niepokojem słucham dźwięków dobiegających z zewnątrz. Ogarniają mnie obawy, że jeśli dojdzie do ponownego trzęsienia ziemi, zostanę zasypana tutaj, pod ziemią, więc chyba wolałabym ukryć się w którejś z kamienic. Ale Borys, kiedy do mnie zadzwonił chwilę wcześniej, posługując się komunikatorem internetowym – pewnie w obawie o telefoniczny podsłuch – jasno się wyraził, że mam czekać w tunelu na pomoc, że posłał do mnie kogoś, kto wydobędzie mnie z obozu.

Docieram więc do sali pozbawionej okien. To rodzaj bunkra, na ścianie wisi broń, na blacie, zmontowanym z metalowych części, zauważam puszkę z żywnością, wodę w butelkach oraz przenośną, holograficzną mapę terenu, przypominającą metaliczny dysk, a pod ścianą stoją dwie prycze ze śpiworami, przygotowanymi w razie potrzeby.

Minęła niemal doba, od kiedy Mattia nie dał znaku życia w realnym świecie, a Obserwatorom Borysa nie udało się go odnaleźć w wirtualnym świecie. Coś się stało, czuję to. Nikt nie trwałby tyłu godzin w grze, podłączony do konsoli. Minęło dość czasu, żeby zacząć się martwić.

– *My nie możemy sprawdzić, szto się dzieje w jego domu, bo mieszka na włoskiej prowincji i nie mamy tam nikogo* – wytłumaczył mi Borys w realnym świecie. – *Słuszaj, Astrid. Jeśli go znajdziecie i okaże się, że ktoś go uwięził w grze i że jest bardzo źle, cokolwiek by się działo, najpierw namówcie go, by ukrył konsolę do *Work a Dream!* To bardzo ważne! A dopiero potem... Potem Mattia może zadzwonić po lekarza.*

Przeraził mnie. Brzmiał jak ktoś mocno zaniepokojony. Czy naprawdę nigdy wcześniej Opiekunowie nie zetknęli się z takim problemem? Nikt ich nie więził w rzeczywistości marzeń? Sytuacja była aż tak patowa?

Borys przyjął taktykę stopniowego osvajania mnie z koszmarnymi nowinami, więc dopiero na koniec rozmowy zachował najgorsze informacje. Patrzyłam na niego na ekranie komputera, gdzie nagle nerwowo zaczął pocierać czoło między oczami, w miejscu, gdzie u mnie też zaczynają się migreny. Wyznał, że kilka godzin wcześniej społeczność *Work a Dream* otrzymała coś w rodzaju spamu, który wpadł niemal do każdej skrzynki mejlowej. Wiadomości zostały wysłane z wirtualnego serwera, na którym nie da się namierzyć nadawcy, ale według Borysa stał za tym Alexander. Ziszczał swoją groźbę. W mejlu dał jasne wytyczne, jak stanąć do walki z *We Fly High*, i okazało się, że uderza przede wszystkim w nas, Opiekunów. Absurdalna historia przestała wydawać mi się komiczna, gdy usłyszałam, że gracze mają nas pojmać żywych, ale doprowadzić do stanu, w którym odłączenie się od konsoli będzie dla nas niemożliwe. W ten sposób staniemy się więźniami gry i jednocześnie będziemy łatwą kartą przetargową w negocjacjach z Saint Francisem. „To jedyna sposobność” – napisał Alexander w mejlu.



– Więźniami gry? – powtórzyłam z niepokojem. Co to miało oznaczać?

Oczywiście aż za dobrze pamiętam, jak to było w *Bitwie o Io*, gdy mój umysł uwierzył, że mam związane ręce w *Work a Dream*, co spowodowało, że w realnym świecie nie byłam w stanie nimi poruszyć. Przypominam sobie też przerażający, wręcz obezwładniający ból, który odczuwałam po tym, jak podano mi truciznę w grze. Moje ciało reagowało wtedy jak w realnym świecie: skręcałam się z bólu, paliła mnie skóra, parzyły wnętrzności, o niczym tak nie marzyłam, jak tylko o tym, żeby ten koszmar się wreszcie skończył. Teraz, na samą myśl, że być może właśnie to stało się Matti, przechodzą mnie nieprzyjemne dreszcze. Spaceruję po podziemnym bunkrze i próbuję wymyślić, jakimi jeszcze sposobami można nas związać z rzeczywistością marzeń, a wszystko, na co wpadam, to pomysły rodem z horrorów i thrillerów: gracze mogliby nam połamać ręce, związać je albo, co gorsza, odciąć dłonie, albo... Podrywam głowę, słysząc kroki. – Musimy nieźle rokować, skoro i tu, i w realnym świecie ludzie aż tak się starają, żeby nas uchwycić – zauważa Janek, podchodząc do mnie.

Zamykam oczy i szybko je otwieram, usiłując sprawdzić, czy to żart.

– Co tutaj robisz? – Tylko tyle jestem w stanie powiedzieć.

– Borys mnie zaskoczył. – Janek wzrusza ramionami, ale też wydaje się rozdarty.

– Po powrocie do hotelu czekał na mnie kurier z konsolą, a chwilę potem odebrałem telefon od Borysa z prośbą, żebym ci pomógł. – Nie wie, co zrobić z rękami, więc chowa je do kieszeni płaszcza.

– Więc mamy działać jako sojusznicy? – To bezpieczne określenie, nie powinno nasuwać żadnych emocjonalnych zobowiązań, ale i tak mi się wydaje, że nic dobrego nie wyjdzie z naszych wspólnych działań. Jak długo Janek będzie mnie krył? Jak długo uda nam się tu udawać przyjaźń?

Oddycham głęboko, żeby wziąć się w garść. Czym innym jest próba rozmowy w realnym świecie, a czym innym bycie tutaj razem przez wiele godzin, wspólna walka i wzajemne liczenie na siebie.

– Przecież Mattia jest też moim przyjacielem – przypomina Janek, jakby ogarnęły go te same obawy.

To pewnie ten moment, kiedy powinnam powiedzieć: „Ja też nigdy bym Matti nie skrzywdziła”. To ten moment, w którym powinnam zapewnić Janka, że wszystko się zmieniło, zostawiłam pracę w policji, działam teraz tylko i wyłącznie dla dobra We Fly High i wcale nie jestem tu po to, żeby zniszczyć ten świat. Tymczasem jestem w stanie tylko narzucić na ramię *Magnetic Weapon* i ruszamy w głąb tunelu.

Nakazuję sobie, żeby nie wgapiać się w Janka, ale i tak to robię: wiodę spojrzeniem po jego długim, wojskowym płaszczu, wysokich męskich kozakach, niemal identycznych jak te, w których się porusza w realnym świecie, zauważam kolorowe rzemyki wokół lewego nadgarstka – nigdy ich nie zdejmuję, więc przypominają mi się słowa profilerki o tym, że się okalecza i ma blizny w realnym świecie. Właśnie tam je kryje? Patrzę na jego twarz, tę idealną twarz avatara, której już nie przysłaniają długie pasma włosów, i czuję się tak, jakby ktoś porządnie mną potrząsnął.

Wychodzimy z tunelu przy niedopracowanych graficznie pawilonach, blisko miejsca, w którym negocjowałam z Alexandrem. Rozglądam się wokół i zdumiewa mnie

obraz zniszczeń. Pęknięta ulica, którą poruszaliśmy się z Noahem, przypomina mi o błędach w uszkodzonym systemie gry. Uderza mnie widok zgliszcz w miejscach zawalonych budynków. Myślę o świecie iluzji i marzeń, o tym, że Developerzy gry będą pracować bez ustanku, by naprawić zniszczenia. We Fly High pewnie jeszcze dzisiaj rozpoczną negocjacje z przedstawicielami zbuntowanej społeczności *Work a Dream*. A potem, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z myślą Interpolu i rozpocznie się proces sądowy, albo ja, albo Janek doprowadzimy grę do jej końca, do jej absolutnego zniszczenia. I żadne z nas tak naprawdę tego nie chce.

– Poznaj Jade i Pitera, moich przyjaciół z *Bitwy o Io* – Janek przedstawia mi chłopaka i dziewczynę, czekających w cieniu zniszczonej kamienicy. Podobni do siebie jak dwie krople wody, pewnie są rodzeństwem w realnym świecie.

– Cześć! – Jade jest znacznie wyższa ode mnie, ubrana w wojskowy kombinezon w kolorze khaki i w rozpiętą wojskową kurtkę. Ogarniam wzrokiem jej niemal dziecięcą twarz, długie, ciemne włosy, błyszczące oczy i wiem, po prostu wiem, że to dziewczyna z rysunku Janka, który pokazał mi w leśnym domku swoich rodziców.

– Skąd się znacie z Jankiem? – dopytuje się, ściskając mi dłoń.

– Razem pracujemy. – Staram się mówić obojętnie. – Stąd się znamy. Z We Fly High.

Wiem, że głupio to brzmi, jakbym się tłumaczyła, że nic mnie z Jankiem nie łączy poza pracą. Nic na to jednak nie poradzę, że żadne więcej słowa nie przychodzą mi do głowy.

– Hej! – Brat dziewczyny, wysoki chłopak o gęstych, jasnych włosach, nie decyduje się podać mi ręki, ale już po chwili rozumiem, dlaczego: przyniósł masy pirotechniczne i ładunki wybuchowe, więc ręce ma aż czarne od brudu. – Chodźcie za nami! – Pierwszy rusza przed siebie.

Docieramy do mieszkania mieszczącego się w jednej z niedopracowanych konstrukcji. To dwupokojowa przestrzeń, pozbawiona mebli i ozdób. Na podłodze, na materacach nocuje tutaj kilku graczy, obecnie odłączonych od konsoli. W pustostanie panuje cisza i ziąb, budynek znajduje się po północnej stronie obozu, więc słońce nigdy tu nie dociera. W oknach brakuje szyb, ale na szczęście jest malutki grzejnik w formie idealnej kuli, ustawionej na trójnogu – mikroreaktor, wielkości piłki tenisowej, który ma stałą temperaturę około 20 stopni i dąży do ustanowienia takiej w otoczeniu – może działać latami.

– Rozdzielcie to między siebie – oznajmia Piter, wykładając broń na podłogę, więc kucamy i dzielimy zdobycze. – Nie możecie tu długo zostać. Posłałem znajomego gracza, żeby popytał o waszego Opiekuna, ale gdy tylko dostaniecie wiadomości, musicie zniknąć. Inaczej nas narazicie. Ten obóz działa jak doskonale zorganizowany oddział wojska. Nie macie pojęcia, ile jest tu gangów o złożonej strukturze i jak prędko można tu stracić życie!

Jade rozdaje nam puszki z jedzeniem, więc siadam koło Janka i wbijam nóż w swoją. Dopiero teraz dociera do mnie, jak bardzo jestem głodna.

– Nie szukam pretekstu do awantury – zapewnia Piter z pełnymi ustami, cofając się na pryczę, gdzie naciąga sobie koc na ramiona. – Ale nie wydaje ci się, Ian, że zatrzymanie

cię na kontrakcie w sytuacji, gdy ciężą nad tobą poważne zarzuty, stawia We Fly High w niezbyt dobrym świetle?

Zerkam na Janka i widzę, że ma rumieńce na twarzy, jak za każdym razem, gdy ktoś mówi o jego procesie.

– Pewnie mnie zwolnią, gdy zacznie się rozprawa w sądzie – odpowiada, siląc się na obojętny ton.

– I co wtedy zrobisz? Zniszczysz grę, opowiadając o niej przed ławnikami?  
– zdumiewa się Piter. – Poważnie?

– Powiedz szczerze, czy tego chcesz? – włącza się Jade, która usiadła na jedynym wolnym materacu i właśnie nabija na nóż kawałek mięsa. – W każdych innych okolicznościach stałabym murem za tym, żeby We Fly High zleciała z czołówek list sprzedaży, ale zniszczenie tego świata to jednak zbyt wiele, nawet dla mnie. Lubię to miejsce! Chcę tu wracać!

Spinają się wszystkie moje mięśnie. W milczeniu wpatruję się w swoje jedzenie.

– Oczekujesz zapewnienia, że będę kłamać w sądzie? – dobiega mnie głos Janka, próbującego obrócić sytuację w żart.

Piter uśmiecha się szeroko.

– A zrobisz to? To chyba niewielka różnica dla ciebie, skoro i tak masz trafić za kratki, a przynajmniej pozwolisz nam zachować rozrywkę w postaci gry! Nie bądź egoistą!

Wybuchają śmiechem, chociaż takie żarty to raczej kiepski powód do zabawy. Myślę jednak, że wszyscy staramy się oswoić ten temat. Janek też wydaje się rozbawiony, podejrzanie szybko jednak skupia się na zwinięciu liny, którą dał mu Piter, a Jade przez cały ten czas obserwuje go z lekko uniesionymi brwiami.

– Żal mi go – szepcze do mnie, gdy chłopacy ustalają coś między sobą, a my opieramy się plecami o ścianę, wpatrzone w nich. – To musi być okropne uczucie, gdy wiesz, że za chwilę stracisz wszystko, łącznie z wolnością. Chyba... wołałabym stracić to wszystko wcześniej, odsunęłabym od siebie tych ludzi, na których mi najbardziej zależy, żeby nie trzymać się nadziei, że będą na mnie czekać. Bo nie będą. Realny świat nie jest ani trochę lepszy od tego wirtualnego.

Zakładam za ucho miękki kosmyk włosów. Wiem, o czym mówi Jade, i przychodzi mi do głowy, że udzieliła mi odpowiedzi, której cały czas szukałam. Myślę więc o jej słowach, myślę o nich cały czas, niemal bez ustanku, szczególnie wtedy, gdy Janek wraca na swoje miejsce przy mnie i siedzimy tak blisko siebie, że dotykamy się ramionami.

Godzina, którą mieliśmy spędzić w kamienicy, czekając na informatora, zmienia się w większą część wieczoru. Temperatura powietrza spada, ogrzewamy się przy mikroreaktorze, pijąc herbatę wzmocnioną alkoholem. Od czasu do czasu czujemy drżenie ziemi, a nieprzyjemny, głuchy dźwięk, od którego przechodzą mnie ciarki, echem odbija się między ścianami.

Informator przynosi wieści krótko po drugiej w nocy – nieprzytomny chłopak jest przetrzymywany na zapleczu klubu w centrum obozu. Być może to Mattia. Podobno był torturowany, ale informatorowi nie udało się dowiedzieć niczego więcej... Twierdzi, że problemem w odbiciu więźnia może się okazać miejsce, podobno pilnie strzeżone,

należące do kogoś posiadającego tutaj władzę.

– Nie możemy z wami jechać – stwierdza Piter, kiedy pakujemy się z Jankiem do drogi.

Oddał nam większość swojej amunicji, za co jesteśmy rodzeństwu ogromnie wdzięczni.

– To nie wasza wojna i nie wasz przyjaciel – zgadza się z nim Janek. – I tak zrobiliście dla nas więcej, niż oczekiwałem.

– Uważajcie na tych ludzi! – Jade przytula Janka do siebie. – Nie chciałabym, żebyście podzielili los swojego kumpla!

– Dzięki za wszystko – odpowiada Janek i przez chwilę obejmuje Jade, a potem ściska rękę Piterowi. Przychodzi mi do głowy, że w ten sposób żegna się z nimi przed procesem sądowym, przed karą, która go niechybnie czeka.

Kiedy wychodzimy z pomieszczeń, okazuje się, że wiatr ustał i noc sprawia wrażenie niemal spokojnej, tylko na horyzoncie widzę czerwoną, cienką lunę, oznaczającą ogień w którymś z obozów. Jade dała nam kluczyki do swojego łazika, więc wskakujemy do pojazdu i skupiamy się nad elektroniczną mapą terenu. Szeptem omawiamy dojazd do klubu, a potem ucieczkę z niego. Niepokoi nas magiczny obszar, zaznaczony na mapie, a znany nam z biblii gry – *Area of Faith*. To magiczne miejsce, ciągle modyfikowane przez myśli i sny graczy. Żadne z nas nie ma pojęcia, co to oznacza i czy uda nam się ten obszar pokonać. Znajduje się on u wylotu tuneli, którymi planujemy wydostać się z obozu, jeśli się okaże, że nie da się tego zrobić główną bramą, którą się tutaj dostałam z Mattią.

– Dobra, zbieramy się stąd – decyduje Janek.

Ruszamy w ciemną, lodowatą noc. Klub znajdujemy kilka minut później, to niewielki bungalow, przylegający do muru ogradzającego obóz. Kiedy wysiadamy z pojazdu, wszystko staje się oczywiste: tym razem nie ma możliwości używania półśrodków. Żadnego celowania w nogi, obezwładniania i prób oszczędzenia wrogowi życia. Aż za dobrze rozumiemy, że jeśli coś się stanie, żadne z nas prawdopodobnie nie będzie mogło odłączyć się od konsoli. Jeśli tu zginiemy, Borys i Joseph zostaną sami przeciwko społeczności *Work a Dream*, a Developerom zajmie kilka dni, zanim odbudują nasze avatary. Dlatego musimy wyjść z tego miejsca bez szwanku.

– Dasz sobie radę? – pyta Janek, podając mi broń.

– Nie różnimy się, teraz gram na kontakcie jak ty. Radzę sobie – odpowiadam, a on spogląda na mnie, jakby jednak oceniał moją przydatność w walce

Razem ruszamy w stronę klubu. Niska przybudówka klubu ma tylko jedno okratowane okno. Kiedy próbujemy zajrzeć przez nie do środka, zauważamy ciemne pomieszczenie, zastawione wieloma skrzyniami.

– Tam jest – informuję szeptem, dostrzegając skuloną postać leżącą na podłodze.

Czekamy kilka chwil, ale avatar się nie porusza. Nie widzimy jego twarzy, nie wiemy więc, czy jeszcze żyje. Opieramy się plecami o mur, zsuwamy z ramion *Magnetic Weapon*, uzupełniamy magazynki w naszych dwulufowych pistoletach i staramy się nie rozważać, co się stało Matti, skoro przez tyle czasu nie jest w stanie odłączyć się od konsoli.

Piter miał rację, klub jest bardzo dobrze strzeżony. Kiedy wychyłam się zza ściany budynku, zauważam trzech mężczyzn pilnujących wejścia. Janek zakłada tłumik na pistolet, więc robię to samo.

Biegiem pokonujemy kilka metrów dzielących nas od wejścia do budynku. Poruszamy się niemal bezszelestnie. Ciemność rozjaśnia się od strzałów, które posyłamy w stronę awatarów. Krew w mroku przypomina ciemną ciecz i dopiero, kiedy przekraczamy ciała, w smudze światła dostrzegam jej intensywny, głęboki odcień. Działamy niemal bez porozumienia ze sobą – chowamy pistolety i przygotowujemy do walki *Magnetic Weapon*.

Za drzwiami klubu zarysowuje się długi hol. Plamy światła tańczą po ścianach, popisanych fluorescencyjnymi farbami. Bum-bum, bum-bum – wali mi serce. Obracamy się do siebie plecami, gotowi zastrzelić każdego, kto pojawi się w zasięgu wzroku.

Przez niewielką szybę w drzwiach Janek zagląda do sali, z której docierają ludzkie głosy. Pokazuje mi na migi, że w środku jest około dziesięciu osób.

– Jakie mają zabezpieczenie? – pytam.

– Karabiny. – Czytam z ruchu jego ust. – Więcej nie widziałem.

Niedobrze. Dziesięć karabinów przeciwko naszym dwóm. Czy to może się udać?

Kucamy przy ścianie i czekam, aż Janek poda mi masę pirotechniczną. Naszym atutem będzie zaskoczenie przeciwnika. Odliczam w myślach: raz, dwa...! Rozchylam drzwi i rzucam masę na podłogę. Chwilę potem rozpętuje się jatka!

Emanacji iskier towarzyszy potężny huk. Kiedy wpadamy do sali, odpowiada nam ogień z broni, na szczęście gracze strzelają na oślep. Ostre światło po ciemności, w której trwaliśmy, sprawia, że wszystko, co widzę, wydaje się zupełnie nierealne. Zauważam chłopaka, który celuje do mnie z dwulufowego pistoletu. Zanim naciśnie spust, oddaję kilka strzałów, z których jeden trafia go w pierś. Krew rozlewa się po jego kombinezonie, zauważam zdumione, pełne bólu oczy avatara i broń wypadającą mu z ręki.

Strzelam do dziewczyny, która wybiega zza długiego stołu, ściskając w ręce CTW. Splątane jasne włosy pokrywają się czerwienią, gdy trafiam ją w czoło.

Ktoś rzuca inną masę pirotechniczną i pomieszczenie wypełnia zielona mgła. Biegnę przez długą salę, mijając stoliki i kanapy obite skórami tutejszych zwierząt. Zauważam głowy BC wypchane i przybite do ścian.

Ktoś z tyłu nagle łapie mnie za szyję i wybija karabin z ręki. Podłoga uskakuje mi spod stóp, przewracam się na plecy. W zasięgu wzroku, na podłodze zauważam swoją broń, lecz nie mam możliwości po nią sięgnąć. Zrywam się na nogi w chwili, gdy chłopak, który mnie obezwładnił, wyszarpuje nóż zza cholewki buta. „Tylko nie to!” – myślę i sięgam po swój nóż.

– Sama wpadasz nam w ręce, Opiekunko! – warczy mój przeciwnik.

Jest młody, nie wiem, czy nie młodszy ode mnie. Domyślam się, że w realnym świecie to przeciętny koleś, jeden z tych, których nie zauważa się w klasie i który podpira ściany na imprezach, bo laski wolą tańczyć z jego wyższymi i przystojniejszymi kolegami. Od takich chłopaków jak on pożycza się zeszyty z lekcjami albo prosi się ich o odpowiedź podczas kolokwium. A teraz mam go zabić w świecie, gdzie osiągnął o niebo więcej niż w prawdziwym życiu!

Odzyskuję panowanie nad sobą na tyle, by wskoczyć na drewnianą ławę, gdy chłopak zamachuje się nożem. Przeskakuję na drugi stół, a potem na schody prowadzące na antresolę. Niecelny pocisk kaleczy ścianę za moją głową. Inne pociski dobiegają z drugiej sali, więc rozpraszam się, spoglądając w tamtym kierunku.

W zasięgu wzroku mam dziewczynę. Nie wiem, skąd się tu wzięła, wcześniej jej nie widziałam, a teraz stoi na schodach, z paniką w oczach, i wyraźnie nie wie, co powinna zrobić.

– Schył się! – wołam w chwili, gdy okazuje się, że dziewczyna stoi na linii ognia.

Gwałtownie kuca, a ja pociągam za spust. Trafiłam chłopaka. Kiedy to do mnie dociera, robię to jeszcze raz. Strzelam. Mój przeciwnik osuwa się na kolana i w końcu nieruchomieje na podłodze.

Chciałabym wiedzieć, czy z Jankiem wszystko w porządku, ale nie mogę zostawić dziewczyny, która szeroko otwartymi, przerażonymi oczami wpatruje się we mnie, jakby zobaczyła coś koszmarnego. Kogo przed sobą widzi? Mam pistolet w jednej ręce i nóż w drugiej, jestem umazana krwią.

– Ręce za głowę! – krzyczę, z powrotem unosząc broń, ponieważ nie mam pojęcia, kim ta dziewczyna jest i po której stoi stronie. Na pewno nie mogę jej wypuścić z klubu.

W jej twarzy dostrzegam panikę.

– Nie rób mi krzywdy! – woła błagalnie. – Nie mogę zginąć! Nie poradzę sobie! Proszę!

Sięgam do plecaka po sznur, a dziewczyna błyskawicznie schyla się po pistolet martwego chłopaka. W ułamku sekundy, gdy to do mnie dociera, odruchowo obracam nóż i rzucam. Potem jeszcze przez moment stoję w bezruchu, wpatrzona w plamę krwi rozlewającą się wokół ciała nastolatki. Chciałabym poczuć przerażenie, żal albo jakiegokolwiek inne emocje, które targwały mną w *Bitwie o Io*, ale nie potrafię. Nic nie czuję. Coś się nieodwracalnie skończyło. Słyszę ten okropny, charczący, gardłowy odgłos, który już znam, a który wydobywa się z ust umierającej dziewczyny. Ciche plaśnięcie pieczętuje go. A potem zapada cisza i przychodzi mi do głowy, że Zoja miała rację, kiedy zmusiła mnie do walki nożem, twierdząc, że taka umiejętność będzie mi potrzebna w grze.

Popycham ciężkie, grube drzwi, prowadzące na zaplecze i już w chwili, gdy dostrzegam skulony kształt na podłodze, wiem, że wolałabym być wszędzie indziej, byle tylko nie dowiedzieć się, co wymyślili gracze, żeby przytrzymać mojego przyjaciela w wirtualnej rzeczywistości przez całą dobę. Boję się odpowiedzi Janka, ale mimo to pytam:

– Co z nim?

– Zrobili wszystko, co mogli, żeby został – odpowiada.

Kucam przy nim. Oświetlenie nie pozwala mi dostrzec szczegółów. Rozpływająca się zielona mgła rozmywa obraz, sprawia, że zmasakrowana uderzeniami twarz Matti nie przyciąga tak mocno mojej uwagi.

– Jest przytomny? – dopytuję się. – Możemy go doprowadzić do stanu, w którym zacznie walczyć z iluzją i odłączy się od konsoli?

– Nie wiem. Nie wydaje mi się. Chyba nie jest z nim zbyt dobrze.

Pomagam Jankowi rozplątać drut, którym związano ręce Matti. Kiedy pochylam

się nad nim, wyczuwam woń spalonej skóry i to mnie powstrzymuje przed dalszymi oględzinami avatara. Cofam się, obejmując rękami kolana.

Janek przesuwając butem rozsypane wypalone zapalniczki, rozrzucone na podłodze. Kiedy próbuje obrócić Mattię, ten kuli się w sobie z bólu.

– Połamali mu palce – stwierdza, też cofając ręce.

Pewnie myśli teraz o tym, co ja: że ktoś obezwładnił Mattię, podał mu środki halucynogenne albo trafił go z CTW, a kiedy nabrał pewności, że nasz przyjaciel ma zbyt potężny chaos w głowie, by samodzielnie odłączyć się od konsoli, dokonała się reszta zdarzeń.

Wiodę spojrzeniem po wypalonych zapalniczkach, po drucie, metalowym przecie, porzuconym przy avatarze. Przedmioty dopisują scenariusz tego, co się tu wydarzyło. Próbuję przypomnieć sobie, jak to jest, gdy nie udaje się odróżnić iluzji od rzeczywistości, gdy nie wiem, czy moje kości są łamane w rzeczywistości marzeń, czy w realnym świecie, czy tu, czy tam mam przypalane ogniem ciało. Nie muszę się specjalnie wysilać, nawet przy minimalnym użyciu wyobraźni wiem, że moje życie błyskawicznie zmienia się w koszmar pełen bólu i nie ma znaczenia, w którym świecie do tego dochodzi.

– Mika, potrzebujemy wody, żeby go ocucić, i trzeba podprowadzić łazik pod wejście. – Janek przywraca mnie rzeczywistości.

Chwilę nie odpowiadam, a potem nagle do mnie dociera – jasne, że nie możemy zostać w klubie ani chwili dłużej! Ktoś mógł przecież obserwować nas i ani się obejrzymy, gdy wpadnie tu jakaś uzbrojona grupa. Amunicja, którą otrzymaliśmy od rodzeństwa, prawie się skończyła. Uderza mnie myśl, że gra wciąż trwa. Ludzie nadal na nas polują, widząc w tym dobrą zabawę!

Gwałtownie zrywam się z podłogi. Kiedy w drugiej sali znajduję beczkę z wodą i miskę, przez głowę przelatują mi urywki wspomnień: widzę siebie, związaną w *Bitwie o Io*, zdaną na łaskę chłopaka o imieniu Pedro, którego bawiło moje cierpienie i strach. Przypominam sobie chwilę, gdy później otworzyłam oczy w swoim pokoju, w prawdziwym świecie – potworny chaos w głowie, uczucie bólu, wrażenie, że ktoś mnie skrzywdził, że stało się coś okropnego. Myślę o ludziach, których w grze przetrzymywał gracz o nicku Derek. Torturował ich. Przypominają mi się przypalane ciała, siniaki na skórze, rozbryzgana na ścianach krew!

Drę na kawałki szmatę znaną za barem. Kiedy wracam na zaplecze, Janek zabiera ode mnie miskę i przemywa twarz Matti, odsłania miejsca tak zmasakrowane, że nie wyobrażam sobie, czym i ile razy nasz przyjaciel został w nie uderzony. I wtedy ogarnia mnie gniew. Jest silny i determinuje mnie, sprawia, że zaciskam pięści na kolanach.

– Nie wolno nam puścić im tego płazem! – szepczę. – Policja miała rację! Jeśli Staszek stworzy aplikację zdolną nagrać to wszystko, trzeba pokazać ludziom, co tu się dzieje, i skończyć z tym raz na zawsze!

Janek nieruchomieje, a pod jego spojrzeniem czuję, jakby temperatura w pomieszczeniu spadła przynajmniej o dwadzieścia stopni.

– Uważasz, że nie mam racji? – Daję sobie spokój z udawaniem, że nie jestem przerażona ostatecznością tego, co się wydarzyło. Podnoszę głos, gorączkowo

przyciskając ręce do skroni: – Kiedy rozniesie się wieść, jak łatwo można kogoś uwięzić w rzeczywistości marzeń, inni gracze też będą tak postępować! To już się dzieje, Janek! Chcesz cierpieć jak Mattia?

Jeszcze przez chwilę patrzy na mnie, jak wtedy, w pokoju hotelowym, gdy odkrył, że pracuję dla policji. Tamtejsze niedomówienia pęcznieją między nami, sprawiając, że powietrze wokół nas zdaje się ochładzać o kolejne stopnie.

– Tak się składa, że od dwóch lat opłacam z pieniędzy We Fly High klinikę dla mojego brata i swoje życie! – odpowiada Janek równie gniewnie. – Joseph ze swojej pensji spłaca długi zaciągnięte przez rodziców! Znam chłopaka bez nóg, który w *Work a Dream* może się normalnie poruszać, bez wózka, i każdego dnia cieszy się na to jak wariat! Pewnie dlatego jakoś trudno mi okazać entuzjazm wobec twojej decyzji!

– Zdumiewające, że mówisz to właśnie ty! – niemal krzyczę i w ostatniej chwili ściszam głos, uświadamiając sobie, że nie możemy tak hałasować. Krew koszmarnie pulsuje mi w głowie. – Przecież jeśli ja tego nie zrobię, ty odsłonisz zło tego świata na rozprawie w sądzie!

– W sądzie muszę udzielać odpowiedzi, za złożenie fałszywych miałbym przesrane! – On też krzyczy. – Ale ty robisz to wszystko z jakąś chorą premedytacją! Jesteś tu, gadasz z nami, pomagasz nam, gramy razem, a potem zachowujesz się tak, jakbyś każdemu strzelała między oczy! Co jest z tobą nie tak, Mika?!

Niesprawiedliwość jego słów przeraża mnie i irytuje. Jednocześnie jakiś głos podszeptuje mi w głowie, że powinnam zamilknąć. „Zostaw go, on ma dług wdzięczności wobec Saint Francisa i nigdy się nie dogadacie!” – szepcze ten głos. Nie słucham go.

– Tak właśnie myślisz? Że łatwo mi przyszło rozmawiać o was z policją? Że nie chciałam tego świata ochronić, póki jeszcze wydawało mi się, że jest coś wart?! – syczę przez zaciśnięte zęby.

– Nie. Nie wiem. Może. Może policja tobą manipuluje! – Rozdrażniony Janek zdejmuje kurtkę, by nakryć nią Mattię, który drży. Kiedy podnosi na mnie wzrok, w jego oczach ciągle widzę wściekłość, ale też i żal. – Widzisz tylko jedną stronę gry, bo tkwisz na kontrakcie! Opiekunowie pojawiają się wtedy, kiedy wszystko idzie nie tak! Ale to nie jest cała prawda o *Work a Dream*!

– A jaka jest prawda o tej doskonałej grze według ciebie, Janek? – W swoich słowach słyszę echo głosu Czaplińskiego, gdy klóciliśmy się o *Bitwę o Io*. Wtedy policjant kpił z mojej fascynacji grą, powtarzając, że powinna zniknąć z rynku. To mnie otrzeźwia, przynajmniej na chwilę. Jakim cudem stałam się taka sama jak Czapliński?

Ciche jęki Matti uświadamiają nam, że chłopak się przebudza. Pochylamy się nad nim, starając się opanować wzburzenie. Wciąż jeszcze nie nastąpiła przemiana, co oznacza, że avatar Matti jest bardzo osłabiony, tak bardzo, że nie ma możliwości znaleźć energii na samoregenerację.

– Mattia? – Janek próbuje go sprowokować do otworzenia oczu, ale to na nic.

Nasz kolega zaciska zęby z bólu, a jego skóra błyszczy od potu. Jęczy, więc Janek uspokajającym gestem kładzie dłoń na jego czole.

– Zaparkuję łazik przy wejściu – decyduję, żeby zająć się czymś konstruktywnym i ochłonać z emocji.



Kiedy wychodzę przed klub, wydaje mi się, jakby moje ciało wypełniał płynny ołów. Rozglądam się wokół, szukając graczy, którzy mogliby na nas polować, ale nikogo nie widzę. Wokół panuje cisza i ciemność. Pospiesznie wskakuję do łazika. Ciągle słabo sobie radzę za kierownicą pojazdu, ale udaje mi się dotrzeć do drzwi klubu. Mattia jest tak obolały, że najmniejszy ruch wywołuje u niego dreszcze. Jęczy, gdy podnosimy go z podłogi, i niemal mdleje z bólu, gdy kładziemy go na tylnej kanapie w łaziku. Prawie się do siebie nie odzywamy, Janek wskakuje za kierownicę, a ja zajmuję siedzenie przy Matti i w milczeniu śledzę mijane ulice.

Brama wyjazdowa z obozu okazuje się zamknięta. Zniknął strażnik, który mnie tu wpuścił. Janek wysiada z pojazdu i szuka czegoś na ziemi. Znajduje kawałki skał, które rzuca w ogrodzenie. Seria iskier powiadamia nas, że siatka ogradzająca obóz wciąż jest pod napięciem.

– Co teraz zrobimy? – pytam, kiedy zawracamy spod bramy.

– Wrócimy do Pitera i Jade – odpowiada, jedną ręką manewrując, żeby uruchomić elektroniczną mapę terenu.

Staram się zwalczyć strach, a robię to z takim wysiłkiem, że czuję gwałtowne pulsowanie w gardle. Moje spojrzenie czujnie obiega dachy budynków, powybijane okna, ocalałe namioty. Wracamy do pomieszczenia, w którym gościli nas Jade i Piter. Uważnie patrzę wokół, podczas gdy Janek parkuje łazik na tyłach budynku. „Znajdą nas tu” – myślę. „Znajdą i zrobią tamto wszystko”. Będziemy przez resztę nocy cierpieć i słuchać swoich wrzasków.

– Piter? Jade? – Janek nie zapala światła w pustostanie. – Jest tu ktoś?

Odpowiada nam cisza. Po ciemku kładziemy Mattię na materacu i kolejne minuty poświęcamy na zasłonięcie okien, by dało się tutaj przenocować, chociaż oboje odczuwamy coraz większy niepokój. Gracze zniknęli. W pustostanie nie ma nikogo. Janek kuca przy radiatorze grzejącej kuli, zapala lampkę, przy której siedzieliśmy z Piterem i Jade, a kiedy zdejmuje rękawiczki, widzę, że ma dłonie sine z zimna. Jakoś trudno mi pamiętać, że dla niego to pierwszy dzień w grze i jeszcze nie zdążył się przyzwyczaić do panujących tu niskich temperatur.

Widok jego rąk sprawia, że moje wzburzenie cichnie. Przypominam sobie o bliźnach Janka, o wszystkim, o czym wiem, a sam mi nie powiedział. Kiedy się odzywam, mój głos brzmi łagodniej. Mówię tonem, jakim nie mówiłam od czasu naszego rozstania.

– Tam są ubrania Pitera. Włóż coś cieplejszego.

– Okej. Dzięki.

Zdumiewa mnie, jak szybko on też pozbywa się irytacji z głosu. Więc to jest aż tak proste? Wystarczy być dla kogoś lepszym i on odwdzięcza się tym samym?

Siadam na materacu i chociaż powinnam odwrócić wzrok, obserwuję Janka, gdy przebiera się w ciepłą bluzę i nakłada płaszcz Pitera. Teraz znowu działamy zgodnie, ustaliśmy, że jeśli nie chcemy się narażać, musimy jak najprędzej doprowadzić Mattię do przytomności i nakłonić go do odłączenia się od konsoli. Wówczas będziemy mogli uciec z obozu i ukryć avatary w Spes, a Janek wróci do Kołobrzegu.

– Najdalej jutro muszę być w domu – przyznaje z nagłą szczerością. – Borys mnie

zaskoczył i jestem tutaj, ale mam umówione spotkanie z adwokatem. Podobno już wybrano sędziego, który będzie przewodniczył mojej rozprawie. Mam też sporo innych spraw do załatwienia, muszę porozmawiać z rodzicami, znaleźć kogoś, kto zajmie się domem i psem, gdy rozprawa już się zakończy.

Nie mówi tego wprost, ale oboje wiemy, co ma na myśli – Janek po rozprawie nie wróci już do domu. Teraz, póki jeszcze jest wolny, musi pozamykać swoje sprawy.

Przynoszę wodę z łazienki, wsuwam rękę pod kark Matti i próbuję pomóc w uniesieniu głowy. To bezcelowe. Woda ścieka po jego skórze, z bliska dostrzegam szerniałe miejsca, które zostawił ogień na szyi i rękach.

– Tu coś jest! – Janek kuca przy mnie ze strzykawką, którą znalazł w kuchni. Napełnia ją przezroczystym płynem z małej fiołki.

– Co to takiego? – chcę wiedzieć.

– Lekarstwo.

– Pomoże?

– Mam taką nadzieję. To coś w rodzaju środków przeciwbólowych, robionych z koncentratu roślin, które się hoduje w ludzkich koloniach. Powinno pomóc, chociaż w biblii gry pisali, że łagodzi raczej tylko bóle głowy. No ale nie mamy nic innego.

Wbijają igłę w ramię Matti. Siadam pod ścianą i przeglądam nasze plecaki. Na podłodze wykładam wszystko, czego moglibyśmy użyć do obrony, gdyby przyszła taka potrzeba. Mało tego, nie starczy nawet na dziesięć minut walki. Cały czas ciężko oddycham, myśląc o tym, z czego Janek mi się zwierzył. Przyciskam dłoń do policzka i czuję, jaką mam ciepłą skórę, pomimo że w pomieszczeniu jest bardzo zimno.

– Dobrze się czujesz? – pyta, więc przytakuję i próbuję być dzielniejsza, niż się czuję. Z wdzięcznością przyjmuję koc, który mi podaje.

Kiedy z gardła Matti wydobywa się kolejny jęk, Janek aplikuje mu drugą ampułkę leku, a potem łączy dłonie na karku, bezradnie wpatrzony w kolegę. Lekarstwo nie działało cudów. Mattia coraz bardziej przytomnieje i zaczyna się nerwowo poruszać, a na jego ubraniu pojawiają się świeże plamy krwi. Cierpi. Bardzo cierpi.

– Nie ruszaj się – zwracam się do niego. – Pogarszasz sprawę...!

Mattia ma spękane usta, jedna jego powieka jest tak spuchnięta, że nie widzę żadnych szans na to, by był w stanie nią poruszyć. Ale druga powieka sżybuje w górę, odsłaniając przekrwione, przerażone oko. Kiedy Mattia koncentruje na Janku wzrok, wiem, że wszystko pójdzie nie tak. Widzę to w tym jednym oku, w histerii, która je rozświetla. Mattia nie rozpoznaje ani mnie, ani Janka. Nie wiem, kogo widzi, ale zaczyna krzyczeć. Drze się, ile ma sił, więc Janek zakrywa mu dłonią usta, próbując zdusić ten hałas.

– Cicho! Mattia, cicho! – powtarza. – Wydasz nas!

Krzyk nie ustaje, Janek robi więc to, co też zrobiłabym na jego miejscu – wybiera jedno z okaleczonych miejsc na skórze kolegi i przyciska do niego dłoń, a Mattia ponownie traci przytomność. Nawet nie musimy wymawiać słowa „ucieczka”, by wiedzieć, co robić. Prędko sięgam po nasze rzeczy. Ta kryjówka na pewno już jest spalona.

## 02:17:54 CZASU TYTANA

Według elektronicznej mapy terenu podziemne tunele prowadzą pod całym obozem, a ich ujście znajduje się blisko *Area of Faith*. Kto wejdzie do magicznego kręgu, może nie znaleźć z niego wyjścia – tak napisano w biblii gry. Przypominam sobie, że czytałam również, iż granice *Area of Faith* ciągle się przesuwają, więc trudno wyznaczyć to miejsce na mapie.

Kiedy łazik wjeżdża do tunelu, elektroniczna mapa terenu przestaje działać.

– Sprawdzę, czy uda się ją naprawić! – Urządzenie kładę sobie na kolanach i następne chwile poświęcam na marne próby zreaktywowania go. Nic z tego. Padło zupełnie. Może chodzi o bliskość magicznego miejsca?

Zamykam oczy i poddaję się zmęczeniu. Czuję się tak, jakby nie minęła nawet minuta, od kiedy podjęłam decyzję, że ludzie w realnym świecie powinni dowiedzieć się prawdy o *Work a Dream*. W tej chwili nie radzę sobie jednak ze skrajnymi emocjami, które odczuwam: czuję żal i gniew, ulgę i lęk – emocje leżą tak blisko siebie, że trudno je oddzielić. Kręci mi się w głowie i chyba nigdy wcześniej nie byłam tak bardzo rozdarta. „Czy jestem zdolna do tego, żeby zniszczyć ten świat?” – zastanawiam się. Czy naprawdę nie ma innego wyjścia? I co z Czaplińskim oraz z ciężką, wielomiesięczną pracą, jaką wykonała grupa operacyjno-dochodzeniowa, jeśli ich zawiodę i zdecyduję się jednak nie informować ludzi o ciemnej stronie gry? Sytuacja wydaje mi się patowa – cokolwiek zrobię, i tak będzie źle.

– Chyba nam się udało! – W głosie Janka słyszę nadzieję, więc rozchylam ciężkie, nabrzmiałe zmęczeniem powieki.

Czerń nieba znajduje się tuż przed nami, zamknięta w okrąg na końcu tunelu. Ledwie wyjeżdżamy na zewnątrz, gdy Janek zatrzymuje łazik, bojąc się, że nieświadomie wjedziemy na teren *Area of Faith*. Wyskakujemy na pokrytą lodem skorupę Tytana. Oglądam się i widzę wysoką siatkę pod prądem, którą ominęliśmy. Wokół nas nie ma żywego ducha, mimo to wsuwam dłoń do kieszeni kurtki, by namacać CTW.

Wiatr rozpędza się nad pustynią lodu i zbiera z niej złocisty pył. Noc jest niemal bezgwiezdna – gazowe chmury Tytana ścisnęły się i blokują światło. Elektroniczna mapa terenu wciąż gubi zasięg, co oznacza, że zbliżyliśmy się do granicy *Area of Faith*.

– Co robimy? – pytam. – Masz jakiś plan?

– Miałem plan, żeby spytać o to ciebie. – Janek śmieje się.

Idziemy wolno, rozglądając się wokół. Jeśli spodziewaliśmy się filarów, bramy, jakiegoś efekciarskiego wejścia do magicznego świata – najwyraźniej Developerzy tego nie przewidzieli i nie zostawili żadnych wskazówek.

– Będzie trzeba jechać dalej bez mapy – stwierdza Janek.

– Nie podoba mi się to. Co to miejsce właściwie robi?

Janek nie odpowiada, więc obracam się i zaskakuje mnie, że znikł. Jestem sama.

Całkiem sama. Naszego łazika też nie widzę, a skały, na które patrzę, zdają się oszlifowane w nienaturalny sposób, jakby ktoś wyznaczał nimi drogę. Nerwowo zaczynam obracać się wokół własnej osi. I uświadamiam sobie, że wiem, czemu nie widzę niczego znajomego.

Weszłam do *Area of Faith*.

Wokół magicznego miejsca niebo było szczelnie zakryte chmurami, ale tutaj czuję się jak w oku cyklonu. Unoszę głowę i widzę tysiące gwiazd na niebie, wszystkie w owalu niewielkiej szczeliny chmur. Cudowny Saturn. Mgławica, która sprawia wrażenie, jakby zastygła w pędzie. Niebo wydaje się idealne, dokładnie takie, o jakim marzyłam, gdy pierwszy raz usłyszałam o grze *Tytan*. W takim momencie *Work a Dream* odsłania dla mnie swoją najpiękniejszą twarz!

– Janek?! – wołam, ale nie odpowiada. Nie słyszy mnie, jesteśmy teraz w równoległych wymiarach, które przenikają się tylko na granicy *Area of Faith*. Przypominam sobie zapis w biblii gry, że to miejsce istnieje dla każdego gracza pojedynczo, a magicznych światów może być nieskończenie wiele, w zależności od tego, ilu ludzi do nich trafi jednocześnie.

W siwopomarańczowym świetle błyszczą zalodzone szczyty skał. Oddech opuszcza moje usta w obłoczkach pary, ale już nie czuję przeszywającego zimna. Wszystko jest obleczone niewidzialną mgłą, to ona zatrzymuje ciepło, światło, generuje zapachy. Coś niepokojącego dzieje się jednak z moją pamięcią. Ogarnia mnie uczucie, jakby komputer szperał w moim mózgu, selekcyjonował wspomnienia, odczytywał myśli. Okropne uczucie, mam ochotę rozciąć sobie głowę, żeby tylko zablokować komputerowi możliwość wertowania moich wspomnień.

Nagle coś się wydarza. Jeszcze chwilę temu nie widziałam nikogo między skałami, a teraz coś tam się porusza – to chłopak. Patrzę na niego, a on spogląda na mnie błyszczącymi, ciemnymi oczami widocznymi w szczelinie gęstych, długich włosów, splecionych w warkocz. Ma tak piękną twarz, że nie potrafię oderwać od niego wzroku.

– Przecież ciebie tu nie ma – mówię cicho, oszołomiona.

Intuicja podpowiada mi, że to absurd, jestem w miejscu, gdzie komputer generuje moje myśli i wspomnienia. To dlatego on się do mnie zbliża – nie człowiek, z którym chciałam związać swoją przyszłość, tylko widmowa postać, stanowiąca mieszaninę moich lęków i marzeń na jego temat. W oczach avatara jak w lustrze widzę odbicie siebie.

– Mika, Mika... – szepcze, a jego dłonie przesuwają się po moich ramionach w sposób, który sprawia mi przyjemność. Pozwalam mu, by przyciągnął mnie bliżej siebie. Zbiera moje włosy do tyłu, ogarnia spojrzeniem moją twarz. W jego uśmiechu pojawia się jednak coś fałszywego. – Dlaczego nie słuchasz swojej intuicji?

To mój strach, moje wątpliwości. Tego nie mówi Janek. Dlaczego więc czuję niepokój?

– Czułość, dotyk i już cię mam. Łatwo cię zmanipulować. – Zgląda mi w oczy.

– Uwierzyłybyś we wszystko, co powiem.

Próbuję się odsunąć, ale więzi mnie w swoim uścisku.

– Pomyśl – mówi dalej drażniącym szeptem, dotykając wargami mojego policzka.

– Przesłuchiwało mnie dwóch doświadczonych policjantów! Grozili mi, zastraszaali,

próbowali mnie sobie zjednać. A wszystko po to, żebym im wskazał chłopaka, który sprzedał Sebastianowi broń. Naprawdę myślisz, że gdybym był niewinny, nie umiałbym podać jego nazwiska? Naprawdę uważasz, że to Sebastian zapłacił za karabin? Że byłoby go na to stać?

Odpycham Janka, a on się śmieje, więc zaczynam biec przed siebie, byle dalej od niego. Nie mogę pograżać się w chaosie i niepewności, bo oszaleję. Komputer generuje teraz moje obawy w celu zdezorientowania mnie.

„Prosty przepływ informacji” – przypominam sobie słowa Borysa na konferencji w Alpach, gdy tłumaczył, na czym polega działanie konsoli i jak niewiele informacji czerpie z mózgu graczy.

Myślę, że gdzieś tu musi znajdować się granica *Area of Faith*. Znajdę ją i koszmar się skończy.

Srebrzyste światło Saturna pada na zgubiony but, leżący tuż przede mną.

Staję w miejscu i wiem, że nie zrobię ani kroku dalej w tę stronę. Przyciskam ręce do ust i cofam się wystraszona. Podążam w innym kierunku. Idę coraz szybciej. Mam wrażenie, jakbym wszędzie była o chwilę za późno. Łapię zapachy, ale nie widzę ludzi. W mieszaninie różnych woni chwytam tę, która kojarzy mi się z...

Zbyt późno uświadamiam sobie, że nie powinnam tego robić. Nie powinnam myśleć akurat o niej!

Obracam się przerażona, niemal spanikowana i patrzę na kobietę, która staje za mną.

„Nie, tylko nie to!” – myślę, czując, jak żołądek zbija mi się w twardą kulę strachu.

Kiedy ostatni raz widziałam mamę, stała na lotnisku, z bagażem w ręce, zapewniając mnie i Nikolę, że wróci. Teraz wędruję spojrzeniem po jej ubraniu – ma na sobie szary prochowiec, o którym nie myślałam od lat. Oczywiście nie zapomniałam niczego związanego z mamą, ale wszystkie wspomnienia o niej zepchnęłam do tego miejsca w mojej pamięci, do którego udawało mi się nie wracać. Nie znaczy to jednak, że zniknęły. Okazuje się, że przeleżały tam większą część mojego życia, a teraz błyszczą w świetle Saturna jak klejnoty!

Cofam się przed dotykiem rąk matki, przed spojrzeniem jej oczu, o którym też prawie już zapomniałam. Jest jak żywa. Słyszę jej głos. Wymawia moje imię.

Odwracam się do skał, gdzie rozpoznaję znajomą sylwetkę mężczyzny. O nim też próbowałam nie myśleć, najdroższe wspomnienia schowałam w sercu, jak prezenty, by pocieszały mnie w złych chwilach!

– Nie! – krzyczę. – Nawet tu nie podchodź!

Nie zniosę przypominania sobie szczegółów wyglądu taty, ubrania, w którym widziałam go po raz ostatni!

Rzucam się do ucieczki, uciekam od moich rodziców, od Nikoli, która materializuje się tuż przede mną, przytulona do swojej nowej mamy. Mijam uczniów mojej warszawskiej szkoły i chociaż nie chcę tego, czuję zapach prochu. Strach bierze górę nad rozsądkiem. Powinnam wykluczyć myślenie o najgorszych rzeczach, ale nie potrafię. I wyciągam na wierzch wszystko, czego się boję.

Kiedy więc docieram do miejsca, które przypomina okrągłą lodową polanę między

skalami, już z daleka dostrzegam plamy krwi na lodzie.

„Tylko nie to!” – myślę, zwalniając kroku. Myślałam, że ominęłam to miejsce. Chciałam to zrobić, gdy tylko zobaczyłam leżący na ziemi but. Ale komputer przyprowadził mnie tutaj z powrotem. Bezradnie patrzę na postać leżącą na lodowej skorupie Tytana. Srebrzysty szron nakrył jej włosy. To bibliotekarka.

– Miko?

Obracam się pełna najgorszych przeczuc. Zbyt dobrze zapamiętałam ten głos.

Sebastian trzyma w rękach karabin najnowszej generacji, ten sam, o którym mówi cała Polska. Dziwne, ale twarz chłopaka okazuje się niewyraźna, jak poruszone zdjęcie. To jego ręce są trójwymiarowe. I broń. Bo właśnie broń i ręce Sebastiana pamiętam najlepiej.

Wpadam w histerię, a przynajmniej tak to pewnie wygląda, bo krzyczę i odganiam widmowe postaci, młócąc rękoma. Wrzeszczę i cofam się, zamiast uciekać. A potem czuję, że ktoś łapie mnie w pól. Coś do mnie mówi uspokajająco, ale odpycham go i szarpię się.

Ten ktoś siłą obraca mnie do siebie, zmuszając, żebym na niego spojrzała.

– Bartek! – Uderzam go na oślep, z całą mocą jaką mam, bo nie zniosę kontaktu z żadnym więcej drogiem mi wspomnieniem, które w *Area of Faith* zmienia się w koszmar. – Nie zbliżaj się do mnie! Nawet nie próbuj!

Szarpię się z moim przyjacielem z pogotowia opiekuńczego.

– Ty nie istniejesz! – wrzeszczę, walcząc i kopiąc. – Zostawiłeś mnie! Nawet nie pomyślałeś, że mi zależało!

Jest silniejszy. Przyciska mnie do siebie tak mocno, że nie mogę się ruszyć. Blokuję moje dłonie.

– Przestań! – tłumaczy. – Nie wiem, kim jest Bartek, ale już nie stoisz w *Area of Faith*!

W Spes Borys otwiera nam drzwi, a ulga na jego twarzy jest tak wyraźna, że już sobie wyobrażam, co musiał czuć przez ostatnie godziny.

– Tam go położymy! – decyduje, wyręczając mnie z podpierania Matti, i pomaga Jankowi dociągnąć go do kanapy.

W sterylnie czystej, białej łazience obmywam twarz wodą. Znam to spojrzenie, które patrzy na mnie z lustra. Tak patrzają ludzie, którzy wiedzą, że zaraz zrobią coś, czego nie chcą. Tak patrzy ktoś zdesperowany.

– Możecie tu przyjść? – woła Borys, więc kierujemy się z Jankiem do kuchni, gdzie Borys wystawił na stół butelkę wina.

– Astrid, *kak ty* się czujesz? I tylko nie mów, że dobrze – odzywa się podejrzenie łagodnie.

– Nie jest źle. – Zmuszam się do uśmiechu, jak zawsze zaskoczona troską Borysa.

Przenosi wzrok na Janka, który oparł się plecami o ścianę.

– Wykradli nasze dane z serwera w komputerze głównym – stwierdza tak spokojnie, że w pierwszej chwili powaga jego słów w ogóle do mnie nie dociera. – Jeśli haker opublikuje to, co posiadał, od jutra cały świat pozna nasze numery telefonów, numery kont bankowych, dokładne kwoty przelewów i adresy.

Cisza w kuchni wydaje się ostateczna, tak wielka, że mam wrażenie, iż słyszę nawet oddech Matti z drugiego pokoju.

– Nie wiem, co robić – przyznaje Borys otwarcie. – Żal mi ciebie, Janek, bo będziesz miał ogromne kłopoty. Powinieneś zmienić numer telefonu i wyprowadzić się z domu. Nie wiem, co jeszcze mogę ci doradzić... – Wykonuje ręką ruch w moją stronę. – Z tobą też nie będzie fajnie, Astrid. Wkładasz perukę do zdjęć, by zapewnić sobie bezpieczeństwo w Polsce, a teraz... teraz każdy pozna twój gdyński adres, nazwisko i twój prawdziwy wygląd.

W tej chwili jestem w stanie myśleć tylko o Czaplińskim, o tym, że nie przewidział tak koszmarnego scenariusza. Przecież jeśli dziennikarze dotrą do moich zdjęć bez peruki, rozpoznają mnie ludzie, którzy wiedzą o Mice Landowskiej. Wszystko się wyda, cały misterny plan ułożony przez policję trafi szlag. Dziwne, że zamiast strachu czuję tylko skrajne zmęczenie i jakiś rodzaj ulgi, że wszystko rozegra się bez mojego udziału.

– Dzisiaj w nocy mam spotkanie z Saint Francisem, będzie też większość kierownictwa We Fly High – opowiada dalej Borys, rozlewając nam wino do kieliszków. – Za godzinę muszę być na lotnisku, więc zostawię was tu i liczę, że zrobicie, co trzeba.

– Co masz na myśli? – Wyrywam się z otępienia, w którym trwałam. – Nie rozumiem. Co powinniśmy zrobić?

– Doprowadzicie Mattię do przytomności i zadbacie o to, żeby się odłączył od konsoli, zanim wszystko runie! – Borys przenosi wzrok z jednego z nas na drugie. – Powiedzcie, że sobie poradzicie – powtarza z nagłą desperacją.

Janek, który zamiast na niego, patrzy na kafle w podłodze, zaprzecza ruchem głowy.

– Nie... Nie mogę ci obiecać, że Mattia będzie na tyle przytomny, żeby zrozumieć, co do niego mówimy...

– Zapewnijcie mnie – powtarza błagalnie Borys.

Odwracam wzrok.

– Liczę na was. – Borys dotyka ramienia Janka, przelotnie muska też palcami rękaw mojej kurtki, a potem wychodzi i zostajemy sami.

Długi czas tu tkwimy, nic nie mówiąc. Potem słyszę brzęk szkła, gdy Janek sięga po wino.

– Mamy przynajmniej pół nocy, Mika, zanim Mattia zacznie przytomnieć, więc wróć do realnego świata – decyduje. – Muszę się spakować i przygotować do wyjazdu, a potem tu wróć.

Spoglądam na niego i myślę o tamtej drugiej postaci, którą spotkałam w *Area of Faith*: o pięknym chłopaku i jego fałszywych oczach, o tym, że technologia, wyprodukowana przez We Fly High, wydobyła z mojej głowy lęki, które być może mają umocowanie w realnym świecie. Przez moją głowę przelatują tysiące myśli. Oboje zostaliśmy okaleczeni. W tej chwili tracę pewność, które z nas bardziej. Nie chciałam się w Janku zakochać, ale to się stało. Nie chcę się czuć zakochana, ale jestem. Wiem też, że jeśli mamy się rozstać na zawsze, muszę zamknąć tę historię tak, żeby potem potrafić myśleć o niej jak o czymś dobrym. Wydaje mi się, że on też tego potrzebuje.

To dlatego podaję mu adres lokalu wynajętego dla mnie przez policję.

– Zanim wyjedziesz, przyjdź do mnie – proszę. – Adres jest bezpieczny, nikt cię tam nie będzie szukać. Chcę... chcę ci coś pokazać.



Trudno uwierzyć, że nie jesteśmy brudni, umazani krwią i nie czuć od nas zapachu prochu. Dochodzi północ, gdy Janek puka do moich drzwi, a ja przesuwam się, robiąc mu miejsce w przejściu. Jest moim pierwszym gościem od lat, od kiedy straciłam rodzinny dom, ale oczywiście nie ma o tym pojęcia.

– Wszystko jest w kuchni – tłumaczę, prowadząc go tam.

Na stole przygotowałam drewniane pudełko.

– Co to? – pyta Janek, chowając dłonie w kieszeniach dżinsów.

– Będę w drugim pokoju, jak skończysz – informuję, zamykając za sobą drzwi, zanim zaprotestuje.

Kiedy on ogląda przygotowane rzeczy, krążyć po salonie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Okropnie się denerwuję. Próbuję sobie wyobrazić, że Janek właśnie rozchyła wieczko pudełka. W środku znajdzie najcenniejsze pamiątki, których nie pokazywałam jeszcze nikomu. Jest tam cała moja przeszłość: fotografia moja i Nikoli, gdy byliśmy dziećmi. Zdjęcia naszych rodziców. Mój tata na jednym ujęciu nosi policyjny mundur i pozuje razem z Czaplińskim. Na dnie pudełka leży też pierścionek mojej mamy, zamknięty i opisany w kopercie. Nie mam fotografii Bartka poza jednym zdjęciem, które wykonał na dachu pogotowia opiekuńczego: siedzimy tam na kocu – dzieciaki bez matek i ojców, pogodzone z dramatem, którego staliśmy się częścią.

Zebrałam do pudełka wszystko, co Janek powinien wiedzieć, jeśli ma zrozumieć, dlaczego robię to, co robię. To jak pamięć przenośna, prezent, który chcę mu ofiarować. Na kartce papieru stworzyłam też listę wyrazów, które mnie określają. Długo nad nimi myślałam, przypominając sobie, kim byłam kiedyś i kim jestem teraz. W końcu napisałam tylko kilka słów: „Siostra. Mistrzyni Gry. Sierota. Kłamczucha. Ktoś osamotniony”. Domyślałam się, że Jankowi będzie się cisnęło do głowy wiele pytań, może nawet poczuje się oszukany, bo zrozumie, że okłamywałam go właściwie w każdej kwestii.

Kiedy wraca z kuchni, stoję przy ścianie, czekając na niego, pełna niepokoju.

– Moja siostra ma na imię Nikola i niedługo będzie adoptowana. Jej nowi rodzice nie chcą... nie chcą adoptować też mnie – odzywam się, zanim zapyta. – Teraz już wiesz wszystko.

Patrzy na mnie jakoś tak, że nie potrafię niczego wyczytać z jego twarzy.

– Kim jest Bartek? – pyta w końcu.

– Przyjacielem z pogotowia opiekuńczego.

– To ktoś ważny dla ciebie?

– Nauczył mnie grać. – Głupio to brzmi, nie to przecież chciałam powiedzieć. Jak zawsze, odruchowo, próbuję Janka odgradzić od mojego przeszłego życia. Walczę ze sobą, by tego nie robić. Poprawiam się: – Byliśmy dziećmi, trafiliśmy do jednego ośrodka. Z niego zrezygnowała rodzina zastępcza, u której mieszkał, a ja byłam świeżo po utracie taty i miałam przy sobie tylko siostrę. Bartek pomógł mi przejść przez ten koszmar. Potem całe lata spotykaliśmy się w grach w sieci... Chyba... chyba byłam w nim zakochana.

– Nadal jesteś?

Milknę, bo kompletnie zaskoczył mnie tym pytaniem. Nie wiem, co czuję do Bartka. Tęsknię za nim, ale strasznie dawno się nie widzieliśmy, a Janek mi go przysłonił. Teraz on jest dla mnie jak najjaśniejsza gwiazda. Nigdy jednak nie umiem znaleźć właściwych słów, kiedy jest na to pora. Nie potrafię reagować jak trzeba i przez to ciągle tracę swoje szanse. Nie chcę niczego popsuć dzisiaj, więc desperacko próbuję znaleźć rozwiązanie dla tej sytuacji, chociaż nie potrafię rozmawiać o rzeczach dla mnie ważnych.

– Lepiej przypomnij sobie, co ci powiedziałam w domu twoich rodziców! – perswaduję beznadziejnie głupio.

– O, to było na potrzeby policyjnego śledztwa – bagatelizuje sprawę Janek.  
– Chciałaś wyciągnąć ode mnie wiadomości o tamtej transakcji i...

– Dlaczego tak mówisz? Myślisz, że skoro poznałeś Sebastiana z tamtym chłopakiem i stało się to, co się stało, już nikt nie może cię pokochać? – Głos mi się łamie, a twarz mam pewnie zaczerwienioną od uderzeń gorąca.

I coś się w Janku kruszy. Gwałtownie pochyla głowę, żeby ukryć przede mną wilgotniejące oczy. Kiedy robię krok w jego stronę, powstrzymuje mnie ruchem głowy. Mimo to robię jeszcze jeden krok, a potem następny, aż znajdę się naprawdę blisko. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Wydaje mi się, jakby cały świat walił się w gruzy, gdy oplątam rękami szyję Janka. Opieram czoło o jego czoło i pochłaniam ciepło bijące z jego ciała. Wreszcie wiem, co to znaczy, gdy się kogoś pragnie, i mam na myśli lęk o drugiego człowieka i nadzieję, że nic złego mu się nie stanie, a nie tylko fizyczną bliskość.

Tej nocy odślaniam się przed nim zupełnie. Opowiadam mu o terminalu nieczynnego lotniska, gdzie przychodziłam z Bartkiem, ale też o dzieciach, które przywożono do pogotowia opiekuńczego po tym, jak zabierano je z domów, gdzie dochodziło do przemocy albo zaniedbania. Mówię o dziewczynce, która chowała głowę w ramionach, gdy słyszała głos dorosłej osoby; opowiadam o oskarżeniu, które Bartek złożył na jedną z rodzin zastępczych, u której mieszkał, a które zostało odrzucone przez prokuraturę po tym, jak psycholog uznała mojego przyjaciela za manipulatora. Opowiadam o mojej siostrze, dla której przestałam być najważniejsza, czego wciąż nie potrafię przeboleć. Wyliczam rodziny zastępcze, w których mieszkałam: te, które starały się mnie pokochać, i te, dla których byłam tylko kolejnym dzieckiem. I w końcu mówię Jankowi prawdę o mojej mamie, że myślę o niej niemal każdego dnia i wiele bym dała, żeby wiedzieć, co teraz robi i dlaczego po mnie nie wróciła, ale brakuje mi odwagi, żeby ją odnaleźć.

– Mogę ci pomóc – stwierdza Janek. – Przecież wystarczy ją sobie wygooglać.

Patrzę na niego z przerażeniem w oczach, gdy uruchamia swój netbook. Dobrze wiem, jakie to proste: wystarczy wpisać panińskie nazwisko mamy w internetową przeglądarkę, odczekać pół sekundy i znajdę ją. Ale dla mnie to milowy krok i nie czuję się jeszcze na niego gotowa.

– Janek, nie!... – oponuję, gdy jego palce biegną po klawiaturze. Chcę go powstrzymać, złapać za rękę, odciągnąć od netbooka, ale jest za późno.

– Mieszka w Kanadzie? – upewnia się, spoglądając na mnie.

– Tam poleciała, ale nie wiem, czy wciąż tam jest. – Ledwie jestem w stanie mówić.

Milknę, gdy Janek obraca do mnie ekran.

– Masz takie same włosy jak ona – odzywa się łagodnie. – Masz jej twarz.

I nie ma już możliwości cofnięcia tego.

To naprawdę ona! Nie mogę w to uwierzyć! Podchodzę do Janka, opieram się o jego krzesło i wiodę spojrzeniem po twarzy mamy. Dostrzegam różnice i podobieństwa, drobne zmarszczki na skórze, inną fryzurę niż zapamiętałam. Wciąż jest piękna, ma płowe rzęsy, które lubiłam w dzieciństwie, a które ona malowała różnokolorowymi tuszami. Patrzę na jej niemal białe włosy, poprzetykane ciemniejszymi pasmami, identyczne jak moje. Pod powiekami błyskają wspomnienia o niej z czasu, gdy jeszcze była moją prawdziwą mamą, a potem te gorsze chwile, gdy zachorowała. Najpierw czuję ulgę, radość, coś tak potężnego, że nie potrafię sobie z tym poradzić. Wypełnia mnie szczęście! Ale zaraz dociera do mnie, że Janek znalazł mamę na portalu społecznościowym, na którym sam też jest zalogowany, więc mogę obejrzeć jej cały profil. Momentalnie moje ręce robią się jak odrętwiałe i nie jestem w stanie unieść ich spomiędzy kolan, gdzie je wcisnęłam, siadając przy Janku. Nie jestem też w stanie poprosić go, żeby przejrzał profil za mnie. Nie mogę się ruszyć. Chyba wstrzymuję oddech, bo następne, co pamiętam, to moment, gdy wypuszczam powietrze i nagle jest tak, jakbym strasznie długo była bez oddechu, aż mi się kręci w głowie. Jak przez mgłę dociera do mnie głos Janka:

– Wygląda na to, że ma jakiegoś faceta. I ten chłopczyk na zdjęciach... Może to jego syn...

I cała radość, całe szczęście znika, zmienia się w pogorzeliśko, a moje dłonie zaciskają się w pięści.

Na ekranie oglądam teraz inny świat, taki, za jaki dałabym się pokroić jeszcze kilka lat temu: ładny rodzinny dom, z równo przystrzyżonym trawnikiem, na którym rozgrywa się przyjęcie przy grillu. Janek powiększa zdjęcie, na którym znajduje się zbliżenie twarzy mamy. W jej spojrzeniu dostrzegam coś płochego, jakieś zawstydzenie, jakby cień przeszłości w oczach, ale nie jestem pewna, czy to nie moja wyobraźnia produkuje takie odczucia. Przecież mama na zdjęciu się uśmiecha.

Uderza mnie myśl, że ułożyła sobie życie, ma nową rodzinę, nowy dom. Wszystko, co wyobrażałam sobie przez lata na jej temat, teraz okazuje się naiwne i dziecinne: chyba wierzyłam, że mama tęskni za nami, że czuje się winna i cały czas szuka sposobności, aby do nas wrócić. Tymczasem na ekranie znajduję kobietę, która wybudowała wysoki mur pomiędzy obecnym czasem a przeszłością!

„Jak to możliwe?!” – tłucze mi się po głowie. „Jak mogła o nas zapomnieć? Jak mogła założyć rodzinę, podczas gdy porzuciła nas?”

– Ma na imię Jacop – informuje Janek, który uważniej prześledził komentarze ludzi pod wpisem mamy na temat dziesiątych urodzin mieszkającego z nią chłopca. – To naprawdę może być syn jej faceta...

Milknę, jakby zabrakło mu pomysłów, jak jeszcze mnie pocieszyć, bo nie tego się spodziewałam, a Jacop już na pierwszy rzut oka wygląda jak syn mojej mamy. Ma moje oczy, usta Nikoli, jest mieszaniną mnie i ich dwóch.

Słyszę swój głos, mówiący szorstko:

– Widzisz? Ona nie wróci! Ma nowe dziecko i nowe życie, a o nas zapomniała!

Czuję się tak, jakby nie minęła minuta, od kiedy byłam małą dziewczynką i zegnałam mamę na lotnisku. Niewiarygodne, że czekałam na nią przez tyle lat! Odsuwam się, bo Janek się podnosi i chyba chce mnie przytulić, a nie zniosłabym teraz żadnej bliskości.

– Ma nową rodzinę i już nigdy, nigdy nie wróci! – Wydobywa się ze mnie jakiś nowy dźwięk, coś pomiędzy śpiewem a płaczem. Przyciskam rękę do brzucha, żeby stłumić ból, który poczułam. – Nie wróci! Zapomniała o nas! Nie obchodzi ją, gdzie żyjemy i z kim! Ma syna!

Ciskam w Janka poduszką z łóżka, bo zbliża się do mnie.

– Ma nowe dziecko! – wrzeszczę, jakby to była jego wina. – Tamto dziecko kocha, a nas nie!

On chwyta mnie za brodę i obraca moją twarz w swoim kierunku.

– Masz brata! – Jego głos przebija się przez chaos w mojej głowie. – Nieważne, co zrobiła twoja matka, ale ty masz brata i możesz się z nim skontaktować! Pamiętaj, nie jesteś już sama z Nikolą!

Nic nie napiszę, przynajmniej nie dzisiaj. Kilka razy próbuję chociaż się przekonać do tego pomysłu. Zżerają mnie jednak tak skrajne uczucia, jak zazdrość wobec miłości, którą nasza mama dała temu chłopcu, lęk, że Jacop może nic nie wiedzieć o mnie i Nikoli; i obawa, że mój brat nie będzie chciał utrzymywać ze mną kontaktu. Dlatego w końcu zamykam netbook, nie wysyłając bratu żadnej wiadomości.

Za oknem zapadła już noc. Chcę, żeby Janek został ze mną do rana, i pragnę, żebyśmy byli razem, bez względu na wszystko. Kilka razy zamykam oczy i liczę w myślach do dziesięciu, zastanawiając się, czy zniknie, jeśli je otworzę. Otwieram oczy, a on wciąż tutaj jest.

– Nastawię budzik na trzecią – proponuje, sięgając po komórkę. – Wtedy Mattia powinien zacząć przytomnieć i będzie sens wrócić do *Work a Dream*.

Kilka razy muszę sobie przypominać, że został, ponieważ tego chce, a nie dlatego, że go poprosiłam. Powiedział, że potrzebuje mnie tak samo mocno, jak ja jego. Kilka razy powtarzam w myślach, że nie zniknie z mojego życia, jak mama i Nikola.

– Nie ułatwiasz mi myślenia o przyszłości – mówi cicho, kiedy na mnie patrzy.

Dramatyczne okoliczności sprawiają, że czas, który dla siebie mieliśmy, skraca się do tej jednej nocy. Nie wiem, ile realnie go mamy dla siebie, więc to, co rozłożyłabym na wiele spotkań, wydarzy się dzisiaj. Podejmuję decyzję.

Moje ciało jest teraz jakieś inne, jakby obudziło się z długiego snu. Staram się nie patrzeć na Janka, kiedy sięgam do guzików w koszuli. Wydaje mi się, że w pokoju zrobiło się cicho, jak makiem zasiał. Walcząc z uczuciem zakłopotania, rozpinam guziki, rozchyłam materiał na boki i odruchowo zakrywam dłońmi koronkowy stanik. W końcu jednak opuszczam rękę i dopiero wtedy podnoszę wzrok.

Janek nie patrzy jak inne chłopaki, które czasem wodzą po mnie spojrzeniami. Patrzy, jakbym była dla niego bardzo ważna. Znowu czuję, jak uwalnia się to coś potężnego, co jest między nami, a co znajduje się w najdrobniejszych gestach, we wszystkich naszych doznaniach.

– Nie boję się – szepczę, chociaż w pierwszym odruchu mimo wszystko chcę się

cofnąć, gdy Janek wyciąga do mnie rękę. Oddycham, jakby lekarz badał mnie przez stetoskop. – Chcę, żebyś to był ty. Bez względu na to, co zdarzy się potem.

On pochyla głowę, walcząc ze sobą. Wtedy przebiega mi przez myśl, że może wcale nie ma tak dużego doświadczenia w miłości, jakie mu podświadomie przypisywałam. Może jestem pierwszą, do której tak bardzo się zbliżył? Wyczuwam jego onieśmienie, gdy sięga pod moje włosy i znajduje twarz, a potem otula ją dłońmi.

– Mamy czas – mówi szeptem. – Nie musimy... Potem będzie nam trudniej... Rozumiesz, co próbuję ci powiedzieć? Nie chcę, żebyś robiła coś tylko dlatego, że jest ci mnie żal.

W odpowiedzi całuję Janka. Całuję go mocno, głęboko, aż elektryzuje się moja skóra, a serce zaczyna żywiej bić. Momentalnie czuję, że jego dłonie nabierają pewności, przyciąga mnie bliżej siebie, obejmuje. Napawam się jego dotykiem, smakiem. Przywieram do niego, a on przywiera do mnie. Całujemy się, całujemy i całujemy. Fale gorąca, wstrzymywane oddechy. Wreszcie się śmiejemy. On ściąga kurtkę. Spieszy się nam, gdy rozpinam zamek w jego bluzie, gdy pomagam mu zdjąć T-shirt, gdy on zsuwa ze mnie koszulę i rozpina mój stanik. Chcę obudzić się jutro przy jego boku. Chcę, żeby dzisiaj było idealnie. Serce mi wali jak oszalałe. Przytulam twarz do ciała Janka i słyszę stukot jego serca.

Dźwięk przychodzącej na telefon wiadomości wybudza mnie z płytkiego snu, prawie pół godziny przed planowanym budzikiem. Sięgam po komórkę, a moje ruchy stają się powolniejsze, kiedy zauważam wiadomość z Kołobrzegu, od Staszka. Jeszcze pod powiekami mam wszystko, co się wydarzyło między mną a Jankiem, całą magię tej nocy, a już czuję, jak spokój, który udało mi się odzyskać, cała radość z przebywania tutaj, odchodzi w zapomnienie i zastępuje go dobrze znane mi napięcie.

Staszek pisze, że wysłał mi mejlem aplikację, o którą prosiłam. „Dokonałem cudu” – dodaje emotikona wyrażającego dumę.

W głowie mam tylko jedno zdanie: „Początek końca”. Spoglądam na śpiącego przy mnie Janka i myślę teraz o wszystkich Opiekunach, mam na myśli całe We Fly High, wszystkich jego pracowników i twórcę – Louisa Saint Francisa.

Na palcach, z komórką w ręce, wysuwam się spod kołdry i zamykam w łazience. Siadam na rancie wanny i pocieram palcami ekran telefonu. Odczytuję prostą instrukcję obsługi aplikacji. Chyba aż do tej pory nie wierzyłam, że to się uda, że Staszek wykona zleconą przeze mnie robotę.

Poprosiłam go i otrzymałam wszystko, a nawet jeszcze więcej, ponieważ okazuje się, że nie potrzebuję drugiej osoby, aby uruchomić aplikację. Wystarczy, że ściągnę ją na konsolę i zainstaluję, a będąc w wirtualnym świecie, na głos wypowiem hasło, dzięki któremu rozpocznie się nagranie. Przez dwie minuty mogę nagrywać to, na co spojrzę. To, co usłyszę. Później nastąpi skomplikowany proces konwertowania nagrania do formatu, w którym będę mogła go odtworzyć na komputerze.

Opieram czoło o kolano i wydaje mi się, że do reszty opuszcza mnie szczęście. Chyba nigdy jeszcze nie byłam tak bardzo, tak nieprzytomnie rozdarta. „Co robić?” – zastanawiam się. Nagranie, jeśli je oddam policji, powinno być mocne i prawdziwe. W dwóch minutach muszę zmieścić coś, co zobrazuje przemoc i jednocześnie realizm

świata *Work a Dream*. To musi być coś, co nie pozostawi cienia wątpliwości. To musi...  
To musi być Mattia.

Zaciskam powieki. Mattia nie zasłużył sobie na to, żebym go wykorzystała. Janek nie zasłużył na to, żebym go znowu okłamała. Borys nie zasłużył sobie na to, żeby ponosić konsekwencje finansowe albo stracić pracę dlatego, że mnie zwerbował!

„Nie mogę tego zrobić!” – myślę, ale przypomina mi się Czaplński oraz policjanci z grupy operacyjno-dochodzeniowej, ludzie, którzy mi zaufali i poświęcili mnóstwo pracy, aby dać mi nową tożsamość i ochronić mnie przed uzbrojonym napastnikiem. Przychodzi mi też do głowy mój tata. Ilekroć pytałam go jako dziecko, jak odróżnić dobro od zła, znajdował bardzo prostą odpowiedź – mówił, że dobro przychodzi najtrudniej.

A w tej chwili najtrudniej jest mi wrócić do rzeczywistości marzeń i dokończyć to, co zaczęła policja.

02:13:14 CZASU TYTANA

Wszystko się kończy – tak właśnie uważam, kiedy zasłaniam okna w apartamencie Spes. Dziewicza przyroda, otaczająca nowoczesne, szklane osiedle, daje wrażenie nienaruszalności. Wodzę po niej spojrzeniem po raz ostatni, zanim szczelnie zasłonę okna. Siadam na łóżku przy Matti.

Minęło dość czasu, żeby zaczął odzyskiwać przytomność. Zagryza usta tak mocno, że pojawia się na nich krew.

– Słyszysz mnie? – pytam.

Z głośnym jękiem przekręca głowę, próbując podążyć za moim głosem.

Nerwowo spoglądam na drzwi do apartamentu, porażona myślą, że nie wiem, gdzie jest Joseph. Borys przecież nie wspomniał o nim ani słowa. Janek też nic nie mówił. Czy to możliwe, że naprawdę jestem tu sama i nikt mi nie przerwie? Czy to wszystko się uda?

Czas ucieka, więc szeptem wypowiadam hasło, które powinno uruchomić aplikację. Słyszę cichy „klik”, który pochodzi z realnego świata. I to, co wydawało się niemożliwe, staje się realne.

Nagranie musi być pełne, więc najpierw patrzę: wiodę spojrzeniem po pokaleczonym policzku Matti, po najgorszych ranach, znajdujących się na delikatnej skórze przy obojczykach, do której ktoś przykładął zapalone zapalki. Dobiega mnie chrapliwy oddech mojego przyjaciela.

– Powiedz mi, co się stało – proszę.

Trudno mi oglądać cierpienie Matti. Próbuje poradzić sobie z zadaniem, które mu wyznaczyłam, i mimo bólu rozchyła powieki.

– CTW... – Ma słaby głos, schrypnięty od wrzasków.

– Strzelili do ciebie z CTW? – uściślam. – Co zrobili później?

– Dałbym im to, czego chcieli... – Mattia niespokojnie rzuca głową, a bije od niego taki żar, że musi mieć wysoką gorączkę. – Ale nie mówili, czego chcą!

– Wiesz, kim byli?

– Idioci... – Nabiera głęboko tchu. Okropnie cierpi. Przeszedł piekło i wciąż w nim tkwi. – Robili... – Próbuje poruszyć rękami, zetrzeć łzy, który spływają mu po

policzkach, ale nie daje rady, więc robię to za niego rękawem kurtki. – Jezu, co oni mi robili...!

Nagle czuję się z nim uwięziona, nie mogę się poruszyć ani nawet mrugnąć. Bo Mattia zaczyna mówić. Opowiada chaotycznie, sądząc, że tylko mnie zwierza się z wielkiej tajemnicy. Wszystko mu się miesza, myli zdarzenia z Io i z Tytana. W niektórych wyrazach przedstawia zgłoski, gubi się w angielskiej gramatyce i nieświadomie przechodzi na język włoski. Bez wątpienia jednak opowiada historię, która poraża swoim okrucieństwem.

– Złapali mnie na ulicy, gdy rozpoczął się proces destrukcji gry... Ktoś... ktoś przyłożył mi CTW do czoła i strzelił...

Następne, co Mattia pamięta, to potworny chaos w głowie, niemożność zebrania myśli, ból. Nie był w stanie przypomnieć sobie czegokolwiek, choćby własnego imienia. Czuł się kompletnie bezradny, nieprzydatny, próbował się bronić, ale nie mógł zaplanować jakiegokolwiek akcji. Mógł tylko przyzwolić, by związano mu ręce, by ktoś zaciągnął go do łazika i wywiózł do ciemnego, ciasnego pomieszczenia za jakimś klubem. Tam nikt się do niego nie zwracał, nikt mu niczego nie wyjaśnił ani o nic nie zapytał. Gracze – sadyści bawili się jego bólem i strachem. Bili go, czym popadło, zafascynowani możliwościami, które dało im *Work a Dream*. Kiedy znaleźli pudełko zapalek, Mattia widział błysk niedowierzania, fascynacji i radości w ich oczach. Związany nie mógł zaprotestować. Błagał, żeby przestali, gdy gasili płonące zapalki na jego skórze. W realnym świecie próbował poruszyć rękami, ale nie mógł. Jego umysł dał się złapać w pułapkę: uwierzył w realizm wirtualnego świata, w drut obwiązany wokół nadgarstków. Potem w ogóle Mattia przestał kojarzyć, że istnieje granica pomiędzy światem realnym i nierealnym. Połamali mu palce młotkiem: najpierw w jednej ręce, potem w drugiej. Ból sprawiał, że kilka razy tracił przytomność, a kiedy ją odzyskiwał, wciąż tkwił w pomieszczeniu za klubem, między graczami pochłoniętymi możliwością używania przemocy w *Work a Dream*. Wydawało mu się, że koszmar nigdy się nie skończy. Miał też wrażenie przesuwania granic, jakby ludzie, którzy go torturowali, dopiero przy nim dowiadawali się nowej prawdy o sobie, tego, do czego są zdolni i jak daleko mogą się posunąć, mając władzę.

– To tylko ręce... – szepcze Mattia, a usta ma tak spękane, że na pewno mówienie sprawia mu ból. – Na filmach ludzie się rozwiązują... uciekają... ja nie mogłem... nie mogłem...

Odgarniam mu włosy z policzka, gładzę po czole.

– Już w porządku – przekonuję, ale on protestuje.

– Miał nick Onyx...

– Kto? Jeden z nich? Czemu go zapamiętałeś? To on połamał ci palce?

Ku mojemu zaskoczeniu Mattia potrząsa głową.

– Więc co się stało?

– Chwalił się... – Z trudem przetyka.

– Chwalił? – Nie rozumiem. – Czym?

– MSBC...

Wydaje mi się, że coś źle usłyszałam. MSBC? Przecież to niemożliwe! Taki był

symbol broni, z której Sebastian strzelał w szkole! Musi chodzić o coś innego!

– MSBC? – powtarzam szeptem. – O czym ty mówisz?! Jak to MSBC?

– Ten karabin – słyszę jego głos. – Sprzedał go... Onyx go sprzedał Polakowi.

A potem zginęli ludzie...

Milknie i trudno mi uwierzyć, że wciąż jesteśmy w świecie *Work a Dream* i że ten świat wciąż ma swoje miejsce w wirtualnym wszechświecie. Siedzę jak porażona, wpatrzona w Mattię, dopiero teraz rozumiejąc, co usłyszałam i czego jestem świadkiem.

Spoglądam na drzwi do apartamentu i wiem, że nie mogę tu dłużej trzymać Matti. Jeśli przeciągnę rozmowę, znowu straci przytomność albo pograży się w chaosie. Powinien jak najszybciej odłączyć się od konsoli i skończyć z tym koszmarem!

Ręce mam wilgotne od jego ciepłej krwi, która ciągle na nowo sączy się z ran.

– Mattia... – Pochyłam się tak nisko, że czuję woń spalonej skóry i potu. – Jesteś w grze... To tylko gra. Możesz się odłączyć...

– Nie! Nie mogę! Nieprawda! Nie... – sprzeciwia się z bezradnością.

Delikatnie obejmuję więc rękami jego twarz i zmuszam, by spojrzał mi w oczy.

– Porusz dłońmi – proszę.

Palce Matti drżą, próbując wykonać ruch, więc go powstrzymuję, kładąc na nich swoje ręce.

– Nie tu. Tam. W realnym świecie. Tu nie jest realny świat!

I widzę to: wracają jego wspomnienia, w głowie układa się plan zdarzeń. Przerazenie, które odczuwał, ustępuje miejsca niedowierzaniu, a potem złości: czystej złości na siebie i na to, co trwało tak długo. Patrzy na mnie i już wie, kim jestem, gdzie jest i że dał się złapać w pułapkę gry.

Teraz powinnam powiedzieć: „Mattia, jak odłączysz się od konsoli, cokolwiek będziesz myślał i czuł, najpierw ukryj dowody wskazujące, że byłeś w świecie *Work a Dream*, a dopiero potem wezwij pomoc!”.

Powinnam to zrobić. I niech mnie diabli!

– Wezwij pomoc – szepczę. – Gdy tylko wrócisz do realnego świata, zadzwoń po pomoc, bo jej potrzebujesz...!

Avatar nieruchomieje.

Siedzę wpatrzona w niego, poruszona do głębi i przerażona ostatecznością tego, co zrobiłam. Znikają ziemskie zapachy. Z wirtualnego ciała znika człowiek. Gdzieś tam, w innym wymiarze, tysiące kilometrów ode mnie Mattia łapie oddech w realnym świecie. Pewnie jeszcze czuje ból w rękach, jeszcze nie jest w stanie sam się poruszyć, podnieść, zorientować się, ile czasu minęło, od kiedy stał się więźniem gry. Kiedy jednak to do niego dotrze, pierwszą jego myślą będzie: „Potrzebuję pomocy!”. Wtedy sięgnie po telefon i wykręci numer alarmowy, nie myśląc o ukryciu konsoli i innych elementów łączących go ze światem *Work a Dream*.

We Fly High straciliby wiele, gdyby nawet dwadzieścia procent ludzi nie zdecydowało się zakupić ich produktu. Myślę, że jeśli zobaczą film z Mattią w roli głównej, żaden rodzic nie zdecyduje się posłać do świata gry swojego dziecka, więc We Fly High stracą wszystko.



W realnym świecie wyłączam budzik i chwilę stoję przy łóżku wpatrzona w Janka. Coś we mnie pragnie wsunąć się pod kołdrę i przytulić do gorącego, rozspanego ciała, zanim stracę go bezpowrotnie. Tymczasem wracam do kuchni i podnoszę pokrywę mojego laptopa. Długim kablem łączę z nim konsolę i chwilę czekam, czując nieprzyjemne dreszcze na plecach. Kiedy na ekranie pojawia się pytanie, czy chcę zgrać film na laptop, waham się ostatni raz.

Enter.

I rozpoczyna się proces, którego nie przerwę.

Niebo za oknem powoli się rozjaśnia, znikają gwiazdy, zachodzi księżyc. Gasną latarnie uliczne osadzone przy mojej kamienicy, a na chodniku pojawiają się przechodnie spieszący do pracy. Zaczyna się pierwszy dzień mojego nowego życia, w którym zaczęłam niszczyć *We Fly High* i w którym stracę zarówno Janka, jak kontrakt z producentem gier, a także zakończę swoją misję dla policji.

Twarz Matti pojawia się na ekranie laptopa tak nagle, że w pierwszym odruchu czuję przerażenie. W ułamku sekundy dociera do mnie, co stworzyłam!

Nagranie okazuje się o wiele mocniejsze niż patrzenie na cierpienie mojego przyjaciela w rzeczywistości *Work a Dream*. Tam wszystko po prostu się działo, tu, w realnym świecie, nie jesteśmy przygotowani na taki widok.

Nagrałam wszystko, co potrzebne, żeby tamten piękny świat został brutalnie odczarowany i zaczął budzić lęk. Dźwięk jest wyraźny, obraz idealnie ostry, można zauważyć moment, w którym Mattia zaczyna rozumieć, że dał się złapać w pułapkę świata gry. Kiedy myślę o ludziach, którzy zobaczą ten obraz w swoich domach, na ekranach telewizorów, przechodzą mnie dreszcze. Zrobiłam więcej, niż oczekiwała policja – w dwóch minutach zmieściłam koniec *Work a Dream*.

Teraz powinnam wysłać film Czaplińskiemu. To ostatni krok, ale moje ruchy stają się powolniejsze. Dzieje się ze mną coś, na co nie mam wpływu. Ogarnia mnie jakiś chorobliwy nastrój, wrażenie, że jest za wcześnie, że nie powinnam...

Zaciskam dłonie na kolanach. Daję sobie jeszcze kilka chwil, jeszcze moment. Ale wciąż nie potrafię tego zrobić. Jeszcze nie teraz.

Zamiast posłać film, wysyłam policjantowi wiadomość: „Spotkajmy się po południu. Tymczasem sprawdź chłopaka posługującego się w grze nickiem Onyx. Prawdopodobnie to on sprzedał Sebastianowi MSBC”. Wiadomość wysyłam bez wahania, a film zgrywam na pendrive’a. Chowam go do kieszeni kurtki, decydując, że oddam Czaplińskiemu na spotkaniu.

Dźwięczę talerze, gdy rozstawiam je na stole w kuchni. Już wstał dzień. Zaraz przyjdzie koniec. Kroję bułki, z lodówki wyciągam masło i inne produkty, których prawie nie używałam, a które teraz wreszcie się przydadzą. Janek przespał całą noc i kiedy sennie podnosi głowę z poduszki, zauważam, że jego skóra nareszcie odzyskała zdrowy wygląd, a spod oczu zniknęły głębokie cienie.

– Hej! – szepczę, siadając przy nim.

– Cześć – odpowiada z zaspanym uśmiechem. Przez chwilę chyba nie pamięta, gdzie mieliśmy być w nocy, przypomina sobie tylko o tym, co wydarzyło się między nami, więc sięga po moje dłonie i przyciąga mnie do siebie. – W porządku? – pyta, odgarniając mi pasma włosów z twarzy. Patrzy jak ktoś zakochany. – Było ci dobrze?

Nie wiem, o co dokładnie mnie pyta, bo przecież nie mam żadnego doświadczenia w miłości. Miałam tylko jego. Nie wyobrażam sobie jednak, że mogło być inaczej. Przytulam się do Janka i odpowiadam pocałunkiem. Zdumiewa mnie, że moje serce tak się szamocze w piersi, że mój oddech momentalnie robi się głośny. Ale Janek już zauważył światło słońca za moimi plecami i przytomnieje. – Która godzina? – Jego oczy rozświetla niepokój. – Dlaczego się nie obudziliśmy? Co z Mattią?

– Wszystko w porządku – zapewniam go. – Byłam tam i pomogłam Matti wrócić do domu.

– Powiedziałaś, żeby schował konsole? – Spogląda na mnie z nagłą obawą.

– Tak. Nie martw się. – Nie jestem dobrą kłamczuchą, więc obracam się do niego plecami, żeby nie widział mojej twarzy. Zbieram rzeczy z podłogi, wołam go do kuchni.

– Na pewno? – Na plecach czuję jego rękę, a po głosie słyszę, że bardzo chce mi wierzyć, ale nie potrafi.

Zmuszam się, żeby jednak na niego spojrzeć. Na usta przywołuję uśmiech.

– Powiedziałam mu to, o co prosił Borys.

– No to okej. – Z ulgą wypuszcza powietrze, ale ciągle ma zmarszczone brwi.

Nienawidzę siebie za to, co mu robię.

Zalewam gorącą wodą kawę, a moje spojrzenie ucieka do okna, podczas gdy Janek pakuje do torby swoje rzeczy. Rozpaczliwie próbuję przeciągnąć ostatnie chwile z nim.

– Chciałabym pójść z tobą na spacer – przyznaję.

– No tak, ale nie możemy tak po prostu chodzić po mieście – odpowiada – Ej, Mika, pojedź ze mną! Przecież możesz to zrobić?

Odwracam wzrok, bo wiem, że nie mogę z nim wyjechać ani teraz, ani w ogóle już nigdy. Nasz czas naprawdę się kończy.

– Chcesz być na wieczór w domu, prawda? – upewniam się, nie mając pomysłu, jak mu to wszystko wyjaśnić. Jestem tak zła na siebie, że mogłabym krzyczeć w nieskończoność.

– Tak, bo nie wiadomo, kiedy Alexander opublikuje nasze dane, więc muszę się spakować i poukładać wszystko...

– Janek?

– Co, Mika?

Nabieram głęboko tchu.

– Wiesz, chyba jednak znam miejsce, gdzie nie ma ludzi, gdzie moglibyśmy pójść jeszcze przed twoim odjazdem.

– Puste miejsce w Warszawie? Nie żartuj! – Na stojąco wypija kawę, którą mi przygotowałam. Szuka kluczyków od samochodu w kieszeniach spodni.

– Wyobraź sobie! – Tak bardzo pragnę, żeby się zgodził, że nie jestem w stanie nawet znieść myśli, że odmówi. Chcę, żeby wiedział, jak to jest być kochanym przeze mnie. I żeby to w nim zostało na zawsze, po tym, jak już rozstaniemy się definitywnie.

Zbliżam się do okna i zauważam samochód z kierowcą w środku, zaparkowany po drugiej stronie ulicy. W tej chwili jestem skora uciec ochronie, danej mi przez policję, byle tylko ukraść jeszcze kilka minut z Jankiem.

– Zgoda – mówi do moich pleców.

Wczepiam palce w oczka siatki ogradzającej nieczynne lotnisko, a Janek po chwili namysłu przerzuca swoją torbę na drugą stronę ogrodzenia.

– To wcale nie jest śmieszne, że prowadzisz mnie w miejsce, gdzie chodziłaś na randki ze swoim kołesiem! – stwierdza, sprawnie wspinając się po siatce.

Idę za nim. Ogarniam spojrzeniem powybijane okna terminalu, popisane sprejem ściany.

– Wymyśl inne miejsce! – odpowiadam.

Zeskakujemy w miękki śnieg po drugiej stronie siatki.

– Będziesz go teraz wspominać? – Janek się śmieje, więc chyba wcale nie jest zły.

To, co się między nami wydarzyło, napętnia nas magią. Inni ludzie nie mają w tej chwili znaczenia i on dobrze o tym wie.

Przypominam sobie określenia, którymi Czaplński nazywał Janka w rozmowach ze mną: „Manipulator. Bogaty gówniarz. Śmieć”. Przez chwilę nie odrywam od niego wzroku. W końcu sięgam po jego rękę i dalej ruszamy razem.

W budynku słyszę szum wiatru hulającego w pustych pomieszczeniach. Zauważam murek, na którym dawno temu balansował Bartek, rozkładając dłonie. Wspomnienia nakładają się na siebie, więc je odpycham. Dzisiaj chcę myśleć tylko mnie i o Janku.

On zatrzymuje się przy oknie panoramicznym, wpatrzony w pas startowy lotniska widoczny w dole. W szybie odbija się wnętrze hali przylotów.

– Wiesz, ten nowy Opiekun z Technological Progress, ten Noah, jest Polakiem, chociaż mieszka gdzieś poza granicami kraju – mówi nagle, jakby jednak cały czas był myślami przy Bartku. – Nie wiem, czy ktoś cię oświecił, że w realnym świecie ma na imię właśnie tak, jak twój kołes... Dobrze gra, a mówiłaś, że tamten też był niezły, więc wcale bym się nie zdziwił, gdyby... – Nagle milknie. Kiedy się obraca, nie rozumiem, co się z nim dzieje, dlaczego tężeje mu twarz, a błysk w oczach znika, zastąpiony przerażeniem.

Reaguję tak samo, jak wtedy, gdy Sebastian skierował na mnie karabin – najwyraźniej wiotczeją mi mięśnie, skoro nagle uginają się pode mną nogi. Huk jest ogłuszający, o wiele gorszy niż w świecie *Work a Dream*. Zatykam rękami uszy, a Jankowi starcza zimnej krwi, żeby rzucić mnie płasko na podłogę, z takim impetem, że czuję, jak zdrapuję sobie skórę z brody i dłoni.

W jednej chwili jest tak, jakby cały świat pękł, odsłaniając swoje bebechy. Grad kul rozrywa gips na ścianach. Sypie się na mnie szkło. Krzycząc, czołgam się w stronę murku, na którym dawniej balansował Bartek. Ręce mam lepkie od krwi – rozrywam skórę o kawałki szyby, rozsypanej na podłodze.

Przez ułamek sekundy widzę tamtego człowieka – nosi ciemną kurtkę i ma ogoloną głowę. Patrzę na pistolet w jego dłoni. Rozpoznaję jugosłowiańską broń, skradzioną polskiemu politykowi.

Janek podrywa mnie na nogi i pociąga za sobą w stronę łazienki. Raptownie skręca w prawo, omijając pocisk, który wbija się w drzwi. Wpadamy na kręte schody,

prowadzące na piętro. Wydaje mi się, że znalazłam się w grze *Work a Dream*, ale nie czuję się silna ani odważna, jak wtedy, gdy wkładam na siebie ciało Astrid. Teraz jest wręcz przeciwnie: brakuje mi tchu, nie potrafię niczego zrobić dość szybko, płaczą mi się nogi.

Janek w telefonie wybiera numer alarmowy.

– Szlag!... – szepcze, bo komórka gubi zasięg.

Przez chwilę słyszę głos policjanta na linii, a potem Janka wyrzucającego prędko słowa z adresem miejsca, w którym jesteśmy. Połączenie się rwie. Nie wiem, czy policjant zrozumiał, gdzie ma nas szukać.

Za nami rozlegają się kroki, więc przyspieszamy kroku, biegniemy w górę schodów. Dotarliśmy do piętra, gdzie po jednej stronie ciągną się puste, oszklone boksy, w których kiedyś były restauracje i sklepy, a po drugiej stronie widzę punkty odprawy celnej.

Szybko przeskakujemy przez bramki. Długie rękawy prowadzą stąd w dół, na pas startowy. Napastnik jest już za nami, słyszymy szuranie jego butów na schodach. Pokonuję jakąś blokadę w głowie.

– Tam! – Wskazuję wyjście awaryjne.

– Cofnij się! – szepcze Janek, gdy okazuje się, że drzwi są zablokowane.

Nie mamy gdzie się schronić. Nigdy chyba wcześniej w realnym świecie tak szybko i tak długo nie biegłam. Potężny terminal lotniska kurczy się pod naszymi nogami, gdy pokonujemy go z jednej strony na drugą.

Oddech mi się rwie, a serce wali jak oszalałe. Za szybą, wzdłuż której się poruszamy, widzę chmury wiszące na niebie. Patrzę na siatkę ogradzającą terminal i drogę, czarną na tle śniegu, ledwie widoczną między połaciami płaskiego terenu wokół lotniska. Nie widzę niebieskich świateł radiowozów. Uświadamiam sobie, że jeśli nawet policja przyjęła zgłoszenie, minie sporo czasu, zanim się tutaj zjawi.

Mijamy jakieś drzwi i trafiamy do pustej kawiarni, gdzie ktoś poprzewracał stoliki. Wiatr hula między krzesłami, wpadając tu przez powybijane okna. Z wiatrem do pomieszczenia wpada śnieg. Przebiegamy kawiarnię i wskakujemy za bar, nie znajdując innego miejsca, aby się ukryć.

– Stąd nie ma wyjścia – stwierdza Janek i pociąga mnie za sobą na podłogę.

Czuję, że cała się trzęsę. Nie słyszymy kroków napastnika, nie wiemy, gdzie jest.

– Znasz go? – W oczach Janka czai się lęk.

Potrząsam głową.

– A ty?

Też zaprzecza.

– Celował do mnie... – Na moment zakrywa rękami twarz. – Jezu, Mika, jak mogłem być tak głupi i pozwolić ci iść ze mną?! Wplątałem cię w to i teraz...

Napastnik już jest na naszym piętrze. Kolejny strzał kaleczy szybę, jedną z nielicznych, które ocalały w miejscu dawnego sklepu. Wychylam się na tyle, by zobaczyć postać zmierzającą korytarzem w stronę naszej kryjówki. Widzę jego brudne od śniegu buty. Spodnie. Patrzę na kurtkę i brakuje mi odwagi, by zerknąć wyżej.

Znowu opieram się plecami o bar. Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę,

że przyprowadziłam nas na to odludzie i teraz zginiemy!

Seria strzałów wstrząsa nami i czuję, że obsuwam się niżej na posadzkę.

Janek sięga do swojej torby, przekłada rzeczy. Szuka czegoś, czym moglibyśmy się obronić, ale znajduje tylko szkicownik, notes, iPod, cienki jak kartka papieru netbook i kilka ciuchów na zmianę. Rozgląda się więc po pustych półkach nad barem, patrzy na magazyn, z którego wyniesiono rzeczy. Z niedowierzaniem i bezradnością zaciska pięści.

Five-SeveN przychodzi mi na myśl, jak jeden z tych obrazów, które mogłyby nam uratować życie. Pistolet wraz z nabojami leży beczynn timer w apartamencie Ester Furtado! Miałam tyle złych przeczuc, kiedy patrzyłam na niego, a teraz dałabym wszystko, żeby mieć go przy sobie.

Słyszymy jakieś szuranie, więc wstrzymujemy oddechy. Wydaje mi się, że zostało nam naprawdę mało czasu. Napastnik już tu jest. Słyszę jego kroki coraz bliżej. Mija stoliki. Okrąża miejsce, w którym kiedyś stała fontanna. Jeszcze kilka metrów i zajrzy za bar...

Słyszę, że Janek głęboko nabiera powietrza, jakby szykował się do zrobienia czegoś, co być może ma uratować mi życie i zwiększyć moje szanse na ucieczkę.

Chwytam go więc za nadgarstek i nie puszczam. Nie zostawi mnie tu samej! Nie pozwolę mu na to!

– Mika! – szepcze bezgłośnie, wyszarpując dłoń, więc tym mocniej go łapię. Opieram twarz o jego pierś, próbując go powstrzymać, przekazać, że nie dam sobie rady bez niego. Słyszę łomot jego serca i szept nad moim uchem: – Mika, nie wyjdziemy stąd oboje... Daj mi to odkręcić...

Potrzęsam głową. Nie! Cokolwiek się stanie, zrobimy to razem!

Mamy dwa wyjścia: możemy tu siedzieć i czekać, aż napastnik nas znajdzie i kolejno zastrzeli, albo możemy spróbować go zdezorientować i uciec. Szanse są niewielkie, ponieważ do wyjścia z kawiarni mamy przynajmniej kilka metrów, które musielibyśmy przebiec, ale wolę to niż czekanie.

Janek obraca w dłoni szkicownik, a po jego ustach przebiega cień niewesołego uśmiechu. Oto cała nasza broń! Niewiarygodne! W grze mielibyśmy o niebo większe szanse. Brakuje nam już czasu, napastnik zaraz tu będzie. Nie pozostaje nam nic innego, jak zrobić to, co robiliśmy sto razy w świecie *Work a Dream*.

– Na trzy – szepczę.

– Okej, na trzy. Raz, dwa... – liczy.

Pochyla się i mnie całuje. A potem rzuca szkicownik w stronę okna.

– I trzy!

Podrywamy się na nogi. Zaciskam zęby i biegnę jak szalona, starając się nie zważać na nic. Przed oczami widzę tylko wyjście z kawiarni. Pierwszy strzał trafia w zeszyt lecący w powietrzu. Jestem w połowie drogi, gdy ciszę pomieszczenia rozrywa następny wystrzał, teraz już kierowany do nas.

Gubię krok. Drzwi są coraz bliżej, mam je w zasięgu ręki, już widzę za nimi długi hol.

Trzeci strzał trafia we mnie! Zataczam się i upadam na ścianę. Ból rozrywa mi ramię. Uginają się pode mną nogi. Osuwam się niżej, do pozycji siedzącej.

Obraz holu za drzwiami staje się już teraz tylko odległym marzeniem.

W ciszy, jaka zapadła, słyszę kroki napastnika. Słyszę też oddech Janka: coraz szybszy, płytszy. Zaczyna kaszleć. Nie może złapać tchu... Obracam się i widzę go: klęczy, podpierając się rękami na podłodze. Plama krwi na jego kurtce bardzo szybko się poszerza.

W pękniętej szybie wystawowej dostrzegam odbicie tamtego chłopaka. Widzę jego zaciśnięte szczęki. Porusza się tak spokojnie, w dłoni trzyma broń. Skończyły mu się kule, więc uzupełnia magazynek. Spokojny ruch ręki. Zero emocji. Staje nad Jankiem.

Wszystko zamiera. Patrzę na dłoń napastnika. Na realną broń w realnym świecie.

Chcę go powstrzymać, ale nie potrafię, nie mam czym!

Widzę, jak odbezpiecza broń. Przykłada lufę do głowy Janka.

– Nie! – krzyczę, ale nawet na mnie nie patrzy.

Próbuję przesunąć się na tyle, żeby uchwycić leżące w pobliżu krzesło, ale palce mam lepkie od krwi i ślizgają się po meblu. Zaciskam dłoń na tyle, na ile jestem w stanie. Rzucam krzesłem w chwili, gdy pada trzeci strzał.

Huk jeszcze długo niesie się echem po kawiarni, a kiedy cichnie, dobiega mnie dźwięk oddalających się kroków.

Potem zapada cisza, jedna z tych, które aż piszczą w uszach. Nie mogę wstać, nie mogę się ruszyć. Drzę i to drżenie przechodzi w regularne dreszcze. Widziałam już takie rzeczy w *Work a Dream*. Wiem, co się wydarzy dalej...

W zasięgu wzroku mam dłoń Janka, tę z kolorowymi rzemykami, którymi zasłania blizny. Ręka leży bezwładnie, rozchylona, dalej widzę rękaw kurtki, torbę...

Próbuję zawołać go po imieniu, zrobić cokolwiek, co zwróci mu przytomność, ale jest za późno. Zaciskam więc powieki. Z daleka dobiega mnie zawodzący sygnał karetki pogotowia i policyjnej syreny. Mija nieskończenie wiele czasu, zanim rozlegnie się tupot nóg na betonie w kawiarni. Padają słowa:

– Straciła dużo krwi... hipotermia!

Błyszczą koc termiczny, którym sanitariusze mnie nakrywają. Ktoś nakłada mi maskę z tlenem, ktoś dotyka mojego ramienia i wtedy czuję piekący ból, od którego zwijam się w kłębek.

– Opaska uciskowa!

Silne ręce chwytają mnie za ramiona i nogi i nagle pod plecami mam nosze.

– Hej! Dziewczyno, do ciebie mówię...! Patrz na mnie! Nie odlatuj!

Nie chcę patrzeć. Nie chcę słyszeć. Wszystko się skończyło. Odlatuję w ciemność, staję się ptakiem i szybuję po mrocznym, bezkresnym niebie, stworzonym przez We Fly High. Wreszcie mam możliwość zbliżyć się do Saturna, przyjrzeć się mgławicom, Drodze Mlecznej, otrzeć się o absolutne piękno wirtualnego świata. Lecę tak daleko, jak pozwoli mi na to pamięć i wyobraźnia.

Słońce już dawno się ukryło i na parapecie okna zostały tylko cienkie smugi światła. Dociera do mnie głos z telewizora:

– „Obecnie pracujemy nad nowym projektem, który będzie o wiele bardziej fascynujący od gier tworzonych w technologii *Work a Dream*. Lata pracy przy nowoczesnych produkcjach nauczyły nas kilku zasad. Chcemy wykorzystać doświadczenie, które zdobyliśmy, aby dać ludziom coś, czego jeszcze nigdy nie widzieli! Damy im nowość, tego jeszcze nie było na rynku! Alternatywne życie, a nie grę. Damy im nowy, lepszy świat, w którym będą mogli żyć bez przemocy, gdzie będą zarabiać prawdziwe pieniądze, pracować, uczyć się i zakładać rodziny... To jest najnowszy projekt *We Fly High!*”.

Rozpoznaję ten głos. Należy do Louisa Saint Francisa.

Zasypiam. Śnią mi się ciemne jaskinie i woda tak brudna, że się nią dławię, gdy wpada mi do ust. Śnię, że znowu trafiam do metanowej rzeki, ale tym razem to ja tonę, brakuje mi tchu, porywa mnie nurt, nie mam siły, żeby wypłynąć na powierzchnię. W snach wraca motyw pustej kawiarni w terminalu lotniska: krew na podłodze, pistolet w rękach mężczyzny, postać, która leży w kałuży krwi i zmienia się: raz jest to Nikola, raz mój tata, raz Janek. Za którymś razem przy Janku siada Sebastian.

Nie wiem, jak długo Czapliński jest ze mną w szpitalu, w każdym razie kiedy rozchyłam oczy, widzę przed sobą jego twarz. Ma tak smutną minę, że od razu coś ściska mi gardło. Dociera do mnie dźwięk kroków oddalających się od mojego łóżka. Lekko poruszam głową, by zobaczyć wyjście – rozpoznaję Nikolę i jej nową mamę.

Nie zatrzymuję ich. Nie mam siły.

Policjant zmienia pozycję, a jego twarz się wygładza.

– Śpij – mówi łagodnie, jak do córki. – Śpij, kochanie.

Próbuję podnieść się na łokciach, ale ból, który mnie przenika, jest tak silny, że z powrotem ląduję na poduszce. Zasypiam, a kiedy znowu się budzę, Czapliński wciąż tutaj jest. Chyba uważa, że już się wyspałam, więc mówi tonem, jak do osoby dorosłej, co uświadamia mi, że oczekuje, iż będę z nim rozmawiała jak ktoś dojrzały i nie rozkleję się dlatego, że rozmawiamy o tamtym dramacie albo że za moment porozmawiamy o Janku. Staram się temu sprostać. Z wysiłkiem kieruję wzrok na wujka.

– Znaleźliśmy Onyxa – opowiada. – Media mówią o tym od rana. Dokonałaś cudu!

Czuje, jakbym miała papier ścierny w gardle. Milczę. Czapliński na szczęście sam informuje mnie dalej:

– To syn wysoko postawionego wojskowego. Młody chłopak. Już go przesłuchaliśmy. Zostały mu postawione zarzuty.

Kładzie dłoń na mojej ręce, co uświadamia mi, jak bardzo jestem niegotowa na jego dotyk, na czułość, na jakąkolwiek bliskość. Cofam się na tyle, na ile pozwala mi łóżko, i od razu żałuję ruchu, bo niemal tracę świadomość z bólu. Chociaż jestem znieczulona lekami, zaczynam głośno jęczeć. Czapliński czeka, aż się uspokoję, i wtedy opowiada dalej:

– Miko, Onyx zeznał, że Janka nie było przy transakcji broni i że to nie Janek zapłacił mu za karabin...

Są rzeczy, z którymi sobie nie radzę. Tak jest z tą sytuacją. Zasłaniam rękami twarz i chcę, żeby Czaplński wyszedł z sali. Prawie go nie słucham, gdy opowiada, że to nie Onyx do nas strzelał, że nie było go w pustym terminalu lotniska. Policja wciąż nie schwytała sprawcy.

Odpycham ręce policjanta, gdy próbuje mnie dotknąć. Chcę, żeby natychmiast wyszedł, bo nie mogę znieść myśli, że po raz pierwszy użył imienia Janka łagodniejszym tonem, że teraz, gdy jest za późno, nagle widzi w moim chłopaku kogoś, kim Janek zawsze był dla mnie. Uspokaja mnie dopiero pielęgniarka, która robi mi zastrzyk nasenny.

Nocą cichną kroki w korytarzu, pustoszeją sale, podłogi świecą błyskiem czystości. Brzęczą koła wózka, na którym pielęgniarka wiezie lekarstwa do innej sali.

Desperacko potrzebuję pomocy, ale nie potrafię o nią poprosić. Przesypiam więc całą noc dręczona koszmarami, a rano budzę się zmęczona tak bardzo, jakbym nie zmrużyła oczu od wielu dni.

– Jestem psychologiem, pracuję w szpitalu – informuje młoda kobieta, która przysuwa sobie krzesło do mojego łóżka.

Reaguję jak wtedy, gdy Dorota z Tobiaszem wysłali mnie do gabinetu psychologa – od razu zamykam się w sobie.

– Wiem, co się wydarzyło, i domyślam się, że jest ci trudno – mówi łagodnym tonem.

Jej miły głos łatwo może mnie złamać. Nie jestem na to gotowa, zaciskam więc powieki i zmuszam się, by przekręcić ciało na bok, ułożyć się tyłem do pani psycholog. Czuję się ciężka i brudna, obolała i bezbronna, zrozwyczajona i pusta. Szeroko otwartymi oczami ogarniam wzrokiem widoczny z okna kompleks budynków szpitalnych, otoczonych parkiem.

– Nie musimy rozmawiać o Janku – odzywa się ona. – Powiedz mi coś innego. Powiedz, jak się czujesz?

Wodzę wzrokiem po napływających do parku dziennikarzach. Kiedy drogę między nimi zaczyna sobie torować wóz transmisyjny stacji telewizyjnej, zamykam oczy.

Mam wrażenie, jakby w moim brzuchu roilo się teraz od kijanek, jakbym w żołądku miała bagno. Ogarnia mnie chorobliwy nastrój, bo myślę o Janku. Pod powiekami miga i gaśnie jego obraz, klęczącego na podłodze w terminalu lotniska. Widzę broń, którą napastnik przycisnął do jego głowy. Dałabym wiele, żeby wyrzucić ten obraz z pamięci, ale uparcie wraca i mnie osacza. Chociaż więc nie chcę tego rozpamiętywać, jednak wspominam moment, w którym Janek uświadomił sobie, co się zaraz stanie. Znieruchomiał. Czekał, a na ułamek sekundy przed tym, jak padł strzał, po raz ostatni jego spojrzenie mnie odnalazło.

Zaciskam powieki i czekam, czekam, aż obraz zniknie.

– Porozmawiamy jutro? – proponuje psycholog, ale wciąż nie jestem w stanie się do niej odezwać.

Rozpaczliwie pragnę zatrzymać tę kobietę, uprosić, żeby znalazła w sobie jeszcze trochę cierpliwości, żeby tu posiedziała jeszcze przez kilka chwil – to na pewno mnie



złamie i wreszcie zaczęłabym mówić. Tak bardzo tego potrzebuję, że to aż boli. Bezradnie kryję twarz w dłoniach, gdy kobieta wychodzi.

Wolno mi wstać z łóżka. Podobno powinnam zacząć się poruszać i odzyskiwać siły. Pocisk nie uszkodził narządów wewnętrznych. Czuję się jednak jak żółw, który wszedł do swojej skorupy i nie potrafi z niej wyjść. Nikola zostawiła mi na parapecie bukiet kwiatów, które pielęgniarka włożyła do szklanki z wodą. Patrę na nie całymi minutami i zbieram się w sobie, żeby zadzwonić do siostry, ale ciągle to przekładam w czasie.

Kiedy jestem już na tyle silna, żeby sięgnąć po komórkę, w pierwszym odruchu uruchamiam Internet. Znajduję zdjęcie Matti na jednym z największych portali.

Na nagraniu, zamieszczonym w artykule, mój przyjaciel wygląda o wiele lepiej, niż kiedy ostatnio się widzieliśmy. Uruchamiam film. Mattia wydaje się wypoczęty i pogodny, chociaż w jego oczach brakuje błysku, który zawsze tam widziałam.

– „To, co się stało, nie ma związku z *We Fly High* i grą! – stwierdza stanowczo. – Tak, owszem, znaleziono mnie w mieszkaniu, półprzyciemnego i podłączonego do konsoli *Work a Dream!* Wcale się tego nie wypieram, ale tak się składa, że miałem wtedy problemy w życiu prywatnym. Źle się odżywiałem i mało spałem w ostatnim czasie. Stąd moje osłabienie. Nie ma znaczenia, że w chwili, gdy mój stan się pogorszył, akurat grałem, bo równie dobrze mogłem oglądać maraton *Igrzysk śmierci*. I co? Wtedy byście mówili, że to Katniss Everdeen doprowadziła mnie do takiego stanu? He?!”

Uśmiecham się wbrew sobie, a potem poważnieję.

Kiedy wpisuję w wyszukiwarce imię Janka, niemal od razu natykam się na artykuł, w którym dziennikarz pisze, że policja odsunęła od Janka wcześniejsze zarzuty. Mówi się tu o zeznaniach Onyxa, o tym, co ujawniło policyjne śledztwo. Moją uwagę przyciąga komentarz jakiegoś internauty: „Ma, na co zasłużył, niech zdycha! Mam nadzieję, że nie wybudzi się już z tej śpiączki!”

Komórka wypada mi z ręki i ląduje na podłodze. Czuję, jakby mój mózg zmieniał się w popiół. Dotykam czoła, a ono niemal parzy. Naciągam więc kołdrę na głowę i robię z niej namiot. Poza namiotem jest cały zły świat: są internetowi hejterzy, którzy nienawidzą Janka, jest człowiek, który do niego strzelił w pustym terminalu dawnego lotniska, są nowi rodzice mojej siostry i pokój, w którym za Janka oddycha respirator. Są też lekarze, którzy nie dają mu szans na wyzdrowienie i mówią o „zmianach w mózgu”, o „paraliżu” i innych problemach, których na razie nie są w stanie ocenić, a do których na pewno doszło. Leżę pod kołdrą i o niczym tak nie marzę, jak żeby to wszystko już się skończyło.

Psycholog prowadzi mnie do windy, a potem długim korytarzem do drugiego budynku. Mijamy otwarte okno. Oszalałam na mroźne powietrze, co uświadamia mi, że musiało minąć sporo czasu, od kiedy leżę w szpitalu.

– Dokąd idziemy? – to pierwsze pytanie, które zadają tej kobiecie.

– Chcę, żebyś przyłączyła się do zajęć z arteterapii, które prowadzę na oddziale psychiatrycznym – odpowiada psycholog.

Oslabiona, ciężko wspieram się o metalową barierkę przy przejściu na oddział psychiatryczny. Na drzwiach na oddział wisi żelazna krata.

– Na pewno będę mogła potem stąd wyjść? – upewniam się. Muszę brzmieć głupio, skoro psycholog śmieje się ze mnie.

– Miko, zabieram cię tylko na warsztaty.

Nigdy wcześniej nie byłam w takim miejscu jak to, więc czuję się zagubiona, kiedy krata zostaje otwarta i już mogę wejść na oddział.

– Uwierzysz? Pacjenci roznieśliby to miejsce, gdyby zabronić im palić papierosy! – informuje psycholog, gdy wkraczamy na korytarz aż szary od papierosowego dymu.

Zamyka za nami kratę, ruszam więc długim holem i mijam drzwi do sal i kuchni. Dostrzegam brudne od graffiti ściany palarni. Ktoś ładnie narysował słonia zjadającego swój ogon i przyczajoną do skoku panterę.

– Pożyczysz mi pieniądze? – Wysoki chłopak staje tak blisko mnie, że łamię barierę bliskości, jaka powinna obowiązywać obcych ludzi. – Pożycz, jutro ci oddam...

Odruchowo się cofam.

– Zostaw ją, Wiktor! – zwraca się do niego psycholog.

– Jechałem pociągiem z dziewczyną – opowiada inny nastolatek, zagradzając mi drogę.

Psycholog otwiera drzwi do pracowni plastycznej, a przeciąg powietrza porusza rysunkami rozwieszonymi na nitkach.

– Wszystko w porządku – zapewnia mnie, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Znajdź sobie miejsce.

Nie czuję się gotowa na rozmowy z ludźmi, na jakikolwiek z nimi kontakt. Niemrawo rozglądam się po sali, gdzie cicho gra radio, lampki rzucają ciepły blask na długie stoły. Terapeutka rozkłada kubelki z farbami, przygotowuje pędzle, ołówki, nożyczki i kolorowy papier. Zerkam na kilkanaście osób, które zebrały się tutaj.

– Dzisiejszym zadaniem będzie zrobienie makiety z papieru, stanowiącej wiadomość, którą chcielibyście wysłać w kosmos – informuje psycholog.

Siadam obok chudej jak patyk dziewczyny, która splata sobie warkocz z włosów.

– Co zrobimy? – pyta mnie z entuzjazmem. – Może coś wspólnego? Lubisz rysować?

Nie odpowiadam. Nie chcę z nią gadać. Odwracam wzrok.

Czuję się koszmarnie zagubiona i zmęczona. I zła. Tak, jestem zła na wszystko, co się wydarzyło. Zamiast więc myśleć o zadaniu do wykonania, myślę o Janku, o tamtych sekundach, gdy krzesło rzucone przeze mnie nie sięgnęło napastnika, ale odwróciło jego uwagę o tyle, że zamiast posłać strzał w głowę Janka, posłał go w jego plecy. Wstrząsa mną wspomnienie ciała upadającego na podłogę.

Pierwszy raz, od kiedy znalazłam się w szpitalu, zaczynam myśleć o tym wszystkim, składać to w całość. Przychodzi mi do głowy, że policja nie ma racji, napastnik nie mógł być powiązany ze zdarzeniami w mojej szkole! To nie był ktoś, komu Sebastian zabił bliską osobę albo kto sam został tam ranny! On nie przyszedł na lotnisko kierowany nienawiścią czy zemstą. W ogóle nie załatwiał tam swoich porachunków. Widziałam jego twarz. Był obojętny. Wykonywał zleczone mu zadanie.

Zamiast rysować, sięgam po kartkę papieru i ołówek. Zaczynam tworzyć listę osób, które miałyby powód, aby zlecić zabicie Janka. Wiem, jak to brzmi, i naprawdę się

martwię o to, czy jeszcze umiem racjonalnie myśleć i czy przypadkiem nie powinnam zostać na oddziale psychiatrycznym dłużej niż tylko na warsztaty.

Tymczasem lista robi się długa. Nie przewidziałam, że będzie aż tylu chętnych!

Wypisałam ludzi takich, jak Derek, chłopak, którego Janek wyeliminował z gry *Bitwa o Io*, a który zasłynął w niej jako psychopatyczny kretyn, znęcający się nie tylko nad graczami, ale też nad inteligentnymi avatarami. Przychodzi mi również do głowy, że gdyby ruszył proces, mający na celu zdelegalizowanie gier produkowanych w technologii *Work a Dream*, w którym Janek miał być kluczowym świadkiem, sporo pieniędzy straciłyby między innymi korporacje, które reklamują się w grze. Pewnie miałyby więc powód, by nie dopuścić Janka do zeznań przed sądem.

Wypisuję nazwę firmy produkującej odzież zimową na Tytanie, przypominam sobie nazwisko producenta sprzętu do wspinaczki wysokogórskiej. Producentów butów. Wypisuję też inne firmy, ale wszystko wydaje mi się głupie, niemożliwe, przecież nie mówimy o politykach, tylko o korporacjach handlowych! Nikt z nich nie działałby w taki sposób! Nikt nie podpisałby się pod kradzież broni i pod zabójstwem!

Przypominam sobie idiotyczną, aż śmieszoną walkę coca-coli z pepsi-colą. W programach telewizyjnych, które o tym opowiadały, wprost trudno było mi uwierzyć w świństwa, które robili sobie producenci napojów, żeby wykreować tylko jedną markę, a tę drugą wdeptać w ziemię.

„To są ogromne pieniądze” – myślę. Kasa tak potężna, że ludzie zrobią wiele, by jej nie stracić.

Ale czy aż tak wiele?

Czy można zabić dla pieniędzy?

Ciągle błędzę i czuję to. Tu nie chodzi o firmy!

– Pracuj z nami – prosi psycholog i przysuwa mi kubek z niebieską farbą.

Mój wzrok sięga do niej i zaraz się cofa. Zginam na pół kartkę z listą osób, chowam ją do kieszeni bluzy. Przyciągam farbę bliżej, a ona wysuwa mi się z palców i rozlewa na stół.

– Nic się nie stało – zapewnia psycholog, gdy jednocześnie sięgamy po papierowe ręczniki.

To tylko chwila i wszystko wraca!

– W porządku, masz prawo płakać – mówi psycholog, co mi uświadamia, że twarz mam mokrą od łez.

Próbuję to powstrzymać, wycieram łzy rękawami bluzy, ale z moich ust wydiera się szloch i tego już nie powstrzymam. Słyszę swój zrozpaczony głos.

– To przeze mnie! Podałam jego nazwisko policji! I zabrałam go do terminalu lotniska! To ja, to ja sprowokowałam te wszystkie okropne wydarzenia! Czegokolwiek się dotknę, to niszczę! Kogokolwiek pokocham, on odchodzi!

Próbuję odepchnąć pacjentkę, która się do mnie zbliża, bo nie chcę, żeby mnie obejmował ktokolwiek inny niż Janek. Tylko Janek może mnie dotykać! Mimo to czuję napór miękkiego, obcego ciała, a potem ręce zamykające się szczelnie wokół mnie.

– Biedne dziecko! – Słyszę jej współczujący głos i uświadamiam sobie, jak bardzo, jak potwornie potrzebowałam, żeby ktoś tak właśnie o mnie powiedział. To zupełnie mnie

pograża. – Nie wiem, co ci się stało, ale bardzo, bardzo mi ciebie żal!

Nie słyszę odpowiedzi pani psycholog, bo płaczę: głośno i rozpaczliwie. Zupełnie nie ma znaczenia, że wszyscy na nas patrzą i wszyscy mnie słuchają. Od dzieciństwa tak rozpaczliwie nie płakałam. W końcu jednak szloch się wyczerpuje i znikają łzy. Wtedy opadam na krzesło i okropnie mi wstyd, więc żeby zająć czymś ręce, sięgam po klej i nożyczki. Czuję się wyjałowiona. Oczyszczona. Pusta.

Skupiam się na stworzeniu makiety do wyznaczonego nam zadania, bo muszę coś zrobić, żeby nie oszaleć.

Dociskam więc palcami kartki posmarowane klejem. Nareszcie znalazłam sobie zajęcie. Tworzę pojazd kosmiczny. Zamalowuję go na szaro jak FFO z *Work a Dream*. Wycinam w nim otwór. Na kartce, którą włożę do środka, piszę trzy słowa: „Chcę szczęśliwego końca!”. Kartkę zamykam w pojeździe i oddaję terapeutce, a ona zatrzymuje mnie słowami:

– Myślę, że powinnaś odwiedzić Janka.

Nigdy nie widziałam jego rodziców, ale wiem, że to oni. Kobieta wydaje mi się młoda, szczupła, nosi drogą garsonkę z bladoniebieskiego materiału. Ciemne, gęste włosy zebrała w kok. W oczach ma coś, co przypomina mi Janka. Obok niej stoi wysoki, przystojny mężczyzna.

– Później do państwa podejść – zapewnia psycholog, prowadząc mnie w stronę jednej z sal na oddziale intensywnej terapii.

Oglądam się za siebie i spojrzenia moje oraz matki Janka krzyżują się ze sobą.

– Mam wejść z tobą? – pyta psycholog w progu. Zaprzeczam.

Kiedy wchodzę do sali, dociera do mnie, że Czapliński nie miał złych intencji, nie przyprowadzając mnie tutaj wcześniej – uważał, że wizyta w tym miejscu złamałaby mi serce. Pewnie miał rację. Przez chwilę słucham dźwięku aparatury, monitorującej parametry życiowe i szumu respiratora, który oddycha za Janka.

„Dwie rany postrzałowe” – czytam w karcie zdrowia przypiętej do ramy łóżka. Przebiegam wzrokiem historię choroby, ale niewiele z niej rozumiem, tylko to, że Janek został wprowadzony w stan śpiączki farmakologicznej. Jego ciało niemal znika pod gęstwiną przewodów i rurek, które mu podłączono.

W całym szpitalu panuje zakaz siadania na łóżkach pacjentów, lecz łamię go i odgarniam kołdrę, żeby usiąść przy Janku.

Ktoś mu zdjął kolorowe rzemyki z nadgarstka, więc kiedy sięgam po jego dłoń, zauważam rany, które przede mną krył. To kilka głębokich cięć. Nie muszę być specjalnie obeznana z tematem, żeby się zorientować, że Janek tnie stare blizny, tworząc z nich nowe. Przesuwam po nich palcem i czuję chłód skóry. Dłoń bezwładnie leży na moim kolanie.

„To przez kontrakt z *We Fly High*” – myślę. Producent gier jest właścicielem naszych wizerunków, więc Janek nie mógł ciąć ciała, kiedy tego potrzebował. Firma, zatrudniając go na stanowisko Mistrza Gry, wiedziała o niektórych ranach i tylko je Janek mógł rozjątrzać, gdy już podpisał kontrakt. Kaleczy się przez Sebastiana, przez poczucie winy, przez to, czemu nie potrafił zapobiec, przez nienawiść ludzi, która go otaczała w ostatnich tygodniach...

Niemal podskakuję, gdy słyszę za sobą głos jego matki:

– Nie wiedziałam, że to robi. A ty? Ty wiedziałaś, że zadaje sobie ból? Jesteś jego przyjaciółką?

Wciąż trzymam dłoń Janka w swojej. Przeraza mnie bezwład i chłód jego ciała. Przytakuję ruchem głowy.

– Tak. Ktoś mi powiedział.

– Ale nie on? Nie rozmawiał z tobą o tym? – Wydaje mi się, że dla jego matki to ważne, żeby wiedzieć, że skoro nie zwierzył się rodzinie, nie zrobił tego też wobec innych osób. Uspokaja ją moja odpowiedź:

– Nie. Nigdy.

Przesuwam palcami po tych miejscach, których nie miałam jeszcze okazji dotykać: po czole Janka, po jego szyi, po obojczykach.

– Spotykaliście się? – pyta jego matka, zauważając czułość w moich ruchach. – Jesteś jego dziewczyną?

Spoglądam za siebie. Twarz kobiety wydaje mi się piękna – to jedna z tych twarzy, które trudno zapomnieć. Matka Janka przygląda mi się z niepokojem, ciemnymi oczami, podkreślonymi kredką. Patrzę na jej ładną garsonkę, na cienką apaszkę na szyi, wodzę spojrzeniem po szczupłych nogach kobiety i butach na obcasach. Nie mogę zrozumieć, jak mogła zostawić Janka, jak mogło jej nie być przy nim, kiedy niemal wszyscy w Polsce życzyli mu śmierci i więzienia, gdy został sam.

– Tak, jesteśmy parą – przyznaję w końcu.

– Nie rozumiem, dlaczego nie opowiadał nam o tobie. Przecież chętnie byśmy cię poznali, mogłabyś przyjechać do nas z Jankiem w odwiedzinach. Ale on w ogóle nie zwierzał nam się w ostatnim czasie. Chyba... chyba uważał, że winimy go za to, co się stało w szkole, w Warszawie.

Milczę, nie wiedząc, co mogłabym odpowiedzieć. „A nie winiliście go?” – ciśnie mi się na usta. „Nie dlatego był w Polsce sam?”

– Pojedziemy do hotelu – stwierdza kobieta po jakimś czasie, nie doczekawszy się mojego komentarza. – Brat Janka został w apartamencie, a nie należy do osób, które powinny być same tak długo... Dobrze, że Janek ma przyjaciółkę... Jak masz na imię, skarbie?

W pierwszej chwili nie mogę sobie przypomnieć, którego imienia powinnam użyć.

– Mika.

– Miło mi cię poznać, Miko.

Marszczę brwi. Przez usta przeciskają mi się grzecznościowe słowa, którymi uspokajam mamę Janka. Po jej wyjściu pochylam się nad Jankiem i czuję nikłą woń krwi, zapach bandaża i jakichś maści. Wodzę opuszkami palców po jego klatce piersiowej, układam dłoń płasko w miejscu, gdzie najmocniej czuć bicie serca. W pamięci wracają obrazy z naszej ostatniej wspólnej nocy: widzę zaciskające się dłonie, szukające się usta, przypominam sobie emocje tak wielkie, że niemal nie do udźwignięcia. Zatracam się w tych wspomnieniach, rozpamiętuję westchnienia, wstrzymywane oddechy, momenty, gdy traciliśmy nad sobą kontrolę, gdy czułam, jakbyśmy byli jedną całością. Mrugam i obraz znika. Znowu siedzę na łóżku Janka, wpatrzona w jego nieruchome ciało.

Spędzam w sali niemal całe popołudnie. Robi mi się zimno i czuję się osłabiona, jednak za nic w świecie nie wrócę teraz na swój oddział.

– Okryj się – proponuje pielęgniarka, podając mi koc. – Mój wnuk jest fanem tej gry – informuje chwilę później, zabierając się do zmiany kroplówki. – Zamówił sobie twoją figurkę. I jeszcze tego czarnowłosego chłopaka, który ostatnio tak wiele występuje w telewizji...

– Matti – podsuwam i milknę. – Figurkę? Jaką figurkę?

– Firma musi dobrze na was zarabiać! – śmieje się kobieta. – Figurki. Plakaty. Karty do gry z waszymi wizerunkami. Mój wnuk kompletnie oszalał! Nie wiem, czy to prawda, ale mówi się, że nawet Lego chce w to wejść i stworzyć klocki pt. *Tytan – Apartamenty Spes i Opiekunowie*. Wnuk już się nie może doczekać!

Chyba oczekuję, że pielęgniarka nagle się roześmieje, klaśnie w ręce i oznajmi, że to żart. Nic takiego jednak się nie zdarza.

– Figurki – powtarzam. – Jego też? – Wskazuję Janka.

Kobieta obrzuca go wzrokiem.

– Tak, jego też. Ale mój wnuk najbardziej lubi ciebie i tego czarnowłosego.

Po jej wyjściu ciaśniej otulam się kocem. Z torby Janka wyciągam notes i długopis. Wracam do listy, którą zaczęłam tworzyć na zajęciach plastycznych.

Mój tata mawiał, że kiedy nie wiadomo, o co chodzi, trzeba się zastanowić, kto najwięcej na tym straci.

Uzupełniam więc listę. Akurat wypisałam nazwę Technological Progress, ponieważ afery związane z Opiekunem We Fly High mogłaby być im na rękę. Tę firmę byłoby stać na zatrudnienie kogoś do zadania specjalnego, zaraz jednak dochodzę do wniosku, że bardziej na rękę byłoby im, aby Janek pojawił się na procesie sądowym i zeznawał przeciwko swojemu pracodawcy, bo wtedy pograżyłyby We Fly High zupełnie...

Nagle cierpnie mi skóra, a długopis niemal wypada mi z palców. „Niemożliwe” – myślę i odruchowo próbuję odegnąć od siebie myśl, która mnie naszła. Ale nie mogę się jej pozbyć. Mój umysł krąży wokół tematu, dotyka go i bada, odpycha i znowu do niego wraca.

W końcu na środku strony wypisuję nazwisko Louisa Saint Francisa.

„To naprawdę niemożliwe!” – ganię siebie. „Saint Francis nie zrobiłby czegoś takiego Jankowi!”. Ale co ja tak naprawdę wiem o szefie We Fly High? Przypominają mi się słowa Staszka, rzucone mimochodem na temat Louisa: „To niebezpieczny człowiek!”.

„Oczywiście, że to głównie We Fly High straciliby pieniądze, jeśli zdelegalizowałoby się gry *Work a Dream!*” – dochodzę do wniosku i jestem aż porażona tą prostą, brutalną prawdą.

Zeznania Janka w sądzie mogłyby się stać opowieścią o drugim dnie technologicznego cudu, o wykorzystywaniu nieświadomych niczego graczy, o nadużyciach, do których dochodzi w grze i o zadaniach rozdawanych Opiekunom, a daleko wykraczających poza ich kompetencje. Wielkie marzenie z dzieciństwa Louisa Saint Francisa ległoby wówczas w gruzach – nie byłoby trzeciej gry *Work a Dream*. Nie powstałby alternatywny, wirtualny świat, o którym Saint Francis marzy.

Od kiedy rozpoczęły się problemy Janka, byłam zdumiona, że We Fly High nie zerwali z nim kontraktu. Chyba wszystkich to dziwiło, łącznie z Opiekunami. Teraz moja głowa działa jak dobrze naoliwiony mechanizm. Teraz wreszcie widzę wszystko jasno i wyraźnie!

Przypominam sobie niepokojący mnie punkt umowy między mną a firmą, dotyczący poufności kontraktu. Janek na pewno ma identyczny zapis w swojej umowie. Powołując się na niego, mógł odmówić opowiadania o We Fly High podczas policyjnego przesłuchania. Dopóki był związany kontraktem, Saint Francis oddychał więc spokojnie. Kiedy jednak ostatnio rozmawiałam z Jankiem, twierdził, że dostał informację o dacie pierwszej rozprawy sądowej. Uważał też, że Saint Francis zwolni go, gdy rozpocznie się proces, że dłużej nie będzie mógł go zatrzymywać na kontrakcie.

Chwila poszukiwań w telefonie, w sieci, i mam gotową odpowiedź: okazuje się, że klauzula poufności nie obowiązuje na sali rozpraw. Gdyby Janek dotarł do sądu, musiałby odpowiadać na pytania prokuratora! Na wszystkie pytania. Bez wyjątku. Nawet na te, dotyczące poufnych informacji o grze.

Kręci mi się w głowie, a z nerwów zaczyna mnie boleć brzuch. Dociera do mnie, że dla Saint Francisa byłoby najlepiej, gdyby Janek nigdy nie zjawił się na rozprawie!

Patrzę na niego, leżącego bezbronne pod respiratorem i przez chwilę aż brakuje mi tchu. Jego serce bije, ciągle bije, pozwalając mi uwierzyć, że Janek wyjdzie z tej choroby i że jest sens o niego walczyć.

Nerwowo spoglądam na szpitalny hol. Policja nie dała Jankowi ochrony, a na oddział w szpitalu może wejść każdy. Cierpnie mi skóra, gdy przypominam sobie spokojne, wyważone ruchy napastnika, kiedy szedł w naszą stronę, uzupełniając magazynek w broni. Uderza mnie myśl, że ten człowiek wciąż pozostaje na wolności. I że nie dokończył swojego zadania...

\*

Pendrive znajduje się w kieszeni mojej kurtki. Kładę go na dłoni i to dziwne, że wydaje mi się, jakby nabrał ciężaru. Mam trochę czasu, bo Saint Francis nie wykona teraz żadnego nowego ruchu, ma urwanie głowy po aferze, która się rozpełtała z powodu Matti. Chociaż udało mu się powstrzymać Alexandra przed opublikowaniem danych, odebranych podczas hakierskiego ataku, szef We Fly High wciąż sprząta spory bałagan, więc druga afera, związana z zabójstwem Opiekuna, byłaby mu raczej nie na rękę.

Próbuję rozważyć wszystkie „za” i „przeciw”, zastanowić się, co jest słuszne, a co słuszniejsze.

Jeśli zrobię to, co planuję, świat *Work a Dream* wciąż będzie istnieć, policja nie otrzyma nagrania, a Saint Francis będzie mógł rozpocząć produkcję alternatywnego, wirtualnego życia.

Ale to, co mogę utracić, jest o wiele ważniejsze dla mnie. Film z *Work a Dream* może uratować życie Janka.

Na kolanach układam więc jego netbook i łączę się z siecią. Film umieszczam na serwerze, na którym pozostanie przez czterdzieści osiem godzin, i gdzie tylko jedna osoba będzie mogła go obejrzeć. W tytule wiadomości podaję: „Zabezpieczenie w razie

kolejnego wypadku”.

Wpisuję prywatny adres mejlowy Saint Francisa.

Wiadomość wysyłam w świat.

*Gdynia, 28 lutego 2017*